

JOHN FLANAGAN

AUTOR BESTSELLEROWEJ SERII *ZWIADOWCY*



GÓRA SKORPIONA

JOHN FLANAGAN



KSIĘGA PIĄTA

GÓRA SKORPIONA

Tłumaczenie
Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: *Brotherband. Scorpion Mountain*
First published by Random House Australia 2014
This edition published by arrangement with Random House Australia Pty Ltd
Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2014

Copyright © John Flanagan 2014
All rights reserved.

Redakcja: Ewa Holewińska, Anna Pawłowicz

Skład i łamanie: EKART
Typografia na okładce: Rafał Sadowski

ISBN **978-83-7686-346-7**

Cover illustration © by Jeremy Reston
Cover design and typography © by www.blacksheep-uk.com
Heron and land sailer illustrations © by David Elliot
Map © by Mathematics and Anna Warren
Copyright for the Polish edition © 2014 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników w wieku 11+

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp.J.
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104
02-546 Warszawa
www.wydawnictwo-jaguar.pl

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2013

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

Część I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Część II

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Część III](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Część IV](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

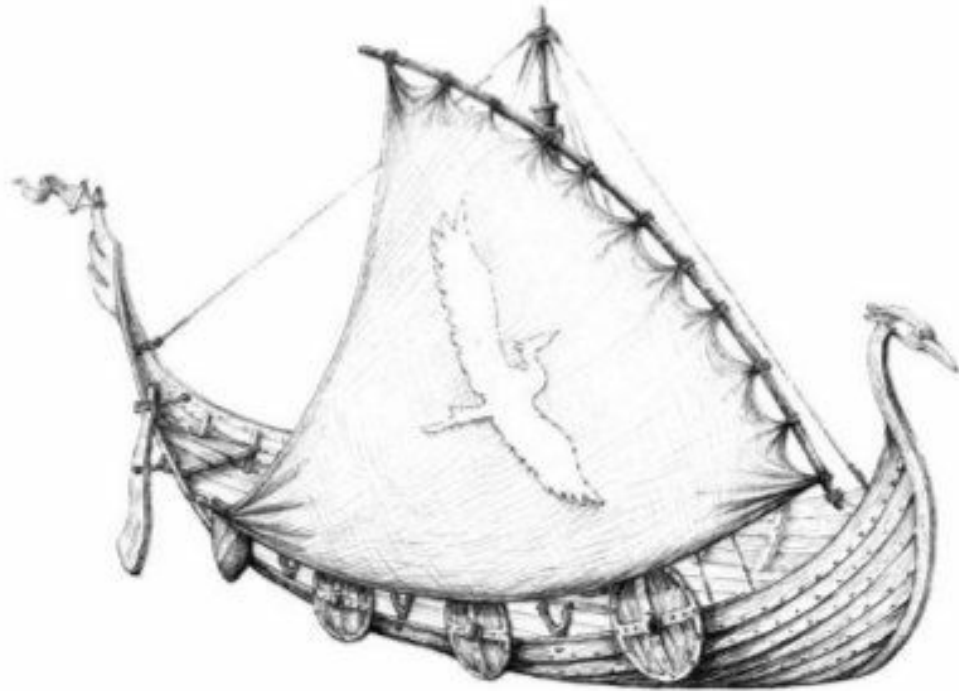
[Epilog](#)

Dla Michaela, mojego syna – ponownie

SKANDIA i kraje sąsiednie



CZĘŚĆ PIERWSZA



ZAMEK ARALUEN

Rozdział 1



*P*rrr, Tom! Stój, kolego!

Tom był to stary koń roboczy, przeznaczony, jak większość przedstawicieli tej spokojnej rasy o ciężkim chodzie, do pracy na roli. Dzień w dzień postłuszenie ciągnął pług, rysując za sobą kolejne bruzdy w żyznej glebie na farmie Devona Haldera. Nieprzywykły, by tak gwałtownie mu przerywano, odwrócił kudłaty łeb i popatrzył na właściciela.

Devon, podobnie jak jego koń, również miał swoje lata. Jego ubranie znaczyły plamy błota. Kiedy później, wieczorem, pytano go w gospodzie, co zwróciło jego uwagę, nie potrafił powiedzieć. Może delikatne skrzypienie skóry i lin, może łopot żagla na wietrze?

Tak czy inaczej, Devon przerwał pracę i obejrzał się przez ramię. A to, co zobaczył, wywołało u niego nagły atak paniki.

Zaledwie czterdzieści metrów dalej na falach rzeki unosił się okręt.

W pierwszej chwili Devon wziął go za tak zwany wilczy okręt. Nadal miał w pamięci, że widok skandyjskiego okrętu na rzece jest zapowiedzią grabieżczego ataku. Spiął się cały, gotów biec do wsi, by ostrzec mieszkańców. Nagle jednak się zawahał.

Czasy, kiedy Skandianie napadali na araluńskie wsie, położone na brzegach morza i rzek, należały do przeszłości. Poza tym, przyjrząwszy się bliżej, stwierdził, że to wcale nie jest wilczy okręt.

Rzeczywiście, miał zbliżony kształt. Nie był to statek handlowy o szerokim pojemnym kadłubie, lecz okręt smukły, na pewno zdolny rozwijać duże prędkości. Ale zamiast typowego prostokątnego żagla był wyposażony w żagiel trójkątny, umocowany na linii kadłuba na długiej wzdłużnie wygiętej rejce.

Miał też znacznie mniejsze rozmiary niż wilcze okręty. A na dziobie nie umieszczono rzeźbionej głowy wilka o zjeżonej sierści i obnażonych kłach. Za figurę dziobową służyła głowa ptaka. Również żagiel ozdobiono rysunkiem zgrabnej ptasiej sylwetki o szeroko rozpostartych skrzydłach. Czapli, jak stwierdził po chwili Devon.

Jednakże widoczne na prawej burcie cztery okrągłe drewniane tarcze, wzmocnione metalowymi okuciami, z pewnością należały do Skandian. Tylko piąta, umieszczona na wysokości steru, miała kształt trójkąta.

Członkowie załogi, z tego, co zdołał dostrzec, nosili skandyjskie stroje – kubraki z futra i skóry oraz mocowane rzemieniami nogawice. Nie zauważył jednak charakterystycznych rogatych hełmów, z których słyngli skandyjscy wojownicy – i których widok budził przerażenie w sercu każdego uczciwego farmera. Zamiast tego niektórzy mieli na głowach ciemne wełniane czapki, naciągnięte na uszy dla ochrony przed zimnem.

Nagle mężczyzna stojący przy sterze uniósł rękę w powitalnym geście. Devon przysłonił oczy. Sternik wydawał się dość młody i szczupły jak na Skandianina. Ten obok za to bardziej przypominał typowego wilka morskiego. Był wysoki i potężny, siwe potargane włosy powiewały na wietrze. Po chwili Devon stwierdził, że zamiast prawej dłoni

ma on drewniany hak.

Zdecydowanie wilk morski, pomyślał Devon. Po chwili wilk morski również uniósł rękę na powitanie. Devon ostrożnie pomachał w odpowiedzi – nadal czujny i nieufny. Owszem, okręt miał niewielkie rozmiary, ale bez wątpienia przypominał okręty używane przez Skandian podczas najazdów, był szybki, smukły i potencjalnie niebezpieczny. A widok tarcz na burcie świadczył o tym, że członkowie załogi są wojownikami. Devon uważnie przyglądał się przepływającemu okrętowi, który powoli kierował się na środek rzeki, by pokonać kolejny zakręt. Sternik i jego kompan opuścili dłonie. Najwyraźniej nie interesowali ich starzejący się farmer i jego równie starzejący się koń.



– Będzie miał o czym rozprawiać wieczorem w gospodzie – stwierdził Thorn z krzywym uśmieszkiem. – Spotkanie z nami było prawdopodobnie najbardziej ekscytującym wydarzeniem od czasu, gdy pięć dni temu trafił pługiem na podstępny korzeń.

Hal uniósł brew.

– My w charakterze ekscytującego wydarzenia?

Thorn przytaknął, drapiąc się po zadku drewnianym hakiem – to znaczy jego nieostrą częścią.

– Ma siwą brodę. Pamięta czasy, kiedy widok skandyjskiego okrętu zwiastował łupieżczy napad. Dziwne, że od razu nie poleciał do wsi i nie podniósł alarmu. – Thorn nie wiedział, jak mało brakowało, by tak właśnie się stało.

Kiedy pokonali zakręt, a farmer i jego koń zniknęli w oddali, Kluf oparła przednie łapy na nadburciu i wydała z siebie pojedyncze szczeknięcie. Zaznaczywszy w ten sposób, kto rządzi w królestwie Araluenu, zadowolona zeskoczyła z powrotem na pokład, wysunęła przednie łapy przed siebie i rozpląszczyła się na deskach. Przez kilka sekund jednym okiem przyglądała się Halowi, w końcu westchnęła i poszła spać.

Hal powiódł wzrokiem po zielonych lasach i polach, ciągnących się wzdłuż rzeki. Pomyślał, że Araluen to bardzo piękny kraj.

– Czy Araluen był celem twoich wypraw, Thornie? – spytał.

Stary wilk morski potrząsnął głową.

– Erak wolał najeżdżać wybrzeża Iberii, czasem Gallię i Sonderland. Od kiedy zobaczyłem Gilana z łukiem w akcji, bardzo się z tego cieszę. Może Erak coś wiedział. Wyobraź sobie tylko, walczyć przeciwko tuzinowi łuczników o umiejętnościach i refleksie Gilana.

– Wystarczyłby jeden – stwierdził Hal.

Stig siedział kilka metrów dalej na zwoju liny. Przysłuchiwał się rozmowie, ostrząc i tak ostry nóż.

– Myślicie, że Gilan już dotarł do zamku? – zapytał.

Początkowo planowali opuścić Zatokę Cresthaven w tym samym czasie, co zwiadowca, który wyruszył do stolicy konno. Jednakże mieli za sobą długą i ciężką przeprawę, a Halowi bardzo zależało, by podczas pierwszej wizyty w Zamku Araluen „Czapla” prezentowała się idealnie. Fragmenty olinowania postrzępiły się i wymagały naprawy, w jednej z klepek poszycia widniała spora wyszarpana dziura – pamiątka po tym, jak o mało nie wpakowali się na skały podczas pościgu za „Nocnym Wilkiem”, okrętem renegatów. Wyglądzenie burt i załatwienie dziury, w taki sposób, by po szkodzie nie został ślad, zajęło im pół dnia.

Poza tym Edvin chciał uzupełnić zapasy. zaproponował, by zawinąć w tym celu do Cresthaven – mieszkańcy wioski mieli obowiązek dostarczać im potrzebne towary w ramach umowy.

– Nie ma sensu wydawać pieniędzy, skoro tam możemy dostać wszystko za darmo – zauważył Edvin, a Hal musiał się z nim zgodzić.

W rezultacie wypłynęli z zatoki dwa dni po tym, jak Gilan wskoczył na konia i pomachał im na pożegnanie ze

szczytu wzniesienia królującego nad zatoką.

– Raczej tak – stwierdził Hal, odpowiadając na pytanie Stiga. – Jazda powinna zająć mu nieco ponad dobę, a słyszałem, że konie zwiadowców są bardzo szybkie.

– W takim razie na pewno zdążył przygotować komitet powitalny – dorzucił Thorn. – Może ten ich król zejdzie na keję, by przyjąć nas z honorami.

Hal uśmiechnął się do przyjaciela.

– Z tego, co słyszałem na temat królów, nie mają w zwyczaju wystawać na wietrznych kejach, by przyjąć z honorami jakąś bandę prostaków.

– Uważasz się za prostaka? – spytał Thorn. – Zawsze sądziłem, że jesteś dość wyrafinowany.

– Możliwe. Ale ty jeden wyrabiasz normę za całą resztę – odparł Hal. Thorn uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Muszę z dumą przyznać ci rację.

Nieco dalej bliźniacy, znudzeni brakiem obowiązków na spokojnym odcinku rzeki, zaczęli się kłócić, co zresztą czynili dość często. Od jakiegoś czasu milczeli, ku wielkiej uldze całej załogi, ale wszystko co piękne, szybko się kończy.

– Pamiętasz tę brązowooką dziewczynę, która siedziała ci na kolanach podczas uczyty z okazji naszego powrotu? – zapytał Ulf.

Wulf rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, po czym odparł:

– Tak. A co?

Ulf zrobił efektowną pauzę, uśmiechnął się, przygotowując słowny atak.

– Bardzo jej się spodobałem – oznajmił.

Wulf uniósł brwi.

– Ty jej się podobałeś?

Ulf energicznie pokiwał głową.

– Też zauważyłeś?

Wulf prychnął.

– To nie było potwierdzenie – odparł – tylko pytanie. Dlatego uniosłem głos na końcu zdania. Znaczyło ono: „Co masz na myśli, mówiąc, że jej się spodobałeś?”

– Mam na myśli, że uznała mnie za atrakcyjnego. Nawet bardzo atrakcyjnego. To chyba oczywiste.

Po chwili Wulf odpowiedział:

– Skoro to takie oczywiste, że jej się spodobałeś i że uznała cię za atrakcyjnego, to dlaczego siedziała na moich kolanach?

Ulf lekceważąco machnął ręką.

– Właśnie to jest najlepszy dowód. Chciała wywołać we mnie zazdrość, udawała, że to ty jej się podobasz. Grała przede mną trudną do zdobycia.

– No to grała naprawdę nieźle, bo jej nie zdobyłeś – odparł z przekonaniem drugi bliźniak. Zaraz na początku zabawy zauważył, że dziewczyna podoba się jego bratu i przystąpił do akcji, nim tamten zdążył go uprzedzić.

Lydia, stojąca przy nadburciu kilka metrów dalej, głośno jęknęła.

Ulf zaśmiał się.

– Zdobyłbym, gdybym tylko chciał. Moja diabelsko przystojna aparycja dosłownie ścięła ją z nóg.

– Diabelsko przystojna aparycja? Wyglądasz jak parchaty małpizson – odparł Wulf. Jego brat potrząsnął głową.

– Zastanawiające, słyszeć te słowa z ust kogoś tak nieatrakcyjnego jak ty. Właśnie dlatego dziewczyna, chcąc wzbudzić we mnie zazdrość, usiadła na kolanach właśnie tobie. Wybrała najpaskudniejszą osobę, jaką zobaczyła wśród biesiadników.

– W takim razie – odparował Wulf – nie zobaczyła ciebie.

Oczywiście na reszcie załogi dyskusja robiła wrażenie wyjątkowo absurdalnej, z tej racji, że Ulf i Wulf wyglądali jak dwie krople wody. Jeśli jeden z bliźniaków nazwał drugiego brzydalem, to musiał uznać za brzydala również siebie samego. Oni jednak zdawali się tego faktu nie zauważać.

Ich głosy, z początku ciche, coraz bardziej przybierały na sile, tak że po chwili cała drużyna była zmuszona słuchać tych bezsensownych bredni. W pewnym momencie Hal znał, że dosyć tego dobrego.

– Ingvar! – zawołał.

Potężny chłopak siedział oparty plecami o maszt, z nogami wyciągniętymi na pokładzie.

Teraz odwrócił się i spojrzał w stronę steru.

– Tak, Halu?

– Jak sądzisz, czy żeglowanie po rzece liczy się tak samo jak po morzu?

Reguły panujące na „Czapli” wyraźnie mówiły, że jeśli bliźniacy wiodą swe kretyńskie dysputy w czasie, gdy okręt przebywa na morzu, Ingvar ma prawo wrzucić jednego z nich do wody. Niektórzy członkowie załogi uważali nawet, że jest to jego obowiązkiem. Zwykle przypomnienie tej zasady wystarczyło, by odwieść bliźniaków od dalszego uprawiania ulubionej rozrywki.

Ingvar wzruszył ramionami.

– Ee? No nie wiem. Ale chyba tak – odparł z roztargnieniem płaskim bezdźwięcznym głosem.

Lydia odwróciła się i spojrzała na Ingvara, marszcząc brwi. Hal zrobił podobną minę. Zwykle Ingvar był towarzyski i wesoły. Teraz sprawiał wrażenie znużonego i apatycznego. Hal zastanawiał się, co może być tego przyczyną.

Ulf i Wulf natychmiast się uspokoili. Od pewnego czasu nigdy nie mogli być pewni, na ile mogą sobie pozwolić i w którym momencie Hal straci cierpliwość i każe Ingvarowi wrzucić któregoś z nich – bądź obu – do wody. W tym przypadku ostrożność była wysoce wskazana.

Hal zauważył, że przestali się kłócić, i kiwnął głową w stronę Ingvara. On jednak już na niego nie patrzył. Wrócił na swoje miejsce koło masztu i głośno westchnął. Hal spojrzał na Stiga, który przyglądał się Ingvarowi ze szczerym zdumieniem.

– Zauważyłeś, że Ingvar od kilku dni dziwnie się zachowuje? – spytał Hal.

Stig przytaknął z nieco zmartwioną miną.

– Najwyraźniej coś go dręczy. Zastanawiam się...

Cokolwiek chciał powiedzieć, w tym momencie musiał o tym zapomnieć. „Czapla” właśnie minęła wystające wzniesienie i oczom załogi ukazał się Zamek Araluen, piękny i majestatyczny – masa eleganckich strzelających w niebo wież i wieżyczek, łuków przyporowych i trzepocących na wietrze proporców, otoczony starannie utrzymanym parkiem.

– Na uszy Gorlog! – wykrzyknął Jesper. – Ale widok!

Rozdział 2



Zamek stał na wzniesieniu, w odległości około pół kilometra od rzeki, oddzielony od niej wąskim pasem lasu. Ciemna dzika zieleń naturalnie rosnących drzew kontrastowała z obszarem starannie utrzymanych terenów parkowych, przylegającym bezpośrednio do zamkowych zabudowań.

Zamek lśnił złościście w promieniach zachodzącego słońca. Potężne rozmiary w żaden sposób nie kłóciły się z pełnym wdziękiem pięknem budowli. Młodzi Skandianie jeszcze nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Wpatrywali się weń jak zaczarowani, bliscy nabożnego podziwu.

– Niesamowity – powiedział cicho Stefan, a pozostali zgodnie zamruczeli. Wszyscy za wyjątkiem Ingvara.

– O co chodzi? O czym wy mówicie? – spytał z irytacją. Lydia przeproszającym gestem położyła rękę na jego ramieniu.

– To Zamek Araluen – wyjaśniła. – Jest niezwykle piękny. Wielki, ale bardzo elegancki. Lśni w słońcu, a te wszystkie kolorowe flagi i proporce, i...

Nagle Ingvar strząsnął jej dłoń. Lydia cofnęła się, zaskoczona. Mrużąc oczy, zwrócił spojrzenie w kierunku zamku. Widział tylko jakiś zamazany kształt. Nawet nie miał pewności, czy ten kształt to na pewno zamek.

– No dobra. Rozumiem – powiedział szorstko. – Zamek jest piękny. Pewnie mam być pod wrażeniem.

Przez chwilę Lydia nie wiedziała, jak zareagować. To było zupełnie nie w stylu Ingvara – miłego, dobrotliwego zawsze pomocnego Ingvara. Niepewnie rozejrzała się dokoła, by sprawdzić, czy pozostali zauważyli to, co ona. Uchwyciła spojrzenie Hala, który ostrzegawczo pokręcił głową. Wydawało mu się, że wie, z jakiego powodu Ingvar jest ostatnio taki przygnębiony.

Lydia jeszcze raz spojrzała na Ingvara, który nadal patrzył przed siebie, mrużąc oczy. Zmusiła się, by nadać głosowi lekkie przyjazne brzmienie.

– No tak. Zapomnij, że się odzywałam – powiedziała.

Ingvar prychnął wzgardliwie.

– Spróbuję – rzucił, po czym przeszedł na dziób i stanął obok przykrytego brezentem Zadymiarza.

Zapadła niezręczna cisza. W końcu przerwał ją Thorn.

– Osobiście wcale nie uważam, że zamek wygląda szczególnie imponująco. Nie umywa się do Wielkiej Hali Eraka.

Stig prychnął śmiechem.

– Nie umywa się do Wielkiej Hali Eraka? – powtórzył. – Wielka Hala to przy nim zwykła drewniana szopa!

I miał rację. W skali Hallasholmu hala Eryka mogła imponować, ale w porównaniu z tym cudem architektury wyglądała raczej jak chata z drzewnych bali.

Thorn nie zamierzał ustąpić.

– No popatrzcie tylko! – powiedział z przekąsem. – Te wszystkie wieżyczki i flagi, i inne fidrygałki! Wyobrażacie sobie, jak oni ogrzewają to wszystko zimą? W hali przynajmniej załatwia sprawę jedno porządne palenisko.

– Dymi i są przeciągi – zauważył Edvin.

– Ale pomyśl, ile kosztuje ogrzanie tej... kupy kamieni – upierał się Thorn.

Hal uśmiechnął się do siebie. Słowa Thorn'a odwróciły uwagę wszystkich od nieprzyjemnej sceny między Lydią i Ingvarem. Nie pierwszy raz stary wojownik interweniował w tym stylu. Hal stwierdził, że w kwestii kierowania ludźmi mógłby się wiele od niego nauczyć.

– Przypuszczam, że króla Duncana stać na rachunki za ogrzewanie – wtrącił łagodnie. – W końcu to król. Królowie zwykle mają w zapasie niezłą sumkę.

– Hmmm! – prychnął Thorn. – Dzięki gnębionym podwładnym, jasna rzecz!

– Cóż, ty też płacisz daninę Erakowi – zauważył Stig.

Thorn rzucił mu miazdzące spojrzenie.

– Jeśli tylko mogę tego uniknąć, to nie – odparł półgłosem.

Rozmowa mogłaby zapewne ciągnąć się w nieskończoność, ale w tym momencie Stig, stojący na nadburciu, wyciągnął rękę w kierunku brzegu.

– Widać przystań. I tłum, gotowy nas powitać – powiedział.

Hal ocenił położenie sporego drewnianego molo, potem zerknął na wskaźnik wiatru, powiewający na szczycie bomu. Gdyby skręcili teraz w stronę przystani, płynęliby prosto pod wiatr.

– Będziemy wiosłować – zdecydował, po czym donośnym głosem wydał rozkazy: – Opuścić żagiel. Złożyć bom. Do wiosła.

Członkowie załogi pospieszyli na stanowiska. Jesper i Edvin poluzowali szoty, a bliźniacy opuścili maszt i żagiel na pokład. We czwórkę sprawnie zwinęli płótno i ułożyli wraz z masztem wzdłuż linii kadłuba. Potem pobiegli zając miejsca na ławkach i przeciągnęli przez dulki dębowe wiosła.

Stig i pozostali już czekali. Stefan zeskoczył z nadburcia i także zajął swoje miejsce na ławce. Thorn i Lydia podeszli do Hala, stojącego przy sterze. Ingvar wciąż tkwił na dziobie, ponuro zapatrzony przed siebie. Hal wzruszył ramionami. Ingvar siadał do wiosła tylko w wyjątkowych przypadkach. Był tak silny, że burzył równowagę i łódź zaczynała płynąć nierówno.

– Gotowi? – zawołał Stig. Sześć wiosła uniosło się lekko. – Naprzód!

Wiosła przesunęły się do tyłu i przecięły gładką powierzchnię wody. Kiedy wiosłarze wykonali pierwsze pchnięcie, Hal poczuł, że łódź rusza do przodu, a ster ożywa w jego dłoni. Skierował „Czapkę” w stronę południowego brzegu.

Jak zauważył Stefan, na drewnianym molo i wzdłuż brzegu czekał spory tłum – jakieś pięćdziesiąt osób. Osobno stała grupka złożona z trzech mężczyzn, zapewne oficjalny komitet powitalny. Dwóch miało na sobie znane już członkom drużyny szaro-zielone płaszcze zwiadowców. Trzeci był ubrany ze znacznie większym przepychem. Dublet, usiany klejnotami i przeróżnymi zdobieniami, połyskiwał w słońcu, mieniąc się setkami drobnych refleksów.

– Widzę Gilana – powiedziała cicho Lydia, kiedy jedna z szarych postaci wystąpiła do przodu i uniosła rękę w geście pozdrowienia. Hal odwzajemnił powitanie.

– Jest z nim inny zwiadowca – zauważył. Przyjrzawszy się trzeciej postaci, dodał: – I ktoś bardzo strojnie ubrany.

Po chwili dojrzał bogate zdobienia oraz futrzane wykończenie podbitego czerwonym aksamitem płaszcza.

– Może to król – zażartował Thorn.

Hal uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Jak już wspominałem, królowie nie mają w zwyczaju marznąć na wietrznych kejach, by przyjmować z

honorami zwykłych żeglarzy.

Thorn uniósł brew przy ostatnich słowach.

– Zwykłych żeglarzy? – powtórzył. – Miałem się raczej za wyrafinowanego obieżyświata.

Kluf, wyczuwając ich napięcie, podeszła do burty, podniosła się na tylnych łapach, przednie opierając na relingu.

– Kluf! – oznajmiła. Kilka psów, które akurat znajdowały się na nabrzeżu, natychmiast odpowiedziało – chórem, w którym cienkie przenikliwe piski mieszały się z głębokim gardłowym poszczekiwaniami.

– Kluf chyba znalazła nowych przyjaciół – powiedziała Lydia z uśmiechem. Kluf pozostała na miejscu, czujnie postawiła uszy. Lydia spytała, wskazując na większą grupę:

– Jak myślicie, kim oni są?

Hal wzruszył ramionami.

– Zwykli gapie – odparł. – Przyszli popatrzeć na dzikusów z Północy. – Rzucił Thornowi przeciągłe spojrzenie. – I wyrafinowanego obieżyświata.

– Trudno im się dziwić – odparował Thorn. – Stanowią fascynujący widok dla takich szczerów lądowych.

Podczas tej rozmowy Hal odruchowo ocenił odległość i kąt, dzielące ich od molo. Teraz zawołał do wiosłarzy:

– Wciągnąć wiosła!

Wszyscy natychmiast przerwali wiosłowanie i unieśli wiosła pionowo. A potem jednocześnie opuścili je, wciągnęli, ociekające wodą, na pokład i ułożyli pod ławkami wzdłuż linii kadłuba.

Hal skręcił łódź tak, by przybiła bokiem do molo. Jesper i Stefan chwycili cumy, zeskoczyli na pomost i przyciągnęli ją do drewnianych słupów, aż skrzyppnęły odbijacze.

Zapadła cisza.

Gilan wystąpił naprzód i zawołał wesoło:

– Witajcie w Zamku Araluen!

Hal i Thorn wyskoczyli na molo, za nimi Stig i Lydia, i cała reszta drużyny.

Gilan uściskał dłoń Hala.

– Dobrze znowu cię widzieć – powiedział. Potem wskazał bogato odzianego mężczyznę. – To lord Anthony, królewski szambelan. Lordzie Anthony, poznaj Hala Mikkelsona, kapitana tego okrętu.

Szambelan był niski i korpulentny. Jak Hal wcześniej zauważył, miał na sobie dość krzykliwy strój. Dublet z czerwonego aksamitu zdobity łańcuchy i drogocenne klejnoty. Hal obejrzał się, zaniepokojony, czy Jesper na pewno znajduje się w bezpiecznej odległości. Podali sobie ręce. Lord Anthony miał mocny uścisk, ale jego dłonie były miękkie, nie przypominały stwardniałych i zrogowaciałych rąk wojownika. Hal domyślił się, że lord zajmuje się pracą urzędową. Mężczyzna zmierzył drużynę spojrzeniem bystrych inteligentnych oczu.

– W imieniu króla Duncana witam w Araluenie – powiedział donośnym głosem. – Gdyby czegoś wam brakowało, niezwłocznie zwróćcie się do mnie.

– Dziękujemy... lordzie Anthony – odparł Hal, lekko się zacinając. Nie był pewien, jak powinien zwracać się do kogoś z tytułem lorda. Ale chyba nie popełnił gafy.

Anthony kiwnął głową z uśmiechem, po czym cofnął się i oznajmił:

– Wracam do zamku, dopilnuję, by pokoje już na was czekały.

Hal lekko skłonił głowę. Szambelan odwrócił się na pięcie, machnął płaszczem i ruszył przed siebie, w stronę przywiązanego na brzegu konia.

– Anthony jest ciut nadęty, ale to dobry człowiek – powiedział Gilan do Hala. – A teraz poznaj Crowleya, dowódcę Korpusu Zwiadowców. Mojego szefa – dodał z krzywym uśmiechem.

Crowley był nieco niższy od Gilana. Kiedy zsunął kaptur, Hal dostrzegł, że jasne włosy i brodę gęsto przetykają siwe pasma. Niebieskie oczy lśniły łobuzersko. Hal od razu poczuł do niego sympatię.

– Ty musisz być Hal – powiedział Crowley, podchodząc bliżej, by podać Halowi rękę. Następnie jego wesołe

spojrzenie spoczęło na Thornie. – A ty to z pewnością nikt inny jak sławetny Thorn.

Teraz zręcznym ruchem podał rękę Thornowi – lewą rękę.

– O sławetnym nic mi nie wiadomo – odparł Thorn. – Bez wątpienia jestem wyrafinowanym obieżyświatem.

– To widać na pierwszy rzut oka – stwierdził gładko Crowley.

Następnie Hal przedstawił mu Stiga. Crowley popatrzył mu prosto w oczy, potem objął spojrzeniem szerokie ramiona i umięśnioną sylwetkę. – Przypuszczam, że bywasz skuteczny podczas walki.

– Staram się, jak mogę. – Stig wyszczerzył się szeroko.

Ale w tym momencie całą uwagę Crowleya pochłonęła stojąca obok Stiga piękna szczupła dziewczyna.

– A ty bez wątpienia jesteś Lydia. Słyszałem, że doskonale postugujesz się atlatlem. Nasza księżniczka Cassandra nie może się doczekać, kiedy cię pozna.

Lydia splonęła rumieńcem. Większość życia spędziła, polując samotnie w lasach, i brakowało jej obycia towarzyskiego. Uścisnęła dłoń Crowleya, wymamrotała coś niezrozumiałego plus: „Miło cię poznać”. Crowley wyczuł jej zakłopotanie i dorzucił z ciepłym uśmiechem:

– Nie wiem, co ty robisz z tą bandą nieokrzeszańców.

Lydia odwzajemniła uśmiech. Crowley posiadał wrodzony wdzięk i zawsze potrafił sprawić, że w jego towarzystwie ludzie czuli się swobodnie.

– Staram się trzymać ich w ryzach – odparła. Crowley puścił jej dłoń, po czym poklepał ją wolną ręką.

Hal przedstawiał mu wszystkich członków drużyny po kolei. Z zadowoleniem zauważył między nimi Ingvara. Wyglądało na to, że ponury nastrój już mu przeszedł. Crowley uniósł brwi na widok olbrzyma, lecz rozsądnie powstrzymał się od komentarza. Na widok bliźniaków brwi podjechały jeszcze wyżej.

– A to Ulf i Wulf – powiedział Hal.

Crowley popatrzył od jednego do drugiego.

– A który jest który?

– Ja jestem Ulf – powiedział Wulf.

– A ja Wulf – powiedział Ulf.

Dowódca zwiadowców z namysłem zmarszczył czoło.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że nieco mijacie się z prawdą?

Bliźniacy wyglądali na zdruzgotanych faktem, że ktoś tak szybko ich przejrzał. Hal uśmiechnął się szeroko. Rzadko zdarzało się, by Ulf i Wulf ponieśli porażkę. Może Gilan ostrzegł dowódcę, że lubią nabierać ludzi.

– Nie ma znaczenia, który jest który – wtrącił wesoło. – Obaj są jednakowo durni.

Crowley kiwnął głową. Potem wskazał na zapierający dech w piersiach zamek, wznoszący się na wzgórzu ponad linią drzew.

– No to ruszajmy. Przyprowadziliśmy konie, w razie gdybyście woleli jechać.

Nie do końca zdołał ukryć uśmieszek. Hal zerknął na Thorną i odparł:

– Chyba jednak pójdziemy pieszo.

Rozdział 3



Przeszli przez most zwodzony i bramę z podniesioną kratą. Ich kroki odbijały się echem od kamieni wielkiego dziedzińca przed największą z wież. Thorn, który mimo wcześniejszych uwag również był pod wrażeniem rozmiarów i urody zamkowych zabudowań, odchylił głowę i popatrzył na strzelające w niebo kamienne wieżyce.

Lydia dała mu kuksańca w bok i mruknęła:

– Lepiej zamknij usta, zanim jakiś ptaszek zrobi z nich sobie toaletę.

Thorn spojrział na nią i uświadomił sobie, że w istocie rozdziawił gębę na całą szerokość. Prędko zamknął usta. Nic nie powiedział. Pomyślał tylko, że czasami człowiekowi brakuje ciętej riposty i tyle. Lydia zaliczyła punkt w bitwie na słowa, którą toczyli nieustannie.

Zwiadowcy zaprowadzili ich do wnętrza masywnej wieży. Znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu. Teraz wszyscy gapili się, jak Thorn przed chwilą, na bogate meble, dywany i arrasy.

We wnękach, w serwantkach z lśniącego drewna i na stolikach rozstawionych wzdłuż ścian stało mnóstwo pięknych i bez wątpienia cennych przedmiotów. Ogromny arras, wiszący naprzeciw wejścia, przedstawiał scenę polowania na dzika. Hal przyjrzał mu się krytycznie i pomyślał, że twórca chyba przesadził z rozmiarami bestii.

Gilan pobiegł za jego wzrokiem i powiedział cicho:

– To scena polowania z czasów młodości króla Duncana. W kolejnych wersjach opowieści dzik coraz bardziej rośnie.

Hal kiwnął głową, nieco zakłopotany faktem, że Gilan odgadł jego myśli. By ukryć skrępowanie, odwrócił się i spojrział prosto na Jespera, który z podziwem przypatrywał się cennym przedmiotom.

– Trzymaj łapy z daleka – ostrzegł Hal.

Jesper popatrzył na niego, rozłożył ręce w geście pod tytułem: „Kto, ja?” i uśmiechnął się.

– Z daleka od czego? – spytał z fałszywą niewinnością.

– Od wszystkiego.

Hal wiedział, że Jesper nigdy nie zatrzymuje ukradzionych przedmiotów, jednakże Aralueńczycy takiej wiedzy nie mieli. Obawiał się, że nim zdąży to wyjaśnić, sprawy mogą przybrać nieprzyjemny obrót. Umiejętności Jespera bardzo się przydawały, kiedy musieli włamać się na targ niewolników czy do więzienia, natomiast w bogato zdobionych zamkowych komnatach nie były zbyt pożądane.

Nagle dało się słyszeć jakieś poruszenie w głębi pomieszczenia i oto pojawił się lord Anthony, a za nim grupa ludzi, sądząc po wyglądzie, zamkowej służby. Nieśli zwoje płótna i czyste ręczniki.

– Witajcie raz jeszcze – powiedział lord i skierował kroki w ich stronę. Służący ruszyli w zwartym szyku, trzymając się kilka kroków za nim. – Król jest gotów przyjąć ciebie – tu skinął głową w kierunku Hala – i

starszych oficerów. Pozostałych panów służący zaprowadzą do komnat.

– I panią – dorzucił Hal, wskazując Lydię ruchem głowy.

Lord Anthony skłonił się z przepraszającym uśmiechem.

– I panią, oczywiście. Naturalnie otrzyma pokój do własnej dyspozycji.

Spojrzał na listę w swojej dłoni, po czym pstryknął palcami na służących.

– Zajmijcie się naszymi gośćmi. – Nagle spojrzał na Ingvara i zmarszczył brwi. Zwrócił się do jednego ze służących: – Chyba potrzebujemy większego łóża dla... – Tu znowu zerknął na listę – ...Ingvara, jak przypuszczam? – spytał wielkoluda, który potwierdził jego przypuszczenia.

– Tak, to ja.

– Hmm – powiedział Anthony, wciąż marszcząc brwi. – Nie wiedziałem, że jesteś tak słusznego wzrostu.

Nieważne, zajmiemy się tą kwestią, prawda, Arthurze? – Ostatnie słowa znowu skierował do łysiejącego służącego.

– Oczywiście, mój panie – odparł z powagą Arthur.

Hal domyślił się, że Gilan dostarczył szambelanowi listę z imionami członków drużyny i krótkim opisem każdego z nich. Zamek Araluen był stolicą kraju i Hal przypuszczał, że Anthony i jego podwładni mają sporo pracy, by zapewnić odpowiednie warunki zagranicznym gościom o przeróżnych wymaganiach, kształtach i rozmiarach.

Zauważył, że Anthony czeka w napięciu i domyślił się, że chodzi o imiona osób, które mają towarzyszyć mu na spotkaniu z królem.

– Stig i Thorn pójdą ze mną – powiedział.

Anthony kiwnął głową, potwierdzając przypuszczenia Hala. Pozostali członkowie drużyny i służący ruszyli w stronę kręconych schodów, znajdujących się we wschodnim krańcu pomieszczenia.

Hal spojrzał na Gilana i Crowleya, wskazując kciukiem na towarzyszy.

– Mam nadzieję, że jeszcze ich zobaczę?

– W tym tygodniu Anthony nie zgubił ani jednego gościa. – Crowley skinął głową z psotnym błyskiem w oku. Następnie zatoczył ramieniem, wskazując podobne schody po stronie zachodniej. – Idziemy?

Buty Skandian, uszyte z foczej skóry, nie wydawały najmniejszego dźwięku na marmurowej posadzce. Hal zauważył, że zwiadowcy również mają na sobie miękkie obuwie. Ich krokom towarzyszył zaledwie delikatny szelest. Schody zbudowano z kamienia, stopnie były mocno wyslizgane, pośrodku każdego z nich widniało lekkie wgłębienie – widać w miejscu, gdzie większość ludzi stawia stopy.

– Komnaty i gabinet króla znajdują się na trzecim piętrze – powiedział Crowley. – Wasze komnaty na piątym.

– Brzmi bardzo przytulnie – rzucił Thorn, ciut bez sensu.

Minęli podest i zaczęli wspinać się na kolejne piętro. Klatka nie była tu już tak bogato zdobiona, a schody stały się wyraźnie węższe. Hal zauważył, że zakręcają w prawą stronę. Zwykle budowano schody właśnie w ten sposób. Dzięki temu człowiek broniący się przed napastnikiem miał odślonięte jedynie prawe ramię, podczas gdy jego przeciwnik, atakujący z dołu – całe ciało.

Hal z rozbawieniem dodał w myślach, że z tym problemem można by poradzić sobie, tworząc oddział leworęcznych żołnierzy. Byłoby to jednak raczej trudne.

Pokonali kolejny odcinek schodów i zatrzymali się na piętrze. Z miejsca, w którym stali, odchodziły trzy korytarze: jeden biegł w prawo, jeden w lewo, a jeden znajdował się za ich plecami. Naprzeciwko wznosiła się goła kamienna ściana. Hal jednak gotów był się założyć, że ukryto za nią tajemne przejście i punkty obserwacyjne, z których widać, kto wchodzi po schodach.

Crowley wskazał na korytarz po ich prawej stronie.

– Tędy.

Minęli kilka par drzwi – ciężkich drewnianych drzwi, bez ozdób, za to wyposażonych w solidne mosiężne

wzmocnienia. Crowley zatrzymał się przed drzwiami, które niczym nie różniły się od pozostałych, i zapukał w środkową deskę. Ze środka dobiegł stłumiony głos:

– Wejdźcie.

Przekręcił gałkę i pociągnął drzwi do siebie. Mimo że z pewnością ciężkie, otworzyły się gładko i cicho.

Drobny szczegół, a jaki ważny, pomyślał Hal. Tych drzwi nie dało się wepchnąć do środka czy staranować. Tkwiły w solidnej kamiennej ścianie i otwierały się na zewnątrz.

Crowley puścił ich przodem.

– Panie – oznajmił – oto Hal Mikkelson, Stig Olafson i Thorn... – Zawahał się i spytał Thorna, ściszej głos: –

Czyba nie poznałem twojego nazwiska?

Thorn wyszczerzył się szelmowsko.

– Haczyk – oznajmił.

Crowley już miał powtórzyć, ale widocznie uznał, że brzmi to nieco infantylnie i powiedział:

– I Thorn Potężny.

Thorn pokręcił głową.

– Haczyk bardziej mi się podoba – mruknął. – Mniej pretensjonalne.

– Panowie – podjął Crowley, nie zwracając uwagi na słowa Skandianina – Jego Wysokość król Duncan, władca Araluenu.

Król Duncan podniósł się zza stołu, przy którym przeglądał papiery. Hal pomyślał, że wygląda on naprawdę imponująco. Był wysoki i barczysty. Mimo że jego jasne włosy przetykała siwizna, twarz nadal wyglądała młodzieńczo, a ruchy były sprężyste i pełne energii. W przeciwieństwie do szambelana, ten człowiek wyglądał na wojownika.

Goście podeszli do stołu. Duncan zmierzył ich wzrokiem, tłumiąc uśmiech. Umiał radzić sobie ze Skandianami. Kilka razy spotkał Eraka, znał skandyjskie umiłowanie równości i brak poważania dla dziedziczonych tytułów.

– Witajcie – powiedział głębokim dźwięcznym głosem. – To dla mnie przyjemność spotkać kolejnych sojuszników.

Żaden z nich nie wiedział, jak zareagować. Zamruczeli coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

– Mówiono mi, że wyświadczyłeś królestwu Araluenu wielką przysługę, ratując dwanaścioro moich poddanych z łap handlarzy niewolników – podjął Duncan, patrząc na Hala. Skirl przestąpił z nogi na nogę, nieco zakłopotany. Nadal nie wiedział, jak powinien zwracać się do króla. Thorn zapowiedział, że będzie mówił po prostu: „Królu”. Ale teraz Hal wcale nie był przekonany, czy to taki dobry pomysł. Wysokiego mężczyznę otaczała aura władzy i autorytetu, skłaniająca do zachowania pełnego szacunku. Prosty zwrot: „Królu” wydawał się stanowczo nie na miejscu. Hal postanowił pójść na kompromis.

– To nie była wyłącznie moja zasługa, królu Duncanie. Stig i Thorn unieszkodliwili strażników więziennych.

Duncan zmierzył wzrokiem muskularne sylwetki dwóch towarzyszy Hala. Jeden był wysoki, smukły i barczysty, drugi – również wysoki, ale cięższej i bardziej solidnej budowy. Król zatrzymał wzrok na drewnianym haku. Gilan opowiadał mu o kalectwie Thorna i o pomysłowych wynalazkach autorstwa Hala, którymi zastąpił utracone ramię przyjaciela.

– Nie wątpię, że dali radę – powiedział król z lekkim uśmiechem.

Thorn wyszczerzył się szeroko.

– Twój człowiek, Gilan, też miał w tym swój udział, królu – rzucił.

Hal zerknął na Duncana, który zachował kamienną twarz.

– Tak. Jest dość dobry. – Król przeniósł spojrzenie na szczerą prostoduszną twarz Thorna. W kącikach jego ust nadal czaił się cień uśmiechu. Z namysłem zmarszczył brwi. – Kilka razy miałem okazję spotkać waszego oberjarla Eraka. Bardzo mi go przypominasz.

Thorn wzruszył ramionami.

– Służyliśmy w jednej drużynie. Przez pewien czas byłem nawet jego prawą ręką.

– I co się stało? – spytał Duncan, szykując się na ciekawą opowieść.

– Odrąbał ją – odpadł Thorn, zachwycony, że król wpadł w pułapkę.

Crowley i Duncan zaczęli się śmiać. Duncan przekrzywił głowę i przez chwilę przyglądał się Thornowi. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Thorn, zachowuj się – upomniał Hal przyjaciela. Thorn popatrzył na niego wielkimi niewinnymi oczami.

– Taki żarcik. Jestem pewien, że król zna się na żartach.

Duncan wreszcie się uśmiechnął.

– Gdyby było inaczej, nie mógłbym zostać królem. – Wskazał niski stolik obok kominka i rozstawione dookoła wygodne fotele. – Usiądźmy i porozmawiajmy o interesach.

Rozdział 4



Tymczasem Lydia dokonała inspekcji swojej komnaty – a raczej komnat, oddanych do jej wyłącznej dyspozycji. Był tam przestronny salon, wygodnie umeblowany, z kominkiem i szerokim podwójnym oknem, wychodzącym na zwieńczone blankami mury i park oraz spora sypialnia, wyposażona w łóże z baldachimem i aksamitnymi kotarami, dla ochrony przed przeciągami – bo w takim zamku jak ten zawsze są przeciągi. Obok sypialni dyskretnie umieszczono niewielką toaletę.

Lydia szybko rozpakowała swoje rzeczy. Ubrania – nie było ich zbyt wiele – włożyła do ogromnej szafy. Atlatl i kołczan ze strzałkami powiesiła na czymś, co wyglądało jak stojak na kapelusze. Ponieważ Lydia kapeluszy nie posiadała, a jedynym jej nakryciem głowy była wełniana czapka drużyny Czapli, postanowiła używać owego mebla jako stojaka na broń. Na razie jednak nie zdejmowała szerokiego pasa, przy którym wisiła pochwa kryjąca długi sztylet.

W salonie stało kilka krzesel, wypróbowała je wszystkie po kolei i wybrała najwygodniejsze – rzeźbione, z miękkimi grubymi poduszkami. Odchyliła się na oparcie, nogi w długich butach położyła na parapecie, skrzyżowała ramiona na piersi i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Te pokoje były niemal tak duże jak dom w Limmat, w którym mieszkała z dziadkiem. Uśmiech znikł z jej twarzy. Dziadek zginął podczas najazdu piratów pod wodzą Zavaca. W takich chwilach jak ta, w samotności, nadal powracała tęsknota za jego spokojnym usposobieniem i łagodnym poczuciem humoru. Lydia jednak szybko odsunęła od siebie smutki.

– Nie rozczulaj się nad sobą – powiedziała. – I tak masz za co dziękować.

I rzeczywiście, miała. Zawsze kochała życie na wolnym powietrzu, polowania, tropienie zwierzyny i przygody. Odkąd dołączyła do drużyny Czapli, nie mogła narzekać na braki w tej dziedzinie. W dodatku zyskała grupę oddanych przyjaciół. Wiedziała, że traktują ją jak członkinię załogi i w pełni akceptują. Uśmiechnęła się na tę myśl.

– Jestem jedyną siostrą w tym bractwie – stwierdziła z rozbawieniem. Rzeczywiście, czuła się tak, jakby nagle zyskała ośmiu starszych braci. Wszyscy chcieli się nią opiekować, szczególnie Ingvar. Jej uśmiech znów zrzędł. Najwyraźniej coś dręczyło Ingvara. Uświadomiła sobie, że to się zaczęło krótko po tym, jak uciekli z Socorro i skierowali się na północ. Ingvar stał się ponury i zamknięty w sobie. Na ucztę z okazji powrotu ocalonych mieszkańców trzymał się z boku, nie uczestniczył w zabawie.

Wszystkich zaskoczyło, jak gwałtownie zareagował, kiedy zachwycali się Zamkiem Araluen. Lydia chciała z nim porozmawiać, czuła jednak, że to nie jest odpowiedni moment. Postanowiła poczekać na lepszą okazję. Był jej przyjacielem, zbyt ważnym, by mogła to tak zostawić, cokolwiek go dręczyło.

Pomyślała o Stigu i Halu. Owszem, wszystkich członków drużyny uważała za przyjaciół, ale z tymi dwoma

łączyło ją coś wyjątkowego – chociaż jeszcze nie wiedziała dokładnie, w jakim stopniu wyjątkowego. Obaj byli atrakcyjni, każdy na swój sposób. Wiedziała, że Stig z pewnością chętnie zmieniłby ich przyjaźń w coś więcej.

Co do Hala, nie była pewna. Czasami czuła, że istnieje między nimi szczególna więź. A czasami wydawał się taki daleki.

Pomyślała, że być może wiąże się to z pełnioną przez niego funkcją skirla. Jako kapitan Hal musiał zachować dystans w stosunku do reszty drużyny. Był ich przyjacielem, ale również dowódcą, musiał pilnować, by przyjaźń nie podkopała autorytetu. Musiał mieć pewność, że członkowie drużyny wykonają każdy rozkaz bez wahania i bez dyskusji.

Nagle uświadomiła sobie, jak ważna rola przypada Thornowi. W razie potrzeby zawsze stawał między Halem i drużyną, potrafił zrećznie odwrócić ich uwagę, kiedy pojawiały się kłopoty. Na przykład na wodach niedaleko Raguzy, tuż przed bitwą z piratami, gdy wyrzucił swój stary hełm do wody i włożył wełnianą czapkę. I wcześniej tego dnia, pod zamkiem, znowu wiedział, jak postąpić – kiedy Ingvar tak nerwowo zareagował. Podziwiała go za umiejętności, którymi wykazywał się podczas walki oraz talent do kierowania grupą ludzi. Żeby tak jeszcze ciągle się z nią nie drażnił. Ale cóż, to była niewygórowana cena za życie, które Lydia teraz wiodła – i które bardzo jej się podobało.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto to może być? – spytała Lydia. Spędzała mnóstwo czasu na samotnych wyprawach do lasu i przywykła do rozmów z samą sobą. Czasami nawet udzielała sobie odpowiedzi. Tak jak teraz.

– Istnieje tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Otworzyć drzwi.

Spodziewała się zobaczyć kogoś z członków drużyny. Nie знаła przecież nikogo w Araluenie. Mocno zdziwiła się więc na widok młodej uśmiechniętej kobiety. Nieznajoma wyglądała na zaledwie kilka lat starszą od niej, była drobna i bardzo piękna, lśniące jasne włosy opadały jej na ramiona.

Strój nie zdradzał rangi. Nie wyglądała ani na służącą, ani na damę. Była ubrana bardzo podobnie do Lydii: w sięgający ud kaftan bez rękawów z miękkiej skóry, białą koszulę, obcisłe nogawice i brązowe skórzane buty do kolan. Lydia ku swemu zdumieniu zauważyła, że przy pasie przytrzymującym kaftan wisi pochwa kryjąca nóż saksoński.

– Mogę wejść? – spytała kobieta. – Bardzo chcę cię poznać.

Lydia cofnęła się i zrobiła zapraszający gest. Zaczynała się domyślać, kim jest niespodziewany gość. Kolejne słowa nieznajomej potwierdziły te przypuszczenia.

– Jestem Cassandra – oznajmiła, wyciągając rękę na powitanie. – Księżniczka. Mieszkam w tym strasznym gmaszysku. A ty musisz być Lydia?

Lydia nie była pewna, jak powinna zachowywać się w towarzystwie księżniczki. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo tak wysokiej rangi. Zastanawiała się, czy aby nie powinna dygnąć. Słyszała kiedyś, że przy spotkaniu z księżniczką należy dygnąć. Cassandra robiła jednak wrażenie osoby bezpośredniej i swobodnej, Lydia czuła, że byłoby to niestosowne. I bardzo dobrze, dodała w myślach, bo nie miała pojęcia, co to znaczy „dygnąć” i jak to się robi.

Po chwili wahania przyjęła podaną jej rękę i potrząsnęła nią. Może powinna złożyć na niej pocałunek? Ale stwierdziła, że to chyba byłaby przesada. Uścisk Cassandry był mocny i szczerzy. Nie sprawiała wrażenia cichej i łagodnej damy, która spędza całe dnie w komnacie, zajęta robieniem stebnówek czy mereżek – cokolwiek te słowa znaczą.

Cassandra rozejrzała się po wnętrzu, jakby chciała się upewnić, że spełnia ono standardy.

– Ładnie – zawyrokowała. – Martwiłam się, że dadzą wam pokoje na parterze. Są małe, ciemne i obskurne. Ale tutaj... jest w porządku.

Podeszła do krzesła, z którego przed chwilą wstała Lydia, widząc jednak wgłębienie w poduszce, wybrała inne krzesło, ustawiła je naprzeciwko tamtego i ciężko klapnęła na siedzenie. Przez sekundę Lydia mogła podziwiać

dość zabawny widok mających w powietrzu stóp księżniczki. Cassandra była naprawdę drobna. Zaraz jednak usadowiła się na poduszce i postawiła stopy na podłodze.

– Porozmawiajmy, dobrze? – zaproponowała, wskazując drugie krzesło.

Lydia posłusznie usiadła, zaciekawiona okazanym jej zainteresowaniem. Czekwała, aż Cassandra zacznie. Księżniczka spojrzała przez okno na park i las w dole, wyciągnęła rękę przed siebie.

– A więc, jak ci się podoba w Araluenie? – spytała.

Lydia zawahała się.

– To bardzo piękny kraj – odparła w końcu. – Wydaje się znacznie... – szukała odpowiedniego słowa – ... łagodniejszy niż Skandia.

– Tak, chyba masz rację – zgodziła się Cassandra. – A wiesz, że spędziłam trochę czasu w twoim kraju?

– Nie pochodzę ze Skandii. Chociaż teraz jest ona moim domem.

Cassandra przyjrzała jej się uważnie.

– Rzeczywiście, nie wyglądasz jak mieszkanka Skandii – stwierdziła. – One mają przeważnie jasne włosy i niebieskie oczy, prawda?

Lydia, jak wiadomo, miała oliwkową skórę, czarne włosy i ciemne oczy. Kiwnęła głową.

– Skandyjskie kobiety są bardzo piękne.

Cassandra lekko zmarszczyła brwi. Siedząca przed nią dziewczyna odznaczała się olśniewającą urodą, ale najwidoczniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Cassandra postanowiła zmienić temat.

– Oczywiście, w Skandii jestem znana pod innym imieniem, którego używam, gdy chcę wystąpić incognito. – Widząc, że Lydia nie rozumie tego terminu, dodała: – To znaczy, kiedy podróżuję i nie chcę, by wiadano, że jestem księżniczką.

– Po co? – spytała Lydia. Gdyby ona była księżniczką, z pewnością oznajmiłaby o tym wszem i wobec.

Cassandra wzruszyła ramionami.

– Czasami może to powodować niezręczne sytuacje – wyjaśniła.

– Niezręczne sytuacje? W jakim sensie?

– Cóż – odparła Cassandra z uśmiechem – gdyby ober-jarl znał moją prawdziwą tożsamość, kazałby mnie ściąć.

Lydia doznała szoku. Dobrze znała Eraka i nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby skazać na śmierć tę wesołą, pełną energii kobietę.

– Erak?

Cassandra machnęła ręką.

– Nie. Erak jest cudowny. Mówię o jego poprzedniku, Ragnaku. Nienawidził mojej rodziny. Erak uratował mi życie. Pomógł nam w ucieczce. Spędziliśmy zimę ukryci w niewielkiej chacie, w górach niedaleko Hallasholmu.

Lydia zaczynała coś podejrzewać.

– A jakim imieniem się posługiwałaś? – spytała.

– Evanlyn – odparła Cassandra. – Wiele osób nadal tak na mnie mówi.

Lydia pochyliła się do przodu.

– Widziałam to imię! Wryte na ścianie chaty myśliwskiej, w której nocowałam! – wykrzyknęła.

Oczy Cassandry zalsniły.

– Nocowałaś w tej chacie?

Lydia z zapalem pokiwała głową. Sama nie wiedziała, skąd ta ekscytacja. Pamiętała, jak patrząc na imię na ścianie, zastanawiała się, kim mogła być ta kobieta. Teraz już wiedziała.

– Tak, polowałam w górach. – Po namyśle dodała: – To było kilka miesięcy temu. Szybko wróciłam, bo po okolicy krążył niedźwiedź. Ale pamiętam, że widziałam to imię.

– Niesamowite, prawda? Wyrylałam je któregoś dnia, kiedy dokuczała mi nuda i samotność. W jakimś sensie

dodało mi to otuchy. Często polujesz?

– Kiedy tylko mogę. Całe dzieciństwo spędziłam w lasach, otaczających Limmat. Moje miasto rodzinne.

Cassandra skinęła głową. Wskazując kołczan, wiszący na stojaku, spytała:

– Używasz tych strzałek, wyrzucasz je za pomocą jakiegoś specjalnego narzędzia? – Podniosła się i podeszła do stojaka, wyciągnęła jedną ze strzałek do połowy. – Mogę?

– Oczywiście. To narzędzie nazywa się atlatl. Wisi obok kołczana.

Cassandra przez chwilę przyglądała się broni, zrobionej z drewna bukowego, gładkiej od długiego używania. Potem wyciągnęła strzałkę z kołczana, zważyła w dłoni i kciukiem sprawdziła ostrość grotu.

– Wyobrażam sobie, że jest bardzo skuteczny – stwierdziła. – Chciałabym zobaczyć, jak się tym posługujesz. Musimy wybrać się na polowanie.

– Polujesz? – spytała Lydia, chociaż strój księżniczki właściwie wystarczał za odpowiedź.

Cassandra z zapalem pokiwała głową.

– Używam procy – odparła. – Ale może mogłabym przejść na taki sprzęt. Pokażesz mi, jak to się robi.

Lydia wstała, podeszła do okna i powiodła wzrokiem po otaczającym zamek parku i ciemniejszej zieleni lasu.

– Chyba powinny być tu jelenie.

Cassandra uśmiechnęła się szeroko.

– Całe mnóstwo. Tylko niektórzy mają prawo na nie polować.

– O – powiedziała Lydia, zawiedziona. Uśmiech nie zniknął jednak z twarzy księżniczki.

– A ja, rzecz jasna, do nich należę. Podobnie jak moi goście. Zorganizuję wszystko, chcesz?



Rozdział 5



Coś do picia? – spytał Duncan, kiedy wszyscy usiedli. – Może piwo albo wino?

Pomyślał, że skirl i pierwszy oficer wyglądają dość młodo, no, ale w końcu nigdy nie wiadomo. Obaj pokręcili głowami. Thorn się wahał. Wizja kufla zimnego piwa była bardzo kusząca, lecz Thorn od dawna ograniczał spożycie alkoholu. W końcu on również odmówił.

– Kawy? – zaproponował Gilan z lekkim uśmiechem. Podczas wyprawy do Socorro Skandianie szybko opróżnili jego zapasy kawy. Najwyraźniej lubili ten napój. Entuzjastyczna reakcja tylko potwierdziła tę opinię.

Duncan wziął do ręki srebrny dzwoneczek i zadzwonił. Niemal natychmiast drzwi się otworzyły i do środka wszedł służący w liberii. Król zamówił kawę dla wszystkich i służący wyszedł.

– Może zechcesz opowiedzieć Halowi i jego towarzyszom o misji, którą planujesz, panie? – powiedział Crowley.

Duncan spojrział na dowódcę Korpusu Zwiadowców i skinął głową. Zebrawszy myśli, zaczął:

– Kilka lat temu moja córka Cassandra pomogła w odbiciu waszego oberjarla Eraka z rąk arydzkiego plemienia odszczepieńców. – Hal i Stig jednocześnie kiwnęli głowami. Sprawę trzymano wówczas w tajemnicy, ale po powrocie Eraka do Skandii stała się ona powszechnie znana.

Thorn z namysłem zmarszczył brwi. W tamtym czasie przeważnie oglądał świat zza brzozy szklanki pełnej grogu. Pamiętał opowieść o porwaniu i odbiciu Eraka jak przez mgłę, szczegóły mu umknęły.

– Cassandra – podjął Duncan – strzeliła z procy do przywódcy plemienia, mężczyzny imieniem Yusal. Kamień trafił go w głowę. Nie zabił go, ale może byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby tak się stało. Yusal odniósł poważne obrażenia. Stracił pamięć oraz zdolność mówienia i myślenia. Zmienił się w bezrozumne stworzenie, które potrafi jedynie ślinić się i wygadywać głupoty. – Urwał i po chwili dodał: – I z tego, co słyszałem, w pełni zasłużył na swój los.

Hal uniósł brwi, ale Duncan mówił dalej:

– Niestety, Yusal ma brata, Iqbal, który przejął władzę nad plemieniem. – Spojrział na Gilana. – Jakżeż oni się nazywają?

– Tualegowie, panie. Mordercy i rozbójnicy.

– Właśnie. Najwyraźniej ten cały Iqbal bardzo poważnie traktuje więzy rodzinne. Postanowił pomścić brata. A konkretnie: zemścić się na Cassandrze. Przysłał genoweńskich skrytobójców na jej ślub.

Hal i Stig prędko wymienili spojrzenia. Wszystko wskazywało na to, że wplątali się w poważną aferę.

– Genoweńczycy! – Thorn wypluł to słowo z pogardą. – Banda tchórzliwych podstępnych morderców.

– Zgadza się. Ale ich zamiary pokrzyżował jeden z moich zwiadowców, Will Treaty. – Król powiódł wzrokiem po twarzach Skandian. – Przypuszczam, że jest dobrze znany w waszym kraju.

Hal wzruszył ramionami.

– Owszem, słyszałem to nazwisko.

– Nieważne. W każdym razie Will wraz z jednym z waszych krajan, Nilsem... – król zawahał się, ale Gilan pospieszył mu z pomocą.

– Ropehander, panie – odpowiedział cicho. Duncan skinął głową.

– Właśnie. – Duncan popatrzył na Skandian. – Macie dziwne nazwiska tam na Północy.

Thorn odpowiedział uśmiechem:

– W nazwisku „Haczyk” nie ma nic dziwnego, królu.

– Może i nie – zgodził się Duncan. – Z pewnością jest stosowne. Tak czy inaczej, Will Treaty i Nils Ropehander powstrzymali Genoweńczyków. Jednego zabili, drugiego schwytali.

– I zakładacie, że Genoweńczycy znowu zaatakują?

Duncan potrząsnął głową.

– Według moich szpiegów, nie. Genoweńczycy są pragmatykami. Stracili dwóch ze swoich najlepszych ludzi i nie zamierzają tracić kolejnych. Zwrócili Iqbalowi połowę wynagrodzenia i wycofali się z gry. Iqbal wściekał się i groził, ale wtedy wytłumaczyli mu, że jeśli nie przestanie, równie dobrze mogą na niego nastać zabójców. Słyszałem, że szybko się uspokoił.

– A więc problem rozwiązany? – zauważył Stig.

Duncan popatrzył na niego i odparł:

– Akurat ten problem tak. Ale doszły nas słuchy, że Iqbal znowu coś knuje. Dostaliśmy wiadomość od przyjaciela, mieszkającego w Arydii, człowieka imieniem Selethen, że Iqbal znalazł nową grupę chętnych zrealizować jego plan. Wszystko wskazuje na to, że przysiągł zabić Cassandrę za to, co zrobiła jego bratu. A tacy ludzie traktują przysięgi bardzo poważnie.

– A jaki jest jego nowy plan? – spytał Thorn.

Duncan skrzywił się i zrobił niepewny gest, unosząc obie dłonie wnętrzem do góry.

– To właśnie jest problem. Nie wiemy. Selethen nie znał szczegółów. Wiedział tylko, że chodzi o sektę morderców, mieszkających w miejscu o nazwie Jabal Akrab, co w ich języku znaczy Góra Skorpiona.

Hal uniósł brew.

– Brzmi groźnie.

Duncan kiwnął głową.

– Owszem. Nie zdołaliśmy jednak zdobyć żadnych informacji na ich temat. Krążą różne pogłoski, ale nic konkretnego.

– I chcecie, byśmy dowiedzieli się o nich czegoś więcej i ich powstrzymali? – zapytał Thorn.

– Nie. Tym zajmie się Gilan. Wy macie przewieźć go do Arydii, gdzie spotka się z Selethenem, by uzyskać więcej informacji. Wtedy będzie mógł wymyślić plan, by raz na zawsze powstrzymać plany Iqbala. W razie potrzeby przekupimy ich. W końcu to najemnicy.

Hal spojrział na Gilana. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– To chyba poważne zadanie dla jednego człowieka.

– Nie będzie sam – odparł Duncan. – Wyślę z nim oddział konnicy. Normalnie zleciłbym tę misję Grupie do Zadań Specjalnych, którą utworzyłem jakiś czas temu. Składa się ona ze wspomnianego już Willa Treaty, starszego zwiadowcy imieniem Halt i najprzedniejszego rycerza tego królestwa, który, tak się składa, jest mężem Cassandry. Ale niestety, grupa przebywa akurat w Hibernii, pomaga królowi Seanowi stłumić insurekcję. A ja nie mogę zwlekać. Życie mojej córki jest w niebezpieczeństwie.

– Jedna uwaga, panie – powiedział Gilan, pochylając się do przodu. – Pierwsze słyszę o jakiejś konnicy. Wolałbym pracować sam. W pojedynkę łatwiej się przemieszczać. I z pewnością mniej będę rzucał się w oczy bez towarzystwa w postaci gromady jeźdźców.

Przerwało im pukanie do drzwi. Wszedł służący z tacą, na której stały filiżanki i dzbanek z kawą. Duncan

uniósł rękę, ostrzegając w ten sposób Gilana, by nie mówił o misji w obecności osób postronnych.

Hal pomyślał, że to mądre posunięcie. Sekrety, o których rozmawia się w obecności służby, szybko przestają być sekretami. A ta misja z pewnością była tajna. Po wyjściu służącego Duncan podjął:

– Przypuszczałem, że to powiesz. Ale chodzi o Cassandrę, nie zamierzam narażać jej na niebezpieczeństwo. Uważam, że potrzebujesz mocnej obstawy.

– Być może, panie. Ale i tak sądzę...

Duncan ponownie uniósł rękę. Tym razem gest był znacznie bardziej stanowczy.

– To nie podlega dyskusji, Gilanie. Zrobisz, jak mówię.

Hal przyglądał im się uważnie. Widział, jak szczeka Gilana zarysowuje się pod skórą. Zerknął na dowódcę zwiadowców. Crowley najwyraźniej podzielał zdanie młodszego kolegi. Teraz przemówił w jego obronie.

– Sądzę, że Gilan zna swoje możliwości, panie – powiedział rozważnym tonem. – I zgadzam się z nim. Błąkanie się po Arydii w towarzystwie oddziału kawalerii raczej nie wróży tej misji sukcesu. Zwiadowcy nie działają w ten sposób.

Duncan poczerwieniał. Hal domyślał się, że nie jest przyzwyczajony, by ktoś podważał jego pomysły. Domyślał się też, że zwiadowcy z kolei bardzo często to robią. Postanowił interweniować.

– Tak czy inaczej, to zbędna dyskusja – powiedział. A kiedy Aralueńczycy spojrzeli na niego, podjął: – Nie mamy miejsca na pokładzie dla oddziału jeźdźców. Nasza łódź jest za mała.

– Za mała? Wilcze okręty bez problemu przewoziły dodatkowych ludzi. I konie!

Hal wzruszył ramionami.

– Normalne wilcze okręty na pewno. Ale „Czapla” jest znacznie mniejsza. A to będzie długa wyprawa. Konie z całą pewnością się nie zmieszczą. – Uchwyciwszy wzrok Gilana, dodał: – Przykro mi.

– Nie ma sprawy – odparł Gilan. – W razie potrzeby pożyczę konia od Selethena. Arydzkie rumaki to wspaniałe zwierzęta, przyzwyczajone do warunków, panujących na pustyni.

– A jeśli Gilan będzie potrzebował żołnierzy, my możemy służyć mu pomocą. Członkowie mojej drużyny to doświadczeni wojownicy. Widać to było chociażby w Socorro – dodał Hal.

Ale Duncan był wściekły, i to nie tylko dlatego, że Gilan, Crowley i Hal przeciwstawili się jego planom.

– Twierdzisz, że ten wasz okręt to nie jest normalny wilczy okręt?

Hal przytaknął. Nie zdążył nic powiedzieć, bo Duncan podjął podniesionym głosem:

– Mówisz mi, że Erak wykpił się w tym roku łajbą drugiej kategorii? To oburzające. To obraza dla mnie i całego królestwa Araluenu.

Nagle wszyscy aż podskoczyli – Thorn wydał z siebie gniewny ryk, mimowolnie naśladując podniesiony głos Duncana. Zerwał się z miejsca i potrząsnął drewnianym hakiem przed nosem króla.

– Łajba drugiej kategorii? Drugiej kategorii? Radzę spuścić z tonu, królu. Zapewniam, że „Czapla” to najwspanialsza jednostka w całej skandyjskiej flocie. Masz wielkie szczęście, że ci się trafiła taka gratka!

Duncan również zerwał się z miejsca i pochylił się groźnie w stronę Thorny.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób? Jestem królem, rozumiesz?

– Ha! – wykrzyknął Thorn drwiąco.

– I nie mierz we mnie... tym! – wrzasnął Duncan, wskazując na drewniany hak, zastępujący Thornowi prawe ramię. Thorn nieco zniżył głos, ale nie zamierzał ustąpić.

– A ty nie obrażaj naszej łodzi i naszego skirla! Ta „łajba drugiej kategorii” przewiozła dwunastkę twoich ludzi, ocalonych z łap handlarzy niewolników. Tyle na ten temat. A teraz przeproś naszą łódź i naszego kapitana, bo zaraz stąd wyjdziemy i poześlujemy z powrotem prosto do Skandii.

– Thorn, siadaj. – Hal wstał i położył rękę na ramieniu Thorny. Stary wilk morski rzucił mu gniewne spojrzenie, ale ponieważ darzył Hala szacunkiem, zarówno jako skirla, jak i całkiem prywatnie, posłusznie usiadł. Hal odwrócił się i spojrzał na króla, lecz w tym momencie Gilan powiedział:

– Panie, czy pozwolisz na słówko? – Wskazał na drzwi, wiodące do sąsiedniego pomieszczenia. Duncan, czerwony ze złości, popatrzył groźnie na Thorn, Thorn zaś popatrzył groźnie na niego. Potem król zacisnął wargi, kiwnął głową i ruszył przodem.

Kiedy tylko znaleźli się na osobności, Gilan przemówił:

– Panie, spędziłem ostatnie trzy tygodnie na pokładzie tej łodzi, w towarzystwie tej drużyny i uwierz mi, określenie „drugiej kategorii” nie jest zasłużone. „Czapla” to łódź niewielka, owszem, ale szybka i niezwykle zwrotna. Z pewnością przegoni każdy wilczy okręt.

– Cóż, możliwe... – zaczął Duncan, nieco udobruchany. Miał gwałtowny temperament, ale był sprawiedliwy. Dlatego pozwalał zwiadowcom na dyskusje.

– A co do załogi – podjął Gilan – w razie walki trudno mi wyobrazić sobie lepszą pomoc. Młody Stig dorównuje Horace’owi. Jest szybki, zręczny i śmiertelnie groźny. A Thorn jest jeszcze lepszy.

– Lepszy niż Horace? Ten jednoręki obdartus?

– Ten jednoręki obdartus przez trzy lata z rzędu wygrywał tytuł najprzedniejszego wojownika Skandii – odparł Gilan. Lydia opowiedziała mu o przeszłości Thorn, kiedy byli w Socorro. – Nikt więcej tego nie dokonał. A pozostali członkowie drużyny to również zaprawieni w boju wojownicy. Thorn sam ich szkolił. Nawet ta dziewczyna, Lydia, potrafi walczyć. Niezwykle skutecznie posługuje się atlatlem.

Przerwał, odczekał, aż oddech Duncana się uspokoi, a rumieniec gniewu zblednie.

– Znam ich, panie. Walczyłem u ich boku. Są lepsi niż oddział kawalerii.

– No cóż... dobrze. Skoro tak twierdzisz.

– Tak twierdzą, panie. Zaufaj mi.

Duncan jęknął.

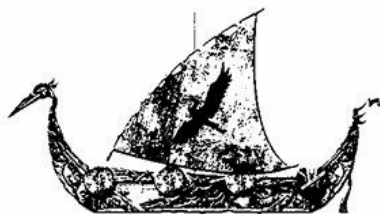
– Dlaczego nienawidzę, kiedy ludzie to mówią?

Gilan czekał. W końcu Duncan podjął decyzję.

– Dobrze. Wracajmy. Ale tego gbura nie zamierzam przeproszać – zastrzegł.

Gilan pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– W porządku, panie. Jestem pewien, że on też nie ma zamiaru przeproszać ciebie.



Rozdział 6



Kiedy Gilan i Duncan wyszli, Hal zwrócił się do Thorny:

– Thorn, uspokoisz się wreszcie? Nie możesz zwracać się w ten sposób do króla. W końcu to król.

Thorn bynajmniej nie wyglądał na skruszony.

– No to co? Zwracam się w ten sposób do oberjarla. A szanuję go bardziej niż każdego zagranicznego władcę.

Król obraził naszą łódź, a tym samym całą naszą drużynę. I oskarżył Eraka o złamanie postanowień traktatu.

Zapadła cisza. Crowley upił kawy i popatrzył na Skandian.

– Jeśli chcecie poznać moje zdanie, Thorn miał pełne prawo powiedzieć to, co powiedział.

Skandianie spojrzeli na niego z zaskoczeniem. Uśmiechnął się szeroko.

– No, może nie w tak gwałtownej formie. Ale jego gniew tylko podkreślił szczerą intencję. Wasza drużyna właśnie oddała wielkie zasługi temu krajowi i Thorn słusznie przypomniał o tym Duncanowi. Król nie miał prawa wyrażać się obraźliwie o waszej łodzi, która zresztą, jak słyszałem od Gilana, jest wspaniałą jednostką.

Odstawił filiżankę, pochylił się w ich stronę i podjął konfidencyjnym tonem:

– Duncan jest sprawiedliwym i uczciwym człowiekiem. Ale to król, a królowie nie lubią, kiedy ktoś im się przeciwstawia. Po to właśnie ma zwiadowców. Kłócimy się z nim za każdym razem, kiedy uważamy, że się myli. Mogę się założyć, że Gilan właśnie przemawia mu do rozumu.

Hal zmarszczył brwi. Jakoś nie mógł pogodzić się z wizją młodego zwiadowcy, przemawiającego do rozumu wściekłemu królowi.

– Jak on to przyjmie?

– Postłucha głosu rozsądku. W końcu. Pamiętaj, że umiera ze strachu o córkę. A niepewność całej sytuacji tylko pogłębia jego niepokój. Gdyby wiedział, kto jest zamieszany w ten plan i na czym dokładnie ma on polegać, byłoby mu łatwiej. Ale martwi się i cierpi z powodu braku konkretnych informacji na temat tej całej Góry Skorpiona. Dajcie mu trochę czasu. Jest sprawiedliwym człowiekiem.

Stig skrzywił się i klepnął Thorny w ramię.

– Więc uspokój się i więcej nie próbuj łamać traktatu.

Thorn prychnął wzgardliwie.

– Jasne, jasne, ale ciebie też obraził, wiesz?

– Jestem na tyle duży i zły, że w razie potrzeby sam zaprotestuję – odparł Stig. – Ale zgadzam się z Gilanem, król z pewnością ma sporo na głowie. I w dodatku musi rządzić królestwem. Potraktujmy go ulgowo, co?

Hal kiwnięciem głowy podziękował Stigowi. Jego przyjaciel przez ostatnie półtora roku zrobił duże postępy. Dawny Stig wybuchał z byle powodu. Wyważona reakcja w jego przypadku była czymś nowym.

Chyba wszyscy dorastamy, pomyślał Hal. No, może za wyjątkiem Thorny.

Wszyscy podnieśli głowy – drzwi się otworzyły i do pokoju weszli Duncan i Gilan. Gilan, idący kilka kroków za królem, uniósł rękę, jakby chciał dodać im otuchy. Wszyscy wstali, Thorn z wyraźnym ociąganiem. Duncan odchrząknął.

– Gilan wyjaśnił mi, że moje słowa wynikały z niedoinformowania – powiedział. – Teraz rozumiem, że wasza łódź, „Czapla”, pod żadnym względem nie ustępuje wilczym okrętom, które do tej pory służyły nam zgodnie z postanowieniami traktatu. Gilan twierdzi, że prawdopodobnie nawet je przewyższa.

Thorn głośno odchrząknął. Hal spojrzął na niego i uniósł rękę w ostrzegawczym geście. Nie umknął on królowi, który zmierzył wzrokiem krnąbrnego Skandianina, po czym podjął:

– Tak więc pragnę powiedzieć, że żałuję, jeśli obraziłem was, waszą łódź czy samego oberjarla. – Znowu przerwał i spojrzął prosto na Thorną. – To nie znaczy jednak, że was przepraszam. Żałuję, ale nie przepraszam!

Thorn wojowniczo wysunął dolną szczękę.

– Świetnie, bo ja też nie! – oznajmił równie stanowczo.

Hal wzniósł oczy do nieba i zrobił krok w stronę króla, gotów interweniować. Ku jego zaskoczeniu Duncan zaczął się śmiać. Śmiech zaczął się gdzieś w głębi piersi i rozlał dalej, by po chwili wstrząsnąć ramionami króla. Hal zerknął na Crowleya, który w odpowiedzi tylko uniósł brwi.

– Ach, Thornie – powiedział król – dobrze jest mieć obok siebie kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto nie ma dla mnie ani odrobiny szacunku.

Thorn z namysłem przekrzywił głowę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– To prawda – przyznał, a Duncan zaczął się jeszcze głośniejszym śmiać.

– Przypominasz mi waszego oberjarla, Eraka. On zawsze potrafi sprowadzić mnie na ziemię. A ja, rozumiesz, bardzo tego potrzebuję. Władcy nie lubią, kiedy ktoś się z nimi nie zgadza. Sądzymy, że z tytułu pełnionej funkcji zawsze mamy rację. Właśnie dlatego trzymam na swoich usługach tę bandę potępieńców. – Tu wskazał na Crowleya i Gilana.

Crowley uśmiechnął się i odparł:

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, by jakoś utrzymać cię w ryzach, panie.

Duncan, który najwyraźniej w pełni uznał Thorną za przyjaciela i zaufanego, poklepał go po ramieniu i przyciągnął bliżej do siebie.

– A jeśli ci się wydaje, że ci dwaj są straszni, powinieneś poznać Halta, starszego zwiadowcę. Ten to już w ogóle nie ma dla mnie szacunku.

– To nie do końca prawda, panie – zaprotestował Gilan. – Ma dla ciebie bardzo wiele szacunku. Dopóki się z nim zgadzasz.

– O, tak. To prawda. – Duncan puścił ramię Thorną. Przez chwilę zbierał się w sobie, w końcu powiedział: – No dobrze. Dajcie mi czas do zastanowienia. – Spojrzął na Gilana. – Wciąż mam ochotę postać za tobą oddział żołnierzy.

Gilan wzruszył ramionami.

– W porządku, panie. Wkrótce ujrzysz światło rozumu.

Duncan westchnął.

– Pewnie tak. – Uważnie przyjrzał się Stigowi, jego szerokim ramionom, muskularnej sylwetce i sprężystym, pełnym wdzięku ruchom. – I mówisz, że ten młodziak jest równie dobry jak Horace? – zwrócił się do Gilana.

– Bez wątplenia. Różne techniki i rodzaje broni. Ale w jakości różnicy nie ma.

– Hmm. Szkoda, że Horace przebywa w Hibernii. Chętnie popatrzyłbym, jak mierzą siły. – Nagle wrócił do tematu. – No dobrze. Dajcie mi trochę czasu na zastanowienie, jutro powiem wam, co postanowiłem.

Machnął ręką w stronę wyjścia. Crowley i Gilan lekko się skłonili. Skandianie stanęli na baczność i na tym skończyły się ich uprzejmości. W drzwiach Stig dogonił Hala i spytał:

– Kto to jest ten Horace, przeciwko któremu niby miałbym walczyć?

Hal odpowiedział z kamienną twarzą:

– To jednonogi półślepy stary żebrak, cierpiący na uporczywe wzdęcia.

– Uporczywe wzdęcia? Co to jest? – spytał Stig.

– To znaczy, że puszcza bąki – wtrącił Thorn.

Po namyśle Stig kiwnął głową.

– No, chyba dam radę.

Hal i Thorn odpowiedzieli jednocześnie:

– Wiemy.



Skandianie rozdzielili się i rozeszli do swoich komnat, by rozpakować rzeczy i zaznajomić się z nowym otoczeniem. Podobnie jak Lydia mieli niewiele bagażu i cała operacja zajęła im zaledwie kilka minut.

Z racji stanowiska Hal otrzymał apartament wyłącznie do własnej dyspozycji. Na stole w salonie stały dzbanek z wodą i kilka kubków. Hal napełnił jeden z nich i się napił. Przez minutę czy dwie krążył niespokojnie dokoła, biorąc do ręki różne przedmioty i zaraz odkładając je na miejsce. Po kilku tygodniach, spędzonych na pokładzie łodzi w towarzystwie drużyny, czuł się nieco dziwnie w samotności. Dopił wodę i usadowił się na parapecie, w otwartym oknie. W dole rozciągały się parki i lasy. Tu i tam widać było ludzi – spacerujące pary, bawiące się dzieci. No i, rzecz jasna, zamkowych wartowników. Od czasu do czasu słońce wzbudzało refleksy na ich hełmach, zbrojach i grotach włóczni.

Powiódł wzrokiem dokoła. Zamek otaczała otwarta przestrzeń, porośnięta niewielkimi krzakami i pojedynczymi drzewami. Trawa była krótko przystrzyżona. Uświadomił sobie, że okolica jest nie tylko piękna, lecz również bardzo praktyczna. Las zaczynał się dopiero co najmniej kilometr dalej. Atak z zaskoczenia był niemożliwy. Nieprzyjacielskie wojska nie miałyby gdzie się ukryć. Zostałyby zauważone, jeszcze nim znalazłyby się w zasięgu strzału z kuszy. Hal wyciągnął szyję i spojrzał w górę. Wieże i wieżyczki stanowiły bardzo dekoracyjny element, ale i one pełniły funkcję praktyczną. Blanki, wieńczące ich szczyty, zapewniały łucznikom doskonałą pozycję, z której mogli ostrzelać atakujących nieprzyjaciół nawet tuż pod murami zamku. A najpierw nieprzyjaciel musiałby, rzecz jasna, pokonać fosę.

Hal pomyślał, że Zamek Araluen, tak piękny i imponujący, to jednocześnie wyjątkowo skuteczna forteca. Spojrzał na dziedziniec. Służące właśnie wyciągały wodę ze stojącej pośrodku studni. A więc zamek posiadał własne źródło wody. Potrafiłby przetrwać długie oblężenie.

Rozległo się pukanie. Hal zeskoczył z parapetu i poszedł otworzyć. Ciężkie drewniane drzwi były doskonale wyważone. Obracały się lekko i bezgłośnie na olejowanych zawiasach.

To był Ingvar. Hal mocno się zdziwił. Spodziewał się raczej Stiga bądź Thorna, chętnych omówić spotkanie z Duncanem. Zaraz jednak uśmiechnął się i ruchem ręki zaprosił olbrzyma do środka.

– Ingvar. Miło cię widzieć. Wejść. Jak twój pokój? Dostałeś większe łóżko, zgodnie z obietnicą?

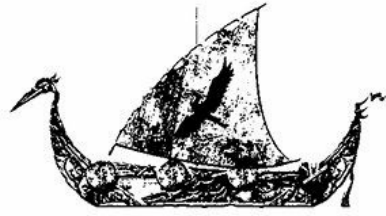
Cień uśmiechu przemknął po twarzy Ingvara, by zaraz zniknąć.

– Tak. Tak, dali mi większe łóżko. Przynieśli je zaledwie minutę po tym, jak się wprowadziłem. Tamto zabrali i wstawili inne. Są bardzo skuteczni.

– Tak to pewnie bywa w królewskich rezydencjach – zauważył Hal. – A więc, co mogę dla ciebie zrobić?

Przez chwilę Ingvar milczał. Bawił się palcami i przestępował z nogi na nogę. Hal wyraźnie widział, że jest nieswój i zakłopotany. Ale jego słowa, kiedy w końcu przemówił, raziły go niczym piorun.

– Halu, postanowiłem opuścić drużynę i wrócić do Skandii.



Rozdział 7



Hal ze zdumienia zrobił krok w tył. Na kilka sekund zaniemówił. Ingvar – solidny, niezawodny, mocny, lojalny Ingvar. Hal nie potrafił wyobrazić sobie drużyny Czaplí bez niego. Kiedy go potrzebował, Ingvar zawsze był obok. Obdarzony niesamowitą siłą, cichą mądrością i łagodnym poczuciem humoru. To, że zawsze mogli na nim polegać, uświadomił sobie Hal to że był stałym elementem w niebezpiecznym świecie – czyniło go tak cennym. Wreszcie odzyskał głos.

– Ingvarze, o co chodzi? Czy zrobiłem coś nie tak? Czy ktoś z drużyny cię uraził? Nie mogę uwierzyć w to, co powiedziałaś!

Ingvar tylko pokręcił głową.

– Nie, nie, Halu. Przeciwnie, ty i wszyscy pozostali dajecie mi poczucie wartości i cel w życiu. Odkąd zostałem Czaplą, czuję, że nie jestem całkiem bezużyteczny. Że do czegoś się nadaję.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął Hal. Wskazał Ingvarowi miejsce przy stole pod oknem i usiadł naprzeciwko, pochylając się w jego stronę. – Zapytaj choćby tę dziewczynę uratowaną w Socorro, którą niosłeś na rękach do samego portu. Nikt prócz ciebie nie zdołałby załadować Zadymiarza. Jak bez twojego udziału pokonalibyśmy Zavaca? Jak byśmy uciekli z portu w Socorro?

Ingvar wysłuchał cierpliwie listy swych zalet. Kiedy Hal skończył, znowu przemówił głosem spokojnym i pełnym smutku.

– Problem polega na tym, Halu, że nabrałem pewności siebie, doceniłem własną wartość. I zdałem sobie sprawę, jak bardzo jest ona ograniczona w porównaniu z resztą drużyny. Wszyscy zostawiacie mnie daleko w tyle.

Hal zmarszczył brwi. Poczul narastającą panikę. Ingvar wydawał się zdeterminowany. Halowi nie przychodziło do głowy nic, co mogłoby go przekonać. Wiedział, że jeśli zaraz na coś nie wpadnie, ich drużyna poniesie niepowetowaną stratę.

– Nie rozumiem, Ingvarze. Jesteś częścią załogi. Częścią drużyny. Jesteśmy razem od samego początku. Co mam zrobić, byś zmienił zdanie?

Ingvar uśmiechnął się markotnie i potrząsnął głową.

– Nic, Halu. Spędziłem z wami wspaniały czas. Ale w Socorro uświadomiłem sobie, że nigdy nie przekroczę własnych ograniczeń.

– Ale... – zaczął rozpaczliwie Hal, lecz Ingvar przerwał mu, unosząc rękę.

– Wszystkie rzeczy, które wymieniłeś, sprowadzają się do jednej: jestem duży i silny. I tyle. I nigdy nie stanę się niczym więcej. Wy wszyscy rozwijacie swoje talenty i umiejętności. Ty jesteś wyśmienitym sternikiem i nawigatorem, potrafisz też zaplanować akcję taką jak ta na targu niewolników.

Stig z każdym dniem staje się coraz lepszym wojownikiem. I jest świetnym pierwszym oficerem. Nawet Ulf i

Wulf doskonałą się w sztuce walki. Podobnie jak Edvin, chociaż jest z nas najmniejszy. I coraz lepiej idzie mu przy sterze.

A co do Thorna – cóż, chyba nie ma rzeczy, której by nie potrafił. Jest szybki, zręczny, silny... Nic dziwnego, że był Potężnym trzy lata z rzędu.

No i Lydia! Potrafi tropić. Potrafi polować. Jest niezawodna z tymi swoimi strzałkami. I nauczyła się strzelać z Zadymiarza nie gorzej od Stiga.

Chodzi o to, Halu, że wszyscy się rozwijacie. Ja nie. Osiągnąłem maksimum swoich możliwości. Duży i silny. Wielkie tępe zwierzę pociągowe. I nigdy niczym więcej nie będę. Czuję, że nie daję drużynie tyle, ile powinienem, i to poczucie bardzo boli. Wolę odejść.

Hal powoli pokręcił głową. Nie miał pojęcia, co się dzieje z Ingvarem. Zauważył, że od kilku dni jego przyjaciel jest jakiś nieswój... ale żeby coś takiego! Czuł wstyd, że jako skirl dopuścił do takiej sytuacji.

– Ależ oczywiście, że dajesz! – zaprotestował. – Co my bez ciebie zrobimy?

Ingvar znowu uśmiechnął się w ten smutny sposób.

– Dacie sobie radę. Zadymiarza mogą ładować dwie osoby. Można też przedłużyć lewary i wtedy poradzi z tym sobie nawet jedna osoba. Pomyślałem, że można by zrobić coś w rodzaju tuby, dwóch tub, i nałożyć je na uchwyty. Dodatkowy nacisk sprawi, że jedna osoba wystarczy.

Hal rozłożył ręce.

– No i widzisz! Umiesz myśleć! Właśnie wpadłeś na pomysł, jak ulepszyć Zadymiarza. Jak możesz twierdzić, że niczego z siebie nie dajesz? – Urwał, gorączkowo próbował przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich tygodni. – Czy stało się coś szczególnego, co sprawiło, że tak się czujesz?

Ingvar przytaknął.

– Kilka rzeczy. Czy zdajesz sobie sprawę, że kiedy strzelasz z Zadymiarza, w ogóle nie widzę, co się dzieje? Ktoś musi mi o wszystkim opowiadać. O, Hal trafił sternika, okręt zszedł z kursu albo: Belt uderzył w wieżę strażniczą, wybuchł pożar. Wiesz, jakie to frustrujące?

– Tak, oczywiście. Ale...

– Ale jest coś jeszcze gorszego: pamiętasz, kiedy z ocalonymi niewolnikami wracaliśmy do portu ulicami Socorro i spotkaliśmy oddział strażników Mahmela?

Hal zmarszczył brwi. Chyba domyślał się, do czego zmierza Ingvar i na czym polega cały problem.

– Tak. Pamiętam.

– A pamiętasz, co do mnie powiedziałeś?

Hal rozłożył ręce w obronnym geście.

– O, daj spokój, Ingvarze. Nie możesz z takiego powodu pogrążyć się w...

Ingvar przerwał mu łagodnie:

– Powiedziałeś: Cofnij się, Ingvarze. Pamiętasz?

– Tak, ale powiedziałem to tylko dlatego, że... – Hal urwał, nie miał ochoty mówić dalej. Ingvar dokończył za niego.

– Dlatego, że nie widzę. W odległości kilku metrów cały świat znika.

– To nie twoja wina! – zaprotestował Hal. Ingvar położył rękę na jego ramieniu.

– Nie, nie moja. Ani twoja. Tak po prostu jest. Wiem, czemu to powiedziałeś, i miałeś rację. Z moim wzrokiem stanowią zagrożenie dla reszty drużyny. Mógłbym niechcący trafić kogoś z was. Co gorsza, być może naraziłbym was na niebezpieczeństwo, bo ktoś musiałby mnie pilnować i mógłby zostać przy tym ranny.

Hal otworzył usta, by znów zaprotestować, ale zamknął je bez słowa. Ingvar miał rację. I wiedział, że ma rację. Protesty nie miały sensu.

Ingvar kiwnął głową.

– Dziękuję, że nie próbujesz mi wmawiać, że się mylę. Problem polega na tym, Halu, że podczas zbrojnej

potyczki zawsze będą dla was ciężarem. W takiej sytuacji po prostu nie można na mnie polegać.

– Ale nas to nie obchodzi!

– Mnie obchodzi – odparł Ingvar. Hal wiedział, że nie znajdzie argumentu przeciwko tym słowom. – Nasza drużyna liczy niewielu członków – podjął Ingvar. – „Czapla” to nie jest wielki wilczy okręt, a my nie jesteśmy załogą dwudziestu czy trzydziestu wojowników. Jest nas dziewięcioro. Nie możecie pozwolić sobie na nieprzydatnych pasażerów. A co ważniejsze, nie możecie dopuścić do tego, by jakiś członek drużyny niepotrzebnie zajmował uwagę innego podczas zbrojnej potyczki i narażał go na niebezpieczeństwo.

Hal spuścił wzrok. Uświadomił sobie, że Ingvar ma rację. Ale jednocześnie się mylił – i to bardzo.

– Ingvarze, należysz do drużyny. Zaakceptowaliśmy cię takim, jakim jesteś, za to, jaki jesteś. Jeśli odejdziesz, zniszczysz coś bardzo cennego.

– Znajdziesz kogoś na moje miejsce, Halu. Wielkich silnych chłopaków nie brakuje. A jak wspomniałem, siła to jedyne, co mogę dać załodze. Nie zniósłbym, gdyby z mojej winy ktoś został ranny czy zabity. Mówiąc prawdę, nie chcę więcej słuchać, że mam trzymać się z tyłu, za każdym razem, kiedy dochodzi do walki. A takie sytuacje będą się coraz częściej powtarzać. Lepiej, bym odszedł teraz.

– O, Ingvarze. – Hal poczuł łzy pod powiekami. – Tak bardzo, bardzo się mylisz. Wnosisz do drużyny znacznie więcej niż siłę. Wnosisz poczucie lojalności, humor i mądrość. W pewnym sensie ucieleśniasz jej ducha. Nie widzisz tego?

Mówiąc ostatnie słowa, od razu pożałował. Ingvar znowu uśmiechnął się w ten powolny smutny sposób i potrząsnął głową.

– Nie, Halu. Nie widzę i na tym polega cały problem. To dla mnie bardzo trudne. Proszę, nie utrudniaj tego bardziej, nie próbuj ze mną dyskutować.

Hal opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Myślał gorączkowo. W końcu oderwał dłonie i usiadł wyprostowany.

– Dobrze. Słyszałem, co powiedziałaś. Ale uważam, że nie doceniasz siebie samego i nie rozumiesz, ile znaczysz dla mnie i całej drużyny. Proszę, wstrzymaj się na dzień lub dwa. Pozwól mi pomyśleć. Musi być jakieś rozwiązanie.

– Nie poprawisz mi wzroku.

Hal stanowczo zacisnął szczęki. Wstał i kazał Ingvarowi zrobić to samo, a potem zaprowadził go do okna.

– Spójrz przed siebie i powiedz, co widzisz.

Ingvar wzruszył ramionami, po czym pochylił się i zmrużył oczy. Hal bacznie go obserwował.

– Widzę wodę – zaczął Ingvar, patrząc na fosę. – A tam to chyba most, tak? – Wskazał na most zwodzony po lewej stronie. Hal przytaknął z zapalem.

– Zgadza się! To most zwodzony i zamkowa fosa! A widzisz wartownika na końcu mostu?

Ingvar westchnął i jeszcze mocniej zmrużył oczy.

– Coś widzę – odparł niepewnie. – Może to i wartownik. Ale dostrzegam tylko zamazany kształt... Czeka! Poruszył się! Tak, to wartownik. – Cofnął się i rozłożył ręce zrezygnowanym gestem. – Widzisz? Jestem do niczego. Nawet z twoją podpowiedzią nie byłem pewien, czy to wartownik, dopóki się nie poruszył.

– Ale go widziałeś?

– Tak. Ale nie wiedziałem, co to jest.

Hal z namysłem potarł podbródek.

– Kiedy zapytałem, czy go widzisz, zmrużyłeś oczy. Dlaczego?

– Sam nie wiem. – odparł Ingvar. – Wydaje mi się, że kiedy tak robię, wszystko staje się trochę wyraźniejsze. Ale nie mogę ciągle mrużyć oczu.

Hal myślał intensywnie, zalążki pomysłów formowały się w jego głowie. Ogarnęło go tak dobrze znane podekscytowanie, pragnienie, by schwytać tę wizję, jeszcze nie całkiem gotową, ale tak bardzo bliską.

– Chyba nie – odparł z roztargnieniem. Po kilku sekundach dodał: – Ingvarze, daj mi dzień czy dwa, zanim podejmiesz ostateczną decyzję, dobrze?

– Już podjąłem. Ale dam ci dzień czy dwa, zanim powiem pozostałym.

Hal poklepał masywną dłoń przyjaciela.

– Świetnie – odparł. – Niczego więcej nie mogę żądać.

– Masz nadzieję, że zmienię zdanie? Na pewno nie.

– Zobaczymy.

Ingvar prychnął.

– Wątpię. Ja na pewno nie zobaczę.



Rozdział 8



Następnego dnia Hal został u siebie, z nikim nie rozmawiał i kazał przynosić sobie jedzenie oraz napoje do pokoju.

Członkowie drużyny zastanawiali się, co go gryzie. Niektórzy pytali o to Stiga, zakładając, że coś powinien wiedzieć.

Stig wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Zawsze tak się zachowuje, kiedy obmyśla jakiś plan.

Hal musiał jednak na chwilę przerwać swe odosobnienie. Tego dnia on, Stig i Thorn mieli spotkać się z królem i zwiadowcami. Jak przewidzieli Crowley i Gilan, król w końcu przystał na plan zwiadowcy.

– Pewnie ty wiesz lepiej, jak należy postąpić w takiej sytuacji – stwierdził. – Ale gdybyś jednak potrzebował wsparcia, zwróć się do Selethena.

– Tak zrobię, panie – odparł Gilan z uśmiechem. – Jestem jednak przekonany, że wystarczy mi pomoc drużyny Czaplí. W Socorro poszło nam całkiem nieźle. Prawda, Halu? – uśmiechnął się do siedzącego obok skirla.

Hal drgnął, jak wyrwany ze snu. Myślami przebywał gdzieś daleko.

– E? Tak. Doskonale, jak sądzę.

Thorn zmarszczył brwi. Zastanawiał się, co chodzi po głowie jego przyjacielowi.

– A więc, kiedy zamierzacie wyruszyć? – Duncan skierował to pytanie do Hala, który znowu potrzebował kilku sekund na zebranie myśli.

– Co takiego? O, przepraszam. Zamyśliłem się. Chwileczkę. Potrzebujemy zapasów. W końcu to długa podróż. To zajmie dzień-dwa.

Wprawdzie uzupełnili zapasy w Cresthaven, ale uważał, że powinni przy każdej nadarzającej się okazji gromadzić towary nietrwałe i te, które szybko się kończą, jak choćby świeże warzywa, chleb i woda. Skupił myśli na planowanej wyprawie. Zastanawiał się, jak wyprowadzić „Czaplę” z powrotem na pełne morze. Przepływająca opodal zamku rzeka należała do rzek pływowych i to pomogło mu podjąć decyzję. Nie chciał, by jego towarzysze musieli wiosłować podczas przyptywu. Nie chciał też zaczynać wyprawy w ciemnościach.

– Chciałbym wyruszyć w dzień, podczas odpływu. A to znaczy... – Musiał się zastanowić. Jak na dobrego skirla przystało, znał godziny pływów. W końcu zdarzają różne sytuacje i zawsze należy być przygotowanym. – Najwcześniej pojutrze.

Stig uśmiechnął się.

– Idealnie.

Thorn popatrzył na niego podejrzliwie.

– A ty z czego tak się cieszysz?

– Księżniczka Cassandra urządza jutro polowanie – odparł Stig. – Zdaje się, że chce popatrzeć, jak Lydia strzela z atlatlu.

Duncan kiwnął głową.

– Sam chętnie bym to zobaczył – stwierdził. – Może się do was przyłączę.

– Co ty na to, Halu? – spytał Stig. – Nie masz ochoty wybrać się na polowanie?

Ale Hal znowu przebywał myślami gdzieś daleko.

– Hal? Co o tym sądzisz?

Hal spojrział na Stiga, marszcząc brwi.

– O czym?

Stig, upewniwszy się, że Hal go słucha, powiedział powoli i wyraźnie:

– Polowanie. Idziemy... na ... polowanie. Jutro. Mógłbyś zabrać kuszę.

– O, nie. Nie. Pracuję nad czymś – odparł Hal.

Stig rozłożył ręce w bezradnym geście i uśmiechnął się do króla.

– Nie zawsze tak się zachowuje.

Duncan pokiwał głową.

– Przypuszczam, że przed daleką wyprawą kapitan ma sporo na głowie.

Stig przytaknął, ale bez przekonania.

– Tak. Pewnie tak.



Tak więc, podczas kiedy wszyscy szykowali się na polowanie, Hal pozostał w swoim pokoju. Stig postanowił jeszcze raz spróbować go przekonać, by do nich dołączył. Zapukał do drzwi. Nie słyszac odpowiedzi, wszedł do środka.

Hal stał przy oknie, tuż przy twarzy trzymał kartę pergaminu. Pośrodku karty widniało długie wąskie rozcięcie. Hal, całkowicie nieświadomy obecności Stiga, przez chwilę przyglądał się karcie. W końcu rzucił ją z odrazą na parapet.

– Nie. Nic z tego. Za miękkie.

– Za miękkie na co? – spytał Stig radośnie.

Hal aż podskoczył.

– A... Coś, nad czym pracuję. Ale musi być bardziej sztywne.

– Jasne – zgodził się Stig. – Zawsze lepiej, jak jest sztywne.

Hal zdawał się nie zauważać żartobliwego tonu.

– Tak. Potrzebuję innego materiału. Czegoś jak pergamin, ale nie tak miękkiego.

– Rozumiem, miękkie definitywnie odpada – wtrącił Stig. Ale Hal nadal go ignorował. Stig stracił cierpliwość i wrzasnął: – Hal! Obudź się!

– E? O co chodzi? Czego chcesz ode mnie? – Hal był poirytowany. Poirytowany i roztargniony. Stig nie pierwszy raz widział go w takim stanie.

– Czy wybierasz się na polowanie? Za godzinę wyruszamy.

Hal potrząsnął głową.

– Nie. Jestem zajęty. Ale ty idź.

– Tak właśnie zamierzam – odparł Stig, wywracając oczami. Hal pokiwał głową, po czym wziął do ręki pergamin, podniósł go na wysokość oczu, znowu odłożył.

– Tak. Świetnie. Baw się dobrze. Złap dla mnie rybę.

– Nie idziemy na ryby, tylko na polowanie – odparł Stig.

– Aha, no tak. No to lepiej nie łap ryb.

Stig wznosił oczy do nieba.

– Może złapię smoka w siatkę na kijanki.

– Skoro tak mówisz.

Stig ciężko westchnął, po czym odwrócił się, wyszedł i zamknął drzwi.

– Baw się dobrze – powiedział Hal. Nagle podniósł głowę i odkrył, że Stig już sobie poszedł. – O... A ty gdzie się podziałeś? A, nieważne.

Postukał w pergaminową kartę, po czym gniewnie odsunął ją na bok. Sfrunęła ze stołu i kołysząc się w powiewie od okna, miękko opadła na podłogę.

Hal położył nogi na stole i przez kilka minut siedział zamysłony, podpierając podbródek na rękach. Nagle ktoś zapukał. Z irytacją spojrzął na drzwi.

– Co jest? – zawołał, po czym dodał: – Wejdz.

W drzwiach stanęła jedna ze służących. W rękach trzymała tacę, na której stały dzbanek z kawą, filiżanka i talerz z różnymi rodzajami ciasteczek, w których Hal zdążył się rozsmakować. Zatrzymała się za progiem, speszona tonem jego głosu. Pomyślał, że nie powinien warczeć na biedną dziewczynę.

– Wejdz, proszę – powiedział łagodniej. – Wygląda wspaniale. Postaw na stole.

Dziewczyna podeszła do stołu, podejrzliwie zerkając na Hala. Zawsze słyszała, że Skandianie są potężni, głośni i włochaci – i dość przerażający. Ale ten młodzieniec był szczupły i dobrze zbudowany. Zachowywał się dość spokojnie, w każdym razie przeważnie... i wydał jej się bardzo przystojny.

Postawiła tacę i wskazując na dzbanek, zapytała:

– Mam nalać?

Hal odpowiedział uśmiechem

Bardzo, bardzo przystojny, pomyślała. I taki młody, a już kapitan.

– Uważaj – powiedział.

Nagle uświadomiła sobie, że gapiąc się na niego, o mało nie wylała kawy na stół.

Splonęła rumieńcem i spuściła wzrok. Zdjął nogi ze stołu, by zrobić jej miejsce. Nagle zmarszczył brwi. Począł, aż skończy nalewać kawę, po czym wskazał wisiołek na jej szyi.

– Co to?

Zdziwiła się. Wkładała ten amulet każdego ranka, z czystego przyzwyczajenia, i całkiem zapomniała, że ma go na sobie. Dopiero po chwili zrozumiała, o co chodzi. Spojrzała na wisiołek i wzięła go do ręki, by Skandianin mógł go dokładnie obejrzeć.

– To zwykły amulet – odparła. – Niezbyt kosztowny, ale dostałam go od taty, który już nie żyje, więc jest on dla mnie bardzo cenny.

– Mogę zobaczyć? – spytał Hal, wyciągając rękę.

Zawahała się. Nie miała zbyt chęci powierzać mu biżuterii. Owszem, może młody i przystojny, ale to nie zmieniało faktu, że jest Skandianinem. A Skandianie słynęli z tego, że lubią uwalniać kosztowne przedmioty. Słyszała, jak inne służące opowiadały o jednym z członków skandyjskiej drużyny, który dla zabawy niepostrzeżenie kradnie im bransolety, naszyjniki, a nawet kolczyki. Chociaż, trzeba przyznać, za każdym razem z promiennym uśmiechem zwracał przywłaszczony przedmiot. Pomyślała, że ten młody kapitan ma uczciwą twarz. Odsunęła od siebie wątpliwości, zdjęła rzemyk z szyi i podała Halowi amulet.

Przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem. Zrobiono go z cienkiego lekkiego materiału. Chyba jakiejś muszli. Właśnie czegoś takiego szukał.

– Co to jest?

– Szylkret. Niewiele wart. Nie kosztował dużo, nic z tych rzeczy.

– Idealny – zawyrokował Hal. – Gdzie mogę dostać coś takiego?

Wzruszyła ramionami.

– W wiosce po drugiej stronie rzeki jest złotnik. Ma spore zapasy szylkretu. Robi z niego mnóstwo taniej biżuterii dla okolicznych mieszkańców.

Hal oddał jej amulet. Uśmiech rozjaśnił jego twarz. Serce dziewczyny na chwilę zamarło. Dygnęła, czując gorący rumieniec na policzkach.

– Jak go znajdę? – spytał.

Machnęła ręką.

– Ma zakład przy głównej ulicy. Nazywa się Geoffrey. Geoffrey Złotnik.

– Zapewne brzmi lepiej niż Geoffrey Producent Biżuterii z Szylkretu – zauważył Hal, a dziewczyna zachichotała. Cieszyła się, że wyznaczono ją do pracy w tym pokoju.

Hal wstał. Pomyślała, że pewnie zamierza od razu wyjść i wskazując na tacę, spytała:

– Jeszcze kawy? – Chociaż Hal, pochłonięty oglądaniem amuletu, nie wypił ani jednego łyka. Ze zdumieniem popatrzył na tacę, jakby widział ją po raz pierwszy.

– E? Nie, dziękuję. Przepraszam, że kłopotowałaś się niepotrzebnie. Możesz to zabrać. – Zaraz jednak powstrzymał ją ruchem ręki i wziął z tacy trzy ciastka. – Ale to zatrzymam. Geoffrey, powiedziałaś?

– Zgadza się, panie. Ale nie sądzę, by miał ochotę na ciastka.

– A ja nie sądzę, by coś dla niego zostało – odparł Hal, wsadził jedno z ciastek do ust i błogo się uśmiechnął, czując wspaniały smak miodu na języku. – Dziękuję ci... – Uświadomił sobie, że nie zna jej imienia.

Pospieszyła mu z pomocą, znowu dygając.

– Milly, panie.

– No właśnie, dziękuję, Milly. I zapomnij o „panach”. Mam na imię Hal.

Uśmiechnęła się. Pomyślał, że jest bardzo ładna. Uśmiech pięknie rozpromieniał jej twarz.

– Zapamiętam, panie. To znaczy... Halu – odparła. Potem znów spłonęła rumieńcem i ruszyła do wyjścia, z wprawą balansując tacą.



Rozdział 9



Hal szedł przez park w stronę wsi, wesóło pogwizdując. Chyba już wiedział, jak rozwiązać problem Ingvara, bądź przynajmniej go złagodzić. Wreszcie, dzięki naszyjnikowi Milly, znalazł odpowiedni materiał, którego brak do tej pory przeszkadzał w realizacji pomysłu.

Pogrążony w myślach, w ogóle nie zauważył wartowników, stojących na końcu mostu zwodzonego. Jeden z nich, starszy mężczyzna, pokręcił głową i powiedział smętnie do swego towarzysza:

– Dziwnie się czuję, kiedy mam pozdrowić jakiegoś Skandianina. Pamiętam, jak witaliśmy ich gradem kamieni i kotłem wrzącego oleju. Wydaje mi się to znacznie bardziej odpowiednie.

Jego młodszy kolega nie mógł pamiętać dawnych czasów, kiedy skandyjscy najeźdźcy wzbudzali w mieszkańcach Araluenu strach i podejrzliwość, jak kraj długi i szeroki.

– Ale to Skandianin uratował życie księżniczce Cassandrze, kiedy skrytobójcy zaatakowali ją na weselu, prawda? – zauważył.

Starszy wartownik prychnął.

– Możliwe. Ale to raczej marne wynagrodzenie za setki lat napadów i łupieży, co?

– Myślę, że nie takie marne, jeśli jesteś tą księżniczką – stwierdził młodszy z uśmiechem. Kolega nie zamierzał przyznać mu racji.

– No, ale chyba nie jestem? – spytał zaczepnym tonem.

– Nie, nie jesteś. Nie masz odpowiednich nóg. – Nogi starszego wartownika były mocno kabłąkowate. – Jej są długie i kształtne.

– Trochę szacunku!

– Słowa podziwu dla aparycji księżniczki chyba nie są wyrazem braku szacunku.

– Nie mam na myśli jej, tylko siebie.

I sprzecjali się tak dalej, Hal zaś przeciął starannie przystrzyżony trawnik, miękki i sprężysty. Trawę skoszono tego ranka i powietrze wypełniała intensywna woń. Hal wciągnął ją w nozdrza z wielką przyjemnością. Pomyślał, że to taki... lądowy zapach. Była to miła odmiana, chociaż Hal przywykł raczej do słonego aromatu świeżego morskiego powietrza.

Po piętnastu minutach dotarł do mostu, łączącego brzegi rzeki. Ostatnie pięćdziesiąt metrów szedł przez chłodny cienisty las. Na moście przystanął, by popatrzeć na „Czapłę”, przycumowaną do pomostu. Edwin był na pokładzie, nadzorując grupę lokalnych mieszkańców, znoszących skrzynie i torby pełne owoców i warzyw. Podniósł wzrok i pomachał Halowi. Hal też pomachał i ruszył dalej. Przy każdej nadarzającej się okazji po prostu musiał zatrzymać się i popatrzeć z podziwem na swoją łódź. Na widok jej czystych linii poczuł przypływ dumy. Należała do niego, całkowicie. Nie była to zwykła duma właściciela, lecz duma twórcy. Pomagał przy jej

budowie. Początkowo miała służyć pewnemu staremu wilkowi morskemu jako łódź wycieczkowa. Ale właściciel niespodziewanie zmarł. Hal niedrogo kupił ją od Andersa, głównego skutnika Hallas-holmu, zmienił olinowanie i dokończył budowę.

Zauważył, że środkowa część mostu jest ruchoma. W razie ataku na wieś mieszkańcy mogli szybko schronić się w zamku, podnieść ją i w ten sposób spowolnić działania wroga. Hal westchnął. Zamek, parki, ogrody i lasy tchnęły spokojnym pięknem. Wiedział jednak, że może się to zmienić w ciągu jednej krótkiej chwili. Żyli w potencjalnie niebezpiecznych czasach. Zawsze lepiej zachować ostrożność, bo potencjał szybko może zmienić się w rzeczywistość.

Sto metrów za mostem ścieżka rozszerzyła się, a w końcu przeszła w główną ulicę, biegnącą przez środek wsi. Po obu jej stronach ciągnęły się sklepy, domy i warsztaty rzemieślnicze. Zbudowano je w różnych stylach i technikach. Niektóre z szachulca, tak jak w Cresthaven. Inne, większe i solidniejsze, z grubych bali – te przypominały zabudowania Hallasholmu. Jeszcze inne – z drewnianych desek. Wszystkie jednak miały podobne dachy – spiczaste strzechy, zrobione ze ściśle przylegającej słomy, by skutecznie chroniły przed deszczem, o nisko opadających okapach, tak że przy wchodzeniu trzeba było schylać głowę.

Była to bardzo ładna wieś, dobrze zaplanowana i utrzymana. Nie widziało się tu śmieci i odpadków, które tak często psują urok podobnych miejsc. Powietrze wypełniał świeży zapach palonego drewna. Po chwili zmieszał się z nim inny zapach – smakowita woń mięsa pieczonego na rozżarzonych węglach, które odpowiednio długo trzymano w przyprawach i marynacie. Hal spojrzał w bok i zobaczył jakiś budynek, większy od sąsiednich, o krytej werandzie, wychodzącej na ulicę, na której stało kilka stołów i krzesel. Na jednym z nich siedziała ciemnowłosa kobieta. Fartuch i uwalone mąką dłonie zdradzały, że jest kucharką. Uśmiechnęła się na powitanie.

Hal kiwnął głową i ruszył dalej, przyglądając się budynkom po obu stronach i wypatrując szyldu złotnika.

I już po chwili go dostrzegł. Budynek zaopatrzono w solidne drewniane drzwi, wzmocnione żelaznymi sztabami. Nad nimi wisiał szyld – złoty umieszczony w pionie półokrąg, popularny symbol złota. Hal podszedł do drzwi, wziął w rękę ciężką kołatkę i kilka razy postukał nią w żelazną sztabę.

Obok drzwi nie umieszczono ani jednego okna. Hal domyślił się, że podyktowały to względy bezpieczeństwa. W budynku prawdopodobnie trzymano zapasy złota, srebra i cennych kamieni, więc byłoby głupotą ułatwiać wejście do środka niepowołanym osobom.

Znowu sięgnął po kołatkę, ale w tym momencie z wnętrza dobiegło szuranie kroków.

Zagrzechotał rygiel, ale drzwi się nie otworzyły. Przesunął się starannie wpasowany panel umieszczony pośrodku i w otworze pokazały się fragment twarzy i dwoje kaprawych niebieskich oczu.

– Czego chcesz?

Głos był stary, lecz mocny. I zdecydowanie mało przyjazny. Hal nie dziwił się, że złotnik podejrzliwie traktuje każdego przybysza – a już szczególnie przybysza ubranego jak Skandianin. Uśmiechnął się na tę myśl. Okazało się, że popełnił błąd.

– Co się szczerzysz? Kim jesteś i po co przyszedłeś? – spytał mężczyzna władczym nieprzyjemnym tonem.

Hal prędko zmienił minę. Starał się wyglądać szczerze i niewinnie – choć nie był pewien, jak to z kolei zostanie odebrane.

– Nazywam się Hal Mikkelson – zaczął. – Chciałbym...

– Skandianin? – spytał mężczyzna wyzywająco.

Hal przytaknął.

– No tak. – Nie zamierzał bawić się w skomplikowane wyjaśnienia. Poza tym od jakiegoś czasu sam uważał się za Skandianina.

– Nie zadaję się ze Skandianami – odparł mężczyzna, jak przypuszczał Hal – złotnik Geoffrey. – Ukradliście mi sztabę złota.

Uśmiech natychmiast znikł z twarzy Hala, ustępując grymasowi gniewu. Zabiję Jespera, pomyślał.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

Geoffrey zmarszczył czoło.

– Piętnaście lat temu. Nie, raczej już szesnaście. Chyba.

Hal odetchnął z ulgą. Geoffrey jeszcze nie skończył.

– Nie. Może nawet siedemnaście. Raczej tak. Siedemnaście.

– Cóż, przykro mi z tego powodu. Ale ja chciałbym coś od ciebie kupić. Potrzebuję trochę szylkretu, powiedziano mi, że tutaj można go zdobyć.

– Nie – odparł Geoffrey. Hal zrobił zawiedzioną minę.

– Nic ci nie zostało?

Geoffrey potrząsnął głową.

– Nie. Raczej jednak piętnaście. Teraz pamiętam.

– Ale masz szylkret? – naciskał Hal. Geoffrey machnął ręką.

– A pewnie. Całe mnóstwo. Mówisz, że chcesz kupić?

– Zgadza się.

Geoffrey pokiwał głową, po czym rzekł:

– Zaczekaj tu. I zostaw ten wielki nóż przed wejściem.

Okienko się zamknęło, znowu rozległy się kroki, coraz cichsze. Hal prędko odpiął pas i powiesił go na słupku przed drzwiami. Po minucie zagrzechotał rygiel i drzwi się uchyliły. Geoffrey, stwierdziwszy, że Hal zdjął pas z nożem, otworzył szerzej drzwi i gestem zaprosił go do środka.

Hal znalazł się w długim ciemnym korytarzu. Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, usłyszał, jak drzwi zatraskują się za jego plecami. Geoffrey minął go i dał znak, że ma iść za nim. Weszli do warsztatu, znacznie jaśniej oświetlonego. W ścianie znajdowały się wielkie okna, a tuż nad stołem roboczym – świetlik. Hal pomyślał, że to dobre rozwiązanie. Tutaj Geoffrey wyrabiał biżuterię, potrzebował porządnego światła. Świetlik przysłańały drewniane listewki, które można było zdejmować i zakładać zależnie od pogody. Okna zabezpieczały ciężkie sztaby. To również wydawało się uzasadnione.

Geoffrey wskazał drewnianą tacę, stojącą na stole.

– Oto próbki szylkretu.

Hal pomyślał, że kiedy czekał za drzwiami, złotnik na pewno poszedł wyjąć te próbki z jakiegoś sejf, w którym zapewne trzyma złoto, srebro i inne materiały.

Hal pochylił się nad tacą. Delikatnie przesuwając kawałki szylkretu palcem wskazującym, by lepiej im się przyjrzeć. W końcu wybrał dwa – niemal okrągłe, o średnicy około sześciu centymetrów, cienkie, w kolorze ciemnego brązu.

Geoffrey odchrząknął.

– Niezbyt piękne – stwierdził, bacznie im się przyglądając.

– Nie szukam piękna – odparł Hal. Kiedy patrzył na pochylonego nisko nad stołem złotnika, przyszła mu do głowy pewna myśl. – Jesteś krótkowzroczny?

Geoffrey spojrział na niego.

– Wszystko przez to, że przez całe życie tak ścibolę te drobiazgi – odparł.

Hal kiwnął głową.

– Czy zechciałbyś coś dla mnie zrobić?

Geoffrey mruknięciem wyraził zgodę. Nadal odnosił się podejrzliwie do Skandian, ale był ciekaw, na co temu młodzieńcowi dwa nieładne kawałki szylkretu. Większość ludzi szukała raczej szylkretu jasnego i przejrzyściego. A te były ciemne i nieprzezroczyste. Tak czy inaczej, cieszył się, że je sprzeda. Wcześniej zamierzał pociąć je i wykorzystać do zdobień.

Hal wziął do ręki jeden z krążków i przytknął doń palec.

– Mógłbyś wywiercić niewielki otwór w tym miejscu? – zapytał. – Kupię ten kawałek, rzecz jasna.

Geoffrey wzruszył ramionami.

– Czemu nie? – Spomiędzy porzucanych na stole narzędzi wybrał niewielkie wiertło i zbliżył je do twarzy

Hala. – Może być tej wielkości?

Hal kiwnął głową.

– Powinno być dobrze. Zrób otwór dokładnie pośrodku.

Po minucie otwór był gotowy. Geoffrey spojrzał pytająco na Hala, który polecił:

– Przyłóż szylkret do oka, zamknij drugie oko i popatrz przez okno.

Geoffrey potrząsnął głową i posłusznie spełnił polecenie. Nagle jego ramiona stężały.

– Niesamowite. – Wyjął szylkretowe kółko, znowu spojrzał za okno, włożył kółko jeszcze raz.

Hal niecierpliwie pochylił się do przodu.

– I co się dzieje?

– Kiedy patrzę przez ten otworek, widzę znacznie wyraźniej. Wszystko jakby nabiera ostrości.

Na twarzy Hala pojawił się szeroki uśmiech.

– Właśnie to chciałem usłyszeć. Ile jestem ci winien?



Rozdział 10



Mysłiwi zebrali się obok mostu zwodzonego po drugiej stronie fosy. Stig, Thorn, Ulf, Wulf i Lydia cierpliwie czekali na księżniczkę.

W szczególności Ulf i Wulf budzili zaciekawienie stojących opodal wartowników.

– Ciekawe, jak matka ich rozróżnia? – rzucił jeden z nich. Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Ciekawe, jak oni sami się rozróżniają – odparł. – Wyglądają jak dwie krople wody, ot co.

Spore zainteresowanie wzbudzała też Kluf. Stig trzymał ją na krótkiej skórzanej smyczy. Kluf przez chwilę podskakiwała radośnie, szczęśliwa, że wreszcie znalazła się na świeżym powietrzu, w końcu usiadła.

– Po co im to polowanie – stwierdził pierwszy z wartowników. – Przecież już mają niedźwiedzia.

Lydia zerknęła nieufnie na Kluf.

– Boję się, że spłoszy zwierzynę – powiedziała sceptycznie.

Stig wzruszył ramionami.

– Jak będzie rozrabiać, zaprowadzę ją z powrotem do zamku.

Lydia nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo w tym momencie ze stróżówki wynurzyła się Cassandra. Miała na sobie strój myśliwski, złożony z ciemnozielonych nogawic, butów do kolan i skózanego kaftana, sięgającego do połowy ud. Przy szerokim pasie wisały nóż saksoński i dwa ciężkie woreczki. Strój wieńczył spiczasty kapelusz, ozdobiony zielonym piórkami. Na szyi wisała proca.

Kilka kroków za nią maszerowało dwóch muskularnych ochroniarzy, zbrojnych w miecze, łuki i sztylety.

– Dzień dobry! – zawołała wesóło. – Przepraszam za spóźnienie.

Thorn i Stig zamruczeli coś w odpowiedzi. Przypuszczali, że księżniczki mają święte prawo się spóźniać.

Lydia lekko zmarszczyła brwi. Wedle jej zasad nikt, nawet księżniczka, nie powinien przychodzić spóźniony, kiedy w grę wchodzi wyprawa na polowanie.

Kluf zapiszczała i naprężyła smycz, aż w końcu Stig pozwolił jej podejść bliżej do Cassandry. Zauważył, że jeden osiłków natychmiast położył dłoń na rękojeści miecza. Ale na widok machającego ogona zaraz się rozluźnił.

– Hej, piękna! – powiedziała Cassandra. Wyciągnęła rękę do Kluf, wierzchem do góry, i pozwoliła się obwąchać. Była tak drobna, że łeb Kluf sięgał powyżej jej talii. Kluf obwąchała królewską dłoń, dała się podrapać po brodzie, uszach i karku, przymknęła oczy z rozkoszy i opadła na tylne łapy.

Cassandra z uśmiechem spojrzała na Stiga.

– To taki wielki przymilny kocur, co?

Stig przekrzywił głowę.

– O ile kogoś lubi. Jeśli nie, zmienia się w straszliwą bestię.

Cassandra wytarła oślinioną rękę w spodnie i podała ją Stigowi.

– Nie poznaliśmy się. Jestem Cassandra.

Potrząsnął ręką księżniczki i uśmiechnął się szeroko.

– Stig. Pierwszy oficer na „Czapli”.

Cassandra kiwnęła głową, po czym zwróciła się do Thorny:

– A to zapewne przestawny Thorn.

Thorn wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Nie mogę zaprzeczyć – odparł. Nie był pewien, czy „przestawny” znaczy to samo, co „sławny”, ale optymistycznie zakładał, że tak.

Cassandra zwróciła się do Lydii:

– Dzień dobry. – Ruchem głowy wskazała kołczan ze strzałkami na jej ramieniu. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię w akcji.

Lydia kiwnęła głową nieco mocniej, niż to miała w zwyczaju. To był jej kompromis w temacie dygania.

– Dzień dobry, księżniczko.

Cassandra machnęła ręką.

– Proszę, zwracaj się do mnie „Cassandro”. Albo jeszcze lepiej „Cassie”. Idziemy przecież razem na polowanie. – Jej wzrok padł na Ulfa i Wulfa, a brwi podjechały do góry. – O was dwóch już słyszałam. Wszystkie służące o niczym innym nie mówią.

Bliźniacy gapili się na Cassandrę z otwartymi ustami. Pomyśleli, że jest bardzo piękna. Podziwiali jej niewysoką zgrabną postać i jasne włosy, opadające na ramiona. Przede wszystkim jednak jej twarz, która promieniała radością życia i podekscytowaniem z powodu pięknego słonecznego dnia i czekającej ich wyprawy. Ulf i Wulf zostali trafieni. Zapomnieli nawet o wszystkich zaplanowanych pod adresem księżniczki żarcikach. Wpatrywali się w nią z milczącym uwielbieniem.

Zrobiła krok do przodu.

– Ty jesteś...? – zwróciła się do Ulfa.

Potrząsnął głową.

– Ulf – wymamrotał.

Cassandra przekrzywiła głowę, zdumiona.

– Jak, przepraszam? – Myślała, że Skadianinowi coś utknęło w gardle. Ulf nadal gapił się na nią jak zakochany uczeń.

W końcu Thorn wyjaśnił.

– To jego imię. Ulf.

Cassandra lekko wydeła wargi.

– Intrygujące – stwierdziła, po czym spytała drugiego z bliźniaków: – A do ciebie jak mam się zwracać?

Wulf zachował większą trzeźwość umysłu. W końcu spodziewał się tego pytania.

– Jestem Wulf, wasza wysokowościowość – odparł, nieco myląc formę zwracania się do księżniczki.

Cassandra udawała, że niczego nie zauważyła.

– Ulf i Wulf?

Obaj jednocześnie skinęli głowami z tym samym tępym wyrazem twarzy i wzrokiem utkwionym w Cassandrę. Uśmiechnęła się szeroko i spytała:

– Nie jesteście przypadkiem spokrewnieni?

Zachichotali radośnie i entuzjastycznie pokiwali głowami. Cassandra odwróciła się w stronę pozostałych Skandian i spytała z uśmiechem:

– O, ci dwaj są naprawdę zabawni! Mogę ich zatrzymać?

Trochę zdziwił ją zgodny chór, złożony z głosów Thorny, Stiga i Lydii.

– Taaak! – powiedzieli jednocześnie, a Kluf zaszczekała do wtóru. Ulf i Wulf popatrzyli na przyjaciół, wyraźnie

urazeni. Zaraz jednak znowu zwrócili pełen uwielbienia wzrok na księżniczkę, a na ich twarzach znowu pojawił się głupkowaty uśmiech.

– Cóż – powiedziała Cassandra – sądzę, że powinniśmy...

Nie dokończyła zdania, ponieważ w tym momencie rozległ się stukot końskich kopyt i na moście pokazał się oddział złożony z kilku zbrojnych jeźdźców. Podjechali bliżej i otoczyli ich luźnym kordonem.

Cassandra zmarszczyła brwi.

– A wy co knujecie? – spytała.

Porucznik wyprężył się i zasalutował, przytykając prawą dłoń do hełmu.

– Jesteśmy eskortą, wasza wysokość.

Cassandra prychnęła z pogardą.

– Kto mówi, że potrzebuję eskorty?

Porucznik niepewnie przesunął się w siodle i spojrzał na wysoką postać, zmierzającą w ich kierunku.

– Ja – odparł Duncan. – Miałem zamiar do was dołączyć, ale coś mi wypadło, więc postanowiłem postać za wami jeźdźców.

– Ale ja nie potrzebuję eskorty – zaprotestowała Cassandra. – Są ze mną Cedric i Farmer. – Wskazała na towarzyszących jej osiłków, którzy stanęli na baczność. – I czterech groźnych skandyjskich wojowników. A jeśli i oni sobie nie poradzą, Lydia i ja wkroczymy do akcji. – Uśmiechnęła się do Lydii, która z powagą kiwnęła głową, szczerze przekonana, że pozostali są całkowicie zbędni.

Ale Duncan nie dał się przekonać.

– Cassandro – powiedział – ustąp, dopóki nie dowiemy się, co planuje Iqbal. Nie chcę, żebyś narażała się na niebezpieczeństwo.

– Nie narażam się na niebezpieczeństwo, tato. Idę na polowanie z przyjaciółmi, nic mi nie grozi. Nie zamierzam być więźniem we własnym domu z powodu jakichś niesprawdzonych pogłosek. Proszę, każ porucznikowi i jego ludziom wracać do zamku. – Zapadła cisza. Cassandra ściągnęła brwi i powtórzyła z naciskiem: – Proszę.

Duncan zawahał się, a po kilku sekundach skapitulował. Od lat próbował chronić swoją rozmiłowaną w wolności córkę i nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie może niańczyć jej jak małego dziecka.

– Dobrze – powiedział. – Poruczniku, wracajcie.

– Tak jest! – odparł porucznik, salutując. Na jego rozkaz żołnierze zawrócili do zamku.

Duncan z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Szczęśliwa?

Księżniczka posłała mu promienny uśmiech, po czym wspięła się na palcach i pocałowała go w policzek.

– Niezmiernie. Chociaż byłabym jeszcze szczęśliwsza, gdybyś do nas dołączył.

Potrząsnął głową.

– Dostałem depezę od Halta. Przy okazji, Horace ma się dobrze.

– Wiem. Ten sam kurier przywiózł mi list od niego.

– Aha. Tak więc ja pracuję, a następczyni tronu włóczy się po lesie z bandą dzikich mężczyzn z Północy.

– I jedną kobietą – poprawiła go Cassandra, wskazując na Lydię.

Duncan lekko skłonił głowę.

– Proszę o wybaczenie. I jedną dziką kobietą z Północy.

Lydia niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Zorientowała się z tonu jego głosu, że to był żart, ale tak naprawdę nigdy do końca nie wiedziała, jak należy reagować na żarty. Właśnie dlatego nie radziła sobie z uszczypliwościami Thorna.

Duncan popatrzył na grupkę myśliwych.

– Życzę udanego polowania. I nie spuszczaście oka z mojej córki!

– Z przyjemnością! – zakrzyknęli chórem Ulf i Wulf. Wszyscy pozostali popatrzyli na nich z niemym zdumieniem.

– A więc ruszajmy – zarządziła Cassandra. – Tracimy czas.

Duncan patrzył, jak uczestnicy myśliwskiej wyprawy schodzą w dół wzniesienia w stronę ciemnej linii lasu. W końcu westchnął, odwrócił się i poczłapał z powrotem, do zamku i stosu papierzysek.

Sam nie wiedział, czy westchnął, ponieważ martwi się o krnąbrną córkę, czy dlatego, że chętnie zostawiłby papiery samym sobie i również udał się na polowanie.

Czasami, pomyślał, król naprawdę nie ma lekko.



Rozdział 11



Po chwili równo przystrzyżone parkowe trawniki ustąpiły bardziej dzikim obszarom. Trawa sięgała teraz do kolan. Całe chmury pasikoników uciekały im spod nóg, skacząc i furkocząc skrzydłami, przysiadając i zaraz znowu zrywając się do lotu.

Cassandra z uwagą przyglądała się strzałce z kołczanu Lydii. Obracała w dłoniach metrowy pocisk, podziwiając staranne łączenie między trzema brzechwami i drzewcem oraz ostre jak sztylet brzegi główicy.

– Sama je robisz?

– Tak, ale nie groty – odparła Lydia. – Zamawiam je u kowala. Ale sama je ostrzę i przymocowuję na drzewcach. Dzięki temu mam pewność, że są jednakowe.

Cassandra skinęła głową. Wiedziała, że Will i Halt również sami robią strzały. Łucznicy zamkowi raczej zlecali tę pracę płatnerzowi. Ale nie dorównywali zwiadowcom w celności.

Dotknęła kciukiem ostrego grotu.

– Czy to aby nie nazbyt... radykalna broń na małą zwierzynę jak na przykład króliki? – spytała.

Lydia przytaknęła.

– Owszem. Taka strzała rozdarłaby królika czy ptaka na strzępy. Nie zostałyby nic do jedzenia. Na drobniejszą zwierzynę używam takich pocisków.

Wyciągnęła strzałkę z wyścielanego filcem kołczanu i podała ją Cassandrze.

Księżniczka obejrzała ją z zaciekawieniem.

– W ogóle nie ma grotu. – I rzeczywiście. Zamiast żelaznego ostrza na końcu strzałki tkwił zaokrąglony kawałek twardego drewna, starannie wyrzeźbionego i wypolerowanego.

– To tępy grot – wyjaśniła Lydia. – Oglusza zwierzynę, nie uszkodzając jej przy tym. I lepiej sprawdza się, kiedy strzelam do ptaka, siedzącego w koronie drzewa, nie tracę wówczas żelaznych grotów.

Słyszac smętny ton w głosie Lydii, Cassandra spojrzała na nią z uśmiechem.

– Przypuszczam, że nieraz ci się to zdarzyło?

Lydia przytaknęła.

– W pewnym momencie drzewa wokół mojego domu dosłownie jeżyły się od strzałek, sterczących z pni i gałęzi. Za wysoko, by je odzyskać.

Cassandra zważyła w dłoni obie strzałki.

– Ważę tyle samo – zauważyła, oddając je Lydii.

– Bardzo tego pilnuję. Chodzi o to, by w locie zachowywały się tak samo. Oczywiście te tępe są trochę wolniejsze, bo główka jest większa, co powoduje większy opór powietrza. Ale staram się, by różnice były minimalne.

Ostrożnie włożyła strzałki do kołczanu.

– Może panie skończą już te pogaduszki? Kluf chyba coś wywęszyła – zauważył cicho Stig. Dziewczyny podniosły wzrok, zaalarmowane. Kluf zastygła z przednią łapą wysoko uniesioną, wpatrzona w coś po lewej stronie. Z głębi gardła dochodziło ciche pomrukiwanie.

Cassandra pobiegła spojrzeniem za wzrokiem psa i zobaczyła dużego zająca, stojącego słupka w wysokiej trawie.

– Wydaje mi się, że dla Kluf to nie pierwszyczna – stwierdził Stig. Oczywiście, żadne z nich nie wiedziało, co porabią Kluf, zanim „odkryła” Hala na górskiej ścieżce w pobliżu Hallasholmu. Ale było oczywiste, że musiała kiedyś brać udział w polowaniach.

Lydia i Cassandra wymieniły spojrzenia, wahając się, która z nich powinna oddać strzał. Lydia wykonała szeroki gest lewą ręką.

– Jesteś księżniczką – powiedziała. Cassandra nie dała się dwa razy prosić. Prędko umieściła pocisk w miseczce, sprawdziła, czy na pewno siedzi jak należy, po czym zaczęła kręcić procą nad głową, coraz szybciej i szybciej. Proca wydała ciche mruczenie. Zając, słysząc dziwny dźwięk, zmartwił.

Cassandra prędko wypuściła pocisk.

Zbyt prędko, jak się okazało. Przeleciał trzydzieści centymetrów na prawo od zwierzęcia. Świst ostatecznie spłoszył zająca, nerwowe zaciekawienie zmieniło się w panikę i zwierzę pokicało przed siebie zygzakiem pośród wysokiej trawy.

– Na chuch Herna! – zakląła Cassandra całkiem nie jak księżniczka. – To było okropne! Chyba wyszłam z wprawy.

Lydia pokręciła głową.

– Jeśli chcesz dobrze strzelać, musisz ćwiczyć regularnie – upomniała księżniczkę.

Cassandra rzuciła jej gniewne spojrzenie. Owszem, była przyjacielska i nie lubiła się wywyższać, ale żadna księżniczka nie lubi słuchać krytycznych uwag – szczególnie z ust młodszej kobiety. Zarumieniła się ze złości, ale szybko okiełznała emocje. Uświadomiła sobie, że Lydia trzeźwo oceniła sytuację. Nie zamierzała jej pouczać ani krytykować. Po prostu stwierdziła fakt.

I oczywiście miała rację.

Cassandra wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Przepraszam. Teraz twoja kolej.

Ale teraz nastąpiła kolej Stiga. Lydia zastanawia się wcześniej, jakiej Stig zamierza użyć broni. Nie zabrał włóczni ani oszczepu. Miał przy sobie tylko nóż saksoński, niezbyt odpowiedni na polowania.

Tego ranka Stig wybrał się nad rzekę i nappełnił kieszenie gładkimi okrąglakami. Przez całe dzieciństwo polował na ptaki i króliki w lasach otaczających Hallasholm i osiągnął w tym niemałą wprawę.

Nagle dwadzieścia metrów dalej z krzaków wyskoczyła kuropatwa. Stig puścił smycz Kluf, wyciągnął kamień z kieszeni i cisnął nim w ptaka. Kuropatwa padła bez życia na ziemię.

Stig pstryknął palcami na Kluf, która przez cały czas grzecznie stała w miejscu, a teraz pobiegła po tłustą zdobycz. Stig posłał dziewczynom szeroki uśmiech, poklepał Kluf po łbie i włożył kuropatwę do torby myśliwskiej.

– Dobry pies. Dobra Kluf.

Thorn z uznaniem popatrzył na psa.

– Masz rację. Już to wcześniej robiła. – Potem dodał: – A przy okazji, świetny rzut.

Cassandra uśmiechnęła się do Stiga.

– Zgadzam się. Zero sprzętu. Tylko dobre ramię i celne oko.

Lydia nic nie powiedziała, tylko z uznaniem kiwnęła głową, uchwyciwszy spojrzenie Stiga. Uśmiechnął się, zadowolony z pochwały. I z samego siebie.

A potem Kluf zaszczekała głośno, trzy razy.

Czuple nieraz słyszały takie szczekanie. W ten sposób Kluf ostrzegała ich przed niebezpieczeństwem. Przez cały czas zachowywała się cicho, tak jak zapewne ją niegdyś nauczono. A teraz przerwała ciszę. Wiedzieli, że nie zrobiłaby tego, gdyby nie istniało zagrożenie. Wszyscy zaczęli rozglądać się dokoła. Znajdowali się w pobliżu lasu, zarośla i drzewa rosły tutaj dość gęsto, ofiarując plamy głębokiego cienia, w których mógł chować się napastnik.

Thorn pierwszy go zobaczył.

– Tam! – krzyknął, wyciągając rękę przed siebie.

Czterdzieści metrów dalej zza niewielkiego krzaka właśnie podnosił się jakiś mężczyzna. Krzak był tak mały, że wydawało się niemożliwe, by schował się za nim dorosły człowiek. A jednak. Mężczyzna, słysząc szczekanie psa, widocznie zrozumiał, że go odkryto.

Miał na sobie jasnobrązową luźną tunikę, białą koszulę i białe bufiaste spodnie, a na głowie turban, ulubione nakrycie głowy mieszkańców gorących arydzkich pustyni.

W ręku trzymał krótką kuszę o grubym pękatym łuczysku, z bełtem gotowym do strzału. Uniósł kuszę wyżej i wymierzył w księżniczkę, unieruchamiając nadgarstek drugą ręką.

Rozległo się paskudne FRU – cięciwa zwolniła, krótki bełt przeciął powietrze i poleciał prosto w stronę Cassandry. Księżniczka, zaskoczona nagłym rozwojem wydarzeń, zastygła w miejscu, patrząc z rozchyłonymi ustami na nieuchronnie nadciągające przeznaczenie.

Nagle Thorn wyciągnął prawe ramię, przecinając tor powstańca śmierci.

Trach!

Bełt walnął w hak i utkwił w drewnie. Siła uderzenia odrzuciła ramię do tyłu, aż Thorn się zachwiał. Cassandra zbladła jak ściana. Kiedy Thorn interweniował, bełt znajdował się w odległości zaledwie metra od jej twarzy.

Nagle zastygły w bezruchu obraz ożył. Niedoszły zabójca, widząc, że chybił, odwrócił się i zaczął uciekać. Ulf i Wulf rzucili się w pogoń – była to próba raczej skazana na niepowodzenie, jako że mężczyzna znajdował się czterdzieści metrów dalej i tylko kilka metrów dzieliło go od leśnej gęstwiny. W tym samym momencie Stig spuścił Kluf ze smyczy i wskazując uciekiniera, rozkazał:

– Kluf, bierz go!

Kluf wystrzeliła jak pocisk.

Ale najszybszym refleksem wykazała się Lydia. Wyrwała strzałkę z kołczanu, prędko umieściła jej koniec w atlatlu i rzuciła. Wszystko – jakby jednym płynnym ruchem, gładkim i wyćwiczonym.

– Nie zabijaj go! – krzyknął Thorn. – Musimy...

Ale było za późno, strzałka już pędziła do celu, w ciągu kilku sekund pokonała odległość między Lydią a uciekającym mordercą.

Usłyszeli paskudny odgłos uderzenia. Mężczyzna wyrzucił ramiona w powietrze i padł twarzą na ziemię.

Thorn spiorunował Lydię wzrokiem.

–go przestuchać – dokończył zdanie.

Spokojnie odwzajemniła spojrzenie.

– Nie zginął – odparła. – Użyłam tępego grotu.

Thorn, który już miał ją zbombardować gradem przekleństw, zamknął usta, otworzył, spojrzał na postać wyciągniętą w trawie. Kluf stanęła nad mężczyzną, groźnie warcząc.

– Tępego grotu – powtórzył, a Lydia przytaknęła.

– Tępego. Stracił przytomność. Kiedy się ocknie, nieźle będzie go bolała głowa.

Stig uśmiechnął się szeroko.

– Kiedy się ocknie, będzie miał niezły atak paniki. Nic przyjemnego zobaczyć po przebudzeniu paszczę Kluf kilka centymetrów od swojej twarzy.

– Niezbyt piękny widok – zgodził się Thorn. Chwycił bełt tkwiący w drewnianym ramieniu i zaczął powoli

poruszać nim w tył i przód. W końcu wyszarpnął go i uważnie przyjrzał się grotowi. Na czubku widniała groźna ciemna plama.

– Zatruty – stwierdził, zerkając na Cassandrę. – Jak to dobrze, że moja protezka akurat znalazła się na jego drodze.

Cassandra wpatrywała się w ich trójkę szeroko rozwartymi oczami. Dorastała wśród zwiadowców i żołnierzy. Ale jeszcze nigdy nie była świadkiem tak błyskawicznej akcji jak ta przed chwilą. Reakcja Thorn'a zakrawała na cud. A strzał w wykonaniu Lydii – z odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów, prosto w uciekającego z dużą prędkością zabójcę – był po prostu wyjątkowy.

– Dziękuję wam – powiedziała cicho, wreszcie otrząsając się z szoku, który paraliżował ją przez dłuższą chwilę. Pomyślała z żalem, że swego czasu potrafiła wykazać się takim samym refleksem jak jej wybawcy. Ale ostatnio spędzała zbyt wiele czasu w zamkowych murach, wypełniając obowiązki przynależne następczyni tronu, a za mało czasu na wolnym powietrzu. Podobnie jak strzelanie z procy, pomyślała, wszystko wymaga praktyki.

Thorn, Lydia i Stig zbyli podziękowania.

– Nie sądzę, by Kluf przyniosła nam zdobycz tej wielkości – oświadczył wesoło Stig. – Chyba musimy sami się pofatygować.

Ulf i Wulf pierwsi znaleźli się na miejscu. Zabójca poruszył się, przetoczył na plecy i otworzył oczy. Na widok wyszczerzonych, ociekających śliną kłów wrzasnął z przerażenia i próbował się cofnąć, ale ponieważ leżał na ziemi, rzecz jasna nie miał takiej możliwości. Przeniósł wzrok na bliźniaków, gniewnych i żądnych zemsty, dzierzących w dłoniach obnażone noże saksońskie. I wrzasnął jeszcze raz.

Pozostali ruszyli biegiem w jego stronę.

– Pewnie myśli, że widzi podwójnie, bo dostał w łeb – stwierdził Stig.

– A jeśli tak jest – zauważył Thorn – to widzi ich aż czterech.

– Co za koszmar – rzuciła Lydia.

Thorn posłał jej uśmiech.

– Niezły strzał – pochwalił. Popatrzyła na niego podejrzliwie. Komplementy Thorn'a często kryły w sobie ostre szpikulce.

– I...? – zapytała, szykując się na atak.

Thorn niewinnie wzruszył ramionami.

– I już. Naprawdę świetny strzał. – Nie mógł jednak sobie darować. – Co za szczęście, że przypadkiem wyjęłaś strzałkę z tępym grotem.

Lydia wyrzuciła w górę rękę.

– Wiedziałam! Zawsze musisz wbić mi szpilę, co?

Thorn odwrócił się, by ukryć uśmiech. Pochylił się i chwycił ramię napastnika.

– Zabierzmy tę ślicznotę do zamku. Odsuń się, Kluf!

Kluf postuchała niechętnie, wciąż warcząc z głębi piersi. Thorn podciągnął mężczyznę do pozycji stojącej. Niedoszły zabójca zachwiał się i pomasaował miejsce, w które trafiła strzałka.

Stig wskazał na wierzch jego prawej dłoni.

– Thorn, patrz.

Na dłoni mężczyzny widniał tatuaż przedstawiający skorpiona z groźnie uniesionym kolcem.

Thorn cicho zagwizdał.

– No, proszę, proszę. – Uśmiechnął się do półprzytomnego mężczyzny. Nie był to miły uśmiech. – Zaraz zobaczymy, co nam powiesz o Górze Skorpiona.

Rozdział 12



Geoffrey usiadł wygodnie i z pełnym zadowolenia uśmiechem popatrzył na swoje dzieło. Hal, którzy przez ostatnią godzinę w milczeniu obserwował go przy pracy, spojrzął mu przez ramię.

– Cudowne – powiedział, a Geoffrey odpowiedział uśmiechem.

– Tak. Nawet ja muszę to przyznać. No, ale zobaczymy, jak działa.

Stary złotnik, którego zafascynowało odkrycie, że małe otworki, wywiercone w kawałkach szylkretu potrafią tak poprawić wzrok, zaproponował Halowi, że zrobi do nich specjalną ramkę. Umieścił oba dyski w drucianej oprawce, w odległości centymetra, łączący je drucik który miał znaleźć się na nosie użytkownika, podszył kawałkiem materiału, do dysków pod kątem prostym przylutował drucziane ramiona, wygięte na końcach, tak by dało się założyć je za uszy.

Teraz podniósł swe dzieło i podszedł do okna. Delikatnie odginając ramiona, włożył urządzenie na nos, w ten sposób, że szylkretowe dyski zakryły oczy, a środkowa część znalazła się na nosie, przytrzymując je w miejscu.

I spojrzął za okno.

Głośno wciągnął powietrze, a potem wydał z siebie entuzjastyczny okrzyk.

– Działa? – spytał z nadzieją Hal. Geoffrey odwrócił się w jego stronę. Przedstawiał cokolwiek dziwny widok. Szylkretowe kółka nadawały jego twarzy złowieszczy wyraz, upodabniając ją do czerepu. Ale nigdy żaden czerep nie uśmiechał się tak radośnie jak teraz Geoffrey.

– Niesamowite – stwierdził. – Te otworki naprawdę poprawiają mi wzrok. Widzę znacznie wyraźniej. – Zdjął cudowny wynalazek, potrząsnął głową z lekkim smutkiem. – To był świetny pomysł.

Hal, przekonawszy się, że mała dziurka pomaga skupić wzrok, postanowił poeksperymentować. Kupił od Geoffreya jeszcze jeden kawałek szylkretu i kazał mu wywiercić jeden otwór pośrodku i kilkanaście kolejnych dokoła. Rezultat okazał się bardzo zadowalający. Środkowy otwór nadal pomagał skupić wzrok, a dodatkowe dziurki poszerzały pole widzenia. Hal i złotnik uśmiechnęli się do siebie. To był bardzo owocny poranek.

Hal sięgnął do sakiewki przy pasie.

– Ile jestem ci winien? – zapytał. Ale Geoffrey wyciągnął sękatą dłoń i zamknął ją wokół dłoni Hala.

– Nic – powiedział. A kiedy Hal zaczął protestować, dodał: – Sam zamierzam sobie coś takiego zrobić. I tobie jestem winien podziękowanie za pomysł. A więc nie wezmę od ciebie zapłaty. Zapłaciłeś, poprawiając mi wzrok.

Hal czuł, że mężczyzna mówi szczerze. Cofnął rękę i skłonił głowę z wdzięcznością.

– Jesteś pewien? – spytał na wszelki wypadek. – Straciłeś najlepsze godziny dnia, pracując nad ramką.

– Jestem pewien. – Geoffrey delikatnie owinął ramkę w kawałek giemzy i podał ją Halowi. – Idź, pokaż swój wynalazek przyjacielowi.

Hal wsunął zawiniątko do kieszeni i ruszył za Geoffreym do wyjścia.

Złotnik podał mu rękę.

– Do widzenia, Halu. Jeśli wszystkie twoje pomysły są tak doskonałe, masz przed sobą świetlaną przyszłość.

Hal uśmiechnął się niepewnie.

– Niestety, nie. Zaliczyłem też kilka katastrof. Cieszę się, że tym razem tak się nie stało.

– Ja też. A teraz ruszaj. Ja zaś zaraz siadam do pracy, zrobię sobie te... zawahał się. – Jak to właściwie nazwać?

Hal wzruszył ramionami.

– Może „widzące dyski”? – zaproponował, ale Geoffrey tylko się skrzywił.

– Trochę banalne – odparł. – I mało dźwięczne. I za długie.

– Hm – powiedział Hal z namysłem. – Skoro się przez nie patrzy, to może w takim razie „patrzałki”?

Geoffrey wysunął dolną wargę.

– Niewiele lepiej.

– Nic lepszego nie wymyślę – stwierdził Hal. – Zostają „patrzałki”.

Złotnik ponuro pokręcił głową.

– Raczej się nie przyjmie.



Oczywiście, kiedy Hal dotarł do zamku, nigdzie nie mógł znaleźć Ingvara. Nie było go w pokoju ani w dużej wspólnej komnacie, służącej drużynie do odpoczynku. Siedzieli tam za to Stefan i Edwin, który zdążył uporać się z aprowizacją.

Jesper krążył po korytarzach, przyglądając się zamkom z profesjonalnym zainteresowaniem, które Hal uznał za dość niepokojące. Znalazł go na drugim piętrze, pochylonego nad ciężkim zamkiem, znacznie bardziej imponującym od prostych mechanizmów, w które wyposażono drzwi sypialni.

– Zapomnij, Jes – powiedział Hal.

Jesper drgnął, spojrzał na niego i uśmiechnął się rozbijając.

– Zauważyłeś – powiedział – że kiedy ludzie mają coś cennego, zwykle ogłaszają ten fakt wszem i wobec, wstawiając w drzwi, za którymi to coś trzymają, wielkie mocne zamki? Gdyby założyli zwykły, w ogóle nie zwróciłbym nań uwagi.

– Na ten też lepiej nie zwracaj – ostrzegł Hal. – Widziałeś Ingvara?

Jesper potrząsnął głową.

– Nie widziałem go od rana.

Hal odwrócił się, przeszedł kilka kroków i przystanął. Jesper nadal kontemplował zamknięte drzwi.

– Jak mocny jest ten zamek?

– Całkiem solidny – odparł Jesper. – Otworzenie go zajęłoby mi co najmniej minutę.

Hal wzniosł oczy do nieba i ruszył dalej przeszukiwać ogromną budowlę i jej otoczenie. W końcu znalazł Ingvara na jednej z wieżyczek. Siedział na drewnianej ławce, wsparty plecami o rozgrzany kamienny mur, z twarzą wystawioną do słońca i zamkniętymi oczami.

– Znowu zamierzasz mnie namawiać, żebym został, Halu?

Hal przystanął, zaskoczony.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

Ingvar, nie otwierając oczu, uśmiechnął się i odparł:

– Rozpoznaję twój sposób chodzenia. Bardzo charakterystyczny. Jakbyś wiecznie się dokądś spieszył.

Hal z namysłem pokiwał głową. Słyszał, że u osób o słabym wzroku wyostrajają się inne zmysły, na przykład

śluch. Najwyraźniej tak się stało w przypadku Ingvara.

Usiadł na ławce obok przyjaciela.

– Niezłe miejsce.

Ingvar kiwnął głową.

– Ciepłe i osłonięte od wiatru. A w jednym z tych pokoi śpiewała przed chwilą jakaś dziewczyna. Ładny głos.

Hal rozejrzył się dokoła. Znajdowali się teraz powyżej piętra, na którym mieli sypialnie. Z blanków rozciągał się widok na lasy, było też widać zabudowania we wsi.

– Ładny widok – rzucił.

Ingvar już się nie uśmiechał. Otworzył oczy i spojrzał prosto na Hala. Pomyślał, że to nie w jego stylu, taki brak taktu.

– Muszę uwierzyć ci na słowo.

Hal wzruszył ramionami.

– Może wcale nie. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął patrzalki. Ostrożnie rozwinął giemzę i podał je Ingvarowi.

Olbrzym zmarszczył brwi. Z tak bliska widział przedmiot dość wyraźnie. Ale nie miał pojęcia, co to jest i do czego służy.

– Skąd to masz? – spytał. Wyczuwał podekscytowanie i napięcie Hala. Tak jak wtedy, kiedy zbudowali Zadymiarza i wypróbowywali go na plaży, kilka miesięcy temu, na dalekim wybrzeżu Morza Białych Sztormów.

– Załóż je – polecił Hal. – Nie ruszaj się i zamknij oczy.

Hal ostrożnie rozwarł drucziane uchwyty i wsunął patrzalki na nos Ingvara, zaczepiając wygięte końcówki za jego uszami.

Ingvar drgnął lekko, czując na nosie dotknięcie poduszcзки.

– Co to jest? Co ty wyprawiasz?

– Zaczekaj. Zaraz zobaczysz – odparł Hal. Nagle uświadomił sobie, że są to prorocze słowa. – Nie otwieraj oczu.

Wstań.

Ujął ramię Ingvara i pomógł mu się podnieść. Potem położył dłoń na łopatkach przyjaciela i odwrócił go twarzą w stronę rozciągającego się w dole krajobrazu.

– Otwórz oczy.

Minęło kilka sekund. Nagle rozległ się okrzyk zaskoczenia. Ingvar potrząsnął głową.

– Na brwi Gorloga! – wyjąkał z zachwytem i zdumieniem. – Ja widzę! – Wskazał na ciemną linię lasu. – Widzę drzewa! – mówił podekscytowany. – Wcześniej widziałem tylko ciemną plamę. A teraz widzę drzewa! Patrz! – Tu wskazał na oddział żołnierzy, odbywających musztrę w parku. – Tam są ludzie. Ich też widzę!

– A co to za ludzie? – spytał prędko Hal. Bardzo chciał się dowiedzieć, w jakim stopniu okulary polepszyły wzrok Ingvara. Ingvar pochylił się do przodu.

– Żołnierze – odparł. – Widzę ich tarcze i włócznie. Zbroje lśnią w słońcu. Na wąsy mojej drogiej cioteczki, to jest niebywale!

– Twoja droga cioteczka miała wąsy? – zdziwił się Hal. Ingvar przytaknął.

– W ten sposób odróżnialiśmy ją od wujka. On zawsze gładko się golił.

Ingvar rozglądał się dokoła z zapalem. Wskazał na proporce ponad ich głowami. Po raz pierwszy widział je wyraźnie, a nie jako trzepoczące zamazane plamy.

– Flagi! – stwierdził z zachwytem. – Żółte, niebieskie i fioletowe! Przepiękne!

– To tylko flagi – odparł, ale Ingvar energicznie potrząsnął głową.

– Może dla ciebie. Ale dla mnie są przepiękne! – Jego głowa kręciła się na wszystkie strony. – O, to zbyt cudowne, nie da się tego wyrazić słowami! Jak na to wpadłeś? To jeden z twoich najlepszych pomysłów!

Hal wzruszył ramionami.

– Wiesz, w sumie nie jestem pewien. Powiedziałeś, że kiedy mrużysz oczy, widzisz wszystko trochę wyraźniej.

I... tak jakoś zaeksperymentowałem.

Ingvar potrząsnął głową. Ostrożnie zdjął patrzalki i przyglądał im się z zachwytem.

– Jak mam ci dziękować?

Na twarzy Hala z wolna pojawił się uśmiech.

– Po prostu przestań bredzić, że zamierzasz nas opuścić.



Rozdział 13



*K*iedy myśliwi wyłonili się z lasu, prowadząc jeńca, wśród strażników na moście zapanowało spore poruszenie. Ulf i Wulf trzymali niedoszłego zabójcę mocno pod ramiona, w ten sposób, że stąpał dosłownie na czubkach palców. Klufbiegła obok, zataczając kręgi wokół całej trójki i wydając z siebie groźne niskie warczenie.

Dowódca jednostki podszedł do nich i zasalutował.

– Co się dzieje, wasza wysokość? – spytał Cassandrę.

– Ten człowiek próbował mnie zabić – odparła. – Czy mógłbyś posłać wiadomość memu ojcu?

Dowódca pobiegł wypełnić polecenie. Kilku wartowników podeszło do Ulfa i Wulfa, by zająć się jeńcem. Związali mu ręce z tyłu, a nogi spętali krótkim kawałkiem sznura, tak że mógł stawiać tylko drobne kroki. Kiedy wartownicy zaciągnęli więzy wokół jego dłoni i łokci, głośno krzyknął z bólu.

Zupełnie ich to nie wzruszyło. Cassandra cieszyła się dużą sympatią zamkowych strażników, na myśl, że ktoś chciał ją skrzywdzić, dosłownie kipieli z wściekłości.

Duncan zjawił się po kilku minutach. Tak się spieszył, że zbiegał ze schodów po trzy stopnie. Kiedy Cassandra opowiedziała, co się wydarzyło i jak Skandianie zapobiegli tragedii, wśród wartowników znowu rozległ się gniewny pomruk.

Nie dość, że ktoś nastawał na życie ich księżniczki, to jeszcze uratowali ją cudzoziemcy. Ich zawodowa i narodowa duma została dotkliwie urażona. Brutalnie popychali jeńca przed sobą.

– Zaprowadźcie go do wartowni – rozkazał król. W Zamku Araluen nie było lochów więziennych, Duncan uważał, że są niehumanitarne. Wartownia, wyposażona w cele i pilnowana, doskonale nadawała się do przetrzymywania więźniów.

Weszli do środka. Pomieszczenie urządzono raczej praktycznie i surowo. Stały tam wielki drewniany stół i dwanaście krzeseł o prostych oparciach. Tutaj strażnicy jadali posiłki i odpoczywali między wartami. Z boku znajdowały się ciężkie wzmocnione okuciami drzwi, wiodące na korytarz, gdzie umieszczono kilka cel. W pomieszczeniu akurat przebywało trzech wartowników. Mocno zdziwieni na widok króla, który nieczęsto ich odwiedzał, pospiesznie usiłowali doprowadzić do porządku ubiór i broń.

– Posadźcie go tutaj – polecił Duncan, trzymającym jeńca wartownikom i wskazał na stojące pod ścianą drewniane krzesło.

Wartownicy pchnęli go na siedzenie. Jeniec potoczył wzrokiem dokoła. Duncan stopą przysunął sobie drugie krzesło, ustawił je naprzeciwko w odległości metra i usiadł, pochylony do przodu. Cassandra, Czaple i dowódca straży otoczyli króla. Stig wziął Kluf na smycz. Próbowała dosięgnąć jeńca, który lypał na nią podejrzliwie. Na wszystkich pozostałych patrzył z wyraźną pogardą.

– Poślij po Crowleya i Gilana – nakazał król dowódcy, nie odrywając wzroku od jeńca.

– I po Hala – dodał Thorn. Dowódca kiwnął głową i wyszedł.

Duncan odwrócił się, spojrzał na Cassandrę.

– Chyba powinnaś nas opuścić. Może zrobić się nieprzyjemnie.

Ale księżniczka potrząsnęła głową. Jej policzki pokrył rumieniec.

– Ten śmieć próbował mnie zabić i udałoby mu się, gdyby Thorn nie złapał beltu. Chcę wiedzieć, kto go przysłał.

Duncan zrobił wielkie oczy. Dopiero teraz o tym usłyszał. Popatrzył na Thornę z podziwem.

– Złapałeś belt?

Thorn kiwnął głową.

– To nic takiego – odparł. – Czasami proteza się przydaje.

Duncan potrząsnął głową. Gilan opowiadał mu o niezwykłej sprawności i umiejętnościach przybysza z Północy. Próbował wyobrazić sobie, jaki trzeba mieć refleks i zręczność, by chwycić belt w locie.

– Rzeczywiście, drobiazg – skomentował. Potem znowu spojrzał na jeńca. – Jak myślicie, skąd on jest?

– Sądząc po stroju i kolorze skóry, powiedziałabym, że z Arydii – odparła Cassandra.

Thorn zauważył, że mężczyzna mimowolnie zerknął na Cassandrę w chwili, gdy wypowiedziała nazwę kraju.

Szybko jednak zapanował nad mimiką, z powrotem nadając twarzy obojętny maskowaty wyraz.

Drzwi się otworzyły i do środka weszli Crowley i Gilan. Powiedli wzrokiem dokoła, zatrzymali zdziwione spojrzenia na jeńcu. Posłaniec nie wtajemniczył ich w żadne szczegóły – bo też ich nie znał. Dowódca kazał mu tylko przyprowadzić zwiadowców do wartowni.

– Co się dzieje? – spytał Crowley. Duncan powstrzymał go, unosząc dłonie.

– Wszystko wyjaśnimy, kiedy przyjdzie skandyjski kapitan. Nie ma sensu się powtarzać.

W tym momencie drzwi znów się otworzyły. Hal, podobnie jak zwiadowcy, zmarszczył brwi na widok związanego człowieka. Zanim zdążył o cokolwiek zapytać, Duncan przemówił:

– No dobrze. Są wszyscy. Próbowano zabić moją córkę. Ten oto mężczyzna – tu wskazał jeńca, choć raczej nie było to potrzebne, pozostali zdążyli się zorientować, że mają przed sobą niedoszłego mordercę – strzelił do niej z kuszy. – Król spojrzał na Hala. – Twój człowiek, Thorn, chwycił belt w locie.

Hal nie był zaskoczony. Spojrzał na Thornę i z uznaniem kiwnął głową.

– Dobra robota – rzekł i wzruszył ramionami.

Duncan uniósł brew. Reakcja Hala, to, że wyczyn Thornę nie zdziwił go ani szczególnie mu nie zaimponował, wiele mówił na temat Skandian. Gilan wspominał, że to bardzo sprawni i zdolni ludzie. I zdaje się, że miał rację.

– Kiedy to się stało? – spytał Crowley. Odpowiedział mu Stig:

– Właśnie weszliśmy do lasu. Zabójca ukrył się w zaroślach, ale Kluf zauważyła go i nas ostrzegła.

– Kluf! – powiedziała właścicielka imienia. Hal, który bacznie przyglądał się jeńcowi, zauważył, że ten drgnął w chwili, kiedy pies szczeknął. Prędko się opanował, na kamiennej twarzy znowu pojawił się wzgardliwy uśmiešek.

– A więc ten człowiek czekał na was w ukryciu? – upewnił się Gilan. – To nie było przypadkowe spotkanie? – zwrócił się do Cassandry, która odparła z namysłem:

– Nie. Wszystko wskazuje na to, że się nas spodziewał. Pamiętaj, że nasza wyprawa nie była żadną tajemnicą. Wiele osób o niej wiedziało, zarówno mieszkańców zamku, jak i wsi. Najęliśmy naganiaczy, więc wieści z pewnością szybko się rozniosły.

– A co mówi on sam? – spytał Crowley, mierząc kciukiem w jeńca.

Duncan spojrzał na niego z ponurą miną.

– Jak na razie nie za wiele. Chciałem zaczekać, aż wszyscy się zbiorą. – Pochylił się do przodu, aż twarze jego i jeńca znalazły się w odległości zaledwie metra od siebie.

– Kim jesteś i kto cię przysłał? – zapytał. Jeniec uśmiechnął się z pogardą i uciekł wzrokiem w bok. Duncan błyskawicznie chwycił go za podbródek i brutalnie odwrócił jego twarz w swoją stronę.

– Pytam, kim jesteś – powtórzył.

Mężczyzna tylko prychnął. Chciał znowu się odwrócić, ale Duncan trzymał go w żelaznym uścisku.

– Jestem cywilizowanym człowiekiem – dodał Duncan, cichym groźnym tonem – ale jestem też ojcem, a ty próbowałaś zabić moją córkę. Ostrzegam cię. Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę.

Jeniec wreszcie spojrzał Duncanowi prosto w oczy.

– Nic mi nie możesz zrobić – powiedział z wyraźnym akcentem. – Moje życie należy do bogini Imriki, ona mnie ochroni.

Popatrzyli na siebie ze zdumieniem. Po raz pierwszy słyszeli o takiej bogini. Duncan znowu zwrócił się do jeńca:

– Opowiedz nam o tej Imrice.

Ale mężczyzna potrząsnął głową.

– Jesteście niewierni. Nie zamierzam opowiadać o bogini Skorpiona takim jak wy.

Duncan ciężko wypuścił powietrze.

– Opowiesz albo skazę cię na tortury.

Wcale nie miał takiego zamiaru. Co więcej, nie miał nawet ludzi, którzy potrafiliby wykonać taki rozkaz. Ale jego głos tego faktu nie zdradzał, a oczy patrzyły twardo i stanowczo. Jeniec posłał mu krzywy uśmiech.

– Nic mi nie zrobisz. Imrika sprawi, że nie poczuję bólu.

Thorn podszedł bliżej i z zaskoczenia walnął mężczyznę w twarz. Krzesło zachwiało się pod mocnym ciosem, a mężczyzna wrzasnął z bólu.

– Chyba wzięła dzisiaj wolne – stwierdził Thorn. – Bez wątplenia poczułeś ból. Następnym razem użyję prawej ręki. – Podsunął mu pod nos drewniany hak.

– Wystarczy! – krzyknął gniewnie Duncan. – Nie pozwolę, żebyś bił bezbronnego człowieka.

– Jak sobie życzysz – odparł Thorn. – Ale to morderca, nie rozumiem, czemu miałbym się z nim cackać.

Duncan rzucił mu groźne spojrzenie. Hal wystąpił do przodu.

– Zostaw, Thorn – polecił. Thorn odwrócił się, mrucząc coś pod nosem. Hal powiedział do króla: – Chyba mam pewien pomysł, wasza wysokość. Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Przeszli w najdalszy kąt pomieszczenia.

– On się nas nie boi – stwierdził Hal. – I wyczuł, że wcale nie zamierzasz go torturować.

Duncan wzruszył ramionami.

– Nie jestem zwolennikiem takich metod.

– I słusznie. Ale obserwowałem go i zauważyłem, że jest jedna rzecz, która może rozwiązać mu język. –

Wskazał na Kluf, napierającą na smycz, w odległości kilku metrów od jeńca.

– Pies? – zdziwił się Duncan.

– Za każdym razem, kiedy Kluf się porusza, on aż podskakuje w miejscu. Próbuje nad sobą panować, ale to silniejsze od niego. Pozwól, że zadam mu kilka pytań.

Po namyśle Duncan kiwnął głową.

– Bardzo proszę. Na pewno nie pogorszysz sytuacji.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Hal i Duncan wrócił do pozostałych. Hal wziął od Stiga smycz i podszedł z Kluf do związanego mężczyzny. Kluf zawarczała z głębi piersi. Hal obserwował jeńca, który nie odrywał wzroku od psa. Jego oczy rozszerzyły się ze strachu.

– Kluf, hop – powiedział cicho Hal, ruchem ręki podkreślając polecenie. Kluf wspięła się na tylnych łapach, przednie kładąc na ramionach jeńca, tak że jej łeb znalazł się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Mężczyzna odsunął się najdalej, jak mógł, jego czoło pokryła wilgotna warstwa potu.

– Daj głos! – Hal wydał polecenie po skandyjsku, tak by mężczyzna nie wiedział, czego się spodziewać.

Kluf zaczęła szczekać. Ze zjeżoną na karku sierścią wyglądała na dwa razy większą. Ujadała ogłuszająco, szczerząc wielkie kły zaledwie kilka centymetrów od skurczonej twarzy jeńca.

Taktyka przyniosła natychmiastowe rezultaty.

– Stop! Stop! – wrzasnął jeniec, przerażony bliskością wściekłego zwierzaka. – Zawołaj psa!

Hal pozwolił Kluf zaszczekać jeszcze kilka razy. Jeniec odwrócił twarz najdalej, jak tylko mógł, z jego oczu wycierało śmiertelne przerażenie. W końcu Hal kazał Kluf przestać.

– Zejdź – polecił i Kluf posłusznie opadła na cztery łapy. Następnie zasypał jeńca gradem pytań, prędko, by ten nie zdążył się zorientować, że już nic mu nie grozi.

– Imię?

– Ushir – odparł jeniec drżącym głosem.

– Co to jest Sekta Skorpiona?

– Służymy bogini Imrice.

– A kim ona jest? – Hal utrzymywał szybkie tempo, nie pozostawiając mężczyźnie czasu na zastanowienie.

– Boginią śmierci. Boginią Skorpiona.

– A więc Sekta Skorpiona to banda morderców? – spytał Hal. Jeniec wrzuszył ramionami.

– Służymy bogini Imrice – powtórzył. – Jeśli każe zabijać, zabijamy.

– A dlaczego kazała ci zabić księżniczkę? – spytał Hal, wskazując na Cassandrę. Tak jak pozostali, zafascynowana przyglądała się przestuchaniu.

Niedoszły zabójca zerknął na nią i oblizwał wargi. Długo nic nie mówił. Hal spojrzał na Kluf, uniósł rękę. Ushir momentalnie odzyskał głos.

– Nie! nie! Zostaw psa, błagam. Przeciwno księżniczce wydano tolfah.

Hal wymienił spojrzenia z Crowleyem i Gilanem. Obaj wrzuszyli ramionami. Ponownie zwrócił się do Ushira:

– Co to jest tolfah?

Mężczyzna zawahał się, spojrzał na psa. Tak się złożyło, że w tym momencie Kluf zaczęła warczeć, znowu jeząc sierść na grzbiecie.

– To umowa zawarta z boginią. Polega na tym, że bogini żąda śmierci obiektu, na którym spoczywa tolfah – tłumaczył pośpiesznie.

– A jak można odwołać tę umowę? – spytał Duncan.

Ushir spojrzał na niego, jakby nieco odzyskał pewność siebie.

– Nie można – odparł.

Potem zamknął usta i zapatrzył się przed siebie. Nie zamierzał nic więcej powiedzieć, pies nie pies. Hal zrobił krok w tył. Zebrani wymienili zmartwione spojrzenia. W końcu Thorn przerwał ciszę.

– Hm, no to mamy kłopot – stwierdził.

Rozdział 14



*P*ostałem gołębia z wiadomością do Selethena – powiedział Duncan. – Z prośbą, by dowiedział się czegoś więcej o Sekcie Skorpiona. Selethen ma nad wami czuwać, kiedy będzie przekraczać Cieśninę Ikbara. Trzymajcie się blisko arydzkiego wybrzeża. Selethen skontaktuje się z wami.

Zebrali się na molo, przy którym cumowała „Czapla”. Członkowie drużyny już byli na pokładzie. Hal i Thorn zostali na molo wraz z królem, Cassandrą, Crowleyem i Gilanem. Nie wyciągnęli nic więcej od Ushira, który najwidoczniej doszedł do wniosku, że skoro Duncan nie zamierza go torturować, to raczej nie pozwoli też na to, by ten wielki pies zrobił mu krzywdę. Nie powiedział więcej ani słowa.

– Tolfah to paskudna sprawa – zauważył Gilan. – Bardzo nie lubię, kiedy religia miesza się ze zbrodnią.

Crowley kiwnął głową.

– Walka z fanatykami nigdy nie jest łatwa. Może trzeba będzie zniszczyć tę sektę.

Gilan wzruszył ramionami.

– Łatwo powiedzieć.

– Najpierw spróbuj ich przekupić – powiedział Duncan. – Zaproponuj ofiarę dla Imriki. Zbuduj jej świątynię czy coś w tym stylu.

– Spróbuję. Ale nie przypuszczam, by tak gładko poszło – stwierdził Gilan.

Duncan ponuro pokiwał głową.

– Ja też nie. Zawsze jednak warto spróbować. A jeśli będziesz musiał użyć siły, poproś Selethena o pomoc zbrojną. Na pewno nie jest zachwycony, że na terenie jego kraju działa sekta morderców.

Thorn rzucił niewielką gałązkę do wody i przez chwilę przyglądał się, jak dryfuje na powierzchni, zataczając kręgi, to w tę, to w tamtą.

– Martwa woda – stwierdził. – Niedługo zaczną się odpływy.

– Czas ruszać – oznajmił Hal. Uściskiem dłoni pożegnał się z Duncanem, Crowleyem i Cassandrą.

– Żałuję, że nie mogę z wami popłynąć – powiedziała księżniczka.

– Ja też – skłamał Hal. Wcale nie miał ochoty zabierać na pokład pasażerów wysokiej rangi. To mogłoby skomplikować panujące porządki.

Poprzedniego wieczoru Cassandra na próżno usiłowała przekonać ojca, by pozwolił jej wziąć udział w wyprawie. Duncan nie ustąpił. Puścił ją na polowanie i o mało nie przypląciła tego życiem. Tym razem stanowczo odmówił.

– Cóż, nie wszyscy mogą się dobrze bawić – stwierdziła Cassandra. – Bezpiecznej podróży, Lydio.

Przez ten krótki czas zdążyła bardzo polubić tę poważną dziewczynę. Szanowała i podziwiała osoby, wykazujące się wyjątkowym talentem czy umiejętnościami, a Lydia z pewnością do takich należała.

Lydia kiwnęła głową w podzięcie.

– Wskakujmy na pokład – zarządził Hal. Thorn jednym zdecydowanym krokiem pokonał wąską otchłań między molo a burtą łodzi, Gilan poszedł w jego ślady, z większą ostrożnością. Całą wolną przestrzeń zajmowały zapasy: siatki pełne chleba i warzyw, beczki z wodą i mięso. Duncan nie zamierzał oszczędzać na swoich sprzymierzeńcach, a Edvin w pełni wykorzystał jego szczodrość.

– Wciągnijcie cumę dziobową – polecił Hal. Stefan wypełnił rozkaz. „Czapla”, przytrzymywana jedynie cumą rufową, zaczęła oddalać się od molo, pchana podmuchem wiatru. Nie musieli więc jej odpychać. Przycumowali ją od strony bakburty, dziobem w dół rzeki, a wiatr wiał z północy.

– Prawy żagiel – rozkazał Hal. Stefan i Jesper czekali na to hasło – prawy żagiel i rejka podniosły się momentalnie, wiatr wydał płótno. Ulf i Wulf, zajmujący swą pozycję przy szotach, spojrzeli na Hala, on jednak uniósł rękę na znak, że mają zaczekać.

– Stig, cuma rufowa.

Stig pociągnął lekko linę, po czym, zanim zdążyła się naprężyć, pociągnął z wprawą do góry, aż pętla zeskokczyła z pachołka. „Czapla” była wolna i dryfowała na środek rzeki. Żagiel głośno trzepotał na wietrze.

– Wybrać żagiel! – zawołał Hal. Bliźniacy wykonali polecenie. Łódź nabrała mocy i pomknęła przed siebie, pchana wiatrem i siłą pływu, zmierzającego w stronę morza.

Niewielka grupka zebrana na molo szybko malała w oddali. A kiedy dotarli do zakrętu, Duncan, Crowley i Cassandra całkiem zniknęli z ich pola widzenia.

Mieli półwiatr z lewej strony. Hal prowadził łódź lekkim zygzakiem, dzięki czemu nie musieli ciągle robić zwrotów.

Ingvar sięgnął do kieszeni i wyjął owinięte w gienzową skórę patrzalki. Wyjął je delikatnym ruchem i umieścił na nosie. Z rozpromienioną miną powiódł wzrokiem od jednego brzegu rzeki do drugiego.

– Fantastyczne! – wykrzyknął. – Patrzcie! Drzewa! I chatka! A tam, to stóg siana, prawda? – spytał trochę niepewnie.

Stefan potwierdził z szerokim uśmiechem:

– Zgadza się, to stóg siana.

Ingvar spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Tak mi się wydawało – powiedział. – Ale w sumie nigdy nie widziałem żadnego stogu.

Członkowie drużyny dowiedzieli się o patrzalkach poprzedniego dnia, podczas gdy Hal, Thorn i Stig przesłuchiwali jeńca. Wszyscy cieszyli się szczęściem swego potężnego kolegi i dla zabawy wypytywali go, co widzi.

– Co to jest, Ingvarze? – zaczął Ulf, wyciągając rękę przed siebie.

Ingvar pochylił się do przodu i zapatrzył we wskazany kierunek.

– Farmer orze pole.

– A to? – Stefan wskazał na przeciwległy brzeg.

– Młyn. Tak wygląda młyn? – spytał Ingvar ze szczerym zdumieniem. Stefan zaśmiał się i klepnął olbrzymą w plecy. Lydia podeszła do Hala i położyła mu rękę na ramieniu.

– To, co dla niego zrobiłeś, jest naprawdę niesamowite – powiedziała cicho.

Hal odpowiedział uśmiechem. Zawsze się cieszył, kiedy jakiś jego wynalazek okazywał się udany. Ale w tym przypadku cieszył się podwójnie, bo widział, ile znaczy on dla Ingvara. Potrząsnął głową. A tak niewiele brakowało, by stracili przyjaciela i członka załogi.

– Aż przyjemnie na niego popatrzeć.

Ingvar nadal przeżywał radość z odzyskania wzroku. Stał przy burcie, jedną dłonią przytrzymując się sztagu, niestrudzenie opowiadał, co widzi, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Po chwili Thorn znikł między ławkami i wynurzył się z jakimś długim wąskim pakunkiem, zawiniętym w

plótno.

– Mam coś dla ciebie, Ingvarze.

Ingvar spojrzał na niego, zaskoczony.

– Przypuszczam, że teraz, kiedy będziesz w stanie zobaczyć, w kogo walisz, zaczniesz brać większy udział w walkach – powiedział Thorn. – A ponieważ jest trochę późno na naukę władania mieczem, pomyślałem, że to powinien być odpowiedni dla ciebie rodzaj broni.

Rozwinął plótno i rzucił je na pokład. W jego dłoni tkwił długi przedmiot wyglądający jak skrzyżowanie ciężkiej włóczni z toporkiem. Drzewce zrobiono z ciemnego drewna, niemal dorównującego twardością żelazu. Żeleźce miało kształt grota włóczni, po bokach znajdowały się dwa dodatkowe ostrza: z jednej strony coś na kształt toporka, z drugiej – ostry zakrzywiony kolec.

Ingvar przyjął broń i przez chwilę oglądał ją uważnie, ważąc w dłoniach.

– Dobrze zbalansowana – powiedział z namysłem. – Spodziewałbym się raczej, że będzie oporna i nieporęczna.

Na próbę machnął bronią w powietrzu, potem uniósł i wykonał cios zza głowy. Tak jak powiedział, broń, na oko nieporęczna, w jego dłoniach okazała się lekka i postuszna – chociaż ktoś niższy wzrostem prawdopodobnie uznałby ją za niezbyt wygodną.

– Tak – dodał, wyciągając ręce z bronią przed siebie i patrząc na nią z podziwem. – Chyba mógłbym narobić nią trochę szkody.

– W szeregach wroga – wtrącił Stig z uśmiechem.

Ingvar wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Niemal słyszę, jak wszyscy odetchnęli z ulgą – powiedział. Pośród członków drużyny przebiegł stłumiony śmiech. – Skąd ją wzięłeś, Thornie? I jak się nazywa?

– Znalazłem ją w zamkowej zbrojowni – odparł Thorn. – Jako że dokonałem niezwykłego wyczynu, łapiąc w powietrzu rozpędzony belt i tym samym ratując życie księżniczki, zbrojmistrze ofiarowali mi ją z wielką radością. Nazywa się halabarda.

– Cudaczna nazwa – stwierdził Ingvar.

Thorn wzruszył ramionami.

– Możesz ją nazywać, jak ci się podoba. Na przykład habalarda. Albo bahalarda. To wszechstronna broń. Można nią kłuć, rąbać, bóść.

Mówiąc to, prezentował różne rodzaje ciosów. W jego rękach halabarda stawała się naprawdę groźnym orężem.

Edvin kiwnął głową, był wyraźnie pod wrażeniem.

– To brzmi jak poezja, Thornie. Powinieneś zrobić z tego utwór muzyczny. Ciąć nią, kłuć nią, rąbać, bóść nią. Zdecydowanie jest w tym rytm.

– Ludzie powiadają, że mam talent poetycki – odparł Thorn z fałszywą skromnością w głosie. – Niejedną piosenkę miłosną stworzyłem w swoim czasie.

– Hm, mam nadzieję, że nie użyłeś w żadnej z nich wersu „ciąć nią, kłuć nią, rąbać, bóść nią” – wtrącił Stig. Trudno było się z nim nie zgodzić.

Posuwali się w dół rzeki w dobrym tempie. Wiatr nadal wiał z północy, więc mogli się spodziewać, że przeprawa przez Morze Wąskie pójdzie bez przeszkód. Późnym popołudniem rzeka rozszerzyła się, brzegi rozbiegły i w końcu zmieniły się w niskie zielone cyple gdzieś w oddali, a łódź wypłynęła na morze. Kiedy „Czapla” uniosła się na pierwszej porządnej fali, Hal wydał krótki okrzyk zadowolenia.

Tak, znowu byli na morzu. Czuł się trochę tak, jakby wrócili do domu.



Rozdział 15



W dobrym tempie posuwali się wzdłuż wschodniego wybrzeża Araluenu. Od czasu do czasu, kiedy Morze Wąskie okazywało się godne swej nazwy, po lewej stronie widzieli również brzegi Gallii. Ale potem cieśnina rozszerzała się i szara linia lądu znowu nikła w oddali.

Thorn ćwiczył Ingvara w posługiwaniu się halabardą, a członkowie załogi, którzy akurat nie mieli nic do roboty, przyglądali się treningowi.

Thorn stał zwrócony twarzą do Ingvara, w ręku dzierżył długi kij, udający halabardę. Pilnował, by zachować odpowiednią odległość i pokazywał Ingvarowi różne ciosy, obronne i zaczepne, w jednej długiej serii – która nabierała coraz szybszego tempa.

– Pchnij! Paruj! W tył! W przód! Znad głowy! Z boku! Paruj! Uderz!

Wykrzykiwał nazwy ciosów w przypadkowej kolejności i nigdy nie powtarzał sekwencji.

– Stój na czubkach palców! – zawołał. – Pamiętaj o sieci!

– Kto by o niej zapomniał? – zauważył Stefan. Podczas pościgu za piratem imieniem Zovac Thorn kazał im trenować w umieszczonej na wysokości kolan wielkiej sieci. Zaskakujące, ale Ingvar okazał się całkiem dobry w tym ćwiczeniu, szczególnie kiedy Thorn poradził mu zamknąć oczy i widzieć sieć oczami wyobraźni.

Ingvar kiwnął głową. Jego brwi ściągnęły się w skupieniu nad ciemnobrązowymi dyskami, przystaniającymi oczy.

– Paruj! Paruj! Paruj! W tył! Pchnij! Nie, przy pchnięciu pracuj nogami, nie tylko rękami!

– Ręce ma całkiem mocne – zaprotestował Stig.

Thorn spojrzał na niego.

– Możliwe. Ale jeśli, zadając cios włócznią, zrobisz wykrok, nadasz uderzeniu niezwykłą siłę. Można powalić nawet konia.

– To chyba jednak nie takie proste – stwierdził sceptycznie Stig.

Thorn uniósł jedną brew.

– Ja tego dokonałem.

Ton jego głosu nie pozostawiał miejsca na dyskusję. Stig uniósł rękę w geście kapitulacji i więcej się nie odezwał. A Thorn wrócił do ćwiczeń. Ruchy, które prezentował, cechowała niezwykła szybkość, precyzja i zwodnicza miękkość.

– Gdzie Thorn nauczył się tak dobrze władać halabardą? Skandianie chyba nie używają tego typu broni? – spytał Gilan stojącego przy sterze Hala.

Hal wzruszył ramionami.

– To broń. Thorn dobrze radzi sobie z bronią.

Po czterdziestu minutach Ingvar był zlany potem i ciężko dyszał z wysiłku. Thorn wreszcie się nad nim zlitował.

– No dobrze. Starczy na dzisiaj. Ale ćwicz dalej.

Ingvar kiwnął głową. Jego twarz przybrała barwę szkarlatu, pierś i ramiona unosiły się gwałtownie. Bał się odezwać. Osunął się na pokład, stopy zwiesił w zagłębieniu między ławkami wioślarskimi, halabardę trzymając między kolanami. Thorn dał mu skórzany pokrowiec na żeleźce, dla ochrony przed powodującą rdzewienie wodą morską. Ingvar owinął broń i położył ją na pokładzie.

– Jak się sprawują patrzaki? – zawołał Hal.

Ingvar podniósł głowę i posłał mu zmęczony uśmiech.

– Są niesamowite. Naprawdę łatwiej mi się żyje, kiedy widzę, co robię. Tylko jeden szczegół... – Zawahał się, nie miał ochoty krytykować genialnego wynalazku. Hal ruchem ręki zachęcił go, by mówił dalej. Ingvar podjął, trochę niepewnie: – Chodzi o to, że kiedy się rozgrzeję i spocę, zjeżdżają mi na nos. A kilka razy myślałem, że zaraz spadną.

Hal pokiwał głową. Pomyślał, że uwaga Ingvara ma sens i że sam powinien był to przewidzieć.

– Przywiążę sznurki na końcach, będziesz mógł wiązać je z tyłu głowy.

Ingvar uśmiechnął się, ucieszony, że rozwiązanie okazało się takie proste.

– Tak. To powinno pomóc.

– Przyniesie je, jak skończę zmianę – powiedział Hal. Potem spojrzał na Thorna, który właśnie podszedł do steru.

– Jest całkiem niezły – rzucił Hal, ruchem głowy wskazując Ingvara.

– Nawet bardzo niezły – odparł Thorn. – Ingvar zawsze był dobry. Jest szybki, ma dobrą koordynację ruchów, szczególnie jak na kogoś tych rozmiarów. Jego problemem był brak wiary w samego siebie. I do tego kiepski wzrok. Dlatego zachowywał się tak niezdarnie. Teraz, kiedy widzi, jego naturalne zdolności nareszcie mogą dojść do głosu. – Powiódł wzrokiem dokoła. – Ktoś jeszcze ma ochotę na drobny trening?

– Ja jeszcze nie skończyłem zmiany – odparł prędko Hal.

Sesje treningowe pod wodzą Thorna były bardzo wyczerpujące, a często również bolesne, nawet jeśli używali drewnianej broni ćwiczebnej. A właściwie szczególnie wtedy – bo Thorn nie odpuszczał. W przypadku prawdziwej broni był nieco bardziej skłonny do ustępstw.

– Ja bym chętnie rozruszał kości – rzucił Gilan.

Wszyscy popatrzyli na niego z zainteresowaniem. Lydia opowiadała, że podczas ucieczki z targu złota w Socorro sam położył kilku strażników.

Thorn wskazał na stos drewnianej broni.

– Weź miecz i przygotuj się.

Gilan zdjął płaszcz i starannie go złożył. Potem wypróbował kilka mieczy, machając nimi w powietrzu, aż znalazł taki, który uznał za odpowiednio wyważony. Odpiął własny miecz i oparł o reling. Był to nowy miecz, sprawił go sobie po powrocie do Zamku Araluen, ponieważ stary stracił podczas walki na targu złota – rzucił nim w jednego z napastników, by zyskać na czasie i uciec przez otwór w dachu.

Spojrzał na Thorna, unosząc brwi.

– Gotów?

Thorn potrząsnął głową.

– Myślę, że chętnie obejrzałbym starcie między tobą a Stigiem. To będzie dla niego cenne doświadczenie.

Gilan zerknął na Skandianina i odparł z uśmiechem:

– Dobry pomysł.

Włożył jedną z pikowanych kurtek treningowych, potem wsunął na dłonie pikowane rękawice.

Stig mruknął na znak zgody, również włożył strój do ćwiczeń i wybrał ze stosu drewniany miecz. Następnie

zjął z burty swoją okrągłą tarczę, wsunął lewe ramię w taśmy.

– A ty nie zamierzasz używać tarczy? – spytał Gilana.

Ten potrząsnął głową.

– Na razie wystarczy sam miecz.

Spojrzeni na Thorn. Członkowie załogi podeszli bliżej. Niektórzy okrzykami zagrzewali Stiga do walki.

– Zaczynajcie – powiedział Thorn.

Stig zareagował błyskawicznie. Zrobił krok w przód i wymierzył cios znad głowy. Spodziewał się, że Gilan odskoczy do tyłu, by go uniknąć i straci równowagę. Ale Gilan nie ruszył się z miejsca. Uderzył mieczem w topór i odbił go. Drewniane ostrze głucho walnęło o pokład. Gilan niemal natychmiast odpowiedział na cios Stiga, mierząc mieczem w jego nieosłoniętą pierś.

Ale ciężka drewniana tarcza zablokowała cios. Poczuł wibrowanie w ramieniu i nadgarstku.

– Nieźle się spisują, obaj – mruknął Thorn do Hala.

Stig był równie szybki, jak Gilan, czuł jednak, że zapewne ustępuje mu pod względem techniki i doświadczenia.

Gilan zaczął machać mieczem, wykonując błyskawiczne pchnięcia: z lewej, z prawej, zza głowy. Stig ustępował, ale bardzo powoli, każdy cios blokował tarczą bądź toporem. W pewnym momencie chwycił opadającą klingę w wąską szczelinę między styliskiem a ostrzem topora. Mocno przekręcił nadgarstek, unieruchamiając miecz i niemal wytrącając go z dłoni Gilana. Zwiadowca czym prędzej odskoczył do tyłu i w ostatniej sekundzie uwolnił miecz. Mruknął z uznaniem.

Ale Stig nie szukał podziwu. Jeszcze raz skoczył do przodu i walnął tarczą w lewe ramię zwiadowcy, aż ten poleciał do tyłu i padł na pokład.

Stig wymierzył potężny cios z góry, ale Gilan uniknął go, przetaczając się na bok. Jednocześnie podciął Stigowi nogi. Stig padł na pokład.

Obaj w tym samym momencie podnieśli się kocim ruchem i stanęli naprzeciw siebie. Gilan zareagował pierwszy. Zamierzył się mieczem, po czym błyskawicznie przerzucił go do lewej ręki. Stig, zupełnie zaskoczony, poczuł lekkie dotknięcie ostrza na piersi.

Kilku członków załogi jęknęło. Jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło się, by ich pierwszy oficer poległ w walce.

Jesper zaklął pod nosem. Żałował, że nie przyjął zakładów.

– Starczy! – krzyknął Thorn. Zawodnicy odsunęli się od siebie, ciężko dysząc.

– Niezły ruch – powiedział Thorn do Gilana.

Stig zgodnie kiwnął głową.

– W ogóle go nie zauważyłem – przyznał. – W przyszłości postaram się uważać.

– Masz ochotę na jeszcze jedną rundę? – spytał Thorn.

Gilan zauważył, że Thorn zmienił protezę na potężną maczugę, którą zrobił dla niego Hal i której zawsze używał podczas walki. Gilan kiwnął głową, zmrużył oczy. Pomyślał, że to może być interesujące starcie. W lewej dłoni Thorn dzierżył niewielką metalową tarczę.

Zawodnicy ustawili się naprzeciwko siebie. Jesper z wściekłością stwierdził, że znowu nie zdąży zebrać zakładów.

– Hal, daj sygnał – polecił Thorn, nie odrywając wzroku od szczupłej postaci zwiadowcy.

– Start! – krzyknął Hal i walka się rozpoczęła.

Gilan spodziewał się, że Thorn uderzy maczugą z góry bądź z boku. Ale Thorn całkowicie go zaskoczył. Wprowadził cios prosto do przodu, przełamał gardę i wymierzył bezpośrednio w żebra Gilana. W ostatniej chwili cofnął rękę, ale Gilan uświadomił sobie, że gdyby to była prawdziwa walka, już leżałby na ziemi z połamanymi żebrami. Jego przeciwnik potrzebował zaledwie kilku sekund, by zadać zwycięski cios. Potrząsnął z podziwem głową, po czym znowu ustawił się w pozycji do walki.

– Nie przerywajmy – powiedział. Ledwo wybrzmiały te słowa, wyrzucił miecz do przodu i zadał serię prędkich pchnięć, jednocześnie pracując prawą nogą, by nadać im większą siłę.

Thorn cofnął się, parując ciosy tarczą, w każdej chwili gotów użyć maczugi, wykorzystać najmniejszą lukę.

Ale się nie doczekał. Ciosy Gilana padały szybko i efektywnie. Nigdy nie tracił równowagi, nigdy nie dawał Thornowi okazji do kontrataku.

Jednocześnie uświadomił sobie, że jego uderzenia w żaden sposób nie potrafią Thornowi zaszkodzić. Stary wilk morski wszystkie parował lub blokował, jego tarcza tworzyła nieprzeniknioną barierę, zawsze znajdował się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Gilan stwierdził w myślach, że jego przeciwnik ma niebywały refleks.

Uznał więc, że czas spróbować czegoś innego. Cofnął się o krok. Przez chwilę bacznie mierzyli się wzrokiem, czekając na kolejny ruch. Wykonał go Gilan. Zamierzył się mieczem z góry, ale w ostatniej sekundzie przerzucił go do lewej ręki, tak jak podczas walki ze Stigiem.

Jednakże miecz nie trafił do celu.

Pchnięty ciosem maczugi, poleciał w górę, ponad głowę Gilana. Stig wyciągnął rękę i chwycił miecz, zanim ten zdążył zniknąć w morskich odmętach.

Żałoga zaczęła wiwatować na cześć Thornu. Brak prawej ręki w niczym mu nie przeszkadzał. Był jednym z najwspanialszych wojowników, jakich kiedykolwiek widzieli. Gilan zdał sobie sprawę, że również jednym z najwspanialszych, jakich kiedykolwiek on miał okazję oglądać.

– Wiedziałem, że spróbujesz tej sztuczki wcześniej czy później – przyznał Thorn.

Gilan uśmiechnął się smętnie.

– Jesteś człowiekiem, który chwyta belty w locie. Powiniennem być pamiętać.

Thorn kiwnął głową.

– To prawda. Ale sam się zdradzasz.

Uśmiech ustąpił miejsca zdumionej minie.

– A co takiego robisz? – zapytał. – Widać to w moich oczach? O co chodzi?

Thorn potrząsnął głową.

– Sekundę wcześniej lekko zginasz palce lewej ręki, szykujesz się do złapania miecza. Zauważyłem to, kiedy walczyłeś ze Stigiem i spodziewałem się, że powtórzysz ten gest.

Gilan popatrzył na lewą dłoń.

– Nie miałem pojęcia – powiedział cicho. – Dziękuję. Muszę się tego oduczyć.

– Radziłbym – odparł Thorn.

Gilan popatrzył na niego z szacunkiem. Nie każdy dostrzegłby taki drobny ruch – a jeśli nawet by go zauważył, obserwując czyjąś walkę, to niekoniecznie potrafiłby wykorzystać tę wiedzę w chwili, kiedy sam walczy. Gilan uświadomił sobie, że Thorn być może uratował mu życie, zwracając uwagę na ten mały błąd. Kiwnął głową z wdzięcznością. Thorn odebrał ten gest prawidłowo – jako szczere i serdecznie podziękowanie. Zwrócił się do reszty załogi:

– Ktoś jeszcze chciałby zmierzyć się ze sławnym łapaczem-beltów-w-locie? – zapytał z krzywym uśmiechem. Wszyscy stanowczo odmówili, prędko odwracając wzrok i unikając spojrzenia Thornu.

Wszyscy z wyjątkiem Lydii.

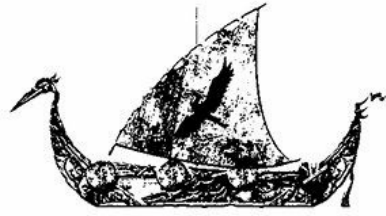
– Ja podejmę wyzwanie, staruszkę – oznajmiła. Thorn ze zdumieniem uniósł brwi. – Ale na lądzie. W odległości pięćdziesięciu kroków. Zobaczymy, ile moich strzałek złapiesz w locie, zanim zrobię z ciebie szaszłyk.

Tym razem Jesper postanowił wykorzystać szansę.

– Przyjmuję zakład! – wykrzyknął z zapalem. – Dwa do jednego na Lydię. Jeden do jednego na Thornu!

Thorn rzucił mu kpiące spojrzenie.

– Tanio ją sprzedajesz – zauważył.



Rozdział 16



Kilka dni później obrali kurs na wschód i pokonali przesmyk, znany pod nazwą Cieśniny Ikbara.

Na horyzoncie ukazały się oba przylądki: najdalej na południe wysunięty punkt Iberii i północny kraniec Arydii. Kiedy znaleźli się w cieśninie, wiatr z północy, który towarzyszył im przez całą drogę wzdłuż wybrzeży Araluenu, stracił na sile i zaczął wiać nierównymi porywami. Żagiel opadł i załopotał. Hal rozważał, czy nie posadzić załogi przy wiosłach, ale nagle cieśnina się rozszerzyła, a wiatr znów się ustabilizował.

– Jak sądzicie, czy ten cały Ikbar był bardzo szczupły? – zapytał Ulf z fałszywą niewinnością, nawiązując do dialogu, na który dał się złapać Gilan podczas poprzedniej przeprawy przez cieśninę. Ale zwiadowca nie zamierzał ponownie wpaść w tę samą pułapkę. Popatrzył na bliźniaków, aż w końcu dotarło do nich, że nie połknął przynęty.

Wulf znalazł sobie kolejny temat do rozważań.

– Dziwny język ten arydzki, prawda? – zaczął. Jego brat nie miał pojęcia, dokąd zmierza Wulf, ale wyczuł, że to kolejny żarcik i natychmiast zgodnie pokiwał głową.

Dla pozostałych było to wystarczającym ostrzeżeniem, że bliźniaki znowu coś kombinują. Ulf i Wulf nigdy się ze sobą nie zgadzali, chyba że chcieli zabawić się cudzym kosztem.

– Bardzo dziwny – potwierdził Ulf z przekonaniem.

Jego brat podjął:

– Te ich nazwy prawie się między sobą nie różnią. Gonimy człowieka imieniem Iqbal, a ten pół- czy ćwierć- czy ileś-tam-bóg czy kto to był, nazywał się Ikbar.

– Wiem, o co ci chodzi – pospiesznie wtrącił Ulf, chociaż wcale nie wiedział. Wulf ciągnął dalej:

– Czy nie mogliby wymyślić imion, które bardziej się różnią? No bo między Ikbarem i Iqbalem jest różnica zaledwie dwóch liter. To bardzo dziwaczne...

– Bardzo – zgodził się Ulf.

Stig i Hal popatrzyli na siebie, ciekawi, czy ktoś z drużyny wpadnie w zasadzkę. Ale Lydia skutecznie zdusiła dalszą dyskusję.

– Ciekawe spostrzeżenie – zauważyła – ze strony osób, które noszą imiona Ulfi i Wulfi.

Kilku członków drużyny zaczęło się śmiać. Ulf i Wulf, zaskoczeni logicznym argumentem, przez chwilę nie wiedzieli, jak zareagować. W końcu Wulf odparł:

– To coś zupełnie innego. W naszym przypadku podobieństwo imion nie ma znaczenia.

– Właśnie – potwierdził Ulf, zerkając na brata i czekając na dalszy ciąg.

– A to dlatego, że Ulfa i tak nikt nie zauważa. Nie ma więc znaczenia, że jego imię to taki ubogi kuzyn mojego.

Wulf, nie widząc spodziewanej reakcji członków drużyny, postanowił na pocieszenie przynajmniej pokłócić się z bratem. Ulf, jak to było do przewidzenia, dał się złapać w pułapkę.

– Nikt mnie nie zauważa? – powtórzył z urazą. – Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

Wulf nie odpowiedział, tylko popatrzył gdzieś w dal, jakby jego brat był powietrzem.

Twarz Ulfa poczerwieniała ze złości.

– Słyszysz? Wytłumacz się!

Wulf podskoczył w miejscu, udając zaskoczenie.

– O, przepraszam. Nie zauważyłem cię. Podobnie jak wszyscy.

– Ingvar? – W głosie Hala pobrzmiwał ostrzegawczy ton. Ingvar podniósł głowę.

– Tak, Halu?

– Zastanawiałeś się kiedyś, jak to wygląda, kiedy wrzucasz jednego z tych idiotów do morza?

Ingvar przytaknął.

– Muszę przyznać, że tak – odparł. – Dźwięk jest całkiem przyjemny dla ucha, zawsze jednak chciałem zobaczyć, jak któryś z nich wpada do wody.

– Zdaje się, że dziś jest twój szczęśliwy dzień. Włóż patrzalki.

Ingvar sięgnął do kieszeni i wyjął owinięte w giemzę patrzalki, wsunął je na nos i starannie zawiązał sznurki, które przyczepił do nich Hal. Uniósł wzrok, rozejrzał się dokoła i promiennie uśmiechnął. Nadal czerpał wielką radość z faktu, że może oglądać świat ze szczegółami.

– Jestem gotów – oznajmił. Ale Ulf i Wulf przezornie zamilkli i wrócili na swoje stanowiska przy szotach, jakby chcieli przypomnieć Halowi o niezwykle istotnej roli, którą odgrywają podczas manewrowania łodzią.

– Może później, Ingvarze – powiedział Hal, kryjąc uśmiech. Ulf i Wulf zaczęli wykonywać jakieś pospieszne i całkowicie zbędne operacje.

Lydia zaśmiała się cicho.

– Spójrz tylko na nich. Cisi jak dwie małe myszki. Do czasu, aż kolejny durny pomysł wpadnie im do głowy.

– Żagiel na horyzoncie! – zawołał Edvin z punktu obserwacyjnego na dziobie. Jego zadanie polegało na wypatrywaniu wszelkich podejrzanych zjawisk na morzu. Teraz wskazywał w lewo, początkowo jego palec mierzył mniej więcej w punkt w połowie długości burty, potem, w miarę, jak obcy okręt przesunął się na zachód, palec Edvina również przesunął się dalej w kierunku rufy.

– Przygotować się do zwrotu na lewą burtę! – zawołał Hal. Widział już niewielki prostokątny żagiel na horyzoncie. Członkowie załogi zajęli stanowiska. Hal przeprowadził łódź przez linię wiatru, zmieniając kurs. Teraz płynęli prosto na obcy okręt. Edvin wskoczył na nadburcie, przytrzymując się sztagu, i przysłonił oczy.

– Widzisz, co to jest? – zapytał Hal. Po chwili Edvin potrząsnął głową.

– Coś niedużego. Prawdopodobnie kuter rybacki.

– Nie statek? – upewnił się Hal. Na tych wodach można było spotkać przeróżne jednostki, od niewinnego statku handlowego czy niedużego żaglowca przeznaczonego do łowienia ryb, po krwiożerczy, zawsze gotów do ataku okręt piracki.

– Wygląda jak przybrzeżny statek handlowy. Widzę chyba tylko sześciu ludzi.

– Oczywiście, pod pokładem może chować się znacznie więcej – stwierdził Hal. Nie martwił się jednak nadmiernie. Nawet gdyby obcy okręt miał złe zamiary, wierzył, że Czaple sobie poradzą. – Stig, Ingvar, szykujcie Zadymiarza.

Stig i Ingvar zdjęli brezent z ogromnej kuszy, zamontowanej na dziobie łodzi. Ivar otworzył skrzynkę, umieszczoną z tyłu maszynierii i wyciągnął bełt. Stig zasiadł na miejscu z tyłu kuszy i zaczął ustawiać Zadymiarza, tak by mierzył w obcy okręt.

– Lydio – polecił Hal – stań w pogotowiu, by w razie czego przyjść im z pomocą.

Lydia kiwnęła głową i dotknęła strzałek, tkwiących w kołczanie, upewniając się, że są pod ręką i w razie potrzeby będzie mogła szybko po nie sięgnąć.

– Jestem gotowa.

– Niesamowite! – usłyszeli okrzyk Ingvara, który za pomocą dźwigni przesuwając kuszę tak, by mierzyła w zbliżający się okręt. – Wszystko staje się znacznie prostsze, kiedy widzę, co robię. – Wcześniej, by ustawić Zadymiarza na linii celu, musiał polegać na wskazówkach Stiga i Lydii.

Stig spojrział na niego z szerokim uśmiechem.

– Tylko nie zapomnij słuchać poleceń, kiedy podpłyniemy bliżej – zauważył. Ingvar z zapalem pokiwał głową.

– Ładujemy? – spytał Stig.

Hal zawahał się, zerknął na Thornę.

– Jak sądzisz?

Stary wilk morski z namysłem wyduł wargi, potem potrząsnął głową.

– Uważam, że to niepotrzebne. Wyglądają niegroźnie, a jeśli zaczną się wygłupiać, Lydia nauczy ich rozumu z pomocą atlatlu.

– Może i ja na coś się przydam – wtrącił Gilan. Stał przy lewej burcie, w rękach trzymał łuk ze strzałą osadzoną w cięciwie, gotów do strzału.

– Jak sobie życzysz – odparł Thorn. – Dzięki waszej dwójce może ich spotkać niemiła niespodzianka.

Ale w tym momencie rozwiały się wszelkie obawy co do intencji obcego okrętu.

– Poluźnili szoty! – wykrzyknął Edvin. Rzeczywiście, prostokątny żagiel nagle zmienił się w bezkształtną łopoczącą masę płótna – członkowie załogi zwolnili napinające go liny. Był to znak kapitulacji bądź pokojowych zamiarów. Łódź zatrzymała się na falach, nie mogła ich ani zaatakować, ani uciec przed atakiem z ich strony. Na reling wspięła się jakaś postać i pomachała na powitanie.

– Chyba chcą porozmawiać. Podpłynijmy bliżej – powiedział Hal. – Stefan, przygotuj się do rzucenia liny.

Stefan ruchem ręki dał znak, że zrozumiał, i podszedł do relingu. „Czapla” miękko podpływała do okrętu, burtą do burty. Ulf i Wulf czekali w pogotowiu, by w odpowiednim momencie zrzucić żagiel.

Kiedy Hal uznał, że już czas, wydał rozkazy:

– Luzować szoty! Żagiel w dół! Stefan, rzucaj linę!

Kiedy Jesper w asyście Edvina zluzował fały, żagiel stracił kształt, a rejka zjechała w dół. Ulf i Wulf pomogli im zebrać wzdęte łopoczące płótno. Stefan, trzymając w ręku obciążony koniec liny, kołysał nią w przód i w tył, by nadać rzutowi impet.

– Stefan, teraz! – krzyknął Hal. Lina przeleciała między burtami i miękkim łukiem opadła na pokładzie obcego okrętu. Dwaj członkowie załogi, która, jak Hal zauważył, liczyła zaledwie pięciu mężczyzn, naciągnęli linę i przywiązali ją.

„Czapla” dobiła do burty obcej łodzi, wytracając prędkość. Ulf, Wulf, Edvin i Stefan pochyłili się i wspólnymi siłami pociągnęli za linę, aż zaskrzypiały wiklinowe odbijacze, obie burty otarły się o siebie i zaraz oddaliły.

Hal odwiązał rumpel, by nie majtał się pod wpływem ruchu fal, a potem podszedł do burty.

– Co to za łódź? – zawołał. Sternik przyłożył do ust zwinięte dłonie.

– „Gerbil”! – krzyknął. – Mamy wiadomość dla aralueńskiego zwiadowcy Gilana, od fakira Seleya el'thena.

Hal rzucił Gilanowi zdziwione spojrzenie.

– Tak brzmi pełne imię Selethena – wyjaśnił Gilan.

Hal kiwnął głową i zawołał w odpowiedzi:

– Wejdźcie na pokład i przekażcie wiadomość! – Mruknął do Lydii: – Bądź w pogotowiu, może to podstęp. Na mój znak zrób z niego szaszłyk.

Podobało mu się to wyrażenie – Lydia użyła go kilka dni wcześniej, kiedy podjęła rzucone przez Thornę wyzwanie. Bardzo dobrze obrazowało to, co się dzieje, kiedy jedna z jej strzałek trafia do celu.

Lidia dyskretnie umieściła strzałkę w atlatlu.

Kapitan „Gerbila”, znacznie ustępującego „Czapli” rozmiarami, podszedł do burty w miejscu, gdzie obie łodzie się stykały. Zeskoczył na pokład i skinieniem głowy pozdrowił stojącego na dziobie Stiga. Ten wskazał na Hala i

Gilana, stojących na rufie. Kapitan ruszył w ich kierunku. Zdawał się w ogóle nie zauważać kołysania i szarpania związanych razem łodzi. Hal pomyślał, że zapewne jest doświadczonym żeglarzem.

Podszedł do Hala, obrzucił szybkim spojrzeniem Thorna, Lydię i Gilana, nieco zakłopotany ich widokiem. Uważał, że najpierw powinien przywitać się z kapitanem – jako że sam pełnił tę funkcję.

– Jestem Kav al Bedin – przedstawił się. – Właściciel „Gerbila”. – Przyłożył palce prawej dłoni do ust, czoła i znowu do ust w tradycyjnym arydzkim pozdrowieniu. Hal nie zamierzał go naśladować, jedynie lekko skłonił głowę. W końcu to on był kapitanem większej jednostki.

– Jestem Hal Mikkelson, skirl tej łodzi, która nosi imię „Czapla”. A to – wskazał na Gilana, stojącego pół kroku za nim – zwiadowca Gilan, człowiek, którego szukasz.

Kav zwrócił się do Gilana i powtórzył tradycyjne powitanie.

– Mój pan Seley el'then przesyła pozdrowienia. – Gilan, podobnie jak Hal, odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Kav podjął: – Ma dla ciebie ważne wieści o Iqbarze. Pragnie spotkać się z tobą w mieście Al Shabah.

Gilan zwrócił się do Hala:

– Al Shabah to niewielkie miasto, leżące na wybrzeżu, jakieś trzydzieści kilometrów stąd. To właśnie tam Arydzi uwięzili Eraka.

Hal uniósł brew.

– Myślisz, że ten fakt ma jakieś znaczenie? – spytał podejrzliwie.

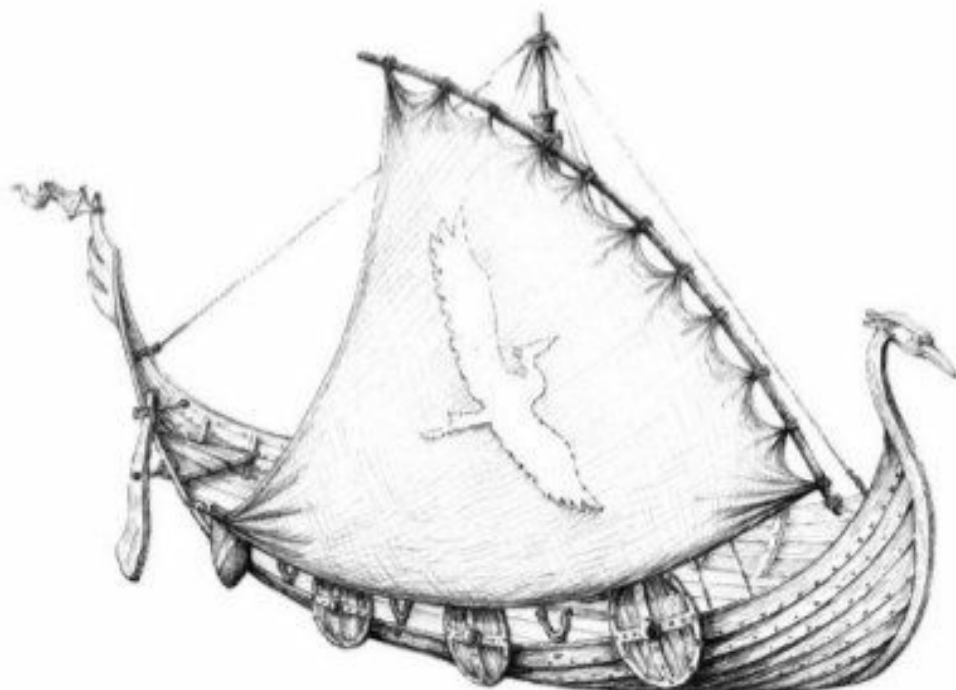
Gilan jednak potrząsnął głową.

– Nie. To po prostu wygodne miejsce na spotkanie. Najbliższe miasto w tej części wybrzeża. Nie sądzę, by Selethen coś knuł. Przez cały czas nam ufał.

Hal kiwnął głową.

– No to ruszajmy poznać te ważne wieści.

CZĘŚĆ DRUGA



TABORK

Rozdział 17



W wejście do portu Al Shabah było wąskie, a wzdłuż wybrzeża płynął zdradliwy prąd, więc Hal postanowił pokonać ostatni odcinek na wiosłach.

„Czapla” przemknęła między falochronami. „Gerbil”, którego kapitan dobrze znał miejscowe warunki, płynął pod żaglami w odległości jakichś czterdziestu metrów. Kiedy znaleźli się na spokojniejszych wodach, Kav dał znak swoim ludziom, by wybrali szoty i dogonił „Czapłę”.

Wskazał na długą keję naprzeciw wejścia do portu. Zielona flaga leniwie powiewała na wysokim maszcie, poruszana powiewami wiatru.

– Podpłyn do nabrzeża, kapitanie – zawołał. – Ludzie Seley el'thena już na was czekają.

Potem pomachał na pożegnanie, obrócił ster i skierował łódź w stronę bocznego kanału.

Gilan powiódł wzrokiem po niewielkim ruchliwym porcie. Za bezpieczną osłoną falochronów tłoczyły się okręty i łodzie wszelkich kształtów i rozmiarów. Ale główne nabrzeże było puste, jakby specjalnie na przybycie „Czapli”.

– Wygląda znajomo? – spytał Thorn, pobiegłszy za jego spojrzeniem. Oczywiście Gilan był już wcześniej w Al Shabah, jako członek delegacji, która przybyła wpłacić okup za Eraka.

– Owszem – odparł Gilan. Potem lekko zmarszczył brwi. – Ale tym razem jest tu znacznie więcej jednostek.

Thorn wzruszył ramionami.

– Widać handel dobrze idzie.

Hal zgrabnie podpłynął do kamiennej kei. Członkowie załogi rzucili cumy mężczyznom, stojącym na nabrzeżu, i wyrzucili odbijacze, chroniące pokryte farbą klepki przed kontaktem z kamienną ścianą. Pokład „Czapli” znajdował się dużo niżej niż poziom kei, więc mężczyźni spuścili drabinę.

Hal zwrócił się do Gilana:

– Ta scena należy do ciebie. Kogo chcesz ze sobą zabrać?

Po chwili zastanowienia Gilan odparł:

– Sądzę, że na razie ciebie i Thorna. Wystarczy.

Hal spojrzął na przyjaciela, ten zaś kiwnął głową.

– Nie chciałbym ich peszyć większą liczbą ludzi.

Hal zwrócił się do Stiga, który nadzorował drużynę, zajęętą składaniem wiosel, żagla i rejki.

– Przejmij obowiązki. My wyskakujemy na brzeg.

Stig skinął głową, a potem zajął się starannym zwijaniem żagla, który przed wejściem do portu jedynie byle jak zgarnęli i obwiązali liną.

Członkowie załogi na chwilę oderwali się od swoich zajęć i patrzyli, jak Gilan, Hal i Thorn wspinają się po drabinie. Krótki rozkaz Stiga wystarczył, by przywołać ich do porządku. Jako pierwszy oficer bardzo dbał o to, by

„Czapla” pięknie się prezentowała. Nie chciał pokazywać jej obcym brudnej i zaniedbanej. Wymagał, by wyglądała wzorowo, kiedy zawijają do nowego portu.

Gilan postawił stopy na warstwie kruszonych kamieni, pokrywających keję, i odsunął się na bok, robiąc miejsce Thornowi i Halowi. Uniósł brwi na widok zbliżającej się w ich stronę wysokiej szczupłej postaci. Towarzyszyła jej grupa dziesięciu żołnierzy, ich wypolerowane zbroje i ekwipunek lśniły w ostrym słońcu.

– Thornie, czeka cię honorowe przyjęcie – powiedział. – Sam Seley el'then wyszedł ci na spotkanie.

Wysoki Aryda skłonił się lekko, zwyczajowym gestem dotykając ust, brwi i ponownie ust. Kiedy się wyprostował, jego szczupłą śniadą twarz, okoloną ciemną brodą rozjaśnił szeroki i szczery uśmiech.

– Gilanie, przyjacielu – powiedział. – Dobrze cię znowu widzieć.

– Wzajemnie, Selethenie – odparł Gilan.

Potem zrobił krok do przodu i uściskał Arydę. Chociaż jak na zwiadowcę odznaczał się dość okazałym wzrostem, Selethen znacznie nad nim górował.

– Selethenie, pozwól, że przedstawię: Hal Mikkelson, kapitan naszej łodzi. Thorn, pełniący funkcję dowódcy podczas walk.

Selethen skłonił lekko głowę, przyglądając im się z uwagą.

– Witajcie w Al Shabah, panowie.

– Dzień dobry, wakirze Selethenie – odparł Hal. Gilan przezornie nauczył ich, jak należy przywitać się z Selethenem, ze względu na skandyjskie obyczaje pozdrowienie ograniczyło się do imienia i tytułu. Skandianie raczej nie przepadali za formami typu „wasza lordowska mość” czy „eminencjo”.

– Dzień doberek, wakirze – rzucił wesoło Thorn.

Selethen przyjrzał mu się uważnie. Stracił prawą rękę, ale sposób bycia miał serdeczny i pewny siebie. Ani śladu uzalania się nad sobą. Z pewnością nie należał do osób, które na resztę życia pogrążają się w rozpacz z powodu jakiejś straty. A drewniany hak, zastępujący mu rękę, wyglądał naprawdę fascynująco, widać było, że wykonał go doskonały rzemieślnik.

– Thorn – powiedział Selethen. – Tak po prostu, Thorn? Czy nosisz jakieś nazwisko?

Uśmiech Thorna stał się jeszcze szerszy.

– Niektórzy nazywają mnie Haczyk, wasza wakirość.

Selethen również wyszczerzył się w odpowiedzi. Zarośnięty wojownik z Północy budził w nim szczerą sympatię.

– Thorn, zachowuj się – upomniał go Hal. Starszy mężczyzna kiwnął głową.

– Jak sobie życzysz, Halu – powiedział.

Selethen pomyślał, że to bardzo ciekawe. Młodszy z mężczyzn, właściwie jeszcze chłopiec, najwyraźniej cieszył się szacunkiem i lojalnością ze strony jednorękiego Thorna. Selethen znowu spojrział na Gilana.

– Przyjacielu, jak zwykle otaczają cię bardzo interesujące osoby – powiedział.

Gilan uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo interesujące, Selethenie.

– Będziecie mieszkać w gospodzie, w której spałeś poprzednim razem.

Gilan kiwnął głową w podziękę.

– Bardzo dobrze. A starczy miejsca dla wszystkich? – Podczas poprzedniej wizyty załoga „Wilczego Wichru” musiała nocować na pokładzie. Ale czasy się zmieniły, mieszkańcy Arydii już nie traktowali Skandian jak wrogów.

– Jak najbardziej – odparł Selethen. – Zaprowadzi was tam jeden z moich oficerów. Możecie wykąpać się i przebrać, przyślę wam jedzenie. Potem spotkamy się i porozmawiamy. Miały miejsce zdarzenia, które na pewno uznacie za ważne. Iqbal jest niedaleko.

Pstryknął palcami. Z grupy stojących z tyłu żołnierzy wystąpił młody oficer, jego buty zaszurały na

kamieniach.

– Poruczniku Samur, odprowadź naszych przyjaciół do gospody i upewnij się, że niczego im nie brakuje.

Oficer walnął prawą dłonią w srebrny napierśnik, aż echo poszło.

– Tak jest, panie.

Selethen zwrócił się do Gilana:

– Wypocznijcie, zrelaksujcie się i odświeżcie. Potem porozmawiamy. Za dwie godziny porucznik zaprowadzi was do khadifu.



Wypoczęci, zrelaksowani i odświeżeni członkowie załogi „Czapli” stawili się o umówionej godzinie w khadifie, oficjalnej rezydencji Selethena, odpowiadającej funkcją królewskiej siedzibie w Araluenie czy Wielkiej Hali Eraka w Skandii.

Był to przyjemny dwupiętrowy budynek, z kolumnadą od frontu, chroniącą przed gorącym arydzkim słońcem. Porucznik Samur powiódł ich przez masywne drzwi i rozległy przedpokój do głównej części budynku. Miękkie buty Skandian cicho szeptały na błękitnych kafelkach, którymi wyłożono podłogę.

Hol było długi i wysoki, na piętrze wzdłuż trzech ścian ciągnęły się galerie, na których pracowali miejscy urzędnicy. Al Shabah było stolicą prowincji, a Selethen wakirem, czyli lokalnym władcą, podlegającym emrikirowi, najwyższemu władcy Arydii.

W połowie drogi Samur podszedł do drzwi jednego z licznych pokoi, umieszczonych pod galeriami po obu stronach korytarza.

– Lord Selethen spotka się z wami w prywatnym gabinecie – wyjaśnił. Cała czwórka – bo tym razem Hal postanowił zabrać ze sobą również Stiga – podeszła do bogato rzeźbionych drzwi. Porucznik zapukał, usłyszeli głos Selethena, zapraszający ich do środka. Samur otworzył drzwi i cofnął się, robiąc im przejście. Gilan pierwszy wkroczył do pokoju.

Było to wygodnie urządzone pomieszczenie, przez ogromne okna, dla ochrony przed blaskiem słońca przestonięte kamiennymi kratownicami, wpadał świeży powiew. Stał tam niski stół, dokoła leżały miękkie puszyste poduchy. Na blacie przygotowano maleńkie filiżanki i mosiężny dzbanek na kawę.

Selethen podniósł się ze swego miejsca i gestem zaprosił, by się rozgościli. Kiedy Samur nalał wszystkim kawy – nawiasem mówiąc, doskonałej kawy, jak szybko przekonał się Gilan – Selethen przeszedł do rzeczy.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedział. – Iqbal przebywa obecnie w mieście Tabor, fortecy, leżącej jakieś czterdzieści kilometrów dalej wzdłuż wybrzeża.

– Zakładam, że to dobra wiadomość. Jak brzmi ta zła? – spytał Gilan.

– Zła brzmi właśnie tak, że jest to forteca, ze wszystkich stron otoczona murem, strzeżona przez kilkuset żołnierzy. Emrikir kazał mi go stamtąd wygonić.

– Emo-co? – spytał Thorn, marszcząc brwi.

Selethen spojrzał na Skandianina.

– Mój bezpośredni przełożony. Ktoś jak wasz oberjarl.

– No to lepiej zabierajmy się do roboty – powiedział Stig. – To czterdzieści kilometrów stąd, możemy dotrzeć tam w pół dnia.

– Nie takie to proste – odparł Selethen. – Jak już wspomniałem, miasto jest otoczone murem, a ja mam do dyspozycji jedynie konnicę. Nie posiadam żadnych maszyn oblężniczych ani wystarczającej liczby ludzi.

– Przypuszczam, że port również jest dobrze strzeżony? – spytał Hal.

– Nawet bardzo. Poza tym wasza niewielka łódź nie pomieści tylu ludzi, by przypuścić na miasto

niespodziewany atak, jeśli o tym myślisz.

Hal przytaknął.

– Owszem, przemknął mi przez głowę taki pomysł.

– Cóż, to jeszcze nie koniec. Iqbal sprzymierzył się z helleńskim korsarzem imieniem Philip Krwawa Ręka. W porcie stoi jego wielka wojenna galera. Nawiasem mówiąc, od kilku tygodni zakłócają ruch przybrzeżny, rzucając się na każdy statek handlowy, wystarczająco głupi, by zapuścić się w tamte rejony. – Rozłożył ręce. – Pewnie zauważyliście, ile jednostek cumuje w naszym porcie. W tej sytuacji za nic nie chcą płynąć dalej na wschód.

– A dlaczego nie wypłyną dalej w morze? Nie muszą przecież trzymać się wybrzeża – spytał Hal.

– Z tym jest problem. – Selethen wstał i podszedł do wielkiej mapy Morza Spokojnego, wiszącej na ścianie. – To jest Tabork – wskazał punkt na wybrzeżu. – Wzdłuż północnego wybrzeża znajduje się dość wąski pas otwartych wód, a zaraz za nim rozciąga się niemal stukilometrowy obszar, usiany wysepkami, rafami i płycznami. To bardzo niebezpieczne, zdradliwe miejsce, znane jako Lwie Kły.

– Bardzo poetycko. My mamy dosyć raf i płyczn, więcej nam nie potrzeba, dziękujemy – powiedział Thorn. Podczas ostatniej wyprawy do Socorro zapędzili się na mielizny niedaleko wybrzeża Araluenu i w rezultacie o mało nie stracili „Czapli”.

– A żeby było jeszcze trudniej – podjął Selethen – wiatr przeważnie wieje z północy. Jeśli jakiś statek handlowy będzie próbował ominąć mielizny, Philip bez trudu go dopadnie. Właśnie dlatego on i Iqbal najpierw opanowali Tabork. To idealna baza dla ich działalności. W ciągu kilku ostatnich miesięcy ich ofiarą padło ponad pięćdziesiąt statków.

– Opowiedz nam o tej galerze – poprosił Hal.

Selethen zamilkł na chwilę. Nie był żeglarzem i musiał zebrać myśli, by opisać okręt.

– Nazywa się „Ishtfana”, co znaczy „Lampart Morski”. To duży okręt, pewnie ze trzy razy większy od waszej łodzi, przy każdej z burt mieści się dwudziestu wiosłarzy. Posiada niewielki maszt i może pływać pod żaglami, ale główną siłą napędową są wiosła. Jest długi i bardzo wąski, żeglarze mówią, że umie rozwinąć wielką prędkość.

– Ale podczas kiepskiej pogody zapewne niewielki z niej pożytek – wtrącił Thorn. – Długie wąskie jednostki raczej nie radzą sobie dobrze podczas sztormu.

– Tego nie wiem. – Selethen wzruszył ramionami. – Oprócz wiosłarzy na pokładzie zwykle znajduje się około dwudziestu wojowników.

– A wiosłarze? Czy oni również walczą? – spytał Stig.

Selethen potrząsnął głową.

– To niewolnicy. Są skuci łańcuchami.

– Co za ulga – zauważył Thorn. – Mają nad nami przewagę zaledwie dwóch do jednego.

Skandianie wymienili spojrzenia.

– To będzie twardy orzech do zgryzienia – ocenił Stig.

– Twardy, ale nie niemożliwy – odparł Thorn.

Hal milczał, zamyślony. Gilan przyglądał mu się uważnie. Przypuszczał, że skirl układa jakiś plan.

– Sądzicie, że możecie pokonać „Ishtfanę”? – spytał Selethen.

Hal podniósł wzrok.

– Myślę, że możemy ją wykorzystać do swoich celów.

Rozdział 18



Wszyscy zaczęli wypytywać o szczegóły, ale Hal nie zamierzał niczego więcej zdradzić.

– To na razie tylko bardzo mglisty zarys planu – odparł. – Dajcie mi trochę pomyśleć, wtedy wszystko wam opowiem. Potrzebuję około godziny.

Poprosił o kopie mapy arydzkiego wybrzeża i plan Taborka. Selethen wysłał służącego po mapy. Goście, czekając na jego powrót, dopili kawę. Selethen zauważył, że Gilan nie odrywa tęsknego spojrzenia od dzbanka, nadal w jednej czwartej wypełnionego aromatycznym napojem.

– W gospodzie dostaniesz kawy do woli, przyjacielu – powiedział z uśmiechem. Gilan z wdzięcznością kiwnął głową.

Pożegnali się z Selethenem. Porucznik Samur czekał przy wyjściu, by towarzyszyć im w drodze powrotnej. Hal obejrzał się, wychodząc. Selethen siedział pogrążony w lekturze jakichś dokumentów, pełnych słupków z cyframi. Hal pomyślał, że z rolą wakira zapewne wiąże się dużo papierkowej roboty.

Kiedy dotarli do gospody, Hal zamknął się w swoim pokoju. Stig, Thorn i Gilan rozsiedli się w obszernym salonie i zdali pozostałym członkom drużyny raport z wizyty w khadifie.

– Co to za człowiek, ten cały Selethen? – spytała Lydia Gilana. Niewiele wiedziała o mieszkańcach wybrzeży Morza Spokojnego i żywiła co do nich liczne uprzedzenia. Gilan odpowiedział po chwili:

– Dzielny, lojalny i uczciwy. Absolutnie wart zaufania. To również doskonały przywódca i wojownik. Prawdę mówiąc, trudno wymarzyć sobie lepszego współnika.

Lydię nieco zdziwił ten strumień pochwał. Znała jednak Gilana na tyle, by wiedzieć, że można polegać na jego opinii. Tego człowieka nie było łatwo oszukać. Nie należał też do osób, które chwaliłyby kogoś z czystej uprzejmości. Jeśli twierdził, że Selethen jest godny zaufania, to z pewnością można było mu wierzyć.

Wczesnym popołudniem służący ustawili na wewnętrznym dziedzińcu grill węglowy i zaczęli piec na różnie kawałki marynowanej jagnięciny. Po całym budynku rozszedł się apetyczny aromat, który nawet Hala zdołał wygonić z jego samotni. Wszyscy zajęli miejsca na niskich ławach, ustawionych na dziedzińcu, osłoniętym przed słońcem markizami z pasiastego płótna. Służący roznosili talerze pełne skwierczących szaszłyków, posypanych cebulą, wcześniej zrumienioną na patelni. Do mięsa podano sałatę doprawioną oliwą, pieprzem i sokiem z cytryny oraz sałatkę z pszenicy, natki pietruszki, mięty i drobno siekanych pomidorów. Stig nałożył trochę na płaski gorący chleb i z uznaniem kiwnął głową.

– Pycha! – wykrzyknął entuzjastycznie. – Jak to się nazywa? – spytał jednego ze służących.

– Tabouleh, panie – odparł mężczyzna. Stig skrzętnie zanotował tę nazwę w pamięci.

Owszem, sałatka tabouleh smakowała wyśmienicie, a jagnięcina – wprost niebiańsko. Marynowana w oliwie i soku z cytryny, różowa i krucha, szczególnie pyszna, jeśli dodatkowo skropiło się ją sokiem z cytryny. Skandianie

nakładali kawałki mięsa na podgrzane na węglach płaskie arydzkie chlebki, posypywali sałatkami, zwijali, i tak jedli. A jeśli nawet trochę wspaniałego soku spłynęło im po rękach, nikt się tym nie przejmował. Wystarczyło oblizać i sprawa załatwiona.

Wszyscy zajadali w milczeniu. Jedzenie było tak wspaniałe, że nie mieli ochoty tracić czasu na cze pogawędki. Ale w końcu Thorn rozparł się wygodnie na siedzeniu, poklepał się po brzuchu, donośnie czknął i zwrócił się do Hala:

– Obmyśliłeś już ten plan?

Hal zdjął z rożna ostatni kawałek mięsa i wsunął go do ust. Przez chwilę żuł w milczeniu, przełknął, westchnął z zadowoleniem i odpowiedział:

– Właściwie tak. Być może przeoczyłem kilka drobnych szczegółów – dodał pospiesznie. Słynął z tego, że zdarza mu się pominąć coś ważnego, i nie zamierzał pozwolić, by Thorn znowu mu o tym przypominał. Postanowił scedować ten obowiązek na niego. – Ufam, że dostrzeżesz ewentualne braki i mi je uświadomisz.

– No to słuchamy – wtrącił niecierpliwie Stig. Bardzo cenił to, że jego przyjaciel potrafi dostrzec możliwości, na które inni nie zwróciliby uwagi, i wykorzystać je przy tworzeniu planu działania. Szczególnie fascynowało go, że kiedy już ten plan poznawali, wydawał się on zupełnie oczywisty i można było tylko się dziwić, czemu inni na niego nie wpadli.

– Zaczekajmy na Selethena. A tymczasem napijmy się kawy – zaproponował Hal.

Ten pomysł przyjęto z wielkim entuzjazmem. Kawa stała się ulubionym napojem załogi „Czapli” i w związku z tym jej zapasy zwykle były na wyczerpaniu. Teraz mogli tylko cieszyć się, że mają nieograniczony dostęp do swego przysmaku. Do kawy podano deser w postaci delikatnego ciasta pociętego na małe prostokąty, przekładanego nadzieniem z mielonych orzechów włoskich i piniowych, zmieszanych z miodem.

– Wspaniałe ciastko – stwierdził Ulf. – Po zjedzeniu nadal można cieszyć się smakiem, oblizując palce z miodu.

Wulf wyjątkowo nie zaoponował. Może dlatego, że był bardzo zajęty oblizywaniem palców z miodu. Zamiast tego wydał z siebie kilka zadowolonych pomruków.

Kolejni służący wnieśli miski pełne ciepłego pachnącego płynu i czyste lniane ręczniki. Stefan podejrzliwie popatrzył na stojące przed nim naczynie.

– Nie za późno na zupę? – spytał.

– To woda – wyjaśnił Gilan. – Miska jest przeznaczona do obmywania dłoni. Chociaż w twoim przypadku raczej całych rąk aż po pachy.

Rzeczywiście, miód i płatki ciasta pokrywały ręce, usta, policzki, a w niektórych przypadkach także czoła członków załogi. Byli to bardzo młodzi mężczyźni i rozkoszowali się jedzeniem z entuzjazmem, typowym dla bardzo młodych mężczyzn.

Thorn pogardził miską i załatwił sprawę, wycierając rękę w bluzę i nogawkę spodni. Hak, również obficie wysmarowany miodem, wylizał do czysta, po czym wytarł lnianą serwetką.

Lydia przyglądała mu się, kręcąc głową.

– Zawsze zachowujesz się tak odrażająco, staruszkule?

Odwzajemnił się błogim uśmiechem.

– Nie. Robię to wyłącznie ze względu na ciebie. Zwykle jestem bardzo cywilizowany.

Od dalszej dyskusji uratował ich jeden ze służących, który w tym momencie stanął w drzwiach i zwrócił się do Gilana:

– Lordzie, przybył wakir.

Gilan spojrzął na Hala.

– Gotowy?

Kiedy Hal przytaknął, Gilan podniósł się ze stłumionym jęknięciem. Zdał sobie sprawę, że zjadł nieco za dużo szaszłyków. Ale cóż, pieczona na węglach jagnięcina była jego wielką słabością.

Selethen czekał na nich w salonie. Kiedy weszli, wstał i przywitał się w tradycyjny sposób. Hal, wskazując na przyjaciół, powiedział:

– Pomyślałem, że wszyscy powinni być przy tej rozmowie. Dzięki temu nie będę musiał się powtarzać. Poza tym liczę, że wyłapię słabe punkty w moim planie. – Przedstawił Selethenowi pozostałych członków drużyny. Jak można było przewidzieć, szczególne zainteresowanie wakira wzbudziła dziewczyna o poważnej minie, z długim sztyletem u pasa. Hal wyjaśnił:

– Lydia dołączyła do nas w zeszłym roku. Jest wspaniałą łowczynią i tropicielką. I niesamowicie strzela z atlatlu.

Selethen lekko pochylił głowę. Był pod wrażeniem.

– Zauważyłem, że wśród Skandian i Aralueńczyków można spotkać wiele walecznych kobiet – stwierdził. – Pamiętam, że również aralueńska księżniczka niezwykle celnie strzelała, tyle że z procy.

Hal uznał, że dosyć tych uprzejmych pogawędek. Odchrząknął znacząco i spojrział na rozłożoną na stole mapę. Selethen wdzięcznym ruchem ręki dał mu znak, by zaczynał.

– No dobrze. To jest mapa wybrzeża, którą mi pokazałeś. – Pozostali podeszli bliżej. Hal wskazał Al Shabah, a potem Tabork, leżący dalej na wchód.

– My jesteśmy tutaj, Iqbal tu. Z... – spojrział na Selethena – Właściwie, ilu ma ze sobą ludzi?

– Zapewne około dwustu – odparł wakir. Hal zanotował.

– Dobrze. Ty dysponujesz stu pięćdziesięcioma jeźdźcami. I nie masz żadnych maszyn oblężniczych. – Powiódł wzrokiem po twarzach członków drużyny, którzy nie uczestniczyli we wcześniejszym spotkaniu. Potem rozwinął drugą mapę – dokładny plan samego Taborka. – Miasto jest prawdziwą fortecą, ze wszystkich stron otaczają je wysokie mury. Główna brama usytuowana jest od strony lądu.

– A co z portem? – spytał Edvin. – W jakim stopniu jest chroniony? – Jako żeglarz od razu pomyślał o ataku od strony morza, port zawsze stanowił potencjalnie słaby punkt.

– Wejście do portu zamyka zaporą w postaci ciężkiego łańcucha. Oba falochrony są obsadzone żołnierzami. Wejście jest wąskie, każda przepływająca przezeń jednostka znajduje się w zasięgu łuków i włóczni. – Mapie, którą dostarczył Selethen, towarzyszyły szczegółowe notatki na temat miasta i środków obronnych.

– A więc w ten sposób nie możemy tam się dostać – stwierdził Stefan. Hal spojrział na niego.

– Na pewno nie siłą – zgodził się. – Ale może istnieje inny sposób.

Wyczuł podekscytowanie członków załogi. Selethen zachował obojętność. W przeciwieństwie do Czapli nie znał poprzednich pomysłów Hala. Reakcja pozostałych nie uszła jednak jego uwadze. Thorn niecierpliwie kiwnął głową, nie mógł się doczekać, kiedy Hal zdradzi swój plan. Selethen pomyślał, że warto obserwować tego młodego człowieka.

– Iqbal sprzymierzył się z helleńskim korsarzem imieniem Philip Krwawa Ręka – podjął Hal.

Jesper prychnął ze wzgardą.

– Trochę efekciarskie, co?

– Bardzo w helleńskim stylu – stwierdziła Lydia. – Poza tym trudno oczekiwać, by korsarz przybrał miano Philip Kocia Łapka, nie sądzisz?

Lydia wypowiedziała te słowa w doskonale obojętny sposób. Jesper odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Chyba tak. Przypuszczam, że korsarze wolą bardziej wojownicze przydomki, jak na przykład... – Jesper zauważył, że Hal przygląda mu się z lekko przekrzywioną głową, najwyraźniej czekając, aż wreszcie się zamknie.

– Przepraszam, Halu. Mów dalej, proszę.

– Dziękuję ci – odparł Hal lekko ironicznym tonem. – Philip ma wojenną galerę o nazwie „Ishtfana”. Tabork to idealne miejsce do ataku na przepływające opodal statki kupieckie. Właśnie głównie z tego powodu Philip i Iqbal je okupują.

Jedną stopę postawił na stoliku, oparł łokieć na kolanie i lekko pochylił się w stronę członków drużyny.

– A oto mój plan. Przerobimy „Czapłę” na statek handlowy. Nadal mamy ten prostokątny żagiel, którym posłużyliśmy się w Socorro. Popłyniemy wzdłuż wybrzeża i wywabimy galerę na pełne morze. Potem skręcimy na północny zachód, a Philip Kocia Łapka grzecznie popłynie za nami. – Wyjął nóż, delikatnie zarysował trasę na mapie i wskazał na punkt w odległości dziesięciu kilometrów od brzegu. – Kiedy oddalimy się od miasta na bezpieczną odległość, opuścimy prostokątny żagiel i wciągniemy trójkątny. A potem odwrócimy się dziobem w kierunku nadpływającej „Ishtfany”.

Thorn wydał wargi, wpatrując się w mapę, jakby widział poruszające się na niej dwa okręty.

– Jej załoga liczy dwudziestu ludzi, tak?

– Dwudziestu wojowników, tak. Prócz tego czterdziestu niewolników przy wiosłach.

– Hmmm. Dwudziestu wojowników. Dwa razy tyle co nas. Musimy zredukować tę liczbę.

Selethen powiódł wzrokiem po twarzach Skandian, wpatrzonych w mapę i swego przywódcę. Zauważył, że żadnego z nich nie przeraziła wizja walki z większym okrętem i załogą liczącą dwa razy tylu członków co ich własna. Zaraz jednak przypomniał sobie, że Skandianie są przecież urodzeni do walki.

Hal pokiwał głową.

– Tym zajmą się Stig i Ingvar z pomocą Zadymiarza. Oraz Lydia i Gilan. Naszym atutem jest działanie zaskoczenia. Poza tym ci korsarze raczej nie spotykają się z załogami złożonymi z ludzi naprawdę zaprawionych w walce.

Selethen kiwnął głową z uznaniem. Jednocześnie podniósł rękę, z zaciekawieniem marszcząc brwi.

– Tak, wakirze?

– Kto to jest ten... Zadu... czy jak mu tam?

Na twarzach Skandian pojawił się uśmiech.

– Zadymiarz – poprawił Hal. – To nasza maszyna do wyrównywania szans. Wielka kusza, którą zamontowaliśmy na dziobie łodzi. Potrafi wystrzelić belt tej wielkości. – Tu rozłożył ramiona na szerokość metra. – Bez trudu rozwali burtę galery. I członków załogi. – Spojrzał na Stiga. – Chciałbym, żebyś skupił się na sterniku. I samym sterze. Spróbuj go rozwalić, by był niezdatny do użytku. Podpłyniemy od tyłu i dokonamy abordażu od strony rufy.

Selethen uniósł brew. To był dzień pełen wszelakich niespodzianek.

– Czterdzieści wiosł. Będzie szybka – zauważył Thorn.

Hal kiwnął głową.

– Na początku tak. Ale kiedy zmienimy żagiel, będziemy płynąć pod wiatr, a wiosłarze nie utrzymają równego tempa przez bardzo długi czas. Myślę, że uda nam się podejść ich od tyłu.

Thorn miał sceptyczną minę.

– Galera może się przecież obrócić...

Hal odpowiedział błyskawicznie, jeszcze zanim Thorn zdążył dokończyć zdanie. Akurat ten szczegół mu nie umknął, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

– Owszem, może. Wiosłarze przy jednej burcie machają wiosłami w tył, ci po przeciwnej stronie w przód i okręt się obraca. Lecz aby tego dokonać, trzeba najpierw praktycznie go zatrzymać, a potem znowu przyspieszyć. A my możemy to zrobić, nie wytracając przy tym prędkości. Jestem pewien, że bez trudu ich przegonimy.

– A jeśli nie? – spytał Selethen.

Hal uśmiechnął się szeroko.

– Jestem pewien, że nas zatopią.

– A więc, założmy, że redukujemy liczbę przeciwników i dokonujemy abordażu – powiedział Thorn. – A co dalej?

Hal czubkiem noża popukał w punkt na wybrzeżu, gdzieś między Al Shabah i Taborkiem.

– Selethen będzie czekał tutaj z dwudziestoma pięcioma ludźmi. Podpłyniemy tam „Ishtfaną”, zabierzemy

żołnierzy Selethena – miejsca z pewnością nie zabraknie – i wrócimy do Taborka, z „Czapłą” na holu. obrońcy miasta uznają, że „Ishtfana” nas pokonała. Otworzą zaporę, wpłyniemy do portu i przypuścimy atak.

Edvin podniósł rękę. Hal wiedział, że Edvin potrafi myśleć.

– A jeśli przy otwieraniu zapory posługują się jakimś tajnym hasłem czy sygnałem?

– To byłby pewien problem – przyznał Hal. – Ale niby czemu? „Ishtfana” często wypływa z portu i do niego wpływa, dobrze ją znają. Po co mieliby zawracać sobie głowę jakimiś sygnałami?

Edvin po chwili namysłu kiwnął głową.

– Pewnie masz rację – przyznał.

Hal zwrócił się do Selethena:

– Będzie nas trzydzieścioro pięcioro, mamy atut w postaci elementu zaskoczenia, myślę, że bez problemu dostaniemy się za mury i dotrzemy do głównej bramy. – Znowu postukał czubkiem noża w mapę. – Otworzymy ją i wpuścimy resztę twoich ludzi. – Spojrzał na Selethena. – Przypuszczam, że twoje oddziały dadzą radę Iqbalowi i jego żołnierzom?

Selethen uśmiechnął się ponuro.

– Tylko wpuście nas do środka. Resztą się zajmiemy.



Rozdział 19



„Czapla” z trudem posuwała się przed siebie pod prostokątnym żaglem pomysłu Hala, który zmienił łódź do niepoznaki, kiedy kilka tygodni wcześniej wpływali do portu Socorro.

Tym razem jednak prostokątny żagiel jedynie przyczepili do masztu w taki sposób, by jak najszybciej go usunąć i szybko postawić trójkątny.

Hal raz po raz krzywił się, obserwując niewydolny prostokątny kawał płótna, który to wydymał się na wietrze, to opadał, tak że łódź poruszała się niezgrabnymi zrywami. Ta szarpanina, tak odległa od zwykłego gładkiego i pełnego mocy ruchu „Czapli”, bardzo działała Halowi na nerwy.

Lydia, stojąca opodal steru, zadała pytanie, które od kilku godzin nie dawało jej spokoju.

– Po co zawracamy sobie głowę tym prostokątnym żaglem? W końcu nikt tutaj nie widział wcześniej „Czapli”. Nie musimy się kamuflować.

Hal skrzywił się, bo łódź właśnie zaryła dziobem w płytkiej dolinie między falami i uparcie płynęła z wiatrem. Nadał jej prawidłowy kurs, mocnym ruchem przekręcając ster.

– To prawda – przyznał. – Ale chcę, byśmy wyglądali na łatwy łup, a ten żagiel z pewnością nam w tym pomoże. Typ ożaglowania, jakiego normalnie używamy, jest znany w tej części świata. Nie chcę, by Philip Cudna Piąstka domyślał się naszych prawdziwych możliwości.

Selethen, który postanowił towarzyszyć Czapłom w tej wyprawie – częściowo ponieważ była to okazja do rozprawienia się z Philipem, a częściowo, ponieważ chciał zobaczyć młodych wojowników w akcji, uśmiechnął się pod nosem. Imię Philipa Krwawej Ręki budziło postrach na tym obszarze Morza Spokojnego, ale na członkach tej wesołej drużyny najwidoczniej nie robiło wrażenia. Do tej pory zdążyli obdarzyć go mianem Philip Kocia Łapka i Philip Słodki Paluch. Teraz Hal dodał kolejny przydomek do tej listy. Selethen wyobrażał sobie, jak by się wściekł ten brodaty i zapewne porywczy korsarz, gdyby wiedział, że ktoś określa go tak lekceważącymi słowami.

Płynęli przez płytkie wody o piaszczystym dnie, przejrzyste niczym lśniący szmaragd. Dalej w głąb morza, w miarę jak dno coraz mocniej opadało, barwa ciemniała i przechodziła w granat. A jeszcze dalej, jak wiedział wakir, na obszarze znanym jako Lwie Kły, znowu jaśniała tą wspaniałą zielenią. Piękną, lecz zdradziecką i niebezpieczną.

Hal spojrzął na powoli przesuwaną się brzeg. Szukał punktu orientacyjnego, który zanotował sobie w pamięci podczas studiowania mapy. I po chwili go zobaczył – przylądek rozdarty pośrodku za sprawą osunięcia ziemi. Obie części wznosiły się do nieba na kształt ogromnego V.

Hal powiedział do Lydii:

– Już niedaleko. Zajmij stanowisko obserwacyjne.

Kiwnęła głową, przeszła na dziób, lekko wskoczyła na nadburcie i zręcznie wspięła się po maszcie, aż do

salingu, umieszczonego w odległości metra ponad górnym brzegiem żagla. Usiadła na nim i osłaniając oczy, skierowała spojrzenie w stronę brzegu.

– Daj znać, kiedy zobaczysz statek, wypływający z portu! – krzyknął Hal. Pomachała w odpowiedzi. Zwykle to Stefan stał na oku, ale Lydia miała jeszcze lepszy wzrok od niego, a tym razem jego żeglarskie doświadczenie nie było potrzebne. Miała wypatrywać tylko jednego – galery, wypływającej z wejścia do portu. Nie było to zbyt skomplikowane zadanie.

– Co się stanie, kiedy już zobaczymy „Ishtfanę?” – spytał Selethen. Znał plan w ogólnym zarysie, ale chciał wiedzieć, jak dokładnie będzie on wyglądał w praktyce. Hal wskazał na północ.

– Wiatr wieje na lewą burtę – odparł. – Utrzymujemy dość dobre tempo, no, na tyle, na ile to możliwe z tym żaglem. Kiedy zobaczymy „Ishtfanę”, robimy zwrot i kierujemy się na północny zachód, mniej więcej w przeciwnym kierunku do obecnego kursu.

– Nie możemy po prostu popłynąć na północ? – spytał Selethen.

Hal potrząsnął głową.

– Nie możemy ostrzyć. Dałoby się to zrobić, gdybyśmy wiosłowali, ale „Ishtfana” dysponuje cztery czy nawet pięć razy większą liczbą wiosł niż my, szybko by nas dogoniła. Zachodni północny zachód to w naszym przypadku najlepszy kierunek.

Stojący w pobliżu Thorn dorzucił:

– Do czasu, aż podniesiemy trójkątny żagiel. Wtedy pokażemy Philipowi Lepka Rąsia, co to znaczy żeglować.

Selethen znowu ukrył uśmiech. Kolejny przydomek do kompletu.

– Tak więc – podjął Hal – przemkniemy pod płaszczykiem obok portu i zobaczymy, czy Philip połknie przynętę.

– Zmarszczył brwi. Miał wrażenie, że trochę pomieszał wyrażenia.

Edvin chyba był tego samego zdania.

– Kto chciałby połknąć płaszczyk? – spytał z szerokim uśmiechem.

– Kluf – odparł Ingvar, który właśnie zaszywał dziurę w pelerynie przeciwdeszczowej, wygryzioną przez Kluf poprzedniego dnia. Słyszając swe imię, czujnie uniosła łeb.

– Kluf! – powiedziała.

– O, zamknij się, debilko – powiedział Ingvar.

Ale Kluf bynajmniej nie zareagowała tak, jak to robią psy, kiedy się je karci. Uderzyła ogonem o pokład, po czym przyczołgała się na brzuchu do Ingvara, położyła łeb na jego udzie i zwróciła na niego pełne uwielbienia spojrzenie.

– Głupi sierściuch – powiedział Ingvar, ale na jego twarzy widniał uśmiech.

– Widzę miasto! – zawołała Lydia. Wszyscy spojrzeli w górę. Lewą ręką przytrzymywała się masztu, prawą, którą osłaniała oczy, teraz wyciągnęła w stronę łądu. Z pokładu miasta jeszcze nie było widać.

– A „Ishtfana”? – spytał Hal, chociaż wiedział, że strażnicy pewnie dopiero co spostrzegli ich łódź.

Lydia lekko pochyliła się do przodu.

– Wciągają czerwoną flagę! – poinformowała. – A na końcu falochronu zebrala się grupa mężczyzn. Ale nie widzę, co robią.

– Czerwona flaga to znak, że nas dostrzegli – wyjaśnił Selethen. – Założę się, że ci mężczyźni otwierają zaporę.

Hal objął wzrokiem pokład „Czapli”. Członkowie załogi stali na stanowiskach, niczym psy wyścigowe, czekające na start. Każdy miał przypisane sobie zadania, było bardzo ważne, by wykonać je gładko i sprawnie, w jak najkrótszym czasie zmienić niezgrabny prostokątny żagiel na ich normalne ożaglowanie. Minęło kilka minut pełnej napięcia ciszy i...

– Jest! Płynie! – krzyknęła Lydia głosem załamującym się z podekscytowania. Podciągnęła się wyżej, stanęła na salingu, by jeszcze lepiej widzieć wejście do portu.

Rzeczywiście, pomiędzy szarych kamiennych falochronów wychynął ciemny wąski kadłub. Dwa rzędy wiosł

unosily się i opadały jednocześnie, niczym ptasie skrzydła, wynurzały się z wody i obracały płasko, łapiąc słoneczne refleksy, by po chwili obrócić się o dziewięćdziesiąt stopni do pionu i znowu zanurzyć.

Ten rytmiczny zsynchronizowany ruch robił nieodparcie złowieszcze wrażenie, jakby istniał bez udziału człowieka. Obserwując okręt, kierujący się na otwarte morze, Lydia poczuła, jak włoski na jej karku stają dęba.

– Robimy zwrot? – spytał Stig. Jego dłonie raz po raz zaciskały się na toporze wojennym, tkwiącym u pasa.

Hal potrząsnął głową.

– Dajmy im minutę czy dwie – powiódł wzrokiem po członkach załogi. Tylko Thorn wyglądał na odprężonego, leżał wsparty na łokciu przy burcie od nawietrznej. Posłał Halowi krzepiący uśmiech. Hal od razu poczuł się lepiej. Thorn zawsze potrafił dodać mu otuchy w pełnych napięcia momentach.

– Przygotujcie się do zwrotu! – zawołał Hal. Wszyscy czekali w napięciu na stanowiskach.

– Do zwrotu! – krzyknął i przekręcił rumpel. Łódź skręciła w prawo, stale pchana wiatrem.

Stefan, Jesper i Edvin pociągnęli za brasy, podnoszące rejkę. Ulf i Wulf szybko poluźnili szoty, po czym, kiedy łódź stanęła w nowym kursie, a rejka z żaglem znalazły się po lewej stronie, znowu je wybrali.

Jakaś zabłąkana fala roztrzaskała się o prawą burtę, spieniona woda chlusnęła na pokład. Selethen osłonił twarz ramieniem, ale członkowie załogi zupełnie nie zwrócili uwagi na niespodziewany prysznic.

Nawet pod nieskutecznym prostokątnym żaglem łódź zrobiła zwrot całkiem gładko.

Lydia, która przez chwilę, podczas gdy jakiś metr niżej obracała się rejka, trzymała się masztu obiema rękami, teraz przybrała bardziej zrelaksowaną pozycję i znowu spojrzała w stronę „Ishtfany”.

Bliźniacze rzędy wiosel nadal uderzały w niezmondowanym rytmie. Ruch wyglądał niezwykle gładko i mechanicznie, ale Lydia wiedziała, że kryje się za nim wysiłek oblanych potem wioślarzy, którzy napinają mięśnie i zaciskają zęby z bólu, żeby utrzymać nieprzerwane tempo.

– Przyspieszyli! – zawołała. Spojrzała w dół i zobaczyła zwrócone w jej stronę twarze.

– Doganiają nas? – zapytał Hal.

Jeszcze raz spojrzała na galerę, osłaniając ręką oczy. Teraz widziała więcej szczegółów. W przedniej części znajdował się krótki gruby maszt, ale żagla nie wciągnięto. Galerę pchała jedynie siła wiosel. Nad burtami ciągnęły się rzędy ciemnych punktów – głowy członków załogi, na rufie wokół sternika stała niewielka grupa osób.

– Tak – odparła i natychmiast poczuła nerwowe poruszenie wśród Czaplí.

– Daj znać, kiedy miasto zniknie ci z oczu! – zawołał Hal. Nie chciał, by z brzegu dało się zobaczyć, jak zmienia żagle. Z pokładu nie widział miasta, nie znaczyło to jednak, że oni też są niewidoczni.

– Jest! – krzyknął Stig, wyciągając rękę przed siebie. Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku. Na horyzoncie powoli wyłaniała się galera.

– Przygotujcie się! – zawołał Hal. Każdy z członków załogi doskonale wiedział, co ma robić i jaką rolę odgrywa podczas kolejnego manewru. – Musimy płynąć szybko, ale nie zbyt szybko. I żadnych pomyłek przy zmianie żagli, jasne?

Wśród załogi rozległ się zgodny pomruk. Stefan, Jesper i Edvin nie odrywali wzroku od prostokątnego żagla, który wydymał się i opadał w zależności od podmuchów wiatru. Stig i Ingvar czekali w gotowości, by wciągnąć lewy żagiel. Ulf i Wulf stali przy szotach, gotowi zmienić jeden zestaw lin na drugi.

Selethen podszedł do Gilana i ruchem głowy wskazał młodego skirla, który obserwował zbliżającą się galerę.

– Jaki on opanowany – mruknął. Zwiadowca spojrzał na niego i kiwnął głową.

– Jak mało kto – przyznał. – I wie, co robi.

– Zauważyłem, wnioskując z tego, jakim szacunkiem cieszy się wśród załogi – odparł Selethen.

Do rozmowy włączył się trzeci głos.

– To najlepszy sternik, jakiego kiedykolwiek widziałem. Wrodzony talent – powiedział cicho Thorn. Podszedł bliżej. Nie miał żadnego zadania. Jego rola polegała na tym, by czekać w pogotowiu i w razie czego pospieszyć z pomocą każdemu, kto będzie jej potrzebował. – Niesamowicie wyczuwa łódź. Wie, jak ona zareaguje, co zaraz

zrobi. Tego nie można się nauczyć. Albo to w sobie masz, albo nie. Poczekajcie, zobaczycie, co się stanie, kiedy wciągniemy normalny żagiel.

Długo czekać nie musieli. Po chwili z góry dobiegł głos Lydii:

– Nie widać miasta! „Ishtfana” wciąż przyspiesza.

Hal spojrzął na Lydię.

– Zejdź i przygotuj atlatl do strzału – zawołał. Potem spojrzął na Gilana. – Ty też. Twój łuk na pewno się przyda. – Potem odwrócił się z powrotem do pozostałych członków załogi.

Lydia zsunęła się po linach i w ciągu kilku sekund znalazła się na pokładzie.

– Dobra, Czaple. Ściągamy ten obrus i stawiamy normalny żagiel! Dalej! – Przy ostatnim słowie wszyscy rzucili się do akcji.

– Gotowe! – zawołał Ulf, kiedy wraz z bratem poluzowali szoty i prostokątny żagiel załopotał na wietrze. Stefan, Jesper i Edvin niemal w tym samym momencie zwolnili podtrzymujące go liny. Żagiel zaczął zsuwać się wzdłuż masztu. Kontrolowali go z pomocą brasów, jednocześnie stopniowo zwijając. W chwili, kiedy dotknął pokładu, Stig zawołał do Ivara:

– Lewy w górę!

Wytężyli siły, smukła rejka pomknęła w górę i z cichym brzdękiem trafiła na miejsce. Bliźniacy pociągnęli za szoty. Żagiel z donośnym „tup” wypełnił się wiatrem. Wybrali żagiel i „Czapla” pomknęła przed siebie, kierując się na północ.

Selethen zatoczył się, zaskoczony tym nagłym przyspieszeniem, ale zaraz odzyskał równowagę. Unosząc brwi, spytał Gilana:

– Kto zbudował tę łódź?

Gilan uśmiechnął się szeroko, po czym ruchem głowy wskazał postać przy sterze.

– A jak myślisz?



Rozdział 20



Pokój znajdował się na drugim piętrze dawnej siedziby komendanta portu. Miał wysoki strop, przez szeroką otwartą arkadę, wiodącą na werandę, wpadało do środka chłodnawe morskie powietrze. Kafelki na podłodze tworzyły przyjemny dla oka geometryczny wzór. Na minimalne umeblowanie składało się kilka drewnianych skrzyń, długi stół i służące za siedzenia pluszowe poduszki.

Pokój, chociaż prosty, i tak znacznie przewyższał komfortem namiot z kozłej skóry, który zwykle służył Iqbalowi za rezydencję pośród piasków pustyni. Iqbal zajął te pomieszczenia, kiedy jego ludzie podbili miasto. Poprzedni mieszkaniec, komendant portu, drobny urzędnik emrikira, zginął podczas krótkiej i gwałtownej bitwy, która zakończyła oblężenie Taborka. Pod osłoną nocy ludzie Iqbala sforsowali mury, jednocześnie korsarze Philipa przypuścili atak od strony morza. Mieszkańcy, od lat cieszący się dobrobytem i pokojem, przestali korzystać z zapory u wejścia do portu – i źle się to dla nich skończyło. Zaniedbano też skuteczną ochronę murów miejskich.

Iqbal stał, zwrócony twarzą do wnętrza pokoju, słońce mocno przypiekało mu plecy. Spojrzał na jednego ze swoich podwładnych, brutalnego i okrutnego Dakhwana, przywódcę khumsanu, czyli oddziału liczącego pięćdziesięciu jeźdźców. Dakhwan z szacunku dla wodza zdjął niebieską zastonę, która zwykle zakrywała dolną połowę jego twarzy. Iqbal zaś wystąpił bez nakrycia głowy, ukazując gładko wygoloną czaszkę.

– Kiedy przybędą twoi ludzie? – spytał ostrym i zniecierpliwionym tonem. Cenił Dhakwana jako wojownika i przywódcę. Ale nie darzyli się sympatią. Podobnie zresztą jak w przypadku pozostałych ludzi Iqbala.

– Są w obozie, dziesięć kilometrów stąd – odparł Dakhwan. – Uznałem, że będzie lepiej, jeśli przybędą pod osłoną nocy. Przypuszczam, że nie chcesz, by ten tyran Selethen wiedział, że mamy dodatkowych ludzi?

Iqbal mruknął. Nie dbał o to, co przypuszcza Dakhwan – chociaż miał on rację. Selethen dysponował armią złożoną ze stu pięćdziesięciu jeźdźców i wiedział, że siły Iqbala liczą dwustu żołnierzy. Jeśli arydzki władca zdecyduje się zaatakować miasto, posiłki w liczbie pięćdziesięciu wojowników sprawią mu niemiłą niespodziankę. A Iqbal wiedział, że emrikir, przełożony Selethena, bardzo na niego naciska, by odbił miasto i wysłał Iqbala, zakutego w łańcuchy, do stolicy. Iqbal nie miał wprawdzie pojęcia, jak ten tłusty leniuch, siedzący w dalekim mieście Mararoc, to sobie wyobraża. Iqbal już teraz miał przewagę liczebną nad ludźmi Selethena. Mury otaczające Tabork były wysokie i dobrze utrzymane. A wakir nie dysponował maszynami oblężniczymi ani artylerią.

Emrikir mógł pospieszać Selethena i żądać, by rozprawił się z Iqbalem i Tualegami, ale sam nigdy nie stawiał czoła nieprzyjacielowi i nie brał broni do ręki, nie licząc noża – w celu rozprawienia się z pieczonym kurczakiem. To Selethen był od tego, by dokonywać niemożliwego. A to zadanie było niemożliwe, niezależnie od jego zdolności – teraz zaś stało się niemożliwe jeszcze bardziej.

– Zaprowadź ich do wschodniej bramy koło skał – powiedział do Dakhwana. Ta brama ze wszystkich najmniej rzuciła się w oczy. – I pilnuj, by nie zdradzić się żadnym dźwiękiem czy światłem.

– Oczywiście – odparł Dakhwan. Nieznacznie wydmął usta. Tego Iqbal nie musiał mu mówić. Nauczył swoich ludzi żelaznej dyscypliny. Ale czasami Iqbal chyba sądził, że sam wie wszystko, a jego podwładni tyle co nic. Był aroganckim bufonem. Ale również skutecznym dowódcą, a jego sprzymierzeńcy mogli liczyć na bogate łupy. Dakhwan dodał w myślach, że złoto potrafi wynagrodzić nawet duże dawki arogancji.

– Widziałem, jak nasi przyjaciele Hellenowie wypływali z portu – powiedział. Gdyby „Ishtfana” schwyciła statek handlowy, Dakhwan mógł liczyć na część zysków. – Dokąd zmierzali?

Iqbal popatrzył ostro na niego.

– Istnieje konkretny powód, dla którego chcesz wiedzieć?

Dakhwan spokojnie odpowiedział na jego spojrzenie.

– Istnieje konkretny powód, dla którego nie powinienem wiedzieć?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Iqbal miał świadomość, że jest przywódcą tylko dzięki temu, że potrafi sprawować nad podwładnymi kontrolę. A to znaczyło, że musi dostarczać im powodów do zadowolenia. Balansował na granicy między twardą dyscypliną a utratą popularności. Gdyby zbyt wielu podlegających mu ludzi zorientowało się, że nie czuje się w tej roli komfortowo, oznaczałoby to kres jego kariery. Więcej – kres jego życia.

Dakhwan miał opinię silnego przywódcy i dobrego wojownika. Cieszył się przyjaźnią wielu osób z uprzywilejowanych grup w plemieniu Tualegów. Z tym człowiekiem nie należało zadzierać. W końcu Iqbal wzruszył ramionami i poddał się. Machnął ręką w stronę wejścia do portu i powiedział:

– Philip jest w mieście. Wysłał pierwszego oficera, Kyriosa, w pogoń za niewielkim statkiem handlowym. – Zmarszczył brwi, wyszedł na werandę i mrużąc oczy zapatrzył się na połyskujące w słońcu błękitne wody Morza Spokojnego. – Dziwne, coś długo ich nie ma – stwierdził. – Do tej pory powinni już wrócić.

– Może któryś z kupców przypadkiem miał nóż – sarkastycznie rzucił Dhakwan. Jego opinia na temat helleńskich korsarzy i ich umiejętności bojowych była niezbyt pochlebna, łagodnie rzecz ujmując. Iqbal spojrzał na niego i kiwnął głową.

– Może nie są najdzielniejszymi z naszych sprzymierzeńców – przyznał – ale przez ten czas, kiedy tu jesteśmy, dostarczyli całkiem sporo łupów. Bez nich i ich okrętu nie osiągnęlibyśmy takich rezultatów.

Dhakwan prychnął ze wzgardą.

– Bez nas w ogóle by ich tu nie było – zauważył. – Sądzisz, że te wystrojone pajace potrafiłyby zdobyć miasto?

Hellenowie słynęli z upodobnia do barwnych strojów i krzykliwej biżuterii. Nikt lepiej nie potwierdzał tej opinii jak korsarze z galery Philipa.

Iqbal wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, to nasi wspólnicy, są nam potrzebni.

Znowu spojrzał na morze. Pomyślał, że Kyrios naprawdę strasznie się guzdrze z tym stateczkiem.



– Co robią? – spytał Hal Lydię, która obserwowała płynącą za nimi galere, balansując na nadburciu po stronie rufy.

– Doganiają nas – odparła.

Hal skinął głową.

– Tego się spodziewałem. Początkowo będą wiosłować ze wszystkich sił. Ale skierujemy łódź pod wiatr, szybko się zmęczą.

Jeśli Philip zachowywał się podobnie jak wszyscy właściciele niewolników – a nie było powodu, by sądzić inaczej – zapewne nie bardzo przejmował się kondycją swoich wiosłarzy. Na pewno kiepsko ich karmił. Jedzenie sporo kosztuje, a korsarze nie lubią tracić pieniędzy.

Hal, chcąc nabrać nieco szybszego tempa, lekko skręcił w lewo. Ulf i Wulf, nie czekając na stosowne rozkazy, sami ustawili żagiel i „Czapla”, pchana bocznym wiatrem, szybciej pomknęła przez fale. Hal obejrzał się przez ramię. Galera, widoczna na horyzoncie, powtórzyła manewr „Czapli”. Wiosła wciąż unosiły się i opadały rytmicznie.

– Nadal nas gonią – stwierdził Thorn. Podszedł do Lydii i obserwował ścigający ich okręt, mierząc odległość za pomocą punktu odniesienia w postaci znaku na rufie. Hal spojrzął na galere, po czym ponownie zmienił kurs na północ. Po chwili „Czapla” nieco zwolniła.

– Trzeba utrzymać ich na haczyku – powiedział Hal po kilku minutach. Zmarszczył brwi. Spodziewał się, że do tego czasu wiosłarze wytracą siłę i rytm.

– Znowu się zbliżają! – wykrzyknęła Lydia.

Hal spojrzął na słońce. Nadal wisało wysoko na zachodnim niebie. Mieli przed sobą jeszcze kilka godzin – wystarczająco dużo czasu, by zmęczyć wiosłarzy na „Ishtfanie”. Jeszcze raz spojrzął na galere. Wiosła nadal poruszały się gładko i mocno. Poprawił się w myślach: to raczej tamci mieli wystarczająco dużo czasu, by dogonić i zatopić „Czaple” – jeśli tylko zdołają utrzymać takie tempo.

Zabębnił palcami o rumpel. Chyba długo już tak nie dadzą rady?

Stig podszedł do steru.

– Myślałem, że do tej pory zwolnią – powiedział cicho, by nie usłyszała go reszta załogi.

– Już niedługo – odparł Hal z udawanym przekonaniem. Zaczynał martwić się z powodu tempa, które utrzymywała galera. Mieli stanąć do walki z korsarzami, bardzo mu zależało, by wiosłarze osłabli, by ich praca stała się chaotyczna i nieskoordynowana. A na razie nic na to nie wskazywało. Nadal ciągnęli wiosłami równo i szybko.

I doganiali „Czaple”.

– Są coraz bliżej – stwierdziła Lydia, osłaniając oczy. – Nie sądzisz, że do tej pory powinni opaść z sił? – zapytała. Nie usłyszała poprzedniego komentarza z ust Stiga.

– Już niedługo – powtórzył Hal z wyraźną irytacją w głosie. Ponownie skierował „Czaple” lekko w lewo, by zwiększyć prędkość. Spojrzął za siebie i zobaczył, że „Ishtfana” powtórzyła ten ruch. Jego serce na chwilę zamarło. Był pewien, że wiosła biją teraz ze wzmożoną siłą i szybkością.

– Znowu nas doganiają – stwierdził Thorn.

Hal rzucił mu mordercze spojrzenie. Pomyślał, że ludzie znajdują dziwną przyjemność w ogłaszaniu fatalnych wiadomości.

– Nie mogą tak wiosłować przez cały dzień – odparł Hal, by uspokoić samego siebie i całą załogę.

– Nie muszą – zauważył rzeczowo Thorn. – Tylko do momentu, kiedy nas dogonią.

Hal jeszcze raz pomyślał o perwersyjnych rozkoszach, płynących z dzielenia się złymi wieściami. Zadziwiła go wytrzymałość wiosłarzy. Gdyby tylko ustawił łódź tak, by wiatr wiał prostopadle do kursu, zdołałby nadać „Czapli” większą prędkość. Ale był pewien szkopuł: kiedy korsarze zobaczą, że ofiara im ucieka, mogą zrezygnować z pościgu. Miał tylko jedno wyjście: utrzymać ich na haczyku i płynąć pod wiatr. Ale w tych warunkach w każdej chwili mogli dogonić „Czaple”, a nawet ją prześcignąć. W przeciwieństwie do „Czapli” nie musieli robić zwrotów, mogli przez cały czas płynąć w linii prostej.

„Może się przeliczyłem”, pomyślał. „Może znowu przeoczyłem drobny szczegół, ważny fakt, który zrujnuje cały plan”. Myślał gorączkowo, zastanawiał się, co też to może być. Łódź i galera mknęły przed siebie, ta druga coraz bliżej i bliżej.

Hal nie wiedział, że źle ocenił kondycję wiosłarzy. Ponieważ zamarł ruch wzdłuż wybrzeży, a wszystkie statki

handlowe zostały w porcie Al Shabah, „Ishtfana” również od kilku tygodni nie wypływała na morze. Niewolnicy zdążyli wypocząć i dlatego teraz byli w stanie utrzymać mordercze tempo przez tak długi czas.

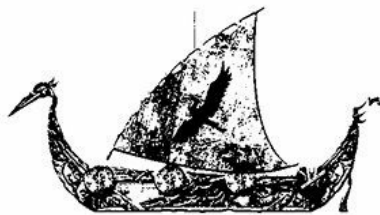
Ale kiedyś musiało się to skończyć. Owszem, odpoczęli, ale nadal byli niedożywieni, a stan ich zdrowia pozostawiał wiele do życzenia. Korsarze stanowczo zbyt długo zmuszali ich do morderczej pracy, egzekwując żądania za pomocą bicia.

Thorn pierwszy zauważył zmianę. Jeden z wiosłarzy zgubił rytm, jakby się wahał, zaraz potem następny. „Ishtfana” potknęła się na fali, a na twarzy starego wilka morskiego pojawił się pełen zadowolenia uśmiech.

– Tracą prędkość – oznajmił. Hal obejrzał się przez ramię.

Teraz było to widać bardzo wyraźnie. Bliźniacze rzędy wiosel już nie poruszały się tak gładko i harmonijnie. Jeden z niewolników przy prawej burcie zanurzył wiosło pod złym kątem, wznosząc fontannę piany. Czaple wydały spontaniczny okrzyk radości. Hal domyślał się, że wszystkich dręczyła wizja pędzącej za nimi galery. Poczul wielką ulgę.

– A teraz – powiedział cicho, nie odrywając wzroku od „Ishtfany” – zobaczmy, jak sobie poradzicie z moją łodzią i moją załogą.



Rozdział 21



Hal wychylił głowę zza burty, by spojrzeć na galerę, płynącą w kilwaterze „Czapli”.

Już trzech wiosłarzy nie trzymało rytmu. Wiosła bezwładnie pruły wodę. Jeszcze jedno uniosło się nad powierzchnią i beczynnianie opadło, wlokło się teraz obok wąskiego kadłuba galery.

Thorn również to dostrzegł.

– Tracą wiosłarzy – stwierdził. – Padają ze zmęczenia.

Trzy nieruchome wiosła znajdowały się przy sterburcie. Pod wpływem nierównej siły wiosel dziób galery skręcił w prawo. Sternik szybko skorygował ten ruch i przywrócił galerze prawidłowy kurs. Hal widział jednak, że ścigający znaleźli się w tarapatkach. Galera już nie parła przed siebie tak gładko i niestrudzenie. Poruszała się z wielkim trudem. Wiosła utraciły wcześniejszą synchronizację, nie unosiły się już równym zgranym ruchem jak w chwili wyjścia z portu.

– Chyba już czas – powiedział cicho Thorn.

Hal kiwnął głową. Potem nabrał powietrza w płuca i zawołał:

– Przygotujcie się do zwrotu... Zwrot!

Lewy żagiel ześliznął się wzdłuż masztu dokładnie w momencie, kiedy Hal skierował dziób łodzi w prawo. „Czapla” ustawiła się pod wiatr i powoli zaczęła skręcać, zostawiając za sobą idealny łuk kilwateru. Rozległ się szelest płótna i poskrzypywanie lin w blokach – Edvin, Stefan i Jesper wciągnęli prawy żagiel. Kiedy wypełnił się wiatrem, bliźniacy wybrali szoty, by naprężyć płótno i „Czapla” pomknęła z wiatrem prosto na swego prześladowcę.

– Ulf! Wulf! Trochę luźniej! – krzyknął Hal. Spodziewał się, że „Ishtfana” ruszy teraz prosto na nich, przetnie im kurs i będzie chciała ich staranować. Nie chciał maksymalnie rozwijać prędkości, wolał zostawić coś w zapasie. Poczuł, jak łódź zwalnia – Ulf i Wulf wypełnili polecenie.

– Stig, Lydia, Gilan! – krzyknął. – Na dziób. Podpłynę do nich od sterburty. Jak tylko znajdą się w zasięgu strzałów, zaczynajcie. Stig, celuj w ster.

Stig kiwnął głową i wraz z Ingvarem zajął miejsce przy Zadymiarzu. Gilan i Lydia ustawili się przy prawej burcie, niedaleko masztu. Ponieważ prawy żagiel był opuszczony, mieli znakomity widok na galerę. Kiedy wznosiła się na falach, widzieli czarny okuty żelazem taran, umieszczony na dziobie. To pokazywał się, to znikał pod powierzchnią. Kojarzył się Lydii z dziobem drapieżnego ptaszyska.

Kiedy „Czapla” przecięła drogę galerze, sternik wymierzył dziobem prosto w środek ich kadłuba. Hal patrzył, mrużąc oczy i licząc sekundy, by wybrać idealny moment. Taran znajdował się jakieś sto metrów od nich i ciągle się zbliżał, mimo słabnącej pracy wiosel.

Teraz, pomyślał i krzyknął do bliźniaków:

– Wybrać szoty!

Całym ciężarem ciała uwiesili się na linach, napinając żagiel na północnym wietrze. Pokład przechylił się w lewo. „Czapla” pomknęła przed siebie, niemal w ostatniej chwili unikając zderzenia z taranem.

„Ishtfana” zaczęła powtarzać ich manewr, a Hal nadal odwracał łódź, by przeciąć łuk, po którym poruszała się galera. Wiatr wiał teraz prostopadle do burty. W takich warunkach „Czapla” potrafiła dać z siebie najwięcej. W coraz szybszym tempie zmierzała wprost na prawą burtę „Ishtfany”. Korsarze obrzucili wyzwiskami i groźbami niewielką łódź, która najpierw im uciekła, a następnie miała czelność podpłynąć tak blisko do swego prześladowcy.

A potem Gilan i Lydia zaczęli strzelać.

Gilan wypuścił z łuku pięć strzał, Lydia wyrzuciła trzy strzałki z atlatlu. Osiem pocisków pokonało wąską przestrzeń między łodzią i galerą i wywołało niezłe zamieszanie wśród grupy stojącej wokół steru.

Pierwsza strzałka Lydii trafiła sternika, zabijając go na miejscu. Wypuścił rumpel z dłoni, zatoczył się do tyłu i padł na pokład. Dwaj stojący obok mężczyźni na chwilę zastygli w bezruchu. Potem odwrócili się, zdążyli jeszcze zobaczyć zbliżającą się łódź i za sprawą dwóch strzał Gilana podzielili los kolegi.

Druga strzałka Lydii chybiła celu. Mierzyła w jednego z tych dwóch mężczyzn, ale w tym momencie padł on na pokład i strzałka przeleciała nad jego głową. Trzecia trafiła któregoś korsarza w tyłek. Osunął się, krzycząc z bólu, wpatrzony z przerażeniem w żelazny grot, który przebił mu nogę na wylot i wyszedł z drugiej strony.

Kyrios, który początkowo zamarł ze zdumienia, odzyskał przytomność umysłu i padł na pokład, kryjąc się za ścianą burty. Podniósł wzrok i zobaczył, że rumpel kołysze się bezwładnie, w przód i w tył, pod wpływem szarpiących ruchów galery, pchanej nierównymi pociągnięciami wiosła. Krzyknął do jednego ze swoich ludzi, który również wykazał się rozsądkiem i schował przed strzałami:

– Matlos! Przejmij ster!

Mężczyzna spojrział na niego oczami rozszerzonymi strachem i potrząsnął głową. Kyrios obsypał go gradem pogrózek i niewybrednych epitetów, po czym ruszył w kucki w jego stronę, jednocześnie wyciągając zza pasa zakrzywiony nóż. Matlos spojrział na pierwszego oficera, potem na ster. Wyglądało na to, że deszcz strzał ustał. Matlos ostrożnie podniósł się i pochylony ruszył w stronę steru, nie odrywając wzroku od groźnej i nieubłaganej twarzy pierwszego oficera oraz noża, złowrogo połyskującego w prawej dłoni.

Wyprostował się i wyjrzał zza nadburcia. Łódź znajdowała się w odległości zaledwie czterdziestu metrów. Nadal chowając głowę, sięgnął po rumpel.

I dokładnie w tym momencie pierwszy bełt wystrzelony z Zadymiarza walnął w sosnowy reling, dosłownie kilka centymetrów od steru.

Żelazny grot roztrzaskał drewno, w powietrze poleciała chmura odłamków. Kawalek długości ośmiu centymetrów wbił się w czoło Matlosa, który odskoczył w tył, krzycząc z bólu i strachu. Kyrios popatrzył na niego w osłupieniu, zastanawiając się, jaka broń mogła poczynić takie szkody.

Jedno wiedział na pewno: nie zamierzał wystawiać głowy nad burtę, by to sprawdzić. Znowu przypadł płasko do pokładu.

Stojący na śródpokładzie mężczyźni nadal obrzucali obcą łódź groźbami i przekleństwami. Do tej pory wszystkie strzały mierzyły w ster, więc reszta załogi nie odniosła ran. Jeden z mężczyzn, ośmielony tym faktem, chwycił ciężką włócznię i wszedł na nadburcie, zamierzając się do rzutu i szukając wzrokiem odpowiedniego celu. Jego spojrzenie padło na dwie postaci obok ogromnej kuszy stojącej na dziobie. Zwrócił się w ich stronę, cofnął ramię jeszcze o kilka centymetrów, by nadać rzutowi odpowiednią siłę.

Ale nie zdążył. Nagle strzała przebiła jego pierś. Włócznia wypadła z bezwładnych palców, zaklekotała na deskach pokładu. Inny członek załogi odwrócił się w jego stronę i to uratowało mu życie – kolejna strzała utkwiała w jego ramieniu. Sekunda różnicy, a trafiłaby w serce.

Ale i tak sprawiła mu wiele cierpienia. Mężczyzna osunął się na kolana, przyciskając ręką ranę i jęcząc z bólu.

Następna strzała, wypuszczona z niewielkiej odległości, trafiła w liny, którymi przywiązano rumpel. Kilka z nich przecięła, rumpel zwił na bok, przytrzymywany pojedynczymi włóknami – które kilka sekund później przecięła trzecia i ostatnia strzała. Rumpel wypadł za burtę i utonął w kilwaterze „Ishtfany”.

Hal zwołał:

– Dobry strzał, Stigu!

Teraz galerę mogła popychać jedynie siła wiosła, a wśród wiosłarzy panował jeden wielki chaos. Nikt nie sprawował nad nimi kontroli, na rufie nie widać było nikogo. Dalej, tam gdzie trafiały strzały Lydii i Gilana, ludzie padali na pokład, wydając bolesne okrzyki.

Hal szybko podjął decyzję. Nadszedł odpowiedni moment, by wykorzystać całe to zamieszanie.

– Zwrot w prawo! – krzyknął. Twarze członków załogi, zajmujących stanowiska przy żaglach, zwróciły się w jego stronę. Widział, że zrozumieli, na czym polega jego plan. – Teraz!

Przesunął rumpel, odwracając dziób łodzi w prawo. Nie odrywał wzroku od galery i raczej poczuł, niż zobaczył, jak lewy żagiel „Czapli” zjeżdża w dół, a prawy się podnosi. Rozległo się donośne „tump” – znak, że żagiel wypełnił się wiatrem – deski zawibrowały pod stopami w ten charakterystyczny sposób.

W ciągu kilku sekund łódź obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni na przyczepionej do stępki płetwie, która dawała solidne oparcie na wodzie i dobry punkt zaczepienia.

Gilan i Lydia przebiegli na lewą burtę, gotowi wymierzyć w każdego, kto pokaże się nad relingiem. Ale w ciągu ostatnich kilku minut nie znalazł się żaden ryzykant. Gilan na wszelki wypadek posłał strzałę tuż nad nadburciem.

„Czapla” nabrała prędkości. Hal powiedział do Thorny, stojącego kilka metrów dalej:

– Zajmę się wiosłami przy prawej burcie.

Thorn kiwnął głową. Bez sternika galera była całkowicie bezradna. Można było kierować nią teraz wyłącznie za pomocą wiosła. Gdyby Hal część zniszczył, bardzo utrudniłby korsarzom to zadanie. Widział też kolejną szansę: oficerowie i cała załoga byli całkowicie zdezorganizowani.

Doskonały moment, by dokonać abordażu.

Kiedy Hal skierował „Czapkę” w stronę prawej burty galery, Thorn wyjął spod ławek wiosłarskich drapacz i linę. Stanął obok Lydii i Gilana.

– Złapcie się czegoś – ostrzegł. – Hal zaraz w nią walnie.

W przeciwieństwie do nich, załoga „Ishtfany” nie miała pojęcia, co się za chwilę wydarzy. Hal skrzył dziób „Czapli” pod kątem. Wzmocniona dziobnica przejechała po wiosłach niczym gigantyczny topór.

Rozległ się ogłuszający trzask miażdżonego drewna. W powietrze poleciała śmiercionośna chmura odłamków wiosła. Czaple, przygotowane na uderzenie, skuliły się przy pokładzie, podczas gdy ich łódź masakrowała sześć wiosła, umieszczonych najbliżej rufy.

Wśród wiosłarzy na „Ishtfanie” zapanował chaos: nagle końce wiosła wyrwały się z ich dłoni i zaczęły latać we wszystkie strony. Wiosłarze spadali z ławek na pokład, łamali kości i zaliczali sińce. Zarządca niewolników, który wyglądał przez dulkę, próbując sprawdzić, co się dzieje, dostał odskakującym wiosłem w szczękę. Padł nieprzytomny. Dwaj wiosłarze postanowili wykorzystać szansę, podbiegli do niego i wyciągnęli długi nóż z pochwy u jego pasa. Stanowczo zbyt często używał bicia.

Już nigdy więcej miał tego nie zrobić.

Thorn nagle poczuł, że „Czapla” się zatrzymała. Jej dziób był zwrócony pod kątem do pirackiego okrętu. Na powierzchni wody unosiły się kawałki strzaskanych wiosła.

Wyrzucił linę z drapaczem, który uderzył w rufę galery, po czym mocno pociągnął, by ją napiąć.

Hal zwołał do Ulfa i Wulfa, by poluźnili szoty i „Czapla” zaczęła się cofać. Thorn bystrym spojrzeniem ocenił odległość. Owinął linę z drapaczem wokół jednego z pachołków. Lina sztywno się napięła, „Czapka” szarpnęło do przodu i łódź zaczęła płynąć przed siebie w kilwaterze galery. Jakimś cudem część wiosłarzy nadal pracowała i

galera wciąż posuwała się do przodu. Thorn, wskazując na linę, krzyknął do Stefana i Jespera:

– Ciągnijcie! Robimy abordaż!

Stig i Ingvar zostawili Zadymiarza i sięgnęli po broń. Thorn powiódł wzrokiem dokoła. Selethen stał kilka kroków dalej. Wygięty miecz nadal tkwił w pochwie. Ale na lewym ramieniu pojawiła się niewielka spiczasta tarcza. Thorn wyciągnął rękę w jego stronę.

– Idziesz, wasza wakirość? – spytał z dzikim grymasem.

Na szczupłej orlej twarzy Selethena pojawił się uś-miech. Zdecydowanie mieli rachunki do wyrównania.

– Tylko nie wchodź mi w drogę, Nordyku – powiedział.

Rozdział 22



Kiedy Stefan i Jesper naciągnęli linę drapacza, Thorn wskoczył na nadburcie na dziobie łodzi. W lewej ręce dzierżył niewielką tarczę, hak zastępujący prawą zamienił na maczugę.

Kiedy Ulf i Wulf przywiązali linę, a dziób uderzył w rufę „Ishtfany”, Thorn przeskoczył na reling galery.
– Dalej! – ryknął.

Wraz ze Stigiem lekko zeskoczyli na pokład i przygotowali się na spotkanie z grupą szarżujących korsarzy, gotowych bronić swego okrętu. Stojący na czele zamierzył się mieczem, miotając przekleństwa.

To były jego ostatnie słowa.

Topór Stiga przeciął kolejny epitet, mężczyzna zatoczył się, a potem runął na bok z przerażoną miną. Thorn sparował maczugą cios następnego korsarza, potem walnął go tarczą w twarz, odpychając daleko od siebie.

Selethen również przeskoczył na galerę. Jego uwagę przyciągnął Kyrios, który próbował zająć Stiga i Thorna od tyłu. W prawej dłoni dzierżył krótki i szeroki miecz, a w lewej nóż.

Nagle Kyrios poczuł na sobie wzrok Selethena. Ten chwycił go za gors koszuli – należy nadmienić, że była to koszula z białego jedwabiu, a stroju dopełniały szerokie spodnie z cienkiego czerwonego płótna i filcowy kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony pawim piórem – i przez omyłkę wzięwszy go za kapitana, zakrzyknął:

– Philip! Rzuć broń!

Kyrios bez słowa rzucił się do przodu i wymierzył znad głowy cios mieczem, który bez wątpienia rozłupałby czaszkę Selethena aż po brodę.

Gdyby trafił.

Wakir z pogardliwą miną zablokował ostrze tarczą, po czym wykonał serię oszałamiających ruchów swoim bułatem.

Z boku, z tyłu, znad głowy. Wyglądało to tak, jakby lśniące ostrze znajdowało się w kilku miejscach naraz. Kyrios cofnął się w panice, w ostatniej sekundzie umykając mistrzowskim ciosom. Przez głowę przemknęła mu myśl, że powinien zamienić obronę w atak i zadał ciężkie niezgrabne pchnięcie swemu przeciwnikowi. Ostrze miecza z głośnym zgrzytem osunęło się po ostrzu bułata. Selethen jednym ruchem nadgarstka odsunął miecz Kyriosa na bok, tym samym robiąc miejsce dla kolejnego ataku. Zgięte ostrze wystrzeliło do przodu niczym język węża.

Ale w przeciwieństwie do wężowego języka, bułat kasał, i to mocno. Kyrios początkowo właściwie nic nie poczuł. Spojrzał ze zdziwieniem na czerwoną plamę rozlewającą się po białej tkaninie koszuli.

– Nie nazywam się... Philip – zdołał wykrztusić, chociaż sam nie wiedział, dlaczego tak mu zależało, by podzielić się tą informacją. Potem nogi ugięły się pod nim i padł na pokład.

Selethen skupił uwagę na Stigu i Thornie, a także na reszcie wrogów.

Korsarze stali w półkolu naprzeciw obu Skandian. Miny mieli dość niepewne. Dwaj z nich już odpadli z walki, a ci, którzy pozostali, widzieli, z jak niezwykłą szybkością i siłą skandyjscy wojownicy poradzili sobie z pierwszym atakiem. Wiedzieli też mistrzowską akcję Selethena. W rezultacie żaden z nich nie miał ochoty pierwszy stawić czoła takim przeciwnikom.

Thorn zaryczał z głębi piersi. Nienawidził braku zdecydowania. Wiedział, że w walce jak ta, gdzie wróg ma znaczną przewagę liczebną, liczy się szybka akcja. Przygotował się do ataku na niezdecydowanych Hellenów. W tym samym momencie usłyszał, jak za jego plecami Ulf i Wulf zeskakują na pokład. Teraz było ich pięciu – wystarczy, jak dodał w myślach, by załatwić tę bandę wyfiokowanych fanfaronów. Spiął mięśnie i wybrał pierwszą ofiarę.

Nagle z tyłu doszedł odgłos biegnących kroków, ktoś ryknął:

– Na bok!

Ktoś odepchnął Thorną. To był Ingvar. Na nosie miał patrzalki, w obu dłoniach ścisnął halabardę. Przebiegł obok Thorną i rzucił się na korsarzy.

Prawą dłoń, która wcześniej trzymała drzewce pośrodku, przesunął na sam koniec, gdzie już spoczywała lewa dłoń, tym sposobem nadając ciosowi ogromną siłę, machnął halabardą poziomo w lewą stronę.

Ostrze w kształcie topora przecięło powietrze, wydając przy tym groźny syk, niczym sierp tnący zboże.

I, podobnie jak sierp, skosiło trzech korsarzy. Padli na pokład, ich broń potoczyła się z kłopotem po deskach. Ingvar cofnął halabardę, błyskawicznie ją obrócił i hakiem umieszczonym po przeciwnej stronie rozerwał skórzany napierśnik kolejnego napastnika, aż ten poleciał do przodu i stracił równowagę. W chwili, kiedy padał na pokład, Ingvar wyrwał hak i zakończonym grotem czubkiem halabardy zamierzył się na piątego korsarza.

Ten był uzbrojony w tarczę i desperacko próbował zasłonić się nią przed ciosem. Ale Ingvar rzucił się do przodu, prawą stopę mocno wciskając w pokład i używając siły nóg do nadania ciosowi mocy, tak jak uczył go Thorn podczas wielogodzinnych treningów, które odbywała drużyna podczas podróży wzdłuż wybrzeży Iberii.

Wskazówki Thorną okazały się bardzo skuteczne. Atak był nie do odparcia. Drewniana tarcza pękła, grot przeszedł przez nią jak przez masło i trafił korsarza w lewe ramię. Mężczyzna krzyknął i wypuścił tarczę, która zawisała na czubku halabardy, i, przyciskając krwawiące ramię, czym prędzej się wycofał.

Ingvar, mocno zirytowany, czym prędzej pozbył się tarczy, czyniącej jego broń niezdatną do użytku: gwałtownym ruchem wyrzucił halabardę do przodu i cofnął się, zrzucając z niej pękniętą tarczę, która poleciała prosto na grupę nacierających korsarzy. Jeden runął na pokład bez przytomności.

I to wystarczyło. Przerażeni widokiem olbrzyma z lśniącymi brązowymi przestłonami zamiast oczu i z siejącą spustoszenie potrójną bronią w ręku, odwrócili się i umknęli co sił w nogach.

Ingvar znowu ryknął i rzucił się w pogoń.

– Bierzmy ich! – krzyknął do swoich towarzyszy. Stig, Selethen i bliźniacy popędzili za Ingvarem, Thorn zaś przystanął i stwierdził z oburzeniem:

– To mój tekst.

Hal, który właśnie przekazał ster Edwinowi, odwrócił się i zobaczył Thorną stojącego na rufie galery i patrzącego z wyraźnie niezadowoloną miną, jak Czaple otaczają grupę korsarzy. Po chwili Hellenowie wypuścili broń z rąk – deszcz mieczy, noży i włóczni spadł na deski pokładu. Stary wilk morski wskazał tę scenę maczugą i dodał rozżalonym tonem:

– Ukradł mi walkę. Ingvar zwinął mi walkę dosłownie sprzed nosa.

Hal wyszczerzył się szeroko.

– No to dzieliła was spora odległość – stwierdził. Przez chwilę przyglądał się z pełnym zdumienia podziwem, jak jego potężny przyjaciel rozgramia Hellenów i dodał: – Walka chyba skończona. – Poklepał Thorną po ramieniu. Razem ruszyli, by dołączyć do zwycięskich przyjaciół.



Ale walka wcale się nie skończyła. Nie całkiem. Trzej członkowie załogi, ci, którzy uciekli jako pierwsi, zdążyli dostać się przez właz na pokład wiosłarzy. Niewolnicy, przykuci do wiosła, patrzyli na nich z nienawiścią. Ponieważ nikt nie wydawał rozkazów, przestali poruszać wiosłami. Galera bezwładnie kotłowała się na fali. Korsarz imieniem Davos powiódł wzrokiem po rzędach wlepionych weń wściekłych oczu. Owszem, niewolnicy byli skuci łańcuchami, ale nikt nie potrafił przewidzieć, jak długo jeszcze. Między ławkami leżało nieruchome ciało zarządcy, który miał przy sobie klucz, otwierający okowy. Może już go znaleźli? Davos czuł, że nie należy zatrzymywać się w tym miejscu na dłużej.

– Wynośmy się stąd – mruknął.

– Niby dokąd? – Jeden z jego towarzyszy rozejrzał się dokoła oczami wielkimi z przerażenia.

– Idziemy na rufę, wydostaniemy się przez otwór na wiosła – zdecydował Davos. – Przeskoczmy na tamtą łódź i odetniemy linę. Zostały tam najwyżej dwie-trzy osoby, nie więcej, w dodatku nie wojownicy, tylko członkowie załogi.

Te słowa świadczyły o braku wiedzy na temat skandyjskich obyczajów. Na skandyjskim okręcie wszyscy członkowie załogi byli jednocześnie wojownikami.

Przebiegli na tył, kuląc się pod niskim stropem, ścigani stłumionymi przekleństwami. Niewolnicy nie zamierzali jednak doprowadzić do konfrontacji – nie dość, że nadal pętały ich łańcuchy, to korsarze byli uzbrojeni.

Hellenowie dobiegli do ostatniego otworu na wiosło w prawej burcie. W tym miejscu galera odniosła największe zniszczenia. Wiosła zostały strzaskane, kilku niewolników leżało bezwładnie na ławkach.

– Rusz się! – krzyknął Davos do mężczyzny, który siedział zgięty w pół, ściskając złamane ramię i jęcząc z bólu. Korsarz odepchnął go brutalnie i przecisnął głowę przez otwór – pusty, bo wiosło roztrzaskało się podczas zderzenia z „Czapłą”.

Na widok dziobu obcej łodzi wydał triumfalny okrzyk. Łódź kotłowała się na falach zaledwie kilka metrów dalej, złączona z galerą grubą liną.

Wsunął miecz do pochwy i mocniej wychylił się z otworu, obiema rękami łapiąc się relingu nad swoją głową. Potem wysunął nogi z otworu i zaczął przesuwać ręce powoli, jedna za drugą, aż natrafiły na linę. Chwycił ją, uwiesił się na niej całym ciężarem i przeskoczył na łódź.

Jego towarzysze powtórzyli ten manewr. Zeskoczyli lekko na pokład „Czapli” i rozejrzeli się dokoła.

Wszystko wskazywało na to, że na pokładzie łodzi zostały tylko dwie osoby, w tym, jak stwierdził z zadowoleniem Davos, dziewczyna. Mężczyzna nosił u pasa miecz, ale był bardzo młody, szczupły i niewysoki. Na razie żadne z nich nie zauważyło korsarzy.

– Łatwizna – mruknął Davos do towarzyszy. Zrobił krok przed siebie.

I zamarł.

Warczenie było niskie i groźne. Tak niskie, że z pewnością pochodziło z przepastnej piersi. A nad przepastną piersią zapewne znajdowała się przepastna paszcza, wyposażona w wielkie kły. Gdzie jest to zwierzę? Davos gorączkowo przyglądał się zaścielającym pokład zwalom płótna i lin.

– Co to? – spytał jeden z korsarzy imieniem Patrokos, ten, który spanikował na pokładzie wiosłarzy.

– Nic – odparł Davos, chociaż włoski sterczące na jego karku nieomylnie wskazywały na to, że kłamie. – Tylko...

– Pies – dopowiedział trzeci z korsarzy na widok Kluf, która właśnie wyłoniła się spomiędzy ławek wiosłarskich i biegła w ich stronę, depcząc po niedbale zwiniętym żaglu.

Szczerzyła wielkie kły i zjeżyła sierść na grzbiecie, przez co wydawała się jeszcze większa niż normalnie. Jej oczy

plonęły niebezpiecznym obłąkańczym światłem.

Lydia i Edvin, stojący na rufie, wreszcie zauważyli intruzów.

– A ci skąd tu się wzięli? – spytała Lydia. Sięgnęła po strzałkę, umieściła ją w atlatlu. Edvin położył rękę na jej ramieniu.

– Uważaj, żeby nie trafić Kluf – ostrzegł. Kiedy zwróciła na niego piorunujące spojrzenie, szybko dodał: – To znaczy, gdyby niespodziewanie się poruszyła czy skoczyła na nich, mogłabyś... oczywiście zupełnie przypadkowo... – Umilkł, zmieszany. Lydia niechętnie kiwnęła głową. Z ulgą dokończył: – Poza tym Kluf chyba sama da sobie radę.

W tym momencie Davos położył rękę na rękojeści miecza, by wysunąć go z pochwy. Kluf natychmiast skoczyła na niego i powaliła na pokład. Stała nad nim, wściekle tłukąc ogonem, warcząc i szczerząc ogromne kły dosłownie kilka centymetrów od jego twarzy. Davos puścił miecz i zasłonił twarz obiema dłońmi, z nadzieją, że w ten sposób powstrzyma atak bestii.

Jego dwaj towarzysze cofnęli się, żaden nie kwapił się, by wyciągnąć broń. Wystarczyło im, że widzieli, co się stało z Davosem.

– Co robimy? – spytał Patrokos, którego głos ze strachu zrobił się wysoki i piskliwy. Trzeci korsarz ruchem głowy wskazał za siebie.

– Skacz – powiedział. Patrokos spojrział najpierw na wodę, potem na Kluf.

– Nie umiem pływać – załkał. Jego towarzysz z niesmakiem potrząsnął głową.

– Najwyższy czas się nauczyć – stwierdził. A potem chwycił Patrokosa za ramię i skoczył wraz z nim w morskie odmęty.



Rozdział 23



Na rozkaz Stiga członkowie helleńskiej załogi położyli się na pokładzie twarzą w dół. Stig, Selethen i Ingvar stali nad nimi z bronią w rękach, a Ulf i Wulf wszystkim po kolei wiązali ręce na plecach. Jesper i Stefan, którzy zjawili się na „Ishtfanie” razem z Halem i nie brali udziału w walce, pospieszyli z pomocą.

Thorn, wciąż groźnie marszcząc brwi, podszedł do Ingvara, który spojrzał na niego z uśmiechem.

– Ukradłeś mi walkę – powiedział Thorn oskarżycielskim tonem.

Ingvar wzruszył ramionami.

– Nie widziałem, żebyś robił rezerwację – odparował. Thorn potrząsnął głową i powtórzył:

– Ukradłeś mi walkę. I coś jeszcze.

Teraz Ingvar zmarszczył brwi.

– I coś jeszcze? A niby co?

– Mój plan taktyczny. Moje zawołanie bitewne – odparł Thorn, piorunując go wzrokiem. Ponieważ do Ingvara nadal nie docierało, wyjaśnił: – „Bierzmy ich”. Oto mój plan taktyczny.

– To jest plan taktyczny? – wtrącił Selethen z uśmiechem.

Gilan, który podobnie jak Jesper i Stefan nie brał udziału w walce, wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Bardziej wyrafinowanego nie znajdziesz w całej Skandii.

Selethen przetrawił te słowa i pokiwał głową.

– Proste plany są najlepsze. W ich przypadku niewiele rzeczy może pójść nie tak jak trzeba.

– Właśnie – zgodził się Gilan. – Mówisz: „Bierzmy ich” i już, zrobione. – Thorn zwrócił na Gilana i Selethena miażdżące spojrzenie. Uśmiechnęli się, ani trochę niezmiądzzeni.

– Byłbym wdzięczny, gdybyście nie dyskredytowali skandyjskiej sztuki wojennej.

– Ależ nie mieliśmy zamiaru jej dyskredytować – odparł Selethen.

Gilan pospiesznie dodał:

– Chodziło raczej o dyskusję, nie dyskredytację.

Thorn jeszcze przez kilka sekund nie spuszczał z nich wzroku, w końcu wzruszył ramionami.

– No dobrze. A ty – powiedział, zwracając się do Ingvara – lepiej zapamiętaj, że to ja dowodzę podczas walki. Kiedy nadchodzi właściwy moment i ktoś ma powiedzieć: „Bierzmy ich”, tym kimś jestem ja. A ty, razem z innymi chłopcami, bierzesz. Jasne?

– Absolutnie. Jestem ci winien przeprosiny. Chyba mnie poniosło. Wszystko z winy Hala. To przez niego odzyskałem wzrok. – Ingvar dotknął patrzalek na swoim nosie.

Hal podszedł bliżej i położył rękę na potężnym ramieniu przyjaciela.

– Tak czy inaczej, Ingvarze, powinieneś zachować ostrożność. Co by było, gdybyś dostał w twarz i stracił

patrzalki? Byłbyś całkowicie bezbronny.

Ingvar uśmiechnął się szeroko.

– Ale pomyśl tylko: a jeśli ty byś dostał w twarz? Też byłbyś raczej bezbronny, chociaż nie nosisz patrzalek.

Hal musiał przyznać mu rację. Zwrócił się do Thorny ze smutnym uśmiechem na twarzy.

– Część winy spada na ciebie. To ty go nauczyłeś machać tą wielką tyką.

– Widziałeś to? – wtrącił Stefan. – Było dokładnie tak, jak mówiłeś. Ciąć nią, kuć nią, rąbać, bóść nią. Czysta poezja. – Podeszedł do Ingvara i klepnął go w plecy. Olbrzym zaszurał nogami, zawstydzony, że nagle znalazł się w centrum zainteresowania.

Wreszcie Thorn się rozchmurzył.

– Dobra robota, Ingvarze – powiedział.

Ingvar uniósł głowę. Na pochwały z ust Thorny nie tak łatwo było zasłużyć – szczególnie w przypadku kogoś, kto uzurpował sobie jego pozycję podczas walki.

– Dzięki, Thorn – rzucił.

Stig, który wraz z bliźniakami wiązał wszystkich jeńców i sadzał ich rzędem wzdłuż burty, teraz podeszedł do przyjaciół i powiedział:

– Jeśli skończyliście wyznawać sobie miłość, to powiedzcie, mądrale, co teraz? Co mamy zrobić, żeby popłynąć tym okrętem tam, dokąd chcemy?

Hal po namyśle wskazał właz, wiodący na pokład wioślarzy, i odparł:

– Dobre pytanie. Chodźmy porozmawiać z niewolnikami. Stig, Thorn, za mną. Reszta, nie spuszczać oka z jeńców. – Nagle zreflektował się i spojrzał przepraszająco na Selethena. Pomyślał, że chyba nie należy takim tonem zwracać się do wysoko postawionego człowieka. – Jeśli nie masz nic przeciwko, wakirze?

Selethen uprzejmym gestem dał do zrozumienia, że nie ma.

– Skądże, kapitanie. Jestem gotów na wasze rozkazy. – Krzywy uśmiezek wygiął kąćki jego warg. – W szczególności na taktyczne zawołanie: „Bierzmy ich!”

– Niektórzy są naprawdę dowcipni – mruknął Thorn. A potem wraz z Halem i Stigiem skierował się do luku.

Zeszli po kilku stopniach. Przez chwilę nic nie widzieli. Półmrok, panujący na dole, mocno kontrastował z blaskiem słońca na zewnątrz. Ale jeszcze zanim cokolwiek zobaczyli, w ich nozdrza uderzyła ostra woń. Woń kilkudziesięciu niemytych spoconych ciał, ściśniętych w dusznym ciasnym pomieszczeniu, zmieszana ze smrodem brudnej wody w zębie.

Kiedy ich oczy przywykły do ciemności, ujrzeli rzędy brudnych brodatych twarzy. Spojrzenia niewolników nie wyrażały ani sympatii, ani wrogości. Przybyli zatrzymali się u dołu drabiny, pochylając plecy pod niskim stropem. Rozglądali się dokoła, oceniając sytuację. Wbrew obawom Davosa zarządca niewolników, który teraz leżał martwy między ławkami, nigdy nie nosił klucza przy sobie. To byłaby zbyt wielka pokusa dla uwięzionych. Klucz wisiał na kołku koło luku, poza zasięgiem wioślarzy.

Niewolnicy nadal siedzieli więc na swoich miejscach, przykuci do wiosel. Hal postąpił kilka kroków w stronę rufy. Trzydzieści kilka par oczu zwróciło się na niego. Zobaczył, że na samym końcu, za ławkami, leży kilku rannych mężczyzn.

– Zawołaj Edvina – polecił Stigowi. – I niech zabierze swoje narzędzia. Mamy rannych.

Oczywiście, niewolnicy odnieśli rany z jego winy, kiedy „Czapla” uderzyła w galeryę, łamiąc jej wiosta. Chciał jakoś im to zadośćuczynić, prosząc Edvina, by posklejał ich, jak tylko się da. Zrobił jeszcze kilka kroków, przystanął i popatrzył na rzędy nieruchomych oczu. Szukał błysku zaufania, lecz na próżno.

– Potrzebujemy waszej pomocy – powiedział po chwili.

Nic. Zero reakcji. Kompletna cisza. Zerknął na Thorny, który tylko wzruszył ramionami, i podjął:

– Jestem Hal Mikkelson, kapitan skandyjskiej łodzi „Czapla”. Opanowaliśmy „Ishtfanę” i pojaliśmy załogę. Pewnie z radością przyjmiecie wiadomość, że kapitan nie żyje. Zginął w walce.

– To nie był Krwawa Ręka – odezwał się jakiś głos – tylko pierwszy oficer, Kyrios. Krwawa Ręka nie wypłynął na tę wyprawę.

Hal z zainteresowaniem wydął wargi.

– Cóż, tego nie wiedziałem. Tak czy inaczej, zabiliśmy bądź uwięziliśmy członków jego załogi. Ale was nie zamierzamy trzymać w niewoli. Zamierzam zwrócić wam wszystkim wolność.

Te słowa wreszcie wywołały reakcję wioślarzy. Na dźwięk magicznego słowa „wolność” wzdłuż ławek przeszedł stłumiony pomruk – słowa, którego do tej pory nie śmieli wypowiadać nawet w myślach. Hal uniósł rękę i głosy powoli ucichły.

– Ale, jak wspominałem, potrzebujemy waszej pomocy. Zamierzamy przegonić Iqbala i Tualegów z Taborka i chcemy wykorzystać w tym celu ten okręt. Uwolnimy was, damy wam jedzenie i czyste ubrania. Chcemy jednak, byście popłynęli z nami z powrotem do Taborka.

Znowu wśród wioślarzy przeszedł pomruk. Tym razem Hal wyczuwał w nim mroczniejszy ton. Prędko uspokoił niewolników:

– Nie zamierzamy was bić, nie każemy pracować w zabójczym tempie, nie użyjemy siły. Nawet nie żądamy, byście walczyli u naszego boku. Zabierzcie nas do portu i jesteście wolni.

Urwał, rozejrzał się, czekając na jakąś reakcję. W niektórych oczach widział niepewność, w innych zgodę, w nielicznych wrogość i nieufność.

Jeden z wioślarzy zapytał:

– A jeśli odmówimy?

Hal rozłożył ręce.

– Nie mamy zamiaru zmuszać was siłą.

Teraz Thorn zrobił krok do przodu i przemówił:

– Ale w takim przypadku was nie uwolnimy. Możecie zostać tutaj, przykuci do wiosła. Znajdziemy inny sposób, by dostać się do Taborka. Krótko mówiąc: jeśli wy nam nie pomożecie, my nie pomożemy wam.

Hal spojrzął na przyjaciela. Pomyślał, że to dość brutalne słowa, on nigdy by ich nie wypowiedział. Ale widział sens w tej metodzie. Thorn po prostu proponował uczciwą transakcję. Jeśli nie chcecie z nami współpracować, nie oczekujcie współpracy z naszej strony.

W rzeczywistości Hal i tak nie spełniłby tej groźby. W razie konieczności zaholowałby „Ishtfanę” na miejsce umówionego spotkania z wojskami Selethena. Wówczas zyskałby wystarczającą liczbę wioślarzy. Ale to zajęłoby sporo czasu, a wiedział, że powinni zjawić się w Taborku jak najprędzej. Im dłużej to potrwa, tym większe ryzyko, że Iqbal nabierze podejrzeń. Cały plan mógł upaść, gdyby niewolnicy nie zgodzili się na ich propozycję.

Cisza zdawała się trwać w nieskończoność. Hal odwrócił się, słysząc kroki na zejściówce. To był Edvin, z płócienną torbą na ramieniu, pełną medykamentów i opatrunków. Z odrazą zmarszczył nos. Hal wskazał rannego mężczyznę na rufie.

– Jest tam. Zobacz, co możesz dla niego zrobić.

Edvin podszedł do wioślarza, który leżał bezwładnie oparty o burtę, ściskając złamane ramię. Na jego twarzy widniały liczne rany i plamy krwi. Edvin usiadł na ławce i zaczął delikatnie obmywać głębokie skaleczenie na czole – ślad po odłamku z roztrzaskanego wiosła.

Pracował szybkimi lekkimi ruchami, by sprawić rannemu jak najmniej bólu, przemawiając łagodnym, dodającym otuchy głosem. Pozostali wioślarze odwrócili się i obserwowali jego poczynania.

Edvin skończył oczyszczać ranę, posmarował ją leczniczym mazidłem i obwiązał głowę rannego czystym lnianym bandażem. Jego zwinne ruchy i troskliwa postawa wywarły spore wrażenie na niewolnikach.

Delikatnie odciągnął lewą rękę, którą mężczyzna przytrzymywał złamane prawe przedramię i obejrzał je krytycznym okiem.

– Stig! – zawołał. – Chodź tu, nastawisz ramię.

Pierwszy oficer pospieszył na wezwanie. Edvin pokazał mu, w którym miejscu ma chwycić i pociągnąć ramię, tak by wskoczyło z powrotem na miejsce.

– Kiedy dam ci znak – dodał – chwyć mocno, ale nie szarp. Ciągnij delikatnie, aż się wyprostuje. Potem wsadzę je w szyny.

Stig kiwnął głową, nerwowo oblizał wargi. Edvin dotknął ręki wiosłarza i pochylił się ku niemu.

– Będzie bolało – ostrzegł. – Bardzo. Ale to potrwa tylko chwilę. Nie mamy wyjścia, chyba że wolisz do końca życia zostać z krzywym ramieniem. Rozumiesz?

Mężczyzna kiwnął głową. Cały się spiął, szykując się na ból, na czoło wystąpiły krople potu.

– Jeśli chcesz, krzycz do woli – dodał Edvin.

Mężczyzna spojrział prosto w spokojne oczy znachora. Wierzył w to, co w nich zobaczył.

– Zaczynajcie – skinął głową.

Edvin przygotował drewniane szyny i rolkę bandaża.

– Na trzy – powiedział do Stiga. – Raz, dwa, trzy.

Stig chwycił ramię i zaczął ciągnąć, na przekór mięśniom i ścięgnom, które chciały zachować skrzywiony kształt. Edvin specjalnie wybrał Stiga – był on młody, a jego mięśnie stwardniały dzięki długim godzinom wiosłowania i treningom z bronią. Przewyższał siłą pozostałych członków załogi, może za wyjątkiem Ingvara. A właśnie siła była tu potrzebna. Oczywiście, Thorn dysponował jeszcze większą siłą, ale jedną ręką nie dałby rady ustawić obu części złamanej kości we właściwej pozycji.

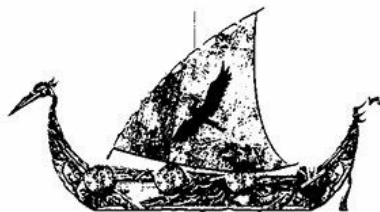
Wiosłarz krzyknął przejmująco, aż echo poszło po całym pomieszczeniu, a pozostali niewolnicy odwrócili wzrok. Ale oto ramię znowu było proste, kość wróciła na miejsce. Edvin prędko zapakował rękę w szyny i kilka razy mocno obwiązał ją bandażem, by zapewnić odpowiednie usztywnienie i podparcie. Wiosłarz już nie krzyczał, oddychał nierówno, urywanie.

– Możesz już puścić – powiedział Edvin do Stiga. Ten zabrał ręce, wyprostował plecy. Na jego brwiach także perlił się pot.

– Dziękuję wam... – wysapał mężczyzna. Brudną lewą ręką dotknął Edvina w geście wyrażającym wdzięczność. – Dziękuję, przyjacielu.

Wiosłarze odetchnęli z ulgą. Mężczyzna, który wcześniej dyskutował z Halem, powiedział:

– Zawieziemy was do Taborka.



Rozdział 24



Butrus ibn'Shaffran wsparł się na włóczni, popatrzył na ciemny ocean i cicho ziewnął.

Słońce zaszło kilka godzin wcześniej, zanurkowało w krwistoczerwonych wodach Morza Spokojnego, dając niezwykle pokazy gry światła. Księżyc jeszcze się nie pokazał, czarne morze tylko od czasu do czasu połyskiwało odbitym blaskiem gwiazdy czy bielą piany, tam, gdzie załamana się fala.

Prócz szumu morza do uszu Butrusa docierały dźwięki pustyni, rozpościerającej się za jego plecami. Tutejsze wybrzeże było twarde i skaliste, ale nieco dalej ciągnął się pas wydm o szerokości pół kilometra. O tej porze, kiedy ziarna piachu stygły, kurczyły się i przemieszczały, dochodził stamtąd nieustający stłumiony szmer. Butrus był człowiekiem z miasta, nie nomadą, i ten dźwięk brzmiał w jego uszach obco – obco i trochę niepokojąco. Ale ciepło dnia szybko rozptywało się w chłodzie nocy i dźwięk zaczynał zamierać.

Obliczył, że pozostały mu jeszcze dwie godziny warty. Znowu ziewnął. Obóz leżał pogrążony we śnie. Żołnierze wcześniej, jeszcze przed zachodem słońca, zjedli kolację i ułożyli się na posłaniach wokół ognisk. Byli doświadczonymi wojownikami i korzystali z każdej okazji, by odpocząć, choćby przez kilka godzin czy nawet minut. Nie spali tylko ci, którzy pełnili wartę, czyli Butrus i pięciu innych żołnierzy – oraz sierżant sztabowy, który zdawał się w ogóle nie potrzebować snu i posiadał nieprzyjemną umiejętność nagłego pojawiania się w ciemności, bez ostrzeżenia, by sprawdzić, czy podwładni należycie pełnią obowiązki.

– Coś się dzieje? – Schrypnięty szept sierżanta brutalnie wyrwał go z zamyślenia. Butrus był niemal pewien, że podskoczył na wysokość kilku centymetrów. Szybko ustawił włócznię i siebie samego w przepisowej pionowej pozycji i usztywnił mięśnie na baczność.

– Nie, sierżancie – odparł, mimo szoku panując nad głosem. Czterdziestu kilku śpiących opodał towarzyszy z pewnością nie okazałoby mu wdzięczności, gdyby obudził ich w środku nocy.

– W takim razie, w imię Szkarłatnego Dżina z Dżebel-Ran, co to jest?

Sierżant podszedł bliżej, chwycił Butrusa za ramię i odwrócił go w odpowiednim kierunku. Po prawej stronie na morzu widniała niewyraźna plama fali dziobowej – znak, że jakiś okręt, sporych rozmiarów, zmierza do brzegu i jest już naprawdę blisko, w odległości może jakichś czterdziestu metrów. Butrus jęknął w myślach. Wiedział, że ta wpadka będzie go kosztowała tydzień karnych robót.

– To okręt, sierżancie – odparł Butrus tonem.

– Okręt. Ach, tak. A kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować?

Głos sierżanta ociekał sarkazmem. Butrus zazgrzytał zębami w bezsilnej rozpacz i poczuciu niesprawiedliwości. Tak czy inaczej, sierżant już zobaczył okręt. Nawet pokazał go Butrusowi. Wydawało się lekką przesadą powiadamiać go o czymś, o czym i tak wiedział. No, ale jednak był to sierżant sztabowy.

– Sierżancie, okręt zbliża się do brzegu. Wygląda jak korsarska galera.

– Tyle to wiem – odparł sierżant. – Sam ci zresztą o tym powiedziałem, pamiętasz?

– Tak, sierżancie – przyznał nieszczęsny żołnierz. Cóż innego mógł powiedzieć?

Sierżant pokiwał głową.

– A zamierzałeś poinformować mnie również o tym drugim okręcie?

W tym samym momencie Butrus dostrzegł, że z ciemności wylania się kolejna jednostka, płynąca jakieś trzydzieści metrów za galerą. Była od niej sporo mniejsza i pewnie dlatego jej nie zauważył od razu.

– Sierżancie, do brzegu zbliżają się dwa okręty – zameldował jeszcze żałośniejszym głosem.

Sierżant popatrzył na niego, kręcąc głową. „Armia schodzi na psy”, pomyślał.

– Kretyn – stwierdził. – Idź obudzić kapitana. Powiedz mu to samo: do brzegu zbliżają się dwa okręty. Bo chyba tylko dwa, co? – dodał sarkastycznie.

Butrus wychylił się nieco do przodu, mrużąc oczy.

– Tak jest. Dwa okręty. Tylko dwa.

Sierżant prychnął szyderczo i ruszył na brzeg, tam, gdzie, jak wszystko wskazywało, za chwilę wylądują obce jednostki. Butrus po chwil wahania pobiegł w stronę niewielkiego namiotu kapitana, podzwaniając bronią i kolczugą.



– Starczy. Wciągnąć wiosła – zawołał Hal przez luk. Usłyszał, jak Thorn powtarza jego rozkaz. Po chwili długie jesionowe wiosła uniosły się znad powierzchni wody i ułożyły poziomo, by za moment z głuchym łoskotem zniknąć pod pokładem.

„Ishtfana” pokonała ostatnie dwadzieścia minut siłą rozpędu i wśliznęła się na plażę, ryjąc dziobem szorstki piach. Hal spojrzał przez ramię – „Czapla” również wylądowała na brzegu, jakieś pięć metrów dalej.

Odwiązał wiosło, które służyło za prowizoryczny ster i powiedział do Selethena:

– Wprowadź ludzi na pokład.

Wakir ruszył na dziób okrętu, Hal za nim. Na plaży już czekała grupka ludzi, gotowych powitać swego dowódcę. Nieco dalej majaczyły w ciemnościach kolejne sylwetki – żołnierze budzili się i zbierali do drogi.

Hal zszedł pod pokład i powiódł wzrokiem po twarzach wiosłarzy. W niepewnym migotliwym blasku niewielkich latarenek, umieszczonych na dziobie i rufie, dostrzegł, że ponad połowa mężczyzn umyła się i przebrała w czyste ubrania. Wcześniej pozwolił im w grupach po pięciu odświeżyć się i wybrać stroje z kabin korsarzy znajdujących się na dziobie. Pozwolił też posilić się jedzeniem – prawdziwym jedzeniem z korsarskich zapasów, nie tą wstrętną breją, którą raczono ich w niewoli. Edvin, zdążywszy połatać wszystkich rannych, pilnował, by nie zjedli zbyt wiele naraz. Gdyby po kilku miesiącach głodowej diety nagle pochłonęli wielkie porcje, mogłoby skończyć się to poważną chorobą.

– Dziękuję wam! – zawołał Hal. – Jeszcze kilka godzin i możecie na zawsze zapomnieć o wiosłowaniu.

Patrząc na wiosłarzy, nie potrafił ukryć uśmiechu. Przez wiele miesięcy nosili jedynie brudne przepaski biodrowe. Czasami korsarze urządzali kąpiel, która polegała na tym, że wylewali na skutych mężczyzn wiadra wody. Wiosłarze, którzy umyli się na pokładzie w morskiej wodzie, mieli teraz na sobie najpiękniejsze korsarskie ubrania, a jak już wspomniano, helleńscy korsarze lubowali się w strojach barwnych i krzykliwych. Ławki wiosłarskie wyglądały teraz jak morze szkarłatnych, żółtych i jaskrawo niebieskich satyn i jedwabi. Wszędzie pyszniły się rękawy koszul, komicznie szerokie, zebrane wokół nadgarstków. Hal wątpił, by kiedykolwiek widziano równie egzotyczną załogę galerników. Pokręcił głową i wrócił na pokład.

Pierwsi z dwudziestu pięciu żołnierzy Selethena, obładowani bronią i sprzętem, właśnie przeskakiwali przez burtę. Rozejrzeli się z zaciekawieniem dokoła. Wielu z nich należało do pustynnej kawalerii i jak można było się

spodziewać, nigdy nie widziało z bliska okrętu, już nie mówiąc o tym, że nie gościło na pokładzie. Witali ich bliźniacy – kolejne wielce fascynujące zjawisko w oczach Arydów. Kilku dosłownie rozdziawiło usta na widok identycznych żeglarzy.

W końcu Wulf miał dosyć tego wybałuszania oczu i kręcenia głowami.

– Na co się gapicie? – spytał jednego z żołnierzy, młodzieńca liczącego góra dwadzieścia lat. Żołnierz wskazał na Ulfa, stojącego kilka metrów dalej.

– Ten człowiek – powiedział. – Wyglądasz dokładnie tak samo, jak on.

Wulf spojrzał spode łba na swego brata, potem na Arydę.

– Nieprawda – odparł ostrym tonem. – To on wygląda tak, jak ja. – Potem dodał ponuro i niezbyt logicznie: – I lepiej żeby przestał, bo pożałuje!

Żołnierz, teraz zupełnie zdezorientowany, skierował się w stronę rufy, jeszcze raz spojrzał przez ramię na przedziwne zjawisko i potknął się o zwój liny.

Hal poczekał, aż kilkunastu Arydów zbierze się na rufie, po czym przemówił:

– Początkowo możecie zostać na pokładzie, ale kiedy zbliżymy się do miasta, musicie się schować. Tymczasem nacieszcie się świeżym powietrzem.

Już widział w wyobraźni, jak ci wszyscy wojacy, nienawykli do morza i duchoty panującej na pokładzie wioślarzy, chorują aż do samego Taborka. Uznał, że lepiej, by jak najdłużej pozostali na górnym pokładzie. Kiedy zejść na dół, będą musieli zmieścić się między ławkami dla wioślarzy. Na szczęście, ten dyskomfort nie potrwa długo. Hal miał nadzieję, że ciasnota, duszne powietrze i koszmarny smród z zęzy nie nadwyreżę za bardzo ich sił.

Poleciał pierwszej grupie żołnierzy, by przekazali jego słowa całej reszcie, po czym przeszedł na dziób i zeskoczył na plażę, obok pogrążonych w rozmowie Gilana i Selethena. Po chwili dołączył do nich Stig.

– Wakirze, jesteś gotów wejść na pokład? – spytał Hal. Ku jego zdziwieniu Selethen potrząsnął głową.

– Nie płynę z wami do Taborka – odparł, po czym odwrócił się w stronę stojących niedaleko oficerów i przywołał jednego z nich: – Kapitanie Rahim! Zechcesz podejść?

Potęźnie zbudowany mężczyzna tuż po trzydziestce ruszył w ich stronę. Hal pomyślał z uśmiechem, że bez wątpienia spędził całe życie w siodle. Jego nogi przybrały lekko wygięty kształt, a w konsekwencji krok stał się nieco chwiejny. Mężczyzna zatrzymał się i pozdrowił wakira w tradycyjny sposób, dotykając palcami ust, brwi i znowu ust i lekko skłaniając głowę.

– Wakirze? – powiedział, czekając na rozkazy. Selethen przedstawił Hala i Gilana kapitanowi, który skłonił się przed nimi, a potem otaksował ich baczным spojrzeniem. Hal niemal słyszał jego myśli: „Strasznie młody. Miejmy nadzieję, że wie, co robi”.

– Kapitan Rahim będzie dowodził oddziałem desantowym – wyjaśnił Selethen. – Ja podążę do Taborka drogą lądową i poprowadzę główny atak. – Z rąk jednego z podwładnych wyjął dwa długie zwoje i podał je Gilanowi.

– To są strzały sygnalizacyjne – powiedział. – Na czubku znajduje się łatwopalna substancja, która wybucha wielką chmurą białego dymu. Kiedy znajdziecie się na miejscu, podpalcie jedną ze strzał i wystrzelcie pionowo w powietrze. Kiedy tylko zobaczę sygnał, przypuszczę atak na główną bramę. Potem wy zaatakujecie Iqbala i jego ludzi od tyłu, przedrzecie się do bram i otworzycie je dla naszych wojsk.

– O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem – zauważył Hal.

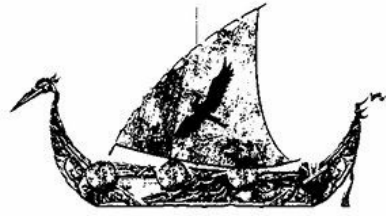
Gilan uśmiechnął się smętnie.

– Co rzadko się zdarza.

Selethen uniósł brew. Rzeczywiście, musiał przyznać, że nawet najstaranniej obmyślany plan przeważnie rozpada się jak domek z kart z chwilą, kiedy zaczyna się walka.

– Cóż – powiedział – jeśli wpadniecie w tarapaty, możecie po prostu wypuścić na Tualęgów waszego przyjaciela Ingvara z tym toporkiem na długim patyku. Jestem pewien, że przerazi nawet najtwardszych bandytów.

– Też jestem tego pewien – zgodził się Stig. – Mnie w każdym razie przeraza.



Rozdział 25



Philipa Krwawą Rękę obudziło dyskretne pukanie do drzwi. W każdym razie zaczęło się dyskretnie. Ponieważ kapitan długo nie odpowiadał, dźwięk stopniowo przybrał na sile, aż w końcu wdarł się w otumanioną winem świadomość korsarza.

Philip leżał na brzuchu, rozwalony w poprzek łóżka. Podparł się ręką, by odepchnąć się od miękkiego materaca, lecz ręka mu się obsunęła, stracił równowagę i stoczył się na podłogę. Na szczęście łóżko było zrobione z grubych poduch, ułożonych na kafelkowej posadzce, więc nie spadł z wysoka. Jedyne jego humor znacznie ucierpiał.

– Co jest?! – wrzasnął gniewnie, gramoląc się do pozycji siedzącej. I zaraz pożałował, bo czaszkę przeszył gwałtowny ból. Przycisnął rękę do pulsującego czoła, lecz bynajmniej nie ulżyło to jego cierpieniom. Język miał spuchnięty, w ustach czuł pustynię. No i to koszmarnie pulsowanie za oczami. Porozrzucane puste butelki po winie milcząco podpowiadały, co jest przyczyną tego fatalnego samopoczucia.

Drzwi uchyliły się i służący ostrożnie wetknął głowę do pokoju. Philip słynął z tego, że lubi rzucać przedmiotami – niejednokrotnie ostro zakończonymi – w ludzi, którzy mieli czelność go obudzić.

– Kapitanie, okręt wrócił. Z łupem – powiedział nerwowo służący. Pomyślał, że przynajmniej druga część jego wypowiedzi powinna zapobiec wybuchowi wściekłości.

Philip mruknął i przetarł oczy. Kilka razy przełknął ślinę. Wreszcie spojrzął na stojącego przy drzwiach człowieka.

– Przynieś wina – rozkazał, ale zaraz wpadł na lepszy pomysł. – Nie. Czekał. Przynieś wody. Zimnej. I cytryny.

– Tak jest, kapitanie – odparł służący i czym prędzej czmychnął.

Philip zaczął szukać ubrania, tocząc dokoła zamglonym wzrokiem. Dopiero po chwili olśniło go, że nadal ma je na sobie. Był to typowy krzykliwy zestaw w guście helleńskich korsarzy. Szerokie jaskrawoniebieskie spodnie przytrzymała w pasie szkarłatna szarfa. Wielki brzuch opinała koszula z żółtej satyny. Na nogach tkwiły sięgające łydek buty z miękkiej czerwonej skóry.

Wizualny efekt psuły nieco liczne plamy po jedzeniu i winie, ale Philip nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Brakowało mu jeszcze ulubionej czerwonej bandany. Zaklął siarczyście, bo nigdzie nie mógł jej znaleźć. Ktoś mu kiedyś powiedział, że czerwona bandana jest oznaką upośledzenia umysłowego, Philip jednak darzył ją wielkim uwielbieniem, zapewne potwierdzając w ten sposób prawdziwość tej opinii. Przeszukawszy bez skutku cały pokój, nagle uświadomił sobie, że ma ją na głowie. Siedziała nieco krzywo, więc poprawił ją, podniósł się i sklepieniem przejściem ruszył na położony piętro wyżej taras, wychodzący na port.

Zmrużył oczy w słońcu, którego blask rozpalał białe ściany budynków i migotał na wodach zatoki.

Rzeczywiście, „Ishtfana” spokojnie zmierzała w stronę wejścia do portu, a za nią niewielki okrętek – łup, o którym wspominał służący. Oslaniając oczy, Philip spojrzął na bliźniacze falochrony. Obsługa właśnie opuszczała masywny łańcuch pod powierzchnię wody, otwierając przed „Ishtfaną” swobodne przejście.

Usłyszał, że drzwi do pokoju się otwierają. Służący znowu wszedł do środka z tacą, na której stały dzbanek z wodą, kubek i leżało kilka przeciętych na pół cytryn. Philip chwycił dzbanek i zaczął pić łapczywie. Cierpki smak cytrynowego soku przebił się przez tępą warstwę, zatykając mu usta. Odwrócił dzbanek do góry dnem, wylewając resztki wody na głowę i koszulę. Potem opuścił rękę, wziął głęboki wdech, beknął i rzucił dzbanek na posłanie. Służący pospiesznie go zabrał.

– Powiedz lordowi Iqbalowi, że „Ishtfana” wróciła – polecił, ruszając do wyjścia. Zakrzywiony miecz wisiał na kołku przy drzwiach. Zdjął go, wsunął za szeroki pas i wyszedł, po drodze naciągając na prawą dłoń czerwoną rękawiczkę, która miała przypominać o jego przydomku – Krwawa Ręka.

– Lord Iqbal został poinformowany – odparł służący. Ale Philipa już nie było.

Kapitan z trudem zwlekł się po schodach i wyszedł prosto na bezlitośnie prażące słońce. Był wysoki i groteskowo otyły, jako że lubił folgować rozkoszom podniebienia – i nie tylko zresztą. Ledwo zrobił dwadzieścia kroków, a już ociekał potem.

Jęknął z wysiłku – i bólu, który nadal pulsował gdzieś w głębi czaszki – ale dzielnie parł przed siebie. Iqbal już czekał na brzegu, wpatrzony we wpływającą do portu galereę. W przeciwieństwie do korsarza wódz Tualegów był wysoki i bardzo szczupły. Ciemnoniebieskie luźne szaty nosił jakby na przekór żarowi, lejącemu się z nieba. Dolną część twarzy kryła tradycyjna zasłona. Philip widywał jego twarz jedynie w domowym zaciszu. Wiedział, że pod zawojem kryje się łysa czaszka – Iqbal golił ją starannie każdego dnia. Nos miał haczykowany kształt i przypominał dziób drapieżnego ptaka. Ciemne przenikliwe oczy również przywodziły na myśl ślepie orła czy sokoła.

Teraz te ciemne oczy spoczęły na kroczącej ciężale i niezbyt świeżej postaci Philipa i zmierzyły go z nieskrywaną odrazą. Philip mógłby się założyć, że za niebieską zasłoną wargi Iqbala ułożyły się w krzywy, pełen wzgardy uśmiezek. Philip miał to gdzieś. Nie dbał o zdanie Iqbala co do jego prywatnych zwyczajów. Byli współnikami, wiązała ich umowa i interesy, nie przyjaźń czy wzajemny podziw. Jeśli chodzi o opinię Philipa na temat Iqbala, to uważał go za smętną zimnokrwistą pustynną jaszczurkę.

– Widzę, że pojмали statek handlowy – powiedział Philip, wskazując na mniejszy okręt, posłusznie płynący za „Ishtfaną”.

Przywódca Tualegów uniósł jedną brew.

– Coś długo to trwało – stwierdził. – Można by pomyśleć, że twój zastępca niezbyt dobrze sobie radzi.

Philip wzruszył ramionami. Statek, który dostrzegli poprzedniego dnia, okazał się bardzo powolny i nieruchawy. Philip zastanawiał się, czemu pochwycenie go i sprowadzenie do portu zajęło aż tyle czasu. Iqbal miał rację. Kyrios nie był szczególnie zdolny ani szczególnie inteligentny. Philip zawsze dobierał sobie na podwładnych ludzi rzetelnych, ale nie wybitnych. Dzięki takiej strategii zmniejszał ryzyko, że pewnego dnia któryś z nich zechce zająć jego miejsce. Kyrios, jak go znał, pewnie kazał wioślarzom pracować na maksymalnych obrotach i tak ich zmęczył na samym początku, że ofiara zdołała uciec na znaczną odległość.

Nie zamierzał jednak znosić krytyki pod adresem swego okrętu czy załogi z ust jakiegoś pustynnego gburą.

– Łatwo krytykować, kiedy nie ma się pojęcia o trudnościach, z jakimi musi walczyć żeglarz na morzu – powiedział zaczepnym tonem.

– Najważniejsze, że wrócili. Reszta nie ma znaczenia – odparł Iqbal i odwrócił się na pięcie. Nie zamierzał tracić czasu na oglądanie wchodzących do portu okrętów. Wiedział, że zostanie poinformowany o swoim udziale w zyskach i że Philip nie odważy się go oszukać. Ludzie Iqbala dozorowali rozładunek.

Po drodze zauważył Dakhwana i trzech jego pomocników, zmierzających w kierunku nabrzeża. Khumsan, oddział złożony z pięćdziesięciu żołnierzy, wkroczył do Taborka poprzedniej nocy, pod osłoną ciemności. Żołnierze

mieszkali niedaleko portu, w nieużywanym magazynie. Iqbal pomyślał, że idealnie nadawaliby się do pilnowania rozładunku. Przywołał Dakhwana, który natychmiast podszedł do niego i przywitał się tradycyjnym gestem, acz ciut niedbale.

– Panie?

Iqbal kciukiem wskazał dwa okręty na wodach zatoki.

– „Ishtfana” przywiozła łup. Zbierz ludzi i dopilnuj rozładunku. Zadbaj, żeby ten tłusty Hellen nie zgarnął czegoś na boku.

– Wedle rozkazów – odparł Dakhwan. Zwrócił się do jednego z towarzyszy i polecił, by żołnierze czym prędzej zjawili się w porcie.

– Uzbrojeni, panie? – spytał porucznik.

Dakhwan zmierzył go nieruchomym spojrzeniem.

– To chyba oczywiste. Nie wybieramy się na piknik. Ruszaj!

Porucznik przyjął te uwagi z filozoficznym spokojem. Dobrze wiedział, że Dakhwan jest sarkastyczny i złośliwy. Wiedział o tym już wiele lat temu, kiedy zdecydował się przyłączyć do jego bandy. Przez ten czas konsekwentnie piął się po drabinie i w końcu został jednym z najbardziej zaufanych ludzi. Trochę sarkazmu nie boli, szczególnie kiedy człowiek nauczy się go ignorować. A Dakhwan odnosił liczne sukcesy, ludzie pod jego przywództwem gromadzili spore ilości srebra, złota i szlachetnych kamieni. Porucznik skręcił w wąską alejkę, wiodącą do dużego budynku, w którym kwaterowali żołnierze, oddalonego o jedną przecznicę od portu. Kiedy znalazł się na tyle blisko, że mogli go usłyszeć, przekazał rozkaz Iqbala.

Philip wpatrywał się w zbliżającą się galerę. Pomyślał, że coś mu tutaj nie pasuje. Przyjrzał się niewielkiej grupce, stojącej przy sterze. Żadna z postaci nie wydała mu się znajoma. Szukał wzrokiem charakterystycznej barwnej figury Kyriosa – na próżno. Zmarszczył brwi. Przedni pokład był pusty. Zwykle stała na nim zwycięska załoga, opijając i świętując kolejną udaną wyprawę. Tym razem nie było nikogo.

A grupa zebrana wokół steru wyglądała bardzo zastanawiająco. Nikt nie miał na sobie jaskrawego stroju, wszyscy nosili ubrania w barwach zgaszonych brązów i szarości. A jeden z ludzi szaro-zieloną pelerynę. W rękę dzierżył łuk.

Tamta szczupła postać zaś to z pewnością była dziewczyna!

Nagle Philip uświadomił sobie, że został oszukany. To nie jego załoga wprowadzała „Ishtfanę” do portu. Nie miał pojęcia, kim są ci obcy, ale na pewno nie byli jego ludźmi. Odwrócił się na pięcie. Opodal stał strażnik portowy, uzbrojony w ciężki kościany łuk. Philip podbiegł do niego, chwycił broń, wyciągnął kilka strzał z kołczanu, prędko umieścił jedną z nich w cięciwie i znowu stanął twarzą do nadciągającej galery.

– Ogłoś alarm! – krzyknął. – Zostaliśmy zaatakowani!

Strażnik popatrzył na niego z zaskoczeniem, ale kiedy zobaczył, jak Philip naciąga łuk i mierzy w nadpływający okręt, szybko otrząsnął się i krzyknął do obserwatorów na wieży:

– Alarm! Dzwoncie na alarm! Zostaliśmy zaatakowani!

Usłyszał głuche brzdęknięcie – Philip wypuścił strzałę.

Owszem, kapitan był tłusty i obleśny, ale bronią potrafił posługiwać się wyśmienicie. Bez tych zdolności nawet przez tydzień nie przetrwałby jako dowódca bandy rzezimieszków. Strzała pomknęła przed siebie, bezbłędnie mierząc w człowieka, stojącego przy sterze.

Gilan usłyszał krzyki dochodzące z nabrzeża i zauważył nadlatującą strzałę. Chwycił Hala i pociągnął go w dół, dosłownie w ostatniej sekundzie. Strzała świsnęła nad ich głowami – dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stał młody skirl.

– Thorn! – krzyknął zwiadowca. – Wyprowadź ich na pokład!

Zobaczył, że jaskrawo ubrana postać po raz kolejny naciąga łuk i szybko sięgnął do kołczanu. Niestety, jego dłoń natrafiła na jedną ze strzałek sygnalizacyjnych, które poprzedniego dnia bezmyślnie tam wsadził. Zaklął i

zaczął na oślepy szukać zwykłej strzały.

Ale Lydia okazała się szybsza. Ona również zauważyła łucznika. Dostrzegła też czerwoną rękawicę i domyśliła się, z kim ma do czynienia.

– No, no – mruknęła. – Toż to Philip Tłusta Graba.

Szybkim instynktownym ruchem, który zapisał się w jej mięśniach dzięki długoletnim ćwiczeniom i tysiącom oddanych strzałów, wyciągnęła strzałkę, umieściła w atlatlu, wymierzyła i cisnęła w przeciwnika.

Philip właśnie miał wypuścić drugą strzałę, kiedy poczuł mocne uderzenie w pierś. Wypuścił łuk z dłoni, spojrział ze zdumieniem na drzewce, wystające z jego ciała. Początkowo nie czuł bólu. Tylko siłę uderzenia, nic więcej.

Ale po chwili przyszedł ból. Ogromny.

Nagle ostry blask słońca zmienił się w czerní, a Philip padł na keję jak szmaciana lalka.



Rozdział 26



„Ishtfana” uderzyła dziobem w keję i otarła się o nią, gwałtownie skręcając, by ustawić się burtą równolegle do kamiennej ściany. Stefan i Jesper prędko okręcili cumy wokół pachołków, umieszczonych na całej długości molo, Stig i Ingvar pospieszyli z pomocą i wspólnymi siłami przyciągnęli łódź bliżej. Wszyscy czterej trzymali broń w pogotowiu, na ramię każdy z nich, z wyjątkiem Ingvara, zarzucił wielką okrągłą tarczę.

Thorn wyszedł na pokład, a zaraz za nim pierwszy z arydzkich jeźdźców. Przeskoczyli na molo, gdzie po chwili dołączyły do nich Czaple. Na łodzi został tylko Edvin – i Kluf, na wypadek gdyby Tualegowie chcieli przypuścić atak. Musieliby być bardzo odważni, by wejść na pokład „Czapli”, kiedy strzegła go Kluf. Lub bardzo głupi.

Hal zszedł na brzeg jako ostatni, kiedy już wszyscy żołnierze wgramolili się na molo, czego bynajmniej nie ułatwiały im wysokie do kolan buty jeździeckie. Wsunął na lewe ramię błękitną galijską tarczę w kształcie trójkąta i wyjął miecz z pochwy.

Arydzi, zgodnie z instrukcjami Thorny, których udzielił im podczas podróży, ustawili się w dwóch rzędach za Skandianami, którzy uformowali tradycyjny klin, z Thornem na przedzie. Zaraz za nim kroczyli Stig i Ingvar, ten drugi przeszczeniwy, że wreszcie może wziąć udział w walce. Ciemnobrązowe dyski, zasłaniające oczy, nadawały mu złowieszczy wygląd.

Na molo stała niewielka grupa, złożona może z dziewięciu-dziesięciu strażników. Cofnęli się, z niepokojem patrząc na uzbrojoną formację.

Nagle obraz gwałtownie się zmienił.

Rozległ się tupot ciężkich butów na kamieniach, zmieszany z metalicznym pobrzękiwaniem kolczug i broni – a po chwili z bocznej alejki wynurzył się oddział Tualegów. Wbiegli na molo i ustawili się w pojedynczym rzędzie, tworząc płytki łuk. Strażnicy portowi poczuli się pewniej i szybko do nich dołączyli.

Thorn zerknął na przeciwników. Prawie sześćdziesięciu. W większości twardzi pustynni wojownicy, nie żadni tam nieruchawi wojacy z miejskiego garnizonu.

– Chyba mamy problem – mruknął.

Gilan zajął pozycję obok Thorny z naciągniętym łukiem, w każdej chwili gotów wypuścić strzałę sygnalizacyjną. Lydia czekała obok z krzemieniem i krzesiwem.

– Mam nadać sygnał? – spytał Gilan.

Thorn zawahał się, w końcu odparł:

– Tak. Nie ma co zwlekać, bo Selethen nie dotrze na czas.

Gilan podsunął Lydii owinięty kawałkiem tkaniny czubek strzały. Potarła krzemień o krzesiwo, iskra przeskoczyła na nasączony olejem lont, pokonała go z sykiem i po chwili dotarła do czubka strzały, owiniętego tkaniną z substancją łatwopalną. Gilan uniósł łuk niemal pionowo do góry i wypuścił strzałę, która pomknęła

wysoko, ciągnąc za sobą ledwo widoczną smugę szarego dymu.

Wszyscy śledzili jej lot. Wszyscy za wyjątkiem Thorny, który zmrużonymi oczami wpatrywał się w Tualegów, czekając na chwilę, kiedy wybuchająca strzała odwróci ich uwagę.

– Teraz... – mruknął.

I rzeczywiście. Strzała, która znalazła się w niemal najwyższym punkcie lotu, nagle wybuchła chmurą białego dymu. Sekundę później usłyszeli suche „kramp”.

Wśród Tualegów rozległy się okrzyki zaskoczenia. Cała ich uwaga skupiła się na dryfującej w powietrzu chmurze dymu. W tym momencie Thorn wydał swoją ulubioną komendę:

– Bierzmy ich!

I z impetem rzucił się na grupę Tualegów.

Skandianie wbili się klinem w środek linii przeciwnika, spychając w tył kilkunastu wrogów, czterech powalając na kamienne nabrzeże. Topory wznosiły się i opadały, tarcze zderzały z tarczami, miecze fruwały w powietrzu i siekły. A w samym środku straszliwa maczuga Thorny waliła z góry i na boki, łamiąc kości, krusząc żebra i wyrzucając wrogów w powietrze.

Tualegowie cofnęli się i zgrupowali po obu stronach skandyjskiego klina, gdzie już czekały na nich oddziały Arydów. Bitwa rozpętała się na całego, obie strony nacierały na siebie zaciekle, waląc i rąbiąc ze wszystkich sił.

Gilan i Lydia stali z tyłu, wypatrując, czy żadnemu z ich towarzyszy nie grozi podstępny atak, gotowi w każdej chwili interweniować. Łuk Gilana i atalatl Lydii czekały w pogotowiu. Ale trudno było wypatrzeć pojedynczego wroga w masie walczących mężczyzn. Istniało zbyt duże ryzyko, że trafią kogoś ze swoich.

Tak jak to nieraz bywało, o zwycięstwie przesądził skandyjski klin. Maczuga Thorny, topór Stiga i halabarda Ingvara zbierały straszliwy plon. Linia obrony osłabła i w końcu rozpadła się – błękitni wojownicy zaczęli się wycofywać. Początkowo krok po kroku, wciąż walcząc, ale po jakimś czasie, kiedy coraz więcej ofiar padało pod ciosami przerażającego trio – szybciej i szybciej, w końcu biegiem, szukając schronienia w wąskiej bocznej uliczce.

– Dalej! – krzyknął Thorn, ruszając za nimi. Zaraz potem wydał kolejny rozkaz: – Utrzymać formację! Zachować klin!

To właśnie klin nadał ich szarzy odpowiednią siłę i umożliwił przełamanie linii obrony. Każdy z tworzących go mężczyzn stanowił wsparcie dla walczących obok towarzyszy. Gdyby klin się rozpadł, pojedynczy wojownicy szybko padliby w walce ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem.

Thorn zwolnił kroku, by utrzymać formację. Klin ocalał, z obu stron wzmacniany przez oddziały arydzkich żołnierzy.

Ale to drobne opóźnienie wystarczyło, by Dhakwan zebrał ludzi i przypuścił kontratak.

Porucznik przebił się na czoło bezładnego tłumu, tłoczącego się w wąskiej alejce. Kiedy wycofujący się Tualegowie wyszli na niewielki plac, stanął naprzeciw nich, szeroko rozkładając ramiona, w jego prawej dłoni groźnie połyskiwał bułat.

– Stać! – wrzasnął, ściągając z twarzy niebieską zasłonę, by wszyscy mogli go rozpoznać. – Zwiewacie jak tchórzliwe baby! Stać. A teraz wracać do walki!

Stopniowo panika zaczęła ustępować. Wojownicy popatrywali na siebie, mocno zawstydzeni. Widząc, że odzyskują wiarę w siebie, Dhakwan szybko wykorzystał okazję.

Wskazał wylot innej wąskiej alejki po drugiej stronie placu.

– Tędy! – krzyknął. – Ta uliczka prowadzi na kolejny plac. Tam przypuścimy atak. My będziemy mieć przestrzeń wokół siebie, oni utkną w ciasnej alejce. Wybijemy ich w pień!

Bułatem jeszcze raz wskazał na ciemny wylot uliczki. Na końcu tej, z której przed chwilą się wynurzyli, słychać było rytmiczne kroki Skandian i Arydów.

Tualegowie ruszyli przed siebie. Donośny głos Dakhwana jeszcze raz odbił się echem od otaczających plac budynków, gasząc w załączku wszelkie przejawy paniki.

– Ruszać się! Tylko równo! Utrzymać szyk. Ci na końcu idą tyłem, twarzą w stronę atakujących. Ci z przodu, podpierają ich, żeby nie stracili równowagi.

Wojownicy z tyłu posłusznie odwrócili się, ci z przodu położyli ręce na ich ramionach i cała formacja równym krokiem ruszyła przed siebie.

Ledwo zdążyli zniknąć w alejce, gdy na placu pojawili się Skandianie. Thorn powiódł wzrokiem dokoła, dostrzegł w cienistym wylocie ostatnich wojowników.

– Dalej! – zakrzyknął. – Biegiem!

Skandianie i Arydzi ruszyli za Tualegami. W oknach pokazały się zawoalowane twarze kobiet i ciekawskich dzieci, patrzących, jak oddział obcych wojowników walczy o ich miasto.

Thorn wkroczył w alejkę. Tualegowie właśnie wychodzili na zalany słońcem plac na jej końcu. Zwolnił nieco, wciąż pilnując, by klin się nie przerwał.

– Za długo to trwa – mruknął. Od wystrzelenia strzały sygnalizacyjnej minęło już sporo czasu. Selethen i jego ludzie zapewne walczyli na głównej ulicy, pozbawieni pomocy ze strony ich grupy. Thorn miał nadzieję, że szybko rozbije oddziały Tualegów, którzy uciekną w panice na skutek niespodziewanego ataku. Ale alarm podniesiono zbyt szybko, dowódca doskonale panował nad swymi ludźmi i kontrolował odwrót.

W dodatku okazało się, że muszą stawić czoło około sześćdziesięciu wojownikom – z ogólnej liczby dwustu. Niemożliwe, by Iqbal przeznaczył do obrony portu tak znaczną grupę ludzi. Ktoś musiał pomylić liczby. W mieście przebywały znacznie liczniejsze oddziały Tualegów.

Thorn dotarł do końca alejki i przystanął. Taualaghowie przerwali odwrót. Czekali na placu, ustawieni w szeregu, gotowi ponownie stawić czoło przeciwnikom.

– Tarcze! – krzyknął Thorn. W tym momencie przeciwnicy ruszyli na niego, wymachując mieczami i potrząsając oszczepami. Nagle znalazł się w środku rozpaczliwej bitwy. Miał za sobą trzydziestu ludzi, ale nie więcej niż kilku mogło jednocześnie wydostać się z wąskiej alejki na otwartą przestrzeń placu.

Na szczęście tych kilku należało do najprzedniejszych wojowników, jakich znał. Stig i Ingvar siekli, razili i dźgali atakujących. Hal walczył z typowym dla siebie kunsztem i kontrolowaną zaciekłością, odpierając ciosy i wyrzucając miecz w oszalamiająco szybkich pchnięciach, które rzucały przeciwników na ziemię bądź kazały im się cofać. Czwórka Skandian zaczęła przesuwać się do przodu, wkrótce dołączyli do nich Ulf i Wulf, walcząc po obu stronach z wojownikami, którzy próbowali ich otoczyć. Kiedy pierwsze Czaple utorowały drogę, dołączyła do nich reszta drużyny. Linia wroga powoli zaczynała się cofać.

Ale w któryś momencie Tualegowie w przyptywie energii i desperacji znowu zaatakowali. Teraz z kolei Czaple musiały ustąpić. Za ich plecami dwudziestu pięciu Arydów, ściśniętych w wąskiej alejce, wydawało desperackie okrzyki, na próżno usiłując wydostać się na plac i przyłączyć do bitwy.

Gilan i Lydia, którzy nie mogli uczestniczyć w walce, ponieważ ryzykowałiby, że zranią swoich, spotkali się na tyłach.

– Należało posłać część żołnierzy jedną z równoległych alejek – stwierdziła Lydia. – Wtedy moglibyśmy zaatakować ich z dwóch stron.

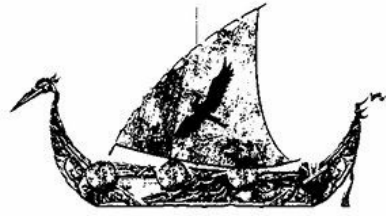
Ale Gilan potrząsnął głową.

– Jest ich zbyt wielu. Musielibyśmy mieć więcej ludzi. Tualegowie szybko rozgromiliby grupkę liczącą zaledwie kilkunastu żołnierzy. Potrzebowalibyśmy trzydziestu czy czterdziestu, a tyłu nie mamy.

Lydia zmarszczyła brwi, potem spojrzała na Gilana i odparła:

– Ale chyba wiem, gdzie ich znaleźć.

Odwróciła się na pięcie i lekkim krokiem pobiegła z powrotem przez plac, w kierunku portu.



Rozdział 27



Selethen zobaczył białą chmurę dymu nad Taborkiem, a zaraz potem usłyszał odgłos wybuchu. Wyciągnął miecz i zwrócił się do jednego z poruczników:

– Są w mieście. Czas ruszać. Dopilnuj, żeby jeźdźcy z drabinami trzymali się blisko nas.

Podwładny odwrócił się w siodle i powiódł wzrokiem wzdłuż linii jeźdźców, gotowych stanąć do walki pod wodzą wakira. Ponieważ nie dysponowali żadnymi machinami oblężniczymi, skonstruowali trzy lekkie drabiny, które miały pomóc im w sforsowaniu murów miasta. Każdą wiozło między sobą dwóch jeźdźców. Porucznik uchwycił wzrok jednego z nich. Jeździec kiwnął głową. Byli gotowi.

– Trzymajcie się blisko nas! – zawołał.

Plan Selethena był bardzo prosty. W tym momencie jego oddział krył się za niewielkim wzniesieniem, jakieś dwieście metrów od południowej bramy do miasta – bramy głównej. Na jego rozkaz oddział miał pokonać cwałem otwartą przestrzeń. Liczyli na to, że nawet jeśli obrońcy wypuszczą strzały w ich kierunku, szybkie tempo zminimalizuje liczbę ofiar. Kiedy już dotrą do murów, zeskoczą na ziemię i puszcza konie luzem. Przystawią drabiny do murów, a ci śmiałkowie, którym uda się wdrapać na sam szczyt, odwrócą uwagę strażników. Przez ten czas Skandianie z pomocą dwudziestu pięciu żołnierzy Selethena powinni dotrzeć do bramy od drugiej strony, wziąć Tualegów z zaskoczenia i otworzyć wrota, przez które wejdzie reszta wojsk. Powodzenie planu zależało od szybkości i niespodziewanego ataku z dwóch stron.

– Trzymajcie się blisko murów! – zawołał Selethen. Powtarzał im to wiele razy. Gdyby stali w większej odległości, stanowiliby łatwy cel dla obrońców. Skuleni tuż pod murem będą bezpieczni – Tualegowie musieliby mocno się wychylić, by oddać strzał. A wówczas sami wystawiliby się na strzały z krótkich lecz mocnych arydzkich łuków.

– Gotowi! – Selethen uniósł miecz, po czym wskazał nim prosto przed siebie. – Do ataku!

Wbił piętę w boki konia, który ruszył z miejsca, na przestrzeni kilku metrów przechodząc do cwału.

Kopyta zadudniły o ziemię. Ludzie Selethena ruszyli za dowódcą, rozciągając się w długą nierówną linię. Proporce i chusty powiewały na wietrze. Nie była to zdyscyplinowana szarża kawaleryjska, w której każdy jeździec musi zajmować ściśle wyznaczoną pozycję w szeregu. Chodziło o to, by pokonać otwartą przestrzeń w jak najkrótszym czasie. Selethen zauważył kątem oka, że mężczyzna po jego prawej prześciga go i wyrывa do przodu.

Nagle koń się przewrócił, wyrzucając z siodła jeźdźca, który padł głową w dół na kamienistą ziemię. Zastłoniła ich chmura dymu, Selethen nie wiedział, czy strzała trafiła człowieka czy zwierzę.

Słyszał świst strzał tuż koło uszu – Tualegowie rozpoznali w nim dowódcę i obrali za cel ataku. Gwałtownie skręcił konia w bok, deszcz strzał spadł w miejscu, w którym znajdował się sekundę wcześniej. Jeden z jeźdźców

zaczął naciągać łuk, kierując koniem jedynie za pomocą tydek. Selethen krzyknął do niego:

– Oszczędzaj strzały! Będą potrzebne!

Wiedział, że trafienie do celu z grzbietu rozpędzonego rumaka jest mało prawdopodobne. Wolał zaczekać, aż znajdą się pod murem. Strzała musnęła jego rękaw z taką siłą, że zarzuciło nim w siodle. Kolejni dwaj jeźdźcy padli na ziemię, a zaraz potem włócznia uderzyła w kamienisty grunt, aż iskry poszły.

Skoro znaleźli się w zasięgu rzutu włócznią, zostało im już tylko kilka sekund, by dotrzeć do celu. Spojrzał w górę, na mur królujący ponad ich głowami. Widział niebieskie głowy obrońców, czasem migąca sylwetka aż do pasa, kiedy któryś stanął w prześwicie blankowania, by oddać strzał.

Jadący z przodu dowódca plutonu wstrzymał konia i rzucił włócznią w jednego z takich śmiałków. Błękitna postać zachwiała się i spadła z muru, przeszyta ciężkim drzewcem.

Selethen gwałtownie wstrzymał konia. Żołnierze poszli za jego przykładem, w powietrze uniosła się chmura pyłu. Selethen przerzucił nogę nad łękiem, puścił wodze, zeskoczył na ziemię i ruszył biegiem w stronę muru.

Konie, rżąc donośnie, dreptały bez celu, wznosząc jeszcze większe kłęby pyłu, podczas gdy jeźdźcy biegli w kierunku bezpiecznego schronienia. Pylista kurtyna skutecznie zasłoniła ich przed oczami Tualegów, a kłębiące się, zdezorientowane zwierzęta wywołały pożądane zamieszanie. Selethen zobaczył, jak dwóch ludzi podbiega z drabiną do muru. Natychmiast ruszył za nimi i przywołał pięciu żołnierzy.

– Łuki! Kiedy będę się wspinał, oczyście mur. Potem za mną!

Jeden z żołnierzy, porucznik z wieloletnim doświadczeniem, kiwnął głową na znak, że rozumiał. Drabina uderzyła w szczyt muru, odskoczyła i znowu doń przywarła. Wydał rozkaz pozostałym czterem ludziom, trzymającym w dłoniach naciągnięte łuki, by podeszli do drabiny.

– Śmiało, panie! – zawołał do Selethena. – Będziemy cię osłaniać.

W tym momencie na murze pojawiła się kolejna twarz w niebieskiej zastłonie. Tualeg próbował odepchnąć drabinę. Rozległ się brzdęk trzech puszczonej cięciw, potem okrzyk bólu i Tualeg znikł. Dwie strzały trafiły do celu. Dwaj obrońcy zostali unieszkodliwieni.

Selethen zorientował się, że traci czas. Podbiegł do drabiny i zaczął się wspinać. Czuł, jak sprężyste drewno ugina się pod jego ciężarem. Wypuszczona z dołu strzała świsnęła tuż obok jego głowy, po sekundzie z blanków dobiegł okrzyk bólu.

Selethen stanął na ostatnim stopniu. Poczuł drgania – jeden z żołnierzy zaczął wspinać się po drabinie. Tualeg stojący z lewej strony wzniosł włócznię, ale zaraz wypuścił – strzała trafiła go w pachę. Kolejny zaatakował z prawej. Selethen odepchnął włócznię ostrzem miecza i zadał cios, który przeciął ramię i szyję Tualega. Prędko wyszarpnął miecz, a mężczyzna stoczył się z blanków na biegnący poniżej pomost. Trzej kolejni przeciwnicy rzucili się na wakira. Spokojnie parował ich ciosy mocnymi ruchami nadgarstka ze stali, a kiedy jeden z nich za bardzo się zbliżył, Selethen zadał błyskawiczne pchnięcie. Miecz wypadł do przodu niczym atakujący wąż. Selethen usłyszał, jak kolejnych dwóch jego ludzi wdrapuje się na mur. Zeskoczyli na pomost. Trzeci miał mniej szczęścia. Przebity strzałą jednego z Tualegów na sekundę zawisł na ostatnim stopniu drabiny, po czym runął do tyłu i spadł na twardą ziemię.

Kilku Tualegów wbiegło na redutę oddaloną jakieś trzydzieści metrów od muru. Z tego miejsca mogli spokojnie celować do ludzi u stóp muru i do każdego, kto próbowałby wspiąć się po drabinie.

– Tarcze! – krzyknął Selethen do mężczyzn na dole. – Ściana i dach z tarcz! Szybko!

Mężczyźni zbili się w zwartą grupę, pierwszy szereg ukląkł, wznosząc tarcze na kształt ukośnej ściany. Drugi szereg pochylił się i podniósł tarcze, tworząc osłonę nad głowami. Żadna strzała raczej nie zdołałaby się przebić przez taką barierę. Żołnierze byli stosunkowo bezpieczni – nie mogli jednak ruszyć się z miejsca. Byli bezpieczni, lecz w pułapce.

Selethen odwrócił się w stronę obrońców na murze – dosłownie w ostatniej chwili. Jeden z Tualegów właśnie zamierzał się na niego wielkim bułatem. Selethen zrobił unik i ciął mężczyznę w ramię.

Miecz przerwał kolczugę, osłaniającą błękitną tunikę, i przebił skórę oraz mięśnie aż do kości. Tualeg wrzasnął z bólu, miecz wypadł mu z ręki. Zachwiał się, zgiął w pół, rozpaczliwie próbując zatamować krew buchającą z rany. Selethen mruknął z zadowoleniem. Ten człowiek bez wątpienia został wyeliminowany z walki, nieważne, że rana nie była śmiertelna. Selethen odparował cios kolejnego miecza i wymierzył prosto w oczy przeciwnika, widoczne nad błękitną chustą, aż ten, przerażony, zatoczył się do tyłu.

– Stańcie pod murem! – krzyknął do towarzyszy. Wszyscy trzej zaczęli cofać się powoli, aż wreszcie poczuli za plecami szorstki kamień. Teraz nie groził im atak z tej strony, mogli skupić się na atakujących z przodu i z boku. Bronili się desperacko, odpierając atak i wymierzając ciosy, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Selethen zauważył, że po nodze jednego z żołnierzy spływa krew.

– Pospiesz się, Gilan – mruknął pod nosem. – Sami nie damy długo tu rady.



Lydia wbiegła na molo. Jej miękkie buty wydawały cichy odgłos na żwirze, którym wysypano nabrzeże. Edwin pomachał do niej z pokładu „Ishtfany”. Zdążył podплыnąć „Czapłą” do samego nabrzeża i połączyć ją liną z galerą. Kluf na widok machającego Edvina uniosła się na tylnych łapach, wyjrzała zza burty i powitała Lydię radosnym szczekaniem.

– Kluf!

Lydia wspięła się na nadburcie i zeskoczyła na przedni pokład. Z roztargnieniem poklepała psa po wielkim łbie.

– Co tak pędzisz? – spytał Edwin. – Jakies kłopoty?

– Całe mnóstwo – odparła. Mimo że przez całą drogę biegła, nawet nie dostała zadyszki. Była w doskonałej formie, w końcu trenowała od wczesnych lat, ganiając za szybko uciekającą zwierzyną. – Okazało się, że w mieście jest znacznie więcej obrońców, niż nam powiedziano. Mają dużą przewagę liczebną. Poza tym Czaple utknęły w wąskiej alejce, a na placu u jej wylotu czeka na nich sześćdziesięciu ludzi, nie mogą się stamtąd ruszyć. Jeśli wkrótce ich stamtąd nie wydostaniemy, siły Selethena zostaną rozbite w puch.

Nim jeszcze skończyła mówić, Edwin przeskoczył na pokład „Czapli”, chwycił pas z mieczem i tarczą, po czym wrócił do Lydii. Z niepewną miną powiedział:

– Idę z tobą. Możemy też zabrać Kluf. Ale nie sądzę, byśmy zdołali im pomóc.

– Myślałam, żeby zaangażować wiosłarzy – odparła Lydia. – Jest ich ponad trzydziestu, jeśli zaskoczymy Tualegów z drugiej strony, powinno się udać. Nadal tam są?

Przytaknął.

– Tak, siedzą pod pokładem. Chyba przywykli do tego miejsca, zresztą pewnie nie mają ochoty schodzić na brzeg w środku bitwy. Myślisz, że zechcą walczyć?

Lydia wzruszyła ramionami i podbiegła do luku.

– Jeśli nie zechcą, za godzinę znowu będą niewolnikami.

Kiedy Lydia zjawiała się na zejściówce, szum rozmów ucichł i trzydzieści pięć par oczu zwróciło się z zaciekawieniem w jej stronę.

– Potrzebujemy waszej pomocy – oznajmiła bez ogródek.

– Znowu? – spytał ten sam wiosłarz, który wcześniej wyrażał swoje wątpiwości, kiedy Hal prosił ich o doprowadzenie galery do Taborka. Lydia popatrzyła na niego i kiwnęła głową.

– Znowu – odparła. – Walka przybrała zły obrót. Jest nas za mało. W mieście przebywa znacznie więcej Tualegów, niż nam powiedziano. Jeśli nie złamiemy obrony, i to szybko, cały plan weźmie w łeb. Ludzie Selethena są w mniejszości. I nie mają jak dostać się do miasta. Czaple i Arydzi muszą przebić się przez miasto i otworzyć bramy.

– A co to, nasz problem? – spytał inny wiosłarz. Jego towarzysze spojrzeli na niego, potem znowu na Lydię.

– Jeśli przegramy – odparła Lydia ponurym tonem – Hal i pozostali zginą. – Mężczyzna wykonał taki ruch, jakby zamierzał wzruszyć ramionami, więc pospiesznie dodała: – A jak myślicie, co się wtedy z wami stanie?

Mężczyzna uniósł głowę. Wśród wiosłarzy przeszedł pomruk. Najwyraźniej zdali sobie sprawę, jakie to będzie miało konsekwencje. Słowa Lydii dostatecznie im to uświadomiły.

– Sądźcie, że Iqbal uściśnie wam dłonie, poklepie po ramieniu i puści wolno? – spytała sarkastycznie. Zrobiła pauzę i dodała, w razie gdyby jeszcze ktoś miał wątpliwości: – Nawet się nie obejrzycie, a znowu będziecie siedzieć pod pokładem, przykuci do wiosła.

– Możemy przejąć okręt – odparł mężczyzna. – Możemy odpłynąć na morze.

– A niby jak zamierzasz pokonać zaporę? – zapytała Lydia. Iskra nadziei w jego oczach gwałtownie zgasła. – Utknęliście tutaj. Jeśli nie dołączycie do nas, zostaniecie na zawsze pod pokładem.

– Wiedziałem, że niepotrzebnie wam pomagamy! – krzyknął inny wiosłarz.

Posłała mu mordercze spojrzenie. Pomyślała, że to pewnie jeden z tych typów, co zawsze muszą narzekać na ciężki los.

– Cóż, ale pomogliście – odparła ostrym tonem. – A teraz jesteście tutaj i już tego nie zmienicie. Ale możecie walczyć o wolność.

Zamilkła. Nie miała nic więcej do powiedzenia. To nie był odpowiedni moment na porywające przemowy. Wiosłarze nie mieli wielkiego wyboru. Walka u boku Hala albo powrót do niewoli. Po długiej przerwie pierwszy z mężczyzn wreszcie zadał pytanie, które sprawiło, że Lydia poczuła przyływ nadziei.

– A co z bronią?

Odetchnęła z ulgą, a potem wyciągnęła rękę w stronę kajut załogi.

– Korsarze mieli broń – odpowiedziała. – Możecie się nią posłużyć. A jeśli dla wszystkich nie starczy, zróbcie użytek z wiosła.

Mężczyzna wstał i zwrócił się do swoich towarzyszy:

– Ona ma rację. Nie mamy wyjścia. Chwyćmy za broń i dokończmy walkę.

Rozdział 28



Lydia prowadziła przez miasto zaiste barwną gromadkę. Ona i Edvin kroczyli na czele, obok na smyczy biegła Kluf. A z tyłu szli byli niewolnicy. Niektórzy mieli na sobie jaskrawe, lecz brudne, stroje korsarzy, inni jeszcze nie pozbyli się łachmanów, w których spędzili kilka ostatnich miesięcy.

Większość niosła prawdziwą broń: miecze, topory, włócznie i buzdygany. Ale kilku musiało się zadowolić pałkami zrobionymi ze skróconych wiosł. Lydia uznała, że taka broń zapewne będzie w ich rękach równie skuteczna jak każdy inny rodzaj broni w rękach niewyćwiczonych w walce ludzi.

Pomysł, by postawić grupę byłych niewolników przeciwko zaprawionym w boju żołnierzom pod dowództwem Iqbalu mógł wydawać się niemal pewną gwarancją klęski. Wioślarze, owszem, odznaczałi się muskularnymi sylwetkami, ale przez wiele miesięcy żyli w strasznych warunkach, niedojadali, ich zapasy sił i energii były bardzo ograniczone. W dodatku nie mieli doświadczenia w walce. Aż nazbyt wyraźnie świadczył o tym sposób, w jaki niektórzy trzymali broń.

Ale Lydia nie zamierzała rozgromiać tualeskich wojsk. Chciała jedynie zaatakować je z zaskoczenia, na chwilę odwrócić ich uwagę, tak by Hal i jego ludzie zdążyli wydostać się z alejki, w której utknęli, i przypuścić atak na zdezorientowanego przeciwnika.

Dotarli do pierwszego placu. Wylot alejki mieli dokładnie naprzeciwko. Lydia powiodła wzrokiem dokoła i dostrzegła jeszcze jedną wąską alejkę wiodącą w lewo, równoległą do tej pierwszej.

– Tędy! – krzyknęła, ruszając biegiem. Odgłos nierównych kroków na bruku świadczył o tym, że wioślarze posłuchali jej wezwania.

Kluf wydała krótkie szczeknięcie i popędziła przed siebie. Edvin niewiele mógł zdziałać w tym przypadku.

Znaleźli się w zacienionej uliczce. Ich oczy przez chwilę musiały się przyzwyczajać do panującego tam półmroku, ostro kontrastującego z blaskiem słońca na otwartej przestrzeni. Nagle Lydia zorientowała się, że alejka skręca. Jej serce podskoczyło z niepokoju. A jeśli ta uliczka wcale nie wychodzi na ten sam plac co alejka, w której utknęły Czaple? Wyteżyła wzrok. Uliczka była długa i wąska, nie widać było żadnego światła na końcu, nic nie świadczyło o tym, że wiedzie do placu. Lydia już miała zawrócić, gdy nagle zobaczyła wąskie przejście, przecinające alejkę pod kątem prostym.

Zatrzymała się raptownie, biegnący z tyłu mężczyzna nie zdążył wyhamować i wpadł na nią. Zakląła, odepchnęła go. Przez chwilę przyglądała się przejściu. Ledwo mogło się w nim zmieścić dwóch mężczyzn naraz. Ale na końcu Lydia widziała prostokąt słonecznego światła i otartą przestrzeń placu. Dobiegał stamtąd szum broni i krzyki walczących.

– Tędy! – rzuciła, zanurzając się w ciemnym wąskim przesmyku.

Odgłosy walki przybierały na sile. W wylocie nie widać było Tualegów. To oznaczało, że prawdopodobnie

znajdują się gdzieś dalej na placu, a Lydia i jej grupa zajdą ich od tyłu – idealnie się złożyło.

Kiedy od wylotu alejki dzieliło ich jakieś dziesięć metrów, uniosła dłoń na znak, że mają się zatrzymać. Pamiętając, co się stało poprzednim razem, zrobiła jeszcze kilka kroków i dopiero wtedy przystanęła. Słyszała ciężkie urywane oddechy wioślarzy. Pomyślała, że są w naprawdę złej kondycji. Miała jednak nadzieję, że adrenalina doda im sił na tych kilka minut – bo tyle zapewne potrwa atak na Tualegów. Adrenalina i przemożne pragnienie zemsty.

– Kiedy wyjdziemy na plac, rozejdźcie się na boki, żeby zrobić miejsce dla kolejnych osób. Edwin i ja pójdziemy prosto, utwórzcie szereg za naszymi plecami. A potem, na mój sygnał, ruszacie na Tualegów i walicie, czym popadnie. Jasne?

Wśród wioślarzy przeszedł głuchy pomruk – niepokojący, niemal pierwotny. Ci ludzie, którzy wiele miesięcy, a czasem nawet lat, spędzili w okowach, znosząc tortury i brutalne traktowanie, wreszcie dostali broń w ręce i wroga, na którym mogli się zemścić. Ścisłe rzecz biorąc, Tualegowie bezpośrednio nie zrobili im krzywdy, ale byli sprzymierzeńcami ich oprawców, a to wystarczyło. Lydia popatrzyła na wioślarzy. W oczach większości z nich zobaczyła gniew i determinację.

– Ruszamy.



Grupa Skandian i Arydów powoli ustępowała przez Tualegami, aż znalazła się na końcu alejki. Naraz mogło walczyć tylko trzech mężczyzn. Thorn wykorzystał tę okoliczność na ich korzyść i stale zmieniał żołnierzy, tak by obrona miała stały dopływ świeżych sił. Sam jednak walczył bez przerwy, walił maczugą i machał tarczą niczym gigantyczną pięścią. Nie ustawał ani na chwilę, nigdy się nie męczył.

Kiedy Ingvar się cofnął, Hal zajął jego miejsce. Linię obrony tworzyli teraz Thorn, Hal i Stefan. Ulf, Wulf i Jesper czekali na swoją zmianę, chociaż nikt nie wierzył, że Thorn ustąpi komuś miejsca.

Ingvar wsparł się na halabardzie, ciężko dysząc. Wraz z Thornem i Stigiem najdłużej ze wszystkich brał udział w walce. Teraz obserwował jej przebieg, korzystając z dobrodziejstwa patrzalek. Hal właśnie rzucił się na Tualega, aż ten zatoczył się do tyłu. Niestety, Hal zapędził się stanowczo za daleko. Nie zauważył, że wystąpił z szeregu. Zapuścił się między Tualegów, jeden z nich właśnie zaszedł go od tyłu, odgradzając mu drogę do alejki i walczących towarzyszy. Ingvar zobaczył, jak Tualeg zamierza się ogromnym mieczem, by zadać cios zza pleców Hala.

– Hal! Padnij! – wrzasnął. Jego potężny głos przebił się przez szum broni, okrzyki i przekleństwa.

Hal nie wahał się ani sekundy. Padł na czworaka i w tym samym momencie usłyszał świst ostrza tuż nad swoją głową. Uświadomił sobie, że gdyby cios był celny, przecięłby go niemal na pół. Uniósł głowę i spojrzał na Tualega. Z tak bliskiej odległości nie mógł pchnąć go mieczem, więc sięgnął po nóż, szykując się do zadania krótkiego pchnięcia od dołu.

Ale nie zdążył – bo nagle Tualeg dostał potężny cios halabardą, która roztrzaskała jego kolczugę i zaryła głęboko w piersi.

Cios został oddany z tak potężną siłą, że Tualeg zatoczył się kilka kroków do tyłu, wpadł na jednego z towarzyszy, pociągnął go za sobą na ziemię, a dwóch innych zmiotł przy okazji niczym kregle.

Hal skorzystał z zamieszania, podniósł się i szybko wrócił do szeregu. Thorn rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Nie wyskakuj przed szereg – warknął. – Sam powinieneś o tym wiedzieć.

– Przepraszam – odparł Hal. Nie mógł podziękować Ingvarowi, bo właśnie stanął naprzeciw dwóch kolejnych Tualegów. Pierwszego pchnął w udo i powalił na zakrwawiony bruk, drugiego rozbroił: zakręcił mieczem z zawrotną szybkością, ostrzem zahaczył o ostrze jego miecza i wytrącił mu go z ręki. Oczy Tualega rozszerzyły się

ze strachu. Opadł na kolana i schował się za plecami towarzyszy.

Hal nie zamierzał go ścigać. Musiał stawić czoło kolejnemu przeciwnikowi. Ramię bolało go od długiego machania mieczem, a każdy kolejny parowany cios dodatkowo wzmacniał jego cierpienia.

Pomyślał, że chyba poprosi Wulfa, by go zmienił.

A potem usłyszał tak dobrze znany dźwięk – głębokie szczekanie wielkiego psa, rozzłoszczonego i palącego się do walki.

– Kluf? – mruknął. – A skąd ty się tu wzięłaś?

Nagle Tualegowie odwrócili się, całkowicie zaskoczeni kolejnym atakiem – od tyłu.

Banda osiłków, niektórzy wystrojeni w krzykliwe ciuszki, inni w brudnych łachmanach, rzuciła się na Tualegów, siekąc toporami i mieczami, tnąc włóczniami i dziko wymachując drewnianymi pałkami z przysposobionych wiosel. Przy wtórze ogłuszającego huku drewna i metalu wyrąbывali sobie drogę przez szeregi Tualegów.

Kluf była wszędzie. Walila w obcych żołnierzy niczym taran, spychała ich na boki, warczała, szczekała i gryzła, chwytając w ogromne zęby dłonie trzymające broń, szarpiąc tak długo, aż żołnierz puszczał, mimo woli ciskając bronią w masę dezorientowanych towarzyszy.

Niespodziewany atak od tyłu znacznie osłabił Tualegów. Dotychczas niewzruszone szeregi, walczące z Czaplami, zaczęły się rozpadać i przerzedzać. Thorn, jak na mądrego i doświadczonego dowódcę przystało, wykorzystał tę okoliczność, by ostatecznie rozbić siły wroga.

– Dalej! – ryknął i ruszył do boju, wywijając maczugą nad głową, zataczając nią kręgi, które zmiatały Tualegów z drogi. Hal i Stefan zapomnieli o zmęczeniu i natychmiast dołączyli do Thorna, Stig i bliźniacy kroczyli w drugim szeregu.

Arydzkie wojska wreszcie wydostały się z ciasnej alejki i ruszyły przed siebie niepowstrzymaną falą. Miecze unosiły się i opadały, tarcze z brzękiem blokowały rozpaczliwe ciosy błękitnych wojowników.

Hal zobaczył kątem oka oddział wioślarzy, pod wodzą Edvina atakujących niewielką grupkę Tualegów, którzy przybrali pozycję obronną, ustawiając się w okręgu. Szybko padli pod ciosami napędzanych gniewem niewolników. Tymczasem Lydia pilnowała, by żaden z leżących na ziemi wojów nie zdążył odzyskać sił i wrócić do walki. Strzałki fruwały w powietrzu, mężczyźni z powrotem padali na bruk, krzycząc z bólu. Nagle Hala ogarnęło przemożne zmęczenie. Zdał sobie sprawę, że to już koniec.

Ale nie całkiem miał rację.

– Ty! Nordyku! – wrzasnął przysadzisty Tualeg, zapewne wysoki rangą oficer, sądząc po jakości stroju i wysadzanych klejnotami pasa i pochwy miecza. Był to Dakhwan – o czym Hal oczywiście nie mógł wiedzieć – rozwścieczony z powodu totalnej klęski elitarniej jednostki zwanej „khumsan”. W młodym Skandianinie upatrywał głównej przyczyny tego nieszczęścia. Widział go wcześniej u steru „Ishtfany”, kiedy wpływała do portu. A teraz młodzieniec stał przed nim, wycieńczony, z opuszczonym mieczem, którego czubek opierał na bruku – zdany na łaskę Dhakwana.

– Przygotuj się na spotkanie z bogami! – wykrzyknął dowódca Tualegów. Hal zaczął podnosić miecz, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że jest za późno.

A potem ponad jego lewym ramieniem siekło ostrze, czubek wbił się w pierś Dhakwana. Oczy oficera przybrały wyraz zaskoczenia, potem pojawił się w nich ból, a w końcu zaszły mgłą. Kolana ugięły się pod Dhakwanem.

– Nigdy nie wykrzykuj takich pogroźek w środku bitwy – powiedział spokojnie Gilan, cofając miecz. Ciało Tualega osunęło się bezwładnie na bruk. – To marna taktyka, twój przeciwnik tylko zyskuje czas, by zebrać siły do obrony. Lub by cię zabić.

– Zapamiętam – odparł Hal. Z podziwem spojrzął na zwiadowcę. Ten cios był szybki jak błyskawica, w dodatku pojawił się jakby znikąd. I bez wątpienia uratował Halowi życie.

Ostatni Tualegowie rzucali broń na ziemię bądź próbowali kryć się w otaczających plac wąskich uliczkach.

Nagle zagrział głos Thorny, odbił się echem od murów:

– Dalej! To jeszcze nie koniec. Selethen czeka na pomoc przy bramie! Ruszajmy!

– A co z nimi? – zawołał Edwin.

Thorn powiódł wzrokiem dokoła. Killkunastu Tualegów stało z rękami uniesionymi do góry, na ich twarzach widniał wyraz przerażenia i zaskoczenia z powodu nagłej odmiany losu. Thorn wyciągnął rękę w stronę grupy byłych niewolników.

– Zostawcie ich tutaj pod opieką wiosłarzy. Z pewnością docenią ironię sytuacji. A teraz idziemy!

Poprowadził oddziały jedną z większych ulic, odchodzących od placu, wiodącą na południe – czyli tam, gdzie znajdowała się główna brama. Ponieważ ulica była szeroka, mogli biec w szeregach po czterech. Czaple biegły tuż za Thornem, a dalej za nimi Arydzi. Ich broń ociekła krwią, żądza walki buzowała w żyłach.

Po drodze nie napotkali żadnych obcych wojsk. Hal pomyślał, że było to do przewidzenia. Siły Iqbala w większości skupiły się na obronie bramy, reszta walczyła z nimi przed chwilą. Wcześniej wraz z Thornem dokładnie przestudiowali mapę i Thorn bezbłędnie doprowadził ich do głównej bramy. Kiedy wylegli na duży kwadratowy plac, obrońcy odwrócili się, początkowo sądząc, że przybyły posiłki. Ale zaraz dotarło do nich, że to wrogowie w jakiś sposób przedostali się do miasta. Zareagowali stanowczo zbyt późno. Zjednoczone siły Skandian i Arydów już ruszyły do ataku.

Gilan podniósł głowę, by sprawdzić, co się dzieje na murze. Sześciu łuczników strzelało do nacierających z zewnątrz wojsk Selethena. Gilan chwycił łuk i w ciągu trzydziestu sekund z sześciu zostało dwóch, którzy czym prędzej rzucili się do ucieczki.

Selethen nadal stał na biegnącym wzdłuż muru pomoście. Jego dwaj kompani padli, od kilku minut walczył sam. Zwykle nieskazitelnie czystą tunikę i lśniącą kolczugę znaczyły plamy krwi – jego własnej i wrogów. Kiedy strzały Gilana przebiły strażników, kilku ludzi wakira szybko wykorzystało okazję i wbiegło po drabinie, by przyłączyć się do wodza. Selethen schował się za zębem blankowania i uniósł miecz w geście wdzięczności skierowanym do Gilana.

– W samą porę, przyjacielu – zawołał.

Gilan skłonił głowę. Rzeczywiście, mało brakowało.

Thorn, Stig, Hal i bliźniacy przypuścili atak na obrońców bramy i rozbili ich w pył. Rozległy się radosne okrzyki i wiwaty. Kilku Arydów podniosło masywny rygiel, a ich towarzysze pchnęli skrzydła bramy i do środka wkroczyła rycząca grupa kawalerzystów, żądnych zemsty i spragnionych krwi wroga.

Ruszyli przed siebie, zmiatając z drogi niedobitki Tualegów. Niektórzy z nich rzucali broń, błagając o litość. Inni jednak skupiali się w niewielkich grupkach i zaciekle walczyli do końca.

Który nieuchronnie się zbliżał.

Hal wytarł miecz porzuconą na ziemi niebieską chustą i wsunął go do pochwy. Pomyślał, że teraz to już naprawdę koniec. Jeszcze nigdy nie czuł się tak zmęczony.

Dwóch ludzi pomogło rannemu Selethenowi dojść do drabiny.

Być może to instynkt myśliwski kazał Lydii zachować czujność, bo tylko ona zauważyła, jak spośród leżących na murze ciał podnosi się postać w niebieskiej szacie. Tualeg stracił podczas walki zawój i chustę zakrywającą twarz. Miał łysą głowę i haczykowaty nos przypominający dziób sokoła. Był ranny w lewe ramię, ale w prawym trzymał lśniący bułat i właśnie zamierzał się nim na nieostrożne plecy Selethena. Coś musiało zaalarmować wakira, bo w ostatniej chwili gwałtownie odwrócił się twarzą do napastnika.

– Iqbal! – powiedział. Nie rozpoznał go podczas walk. Teraz patrzył śmierci prosto w oczy.

Strzałka Lydii świsnęła w powietrzu i trafiła Iqbala w pierś. Siła uderzenia cisnęła nim o ścianę. Osunął się na pomost.

– Członkowie tej rodziny mają pecha do kobiet – zauważył Gilan.

Lydia zmarszczyła brwi.

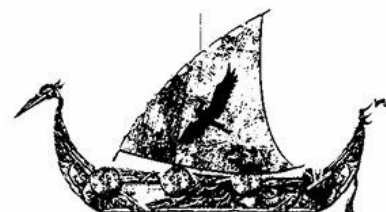
Gilan wzruszył ramionami i wyjaśnił:

– Cassandra załatwiła jego brata pociskiem z procy. A ty przebiłaś Iqbala strzałką.

– Zasłużył.

Ale Gilan nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle rozległo się przejmujące wycie.

Wulf, zalany łzami, klęczał pośrodku placu, pochylony nad nieruchomym ciałem Ulfa.



Rozdział 29



Ulf leżał bezwładnie na bruku, jego głowa spoczywała na kolanach Wulfa.

Oczy miał zamknięte, oddech płytki, twarz bladą jak kreda. Z wielkiej rany na boku sączyła się krew, plamiąc koszulę i rozlewając się kałużą na ziemi. Wulf spojrzął na przyjaciół, którzy otoczyli go bezradnym kręgiem. Na jego twarzy malowała się rozpacz, łzy płynęły niepowstrzymanym strumieniem. Z ust dobywały się strzępy nieskładnych zdań, przerywanych rozdzierającym serce łkaniem.

– Nie zdążyłem... dobiec... Ten tchórz... poddał się i... rzucił broń... na ziemię. – Tu wskazał tualeskiego wojownika, leżącego kilka metrów dalej, wpatzonego w niebo niewidzącym wzrokiem. – A potem, kiedy Ulf spojrział... w drugą stronę... ta zdradziecka świnka wyciągnęła nóż i... ugodziła Ulfa! – Pochylił się nad bratem, płacząc bezgłośnie. Łzy kapały na przesiąkniętą krwią koszulę.

Edvin utorował sobie drogę do rannego, ukląkł na ziemi i otworzył torbę. Spojrzął na kałużę krwi, na koszulę Ulfa i wydał cichy rozpaczliwy okrzyk. Potem rozciął koszulę i zaczął ocierać krew zwiniętym kawałkiem bawełny.

– Przynajmniej nie przeciął tętnicy – powiedział, bardziej do siebie niż do pozostałych.

– Skąd wiesz? – spytał Stig.

Hal wyjaśnił:

– Krew z przeciętej tętnicy nie wypływa, tylko tryska.

– Może, ale wypłynęło bardzo dużo – zauważył sceptycznie Stig. Hal mógł jedynie kiwnąć głową. Ulf stracił mnóstwo krwi i nadal ją tracił.

– Czy Ulf wyzdrowieje? – spytał Wulf Edvina głosem łamiącym się z rozpacz i strachu. – Potrafisz mu pomóc?

Edvin, nie podnosząc głowy, oczyścił ranę specjalną maścią i owinął bandażem. Krew nadal płynęła, prędko barwiąc bandaż na czerwono.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł. Dopóki Wulf nie wymienił imienia brata, Edvin nie miał pojęcia, którego z nich opatruje. – Ale wciąż traci krew.

Selethen podszedł do rannego i prędko oszacował sytuację.

– Posłałem po tabibów. Moich uzdrowicieli – wyjaśnił. – Oni wam pomogą.

Wulf prędko uniósł głowę. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

– Nie! – krzyknął gwałtownie. – Nikt prócz Edvina nie ma prawa go dotknąć! Nikt!

Edvin, mocno przyciskając opatrunek, powiedział:

– Wulf, nie wygłupiaj się. Ludzie Selethena to wykwalifikowanymi medycy. W porównaniu z nimi jestem zaledwie ulepszoną wersją wiejskiej zielarki.

– Tobie ufam – odparł Wulf. – Im nie. Nie znam ich!

W tym momencie dwaj Arydzi w zielonych tunikach przepchali się przez stale rosnący tłum. Ponieważ nie

nosili zbroi ani broni, Hal uznał, że są to właśnie zapowiadani medycy. Wulf położył dłoń na rękomości noża.

– Nie zbliżać się! – ostrzegł. – Nikomu nie pozwolę dotykać mojego brata!

Starszy z mężczyzn, ignorując groźby, ukląkł obok rannego.

– Traci krew – powiedział Edvin. – Stanowczo zbyt dużo krwi.

Mężczyzna kiwnął głową. Położył dłoń na dłoni Edvina, by zwiększyć nacisk. Wulf poruszył się niespokojnie, wysuwając nóż do połowy z pochwy. Ale kiedy zobaczył, że krew przestała płynąć, schował nóż. Nie bardzo wiedział, co ma robić.

– Potrafisz mu pomóc, tabibie? – spytał Selethen.

Medyk spojrzał na niego i kiwnął głową.

– Sądzę, że tak, panie. Mamy maść, która zagęszcza krew i potrafi spowolnić jej upływ. Bo największym problemem jest utrata krwi. Najlepiej zabrać go do szpitala. Musimy sprawdzić, czy nie zostały uszkodzone żadne narządy. Na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że nie.

Selethen pochylił się i położył dłoń na ramieniu Wulfa. Ten próbował ją strząsnąć, spojrzał z urazą na Arydę, ale Selethen nie puszczał.

– Wulfie, tabib posiada ogromną wiedzę i talent. A to jest jego uczeń. To jedni z najprzedniejszych medyków w moim kraju. Proszę, pozwól im pomóc twojemu bratu.

– Tak, Wulfie! – wtrącił Edvin. – Ja nic więcej nie mogę zrobić.

Wulf jednak nadal się wahał. Popatrzył na Edvina, potem na Selethena, w końcu na tabiba. Twarz medyka była spokojna i opanowana. W jego oczach Wulf zobaczył głębię wiedzy i wiary we własne możliwości.

Gilan włączył się do dyskusji:

– Wulfie, arydzy medycy należą do najwybitniejszych lekarzy na całym świecie. Studiują na wschodzie, w szkołach medycznych o wieloletniej tradycji. Czerpią z dawnej wiedzy, a jednocześnie stale rozwijają swe umiejętności, wynajdują nowe maści, medykamenty i lecznicze mikstury. W Araluenie znam tylko jednego człowieka, który może się z nimi równać. Dopuść ich do brata.

Oczy Wulfa ponownie przebiegły po twarzach stojących dookoła mężczyzn. Tak jak poprzednio, zatrzymały się na twarzy starszego tabiba. Nadal był on spokojny i opanowany. Kiwnął głową i ten krzepiący gest sprawił, że irracjonalny opór Wulfa zaczął słabnąć.

– No dalej, Wulfie – szepnął Edvin. – Zostanę z nimi. Będę pilnował Ulfa przez cały czas, obiecuję. Ale musisz się zgodzić, i to szybko. Tracimy go.

Rzeczywiście, wszystko na to wskazywało. Wulf odchylił się na piętach, zamknął oczy, pozwalając, by tży spłynęły po policzkach. Potem otworzył oczy i powoli pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Zróbcie przejście – polecił starszy tabib zgromadzonym. Rozstąpili się, robiąc miejsce sanitariuszom, którzy delikatnie ułożyli Ulfa na noszach. Edvin i medyk nadal przyciskali ranę, nawet na chwilę nie zabrali rąk.

Na znak medyka sanitariusze podnieśli nosze i zaczęli przesuwać się w kierunku bramy.

– Dokąd go zabieracie? – spytał Wulf, zrywając się z miejsca. Młodszy tabib uniósł rękę uspokajającym gestem.

– Niedaleko stoi namiot, służący nam za szpital – wyjaśnił. – To miejsce czystsze i lepiej przystosowane do celów medycznych niż jakiś ciemny pokoik w mieście.

Wulf kiwnął głową i ruszył za sanitariuszami. Młody tabib dotrzymywał mu towarzystwa.

– Nie martw się – powiedział. – Mój mistrz go uleczy. Nie ma sobie równych w tej części świata.

Pewny ton jego głosu trochę uspokoił Wulfa i złagodził strach, który nie opuszczał go od chwili, kiedy zobaczył swego brata leżącego bez życia na ziemi. Spojrzał na młodego medyka.

– Dziękuję.

Tabib wzruszył ramionami.

– To nasza praca – odparł. – A nikt nie wykonuje jej z takim kunsztem jak mistrz Maajid. Jego imię znaczy „Wyśmienity”.

Pozostali członkowie załogi dreptali w miejscu, niepewni, czy powinni towarzyszyć Wulfowi. Nie mieli na to zbyt ochoty – żaden z nich nigdy nie był w szpitalu. Prowadzili niebezpieczny tryb życia, takie miejsca zaś zbyt wyraźnie przypominały, co w każdej chwili może przynieść los. W końcu Hal podjął decyzję za wszystkich. I wszystkim odpowiadającą.

– Pójdę z nimi – oznajmił. – Thorn, Stig, zbierzcie załogę i w razie czego, gdyby jakiś Tualeg nadal próbował sprawiać kłopoty, pospieszcie z pomocą ludziom Selethena.

Kiwnęli głową w odpowiedzi. Thorn czubkiem buta dotknął martwego Tualega. Mężczyzna wciąż ścisnął sztylet, którym ranił Ulfa. Thorn wyjął mu go z dłoni.

– Nie ma co ryzykować – stwierdził. Stig potrząsnął głową.

– Już nikogo więcej nie zaatakuje – powiedział. Potem popatrzył na resztę towarzyszy. – Kto go załatwił? Przypuszczam, że Wulf?

Jesper potrząsnął głową.

– Wulf był za daleko. A kiedy zobaczył, jak Ulf pada na ziemię, dosłownie zamarł w bezruchu. To Ingvar zajął się Tualegiem. Teraz, kiedy odzyskał wzrok, reaguje z szybkością błyskawicy.

Thorn i Stig wymienili znaczące spojrzenia.

– Hal stworzył potwora – stwierdził Thorn, spoglądając na olbrzyma. Ingvar stał opodal, ale poza zasięgiem jego głosu, wsparty na halabardzie. Za sprawą ciemnych dysków zasłaniających oczy wyglądał jak zjawą nie z tego świata.

Stig przytaknął.

– Ty też dołożyłeś swoje, dając mu tę przerośniętą wykałaczkę. Jest naprawdę przerażający, kiedy zaczyna nią wymachiwać. Widziałeś go podczas bitwy?

– Tak. Ciął nią, kłuł nią, rąbał i bódł nią. I powtórka.

Thorn klepnął Stiga w plecy, po czym zawołał:

– Dalej, Czaple! Mamy jeszcze sporo do zrobienia.



Wnętrze namiotu było cieniste i chłodne. Boczne ściany zwinięto, by wpuścić do środka świeże powietrze, ale w razie niepogody czy wiatru z pustyni dałoby się rozwinąć je w ciągu kilku minut, chroniąc wnętrze przed brudem i pyłem.

Sanitariusze ułożyli Ulfa na stole przykrytym białym lnianym prześcieradłem. Dwaj tabibowie przystąpili do pracy, stając po obu stronach stołu. Od czasu do czasu rzucali jakieś uwagi w swoim języku.

To znaczy, Hal zakładał, że jest to arydzki, bo równie dobrze mógł to być jakiś sekretny język. Wulf bacznie obserwował ich poczynania. Od czasu do czasu Maajid przerywał pracę i we wspólnym języku tłumaczył sens jakiejś procedury bądź zastosowania maści, a Edvin wszystko skrzętnie notował.

– Niesamowite – mówił od czasu do czasu, potrząsając głową. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z ogromu wiedzy i talentu arydzkich medyków.

Hal zauważył, że upływ krwi znacznie się zmniejszył. Po trzeciej zmianie opatrunku już nie przesiąkała przez bandaż. Przypuszczał, że jest to skutek działania maści, o której wcześniej opowiadał tabib.

A może po prostu w żyłach Ulfa zaczynało brakować krwi?

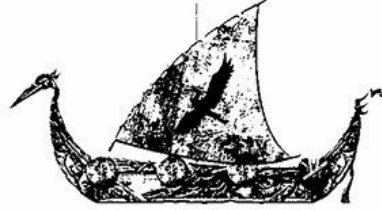
Po jakichś dwudziestu minutach od ich przybycia u wejścia do namiotu zrobił się ruch i wniesiono kolejne nosze. Leżał na nich wysoki Tualeg, w charakterystycznych niebieskich szatach, ale bez zawoju i zastłony na

twarży. Czaszkę miał gładko wygoloną, jego ciemne oczy płonęły nienawiścią. Wrzeszczał nieskładnie i machał rękami. Maajid uniósł głowę. Jego uczeń podszedł do nowego pacjenta. Po kilku minutach wrócił, spojrzał na mistrza i potrząsnął głową.

– Dla niego nic nie da się zrobić – powiedział. Maajid mruknął coś pod nosem. Przysięgali ratować życie i uśmierzać cierpienie, ale czasami musieli pogodzić się z wyrokami losu.

Tualeg krzyknął resztką sił:

– Przeprowadźcie zwiadowcę! Powiedzcie, że Iqbal Makali ma dla niego ważne wieści.



Rozdział 30



Sanitariusze stali niezdecydowani, nie bardzo wie dząc, czy mają posłuchać rozkazu Tualega. Hal, rozpoznawszy jego imię, podszedł do noszy, na których leżał śmiertelnie ranny bandyta.

– Zróbcie, co mówi – powiedział do sanitariuszy. – Możliwe, że naprawdę chce nam przekazać istotne informacje. Nie mamy czasu do stracenia.

Pomocnicy Maajida zdołali usunąć strzałę z piersi Iqbala, jednakże rana okazała się bardzo głęboka. Stalowy grot przebił płuco Iqbala. Szkody były nie do naprawienia. Wokół ust Iqbala pokazała się różowa piana. Hal wiedział, że to zły znak. Tabib Daanish miał rację, dla tego człowieka już nic nie dało się zrobić.

Oczy Iqbala, dzikie i rozpalone gorączką, spoczęły na młodym skirlu. Rozpoznał go.

– Ty... Nordyku. Jesteś jednym z nich, prawda? Jesteś ze zwiadowcą?

– Zgadza się – odparł Hal. Nie miał ochoty na pogaduszki z Tualegiem, ale pomyślał, że może tym sposobem odwlecze nieuchronnie nadchodzącą śmierć.

Okropny grymas wykrzywił twarz rannego.

– Nie możecie siedzieć we własnym kraju? Czemu zawsze musicie narobić nam kłopotów? – spytał gniewnie.

Hal wzruszył ramionami.

– Na razie wygląda na to, że sam narobiłeś kłopotów. To ty nałożyłeś tolfah na aralueńską księżniczkę.

Iqbala złapał atak kaszlu, na brodzie pokazało się jeszcze więcej krwi. W końcu doszedł do siebie. Zwrócił na Hala zaskoczone spojrzenie.

– A więc wiecie o tolfah? Jacy bystrzy. No, ale wiele wam z tego nie przyjdzie.

Nawet bliski śmierci, Iqbal wciąż zachowywał się arogancko i pogardliwie. Jego słowa wzmocniły gniew Hala. Czuł, że nie powinien mu się przeciwstawiać, ale nie mógł się powstrzymać.

– Tobie chyba też nie. To nie ja tu leżę z dziurą w piersi.

Oczy Iqbala pociemniały ze złości. Znowu chwycił go kaszel. Zaraz jednak odzyskał swój drwiący sarkastyczny sposób bycia.

– Tak czy inaczej, przegraliście – powiedział. – Nie możecie uratować swojej bezcennej księżniczki. Skorpiony nie dadzą za wygraną. Będą próbować tak długo, aż wreszcie im się uda. Jakie to uczucie, wiedzieć, że przegrałeś, Nordyku?

Hal usłyszał kroki u wejścia do namiotu. Gilan rozejrzał się dokoła, zobaczył Hala, spojrzał na Tualega i szybko podszedł do noszy.

– Po co chciałeś się ze mną widzieć? – spytał neutralnym tonem.

Usta Iqbala wykrzywiły się w drwiącym grymasie.

– Chciałem ci uświadomić, że przegrałeś. Wasza księżniczka jest skazana – wychrypiał. Siłę głosowi nadały jad

i nienawiść, trawiące jego wnętrze.

Gilan zerknął na Hala, który wzruszył ramionami, po czym znowu spojrzął na Iqbal.

– A więc chciałeś po prostu nacieszyć się swoim triumfem?

Bandyta pokiwał głową, chociaż ten ruch wyraźnie sprawiał mu ból.

– Tak. Chciałem zobaczyć twoją twarz w chwili, kiedy uświadomisz sobie, że wszystkie wasze wysiłki poszły na marne. – Zatoczył dokoła słabnącą ręką. – Owszem, zabiliście mnie, ale Sekta Skorpiona zabije waszą księżniczkę. Nic ich nie powstrzyma. Będą próbować aż do skutku.

Gilan zmarszczył czoło. Po chwili odpowiedział roztropnym tonem:

– Raczej mało prawdopodobne. W końcu ciebie za chwilę nie będzie. Wasza umowa umrze wraz z tobą. Niby czemu mieliby dalej narażać życie swoich ludzi? Czemu mieliby dotrzymać umowy z nieżyjącym człowiekiem?

Na te słowa Iqbal wybuchnął śmiechem. Śmiechem szczerym, chociaż pełnym raczej szyderstwa niż radości. Przyptyw wesołości kosztował go wiele bólu i kolejny atak kaszlu. Z kącika ust znowu pociekła krew.

– Nadal nic nie rozumiesz – powiedział z pogardą. – Przeżyłeś taki kawał drogi, kilku twoich ludzi zginęło bądź odniosło rany, ale ty nie masz pojęcia, z czym walczysz, prawda?

Gilan milczał. Zaczynał czuć się trochę nieswojo. Iqbal wiedział, że umiera, a jednak chciał się z nim zobaczyć – chciał nacieszyć się swoim triumfem. Gilan pomyślał, że powinno być raczej odwrotnie. Iqbal przegrał bitwę, leżał na łożu śmierci. Z czego wynikał ten triumf? Czego Gilan i jego towarzysze nie rozumieli, jeśli chodzi o tolfah?

Iqbal, wyczuwając jego niepewność, uniósł się na łokciu, jęknął z bólu, który przeszył jego ciało, i zgiętym palcem wskazał własną pierś.

– Myślicie, że kontrakt dotyczący śmierci księżniczki to sprawa między mną i Skorpionami, co?

Gilan wzruszył ramionami.

– A kim niby jeszcze? – zapytał. Iqbal znowu się zaśmiał, tym razem z pogardą. Opadł na poduszki z zamkniętymi oczami, wyraźnie osłabiony. Ciężko oddychał, z trudem wsącżając powietrze w przebite płuca. Z jego piersi dobywało się rżenie. W końcu otworzył oczy i skierował je na Gilana. Hal spojrzął w nie i uświadomił sobie, że Iqbal prawie nigdy nie mruga. Ciemne, prawie czarne, przypominały oczy orła – czy, może bardziej trafnie, sępa.

– Zapłaciłem Shurmelowi za zawarcie umowy – powiedział bardzo cicho. Hal i Gilan musieli się nad nim pochylić, by coś usłyszeć.

Gilan rozłożył ręce.

– A ja mu zapłacę za jej rozwiązanie.

Iqbal kilka razy potrząsnął głową. Na jego twarz powrócił drwiący pełen wyższości uśmieszek.

– Nic z tego. Umowy nie można rozwiązać.

– Umowy ze zmarłym? – wtrącił Hal. – Nie sądzę. Kiedy umrzesz, umowa wygaśnie i tyle.

Iqbal zatrzymał spojrzenie na jego twarzy. W końcu potrząsnął głową.

– Wy naprawdę nic nie wiecie o naszych obyczajach. Nie można zapłacić za odwołanie umowy. Nawet ja nie mógłbym jej teraz odwołać. To nie jest umowa między mną a Shurmelem...

– Kim jest ten Shurmel, o którym ciągle wspominasz? – zapytał Gilan z irytacją. Iqbal znowu przeniósł spojrzenie na niego. I znowu potrząsnął głową.

– Jak już mówiłem, nie zdajecie sobie sprawy, z czym macie do czynienia. Shurmel to przywódca Skorpionów, zaprzysiężony sługa Imriki, bogini zniszczenia. Zapłaciłem mu za zawarcie umowy, ale nie zawarł jej ze mną. Zawarł ją z boginią. Teraz nikt nie może tej umowy zerwać. Nikt nie może jej zmienić. Nikt nie może jej powstrzymać. Umowa wygaśnie dopiero wraz ze śmiercią Shurmela. Bądź księżniczki Cassandry.

Gilan poczuł, jak zimna pięść zaciska się wokół jego serca. Ostrzegano ich, że Sekta Skorpiona to nie jest zwykła szajka skrytobójców. Ich przekonania opierały się na wypaczonym systemie religijnym, a bogini Imrika była

bezlitosnym i wymagającym bóstwem. Gilan zrozumiał, że kolejni ludzie będą próbowali zabić Cassandrę, że została skazana na życie w wiecznym strachu i zagrożeniu.

Miał nadzieję, że wraz ze śmiercią Iqbala umowa wygaśnie. Najwyraźniej jednak się pomylił.

Hal uważnie słuchał tej wymiany zdań. Teraz rozumiał, skąd wziął się ten ton triumfu w głosie Iqbala – mimo zbliżającej się śmierci.

– A więc umowa obowiązuje do końca życia Shurmela? – zapytał.

Iqbal spojrzał na niego.

– Bądź do końca życia księżniczki. Chyba wreszcie coś zaczyna do was docierać – powiedział ze złośliwym uśmiechem. – W inny sposób umowy przerwać nie można.

– Chyba że zabijemy Shurmela – powiedział Hal, wolno cedząc słowa. Z satysfakcją ujrzał cień wątpliwości w oczach Iqbala.

Bandyta przymknął powieki. Jego pierś unosiła się jeszcze przez kilka sekund w nierównym rwanym oddechu. I nagle, bez ostrzeżenia, bez zapowiedzi, po prostu zatrzymała się. Iqbal Makali, przywódca niebieskiego plemienia znanego jako Zapomniani przez Boga, oddał ostatnie tchnienie.



– Dowiedziałem się czegoś więcej o Sekcie Skorpiona.

Był wieczór. Gilan, Hal, Stig, Thorn i Lydia jedli kolację w namiocie wakira. Hal z zainteresowaniem zauważył, że wewnątrz jest umeblowane wygodnie, lecz bez zbędnego przepychu. Selethen był żołnierzem i nie uznawał luksusów w wojskowym obozie. Jak wcześniej oznajmił, dobry kucharz jest znacznie ważniejszy niż jedwabne kotary i poduszki z satyny. Za siedzenia służyły więc poduszki lniane, rozłożone dokoła niskiego stolika. Piasek przykryto dywanem, ale prostym, pozbawionym wymyślnych ozdób. Raczej praktycznym niż dekoracyjnym.

Komentarz o dobrym kucharzu znalazł potwierdzenie w rzeczywistości. Podano kruchą drobno krojoną jagnięcinę w przyprawach, do niej gorący płaski chleb, wspaniałą sałatkę tabouleh i sałatę z cierpkim sosem z oliwy i cytrynowego soku.

Kiedy służący zabrali talerze i postawili na stole miski z plasterkami pomarańczy i melonów, a Gilan i Czaple poczęstowali się wyśmienitą kawą, Selethen rozłożył mapę arydzkiego wybrzeża.

– Jeden z podwładnym Iqbala wie sporo na temat sekty i zechciał się tą wiedzą z nami podzielić. Wreszcie.

Przy ostatnim słowie Hal uniósł głowę. Uznał jednak, że niezbyt dyplomatycznie byłoby pytać, z jakiej przyczyny nagle zrobił się taki rozmowny.

Nawet jeśli Selethen zauważył jego reakcję, to niczym nie dał tego po sobie poznać. Postukał nożem w część wybrzeża na wschodnim krańcu Morza Spokojnego. Wszyscy pochylili się nad mapą.

– Ich siedziba znajduje się tutaj, w Masywie Amrashin. Jest to pasmo górskie tuż za granicą Arydii i Baralatu, niedaleko wejścia do Kanału Assaraniańskiego, jakieś czterdzieści kilometrów dalej w głąb lądu, na południowym wschodzie.

Uniósł głowę. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się w mapę, mierząc odległości i licząc czas, potrzebny na ich pokonanie.

– Trzy tygodnie jazdy stąd. Przez trudny teren – powiedział.

Hal z namysłem potarł podbródek.

– Tylko cztery dni, jeśli dołyniemy łodzią do tego punktu. – Wskazał miejsce na wybrzeżu, położone na jednej linii z masywem.

Thorn kiwnął głową.

– Ale to i tak trzy dni marszu w głąb lądu – zauważył. Popukał w kolejny punkt na mapie niedaleko tego, który przed chwilą wskazał Hal. – Co to?

Selethen odparł:

– Tu było miasto. Duże miasto. Dawno temu te ziemie zajęli Toskanie, to był ich główny port, Ephesa. Opuścili go czterdzieści lat temu, kiedy ich imperium zaczęło upadać. Jest tam spora oaza. Idealny punkt do rozpoczęcia wyprawy. Jak słusznie stwierdziłeś, to jakieś trzy dni marszu. Teren jest płaski, ale panujące w środku dnia straszne upały uniemożliwiają wędrówkę.

– Szkoda, że nie możemy zabrać koni na pokład – powiedział Hal.

– Kto tak twierdzi? – zapytał Thorn.

– Kto twierdzi, że nie możemy zabrać koni?

Thorn energicznie pokręcił głową.

– Kto twierdzi, że szkoda? Ja tam wolę posługiwać się własnymi kopytami. Lepsze odciski na stopach niż na tyłku.

Hal uśmiechnął się. Niechęć Thorn'a do konnej jazdy była powszechnie znana. Ale tak czy inaczej dobrze byłoby jakoś przyspieszyć podróż przez pustynię. Postanowił, że musi nad tym pomyśleć.

Selethen podjął:

– Właśnie we wspomnianym masywie znajduje się Góra Skorpiona. Kryje ona w sobie kompleks grot i komnat. Łatwo ją rozpoznać. Z daleka wygląda jak skorpion. Wieńczą ją trzy szczyty, dwa po bokach przypominają kleszcze, a środkowy, najwyższy, uniesiony odwłok. To siedziba sekty.

– Dobrze strzeżona? – spytał Gilan.

Selethen potrząsnął głową.

– Sekta utrzymuje oddział złożony z kilkuset żołnierzy. Ale do środka można dostać się bez problemu. W końcu ludzie muszą jakoś tam wchodzić, by zawierać takie umowy jak ta, dotycząca naszej księżniczki.

– A co z wyjściem? – zapytała Lydia.

Selethen na chwilę zatrzymał na niej wzrok, po czym odparł:

– To może być trochę trudniejsze.



Rozdział 31



Hal schylił głowę w wejściu do namiotu szpitalnego. Wprawdzie poły podwinęto, by zapewnić dopływ powietrza, lecz i tak nie zmieściłby się w nim z wyprostowanymi plecami. Skierował się na tył, gdzie płóciennym ekranem oddzielono postanie Ulfa od reszty pomieszczenia. Łóżka po obu stronach przejścia zajmowali arydzcy żołnierze ranni w walkach. Na szczęście nie było ich zbyt wielu. Uzbrojeni kawalerzyści strzegli wydzielonego miejsca – tam leżeli Tualegowie. Interesujące, pomyślał Hal. Niejeden dowódca zostawiłby wrogów na pastwę losu. Selethen najwyraźniej był bardziej cywilizowany.

Dach namiotu wybrzuszył się pod nagłym naporem wiatru. Hal uświadomił sobie, że wiatr wieje tutaj bezustannie. Człowiek szybko się do niego przyzwyczajał i po jakimś czasie właściwie przestawał go zauważać – aż do chwili, kiedy jakiś mocniejszy podmuch nie szarpnął tkaniną namiotu. Hal zatrzymał się przy ekranie i odsunął zasłonę. Wulf siedział na taborecie obok postania, pochylony nad nieruchomym ciałem Ulfa. Tabib Maajid właśnie badał rannego. Dłoń trzymał na jego czole, mierząc temperaturę. Po chwili odsłonił okrycie i powąchał obandażowaną ranę. Napotkawszy spojrzenie Hala, wyjaśnił:

– Czasami zmysł węchu potrafi pierwszy powiadomić nas o zakażeniu.

Kiedy Maajid z powrotem naciągnął okrycie, Hal zapytał:

– Czy coś na to wskazuje?

Tabib potrząsnął głową.

– Na razie nie.

Wulf przez cały czas pochylał się nad postaniem, ściskając rękę brata w swoich dłoniach, wpatrzony w jego bladą twarz. Nie zareagował na pojawienie się Hala.

– Jak z nim? – spytał Hal. Maajid opiekował się Ulfem już od kilku dni. Po namyśle odpowiedział:

– Jest bardzo słaby. I bardzo chory. Ma uszkodzenia wewnętrzne. Zdołaliśmy je naprawić, na szczęście żadne ważne organy nie zostały naruszone. Jeśli nie dopuścimy do infekcji, jestem pewien, że wyzdrowieje. Ale to nie nastąpi jutro ani w przyszłym tygodniu. Jeszcze przez wiele tygodni będzie wymagał opieki.

Hal zmarszczył czoło.

– Będiesz w stanie tak długo się nim zajmować? – spytał. Przypuszczał, że Selethen i jego ludzie wkrótce ruszają dalej w drogę. Ale Maajid przytaknął z uśmiechem.

– Zostaniemy tak długo, jak to konieczne. Wolę trzymać go tutaj, poza miastem, gdzie powietrze jest czystsze. To zmniejsza ryzyko infekcji. Lord Selethen ma sporo do zrobienia w Taborku. Trochę czasu minie, nim zdoła przywrócić normalny stan rzeczy. Wielu członków rady miejskiej zginęło, kiedy Iqbal zajął miasto. Trzeba się tym wszystkim zająć.

– Za kilka dni wypływamy na wschód – powiedział Hal.

Maajid kiwnął głową. Spodziewał się tego.

– Waszemu towarzyszowi nic tutaj nie grozi – zapewnił. – Radziłbym go zostawić. Nie należy go przenosić, to mogłoby być niebezpieczne.

– Zostanę z nim – powiedział Wulf. Hal spojrział na niego, zaskoczony. To był pierwszy znak świadczący o tym, że Wulf w ogóle jest świadom ich obecności. Jego oczy były czerwone od płaczu, twarz ściągnięta. Prawie nic nie jadł przez ostatnie dni, większość czasu spędzał u postania brata. Hal spojrział na Maajida, jego oczy pytały: „Czy to na pewno rozsądne?”. Tabib nieznacznie pokręcił głową.

– Potrzebuję cię na pokładzie – powiedział Hal, specjalnie unikając litościwego tonu. To był rozkaz skirla, przekazany członkowi załogi. Kątem oka dostrzegł, jak Maajid z aprobatą kiwa głową.

Ale Wulf gwałtownie zaprotestował.

– Nie mogę go zostawić, Halu! To mój brat! On umiera... Ja....

– On nie umiera! – warknął Hal. – Słyszałeś, co tabib przed chwilą powiedział. Ulf jest tutaj bezpieczny. Ty nic nie możesz dla niego zrobić.

– Ale to mój brat. Ja...

– Wszyscy jesteśmy twoimi braćmi, Wulfie. Stig jest twoim bratem. Tak samo Thorn i cała reszta. Złożyłeś przysięgę, kiedy tworzyliśmy tę drużynę. Zależymy od siebie nawzajem. Potrzebuję cię na pokładzie „Czapli”. Twoi bracia cię potrzebują.

– Ale jeśli coś mu się stanie...

– Jeśli coś mu się stanie, twoja obecność tutaj i tak niczego nie zmieni. Sądziś, że Ulf by chciał, żebyś złamał przysięgę? A gdyby to on był na twoim miejscu? Czy zdradziłby łódź, skirla i przyjaciół?

Wulf spuścił wzrok. Łzy płynęły po jego policzkach. Wreszcie powiedział:

– Nie.

Hal powtórzył, nadając głosowi łagodniejszy ton:

– Wulfie, potrzebuję cię. Zostając tutaj, niczego nie osiągniesz. A na „Czapli” masz bardzo dużo do zrobienia. Teraz, kiedy Ulf jest ranny, potrzebuję cię nawet bardziej niż zwykle.

Położył rękę na ramieniu Wulfa, zacisnął. Wulf spojrział na niego, przez chwilę bacznie przypatrywał się jego twarzy. Zobaczył w niej współczucie. Przyjaźń. Szczerłość. Zobaczył siłę więzów łączących Czaple. I podjął decyzję. W tym samym momencie Ulf poruszył się, jego powieki zamrugały i się uniosły.

– Wulf? – powiedział bardzo słabym głosem.

Wulf spojrział na brata. Maajid prędko ukląkł przy postaniu, położył rękę na czole rannego, potem przycisnął palec do tętnicy na szyi. Wiedział, że czasami takie nagle przebudzenie może zapowiadać kryzys. Ale temperatura i puls były w normie.

– Ulf? Co chcesz powiedzieć? – zapytał Wulf. Poczuł przyptyw nadziei. Ulf po raz pierwszy odzyskał przytomność. Wulf znowu chwycił jego dłoń. Ulf słabo kiwnął głową, potem otworzył usta, próbował coś powiedzieć. Minęło kilka sekund, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Ulf obliznął wargi i w końcu wydusił:

– Nie... łam... przysięgi.

Wulf poczuł uścisk jego dłoni. A potem powieki Ulfa zamknęły się, a dłoń osłabła. Wulfa ogarnęła panika.

– Ulf? – zawołał gorączkowo. – Ulf? Wszystko w porządku?

Maajid, który przez cały czas obserwował Ulfa, kiwnął głową.

– Nic mu nie jest. Odpoczywa. Te słowa kosztowały go wiele wysiłku – dodał znacząco.

Wulf oderwał wzrok od twarzy brata i spojrział na Hala.

– Dobrze. Popłynę z wami. Ale jeśli coś się stanie...

Hal mocniej ścisnął jego ramię.

– Nic się nie stanie. Rozumiesz? Tak naprawdę, tam, dokąd się wybieramy, będzie znacznie bardziej niebezpiecznie niż tutaj. Jeśli koniecznie chcesz się zamartwiać, to raczej właśnie tym.

Wulf spojrział na niego. Hal uśmiechnął się krzepiąco. Wulf próbował odwzajemnić uśmiech. „Może z niewielkim przekonaniem, ale zawsze jednak”, pomyślał Hal.

– Zostań z nim do wyjazdu – skinął głową. – Wyruszymy pewnie nie wcześniej niż za dwa dni. Może jeszcze nastąpi poprawa.

– Dzięki – mruknął Wulf.

Hal wziął głęboki wdech, wymienił spojrzenia z Maajidem i samym ruchem warg powiedział: „Dziękuję”. Tabib kiwnął głową, a Hal odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.



Tego wieczoru Hal podczas spaceru wzdłuż murów omówił z Gilanem i Selethenem plan wyprawy na wschód.

– Przykro mi, że nie mogę wam towarzyszyć – powiedział Selethen. – Ale mam tutaj mnóstwo rzeczy do zrobienia. Muszę przywrócić porządek w mieście.

– Maajid mówił, że prędko stąd nie wyjedziesz – odparł Hal.

Selethen spojrział na niego.

– Jak się czuje wasz ranny towarzysz?

Hal zapatrzył się na pustynię, poza światła ognisk za murami, na ciemnofioletową ciemność na południowym niebie.

– Maajid wierzy, że wydobrzeje – odezwał się w końcu. Wakir z zadowoleniem kiwnął głową.

– Skoro Maajid tak twierdzi, to na pewno tak będzie.

Wiatr, wiejący przez cały dzień, powoli ucichł. Na kilka minut umilkł szum flag i daszków płóciennych. Ale zaraz znowu się rozległ. Tyle że teraz wiatr wiał z południa. Hal, w którego życiu wiatr odgrywał niezwykle ważną rolę, nie mógł nie zwrócić na to uwagi. Skierował twarz w stronę pustyni, wciągnął w nozdrza gorące suche powietrze.

– Zawsze tak robi?

Selethen i Gilan spojrzeli na niego pytająco.

Hal machnął ręką w powietrzu.

– Wiatr. Zmienił kierunek. Przez cały dzień wiał z północy, a teraz się zmienił.

– A... tak. Owszem – odparł Selethen. Dla niego wiatr nie był zbyt istotny. Przywykł do niego i akceptował go, to wszystko. Marszcząc czoło, tłumaczył: – W ciągu dnia słońce ogrzewa pustynię i gorące powietrze się wznosi. Jednocześnie napływa chłodniejsze powietrze od strony morza. Potem, w nocy, pustynia się ochładza, traci ciepło. Powietrze nad morzem jest wtedy stosunkowo cieplejsze i wiatr zmienia kierunek.

– Codziennie? – spytał Hal, rozglądając się z zainteresowaniem, mocno ściągając brwi.

Selethen przytaknął.

– Codziennie. Czasami bardzo przybiera na sile i zmienia się w khamsin, burzę piaskową. – Uśmiechnął się do Gilana. – Pewnie pamiętasz, jak to wygląda?

Gilan energicznie pokiwał głową.

– Aż nazbyt dobrze. – Podczas jego poprzedniej wizyty w Arydzie potworna burza piaskowa zaskoczyła na pustyni mieszane wojska arydzko-skandyjskie. – Piach był wszędzie. Nie widziałeś własnej ręki.

Ale Hal już nie słuchał. Nadal stał z twarzą zwróconą na południe, prosto pod wiatr, który z każdą chwilą przybierał na sile. „Czapla” pięknie prułaby przed siebie pchana takim podmuchem. Zmarszczył brwi i zamyslił się. Wspomnienia o burzy piaskowej ledwo docierały do jego świadomości.

Było coś zastanawiającego w tym wietrze. Wietrze, wiejącym niezmiennie, bez przerwy przez cały dzień.

Hal odnosił wrażenie, że jego umysł pracuje nad rozwiązaniem jakiegoś problemu, a ten czynnik może mieć

decydujące znaczenie. Próbował pozbierać myśli, ale, jak to zwykle bywa, im bardziej się starał, tym bardziej mu one umykały.

Wreszcie westchnął z rezygnacją.

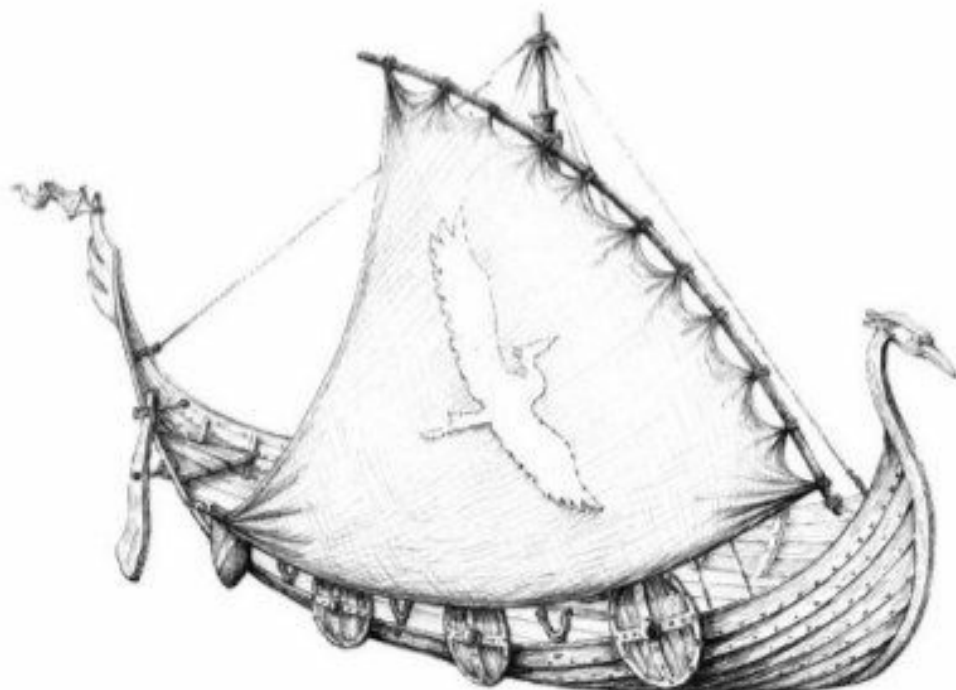
– To na pewno w końcu przyjdzie.

Gilan i Selethen przerwali rozmowę i popatrzyli na Hala. Zdał sobie sprawę, że ostatnie słowa wypowiedział na głos.

– Co przyjdzie? – spytał Gilan. Hal potrząsnął głową i niedbale machnął ręką.

– Nic. Nic takiego – odparł. Czuł jednak, że to nieprawda.

CZĘŚĆ DRUGA



TABORK

Rozdział 32



Płynęli na wschód w dobrym tempie, wiatr mieli prostopadle do kursu, a w takich warunkach „Czapla” dawała z siebie wszystko. Gładko przecinała przejrzyste wody o barwie szmaragdu – piaszczyste dno znajdowało się zaledwie dziesięć metrów pod nimi. Nie musieli uważać na płycizny i skałki straszące na północ od Taborka, ponieważ wzdłuż brzegu rozciągał się wystarczająco szeroki pas głębszej wody.

Pogoda sprzyjała, fala była niewielka, wiał boczny wiatr. Idealne warunki do relaksu. Nie musieli robić zwrotów ani wybierać żagli. Po prostu spokojnie sunęli naprzód. Powinni odpoczywać i cieszyć się słońcem. Ale na pokładzie panował ponury nastrój. Właściwie się do siebie nie odzywali, nie licząc uwag, dotyczących kierowania łodzią.

Hal zmarszczył brwi. Stig właśnie przejął ster, ale Halowi nigdzie się nie spieszyło. Nie był zmęczony, wiedział, że jeśli się teraz położy, i tak nie zaśnie, tylko będzie rozmyślał i martwił się o załogę.

– Są strasznie cicho – powiedział w końcu.

Stig zerknął na niego z boku.

– I to jest powód do narzekań? Miła odmiana po ciągłych kłótniach i głupiej paplaninie.

Hal przez chwilę milczał. Uważnie przypatrywał się załodze. Nikt nie wydawał się zainteresowany konwersacją. Wyczuwało się napiętą atmosferę.

– To Ulf – stwierdził. – Martwią się o Ulfa.

– Nic dziwnego. Nieważne, co mówi medyk, sprawy zawsze mogą przybrać zły obrót.

Ulf był pierwszą poważną ofiarą od czasu, kiedy strzała raniła Ingvara podczas walk o Limmat, kilka miesięcy wcześniej. Troska o przyjaciela wisiała nad nimi jak ciężka chmura. Lecz było coś jeszcze.

– To nie wszystko. Jasne, martwią się o niego. Ale brakuje im też ciągłych kłótni między bliźniakami.

Stig zrobił zdumioną minę.

– A kto by za tym tęsknił? – Zaraz jednak musiał przyznać, że Hal ma rację. Bliźniacy dostarczali załodze wyśmienitej rozrywki podczas długich podróży. Smaczku dodawała świadomość, że Hal w każdej chwili może się znudzić i kazać Ingvarowi wrzucić któregoś – lub obu – do morza.

Tak, zawsze było na co czekać. A teraz godziny wlokły się niemiłosiernie w męczącej pustce.

Gdyby tylko pogoda się pogorszyła, gdyby wiatr się zmienił, mieliby coś do roboty, co pozwoliłoby im na chwilę oderwać myśli. Ale w tej sytuacji mogli tylko siedzieć beczynn timer, łódź sama mknęła przed siebie po łagodnej fali.

– Chyba masz rację – stwierdził Stig. – Nigdy nie przypuszczałem, że to powiem, ale ja chyba też tęsknię za ich kretyńskimi kłótniami.

Hal powiódł wzrokiem dokoła.

Wulf siedział na swoim stanowisku przy żaglach. Minę miał zropanzoną. Zawsze towarzyszył mu Ulf, a

teraz był sam. Stig stał na dziobie oparty o nadburcie, ze znudzeniem wpatrując się w morze i linię brzegową po prawej stronie. Stefan i Jesper siedzieli naprzeciw Wulfa, gotowi w razie potrzeby wybrać fąty. Ale od wielu godzin nie musieli nic zmieniać. Edvin pruł wełniany szalik, który robił na drutach. Najwyraźniej był niezadowolony z rezultatu i zamierzał zrobić go od początku. Stefan gapił się na pokład pod swoimi stopami, zahipnotyzowany widokiem drewnianych klepek.

Ingvar stał oparty o przykrytego brezentem Zadymiarza. Na nosie miał patrzalki i spoglądał na rozciągające się przed nim morze. Ostatnio sporo czasu poświęcał tej rozrywce. Nie nudził się, patrząc na wodę i linię brzegową. Nadal było to dla niego nowością. Z całej załogi tylko on wykazywał jakieś oznaki ożywienia.

Nawet Kluf zaraziła się panującym nastrojem. Leżała na dziobie, wielki łeb wsparta na łapach, które wyciągnęła daleko przed siebie. Ogon, który zwykle poruszał się w tył i w przód – nieomylny znak, że Kluf planuje jakąś psotę – spoczywał nieruchomo na pokładzie.

Nagle Thorn, jak zwykle zajmujący swe ulubione miejsce pod masztem, podniósł się z westchnieniem, powiódł wzrokiem po horyzoncie, po czym podszedł do Lydii, która siedziała na ławce wioślarskiej, ostrząc sztylet. Ostrzyła go od samego rana. Hal pomyślał, że jak tak dalej pójdzie, z ostrza w końcu nic nie zostanie.

Kiedy Thorn usiadł obok niej, podejrzliwie uniosła głowę. Zawsze spodziewała się złośliwego ataku z jego strony. Ale tym razem nie o to chodziło. Hal przyglądał im się dyskretnie. Thorn pochylił się i powiedział coś, zniżając głos. Popatrzyła na niego z zaskoczoną miną, potem powiodła spojrzeniem po członkach drużyny. Hal, wiedząc, że w każdej chwili może ono spocząć na nim, prędko odwrócił wzrok, udając, że patrzy na wskaźnik wiatru nad swoją głową. Ale kątem oka nadal obserwował tamtych dwoje.

W końcu Lydia znowu spojrzała na Thorną, coś powiedziała. Thorn kiwnął głową z zadowoleniem, wstał i wrócił na swoje miejsce koło masztu.

Minęło kilka minut. Hal wciąż przyglądał im się z zaciekawieniem. W pewnym momencie Lydia widocznie uznała, że jej sztylet osiągnął pożądaną ostrość i wsunęła go z powrotem do pochwy.

Sięgnęła do skózanego woreczka, w którym trzymała przedmioty osobiste i wyjęła drewniany grzebień. Rozwiązała rzemyk i zaczęła czesać włosy, raz po raz przesuwając grzebieniem po długich kosmykach.

Thorn spojrzał na nią z taką miną, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– Ciągle to robisz – rzucił.

Popatrzyła na niego z nieporuszoną twarzą.

– Robię co?

Naśladowując jej gest, powiedział:

– Czeszesz te swoje włosy. Na okrągło czeszesz włosy.

Uniosła jedną brew.

– Robię to raz dziennie – odparła. – No, ale przypuszczam, że komuś, kto czesze swoje kudły raz w miesiącu, w dodatku za pomocą drewnianego haka, może się wydawać, że robię to na okrągło.

Stefan, który z zaciekawieniem unióśł głowę przy pierwszych słowach Thorną, powitał ripostę Lydii stłumionym śmiechem. Thorn, nie zwracając na niego uwagi, odparł z godnością:

– Tu cię mam. Czeszę włosy znacznie częściej niż raz w miesiącu.

– Czyżby? – odparła Lydia, coraz bardziej rozemocjonowana tą wymianą zdań. – To dlaczego ostatnim razem wyfrunęła z nich mewa z trójką odchowanych pisklaków?

Edvin i Ingvar zachichotali. Hal dostrzegł, że wszyscy członkowie drużyny z uwagą przystuchują się dyskusji między Thornem i Lydią. W której Thorn tym razem bynajmniej nie wypadł najlepiej.

– Stary spryciarz – powiedział cicho do Stiga. – Robi to specjalnie, żeby na chwilę zapomnieli o Ulfie.

Stig przytaknął w milczeniu, z zainteresowaniem czekając na dalszy ciąg.

– Powinnaś je po prostu obciąć – stwierdził Thorn.

– Obciąć? – Lydia uniosła brwi.

Energicznie pokiwał głową.

– Wyglądałabyś bardziej stylowo. Bardziej szykownie. Może chłopcy nawet zaczęliby zwracać na ciebie uwagę.

– Jacy chłopcy? – spytała Lydia podstępnie słodkim głosem.

Thorn wzruszył ramionami.

– Nie mam na myśli żadnych konkretnych. Po prostu ogólnie chłopcy. Na przykład Rollond. – Na twarzy

Thorna pokazał się krzywy uśmieszek. Rollond był chłopakiem z Hallasholmu, który kochał się w Lydii. Niestety, bez wzajemności.

Teraz wszyscy uważnie patrzyli na Lydię i Thorną, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego w miarę rozwoju słownego pojedynku. Kiedy padło imię Rollonda, kilku z nich pochyliło się do przodu w pozie pełnej oczekiwania. Wiedzieli, że na Lydię działa ono jak płachta na byka.

– Wyjaśnijmy sobie dwie rzeczy, staruszkule – powiedziała Lydia lodowato. – Pierwsza: nie zamierzam słuchać rad na temat fryzur od kogoś, kto wygląda, jakby parę razy przeciagnęli go przez krzak jeżyn.

– To było nieco brutalne – stwierdził Thorn, próbując nadać głosowi dostojne brzmienie. Próba zupełnie się nie powiodła, bo w tym momencie wszyscy zaczęli chichotać. Nawet na twarzy Wulfa pojawił się cień uśmiechu.

Lydia dokończyła myśl:

– A druga: nie zależy mi na zainteresowaniu chłopców. Ani konkretnych, ani po prostu ogólnie. Czy to jasne?

Thorn wzruszył ramionami.

– No, skoro tak mówisz. Ale moim zdaniem byłoby lepiej, gdybyś je ścięła. Stworzyłyby ładną oprawę dla twojej twarzy.

– Ja zaraz mogę stworzyć ładną oprawę dla twojej. Na przykład z wiaderka. Co ty na to?

Thorn potrząsnął głową i westchnął.

– Gdzie się podziały prawdziwe subtelne kobiety? – Nie skierował tego pytania do nikogo w szczególności. A jedyną odpowiedzią był chóralny wybuch śmiechu. Thorn pokręcił głową, robiąc obrażoną minę. – W dawnych dobrych czasach ludzie szanowali starszych.

Potem usiadł na swoim ulubionym miejscu, oparty plecami o maszt i naciągnął czapkę na oczy. Hal powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół. Atmosfera wyraźnie się wypogodziła. Nie pierwszy raz Hal zauważył, że Thorn doskonale potrafi odczytać nastrój panujący wśród załogi i zmienić go w ciągu krótkiej chwili. Poprzednie zniechęcenie i znużenie znikły bez śladu. Czaple wymieniały rozbawione spojrzenia. Hal pomyślał, że należy podtrzymać ten przyptyw energii i znaleźć im jakieś zajęcie.

– Nie podoba mi się ten cypel – powiedział do Stiga, na tyle głośno, by wszyscy go słyszeli. – Chyba powinniśmy odbić na północ.

Tak naprawdę mogli minąć przylądek bez najmniejszych przeszkód, ale nie o to chodziło.

– Wszyscy na stanowiska! – zawołał. – Skręcamy w lewo. Edvin, pomóż Wulfowi ustawić żagiel.

Ingvar zawołał z dziobu:

– Ja mogę to zrobić.

Ale Hal potrząsnął głową.

– Nie. Wolę Edvina. Ty pewnie wyrwałbyś maszt.

Wszyscy zaśmiali się, a Ingvar do nich dołączył. Jego niezwykła siła często bywała obiektem żarcików. Za każdym razem, kiedy brał wiosło do ręki, łódź gwałtownie skręcała.

– Poza tym – dodał Hal – chcę, by Edvin nabrał wprawy. Podczas walk będziesz mi potrzebny przy Zadymiarzu.

Ingvar kiwnął głową. To miało sens. A wybór Hala został podyktowany jeszcze jedną przyczyną. Jako drugi zastępca sternika Edvin rozwijał instynktowne wyczucie co do ruchów łodzi – a ta umiejętność przydawała się również przy ustawianiu żagli.

Skręcili w lewo, ustawili żagiel stosownie do nowego halsu i strymowali. Przez cały czas Wulf wszystko

tłumaczył Edwinowi. Hal z zadowoleniem kiwnął głową. Wulf wreszcie miał jakieś zajęcie, na chwilę oderwał się od ponurych rozmyślań.

Godzinę później ponownie skręcili w prawo, omijając cypel w bezpiecznej odległości. Łódź znowu posuwała się gładko przed siebie, a załoga znowu nie miała nic do roboty. Ale wszystkim poprawił się humor. Od czasu do czasu ktoś rzucał jakąś uwagę. Po chwili Hal poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się i zobaczył rozbawione oczy Thorna. Stary wilk morski postukał się palcem wskazującym po nosie i powoli przymrużył jedno oko. Hal uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami.

Na szczęście ponury nastrój nie wrócił. Oczywiście, wszyscy martwili się o Ulfa, teraz jednak pogodzili się z sytuacją, pamiętając, że jest w dobrych rękach. Po dwóch dniach nawet Wulf się rozchmurzył. W którymś momencie powiedział do stojącego obok Edvina:

– Ulf wyzdrowieje. Odzyskał przytomność.

Edvin popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– Skąd wiesz?

Wulf wzruszył ramionami.

– To mój bliźniak. Czuję to, po prostu.

Sam był trochę zdziwiony. Nie potrafił ubrać tego w słowa, lecz czuł dziwne porozumienie, które tak często zdarza się między bliźniętami.

– Jest głodny – dodał tym samym tonem, jakby chciał powiedzieć: „Skąd ja to wiem?”

Edvin położył rękę na jego ramieniu.

– Wspaniale – stwierdził.

Wszyscy od razu lepiej się poczuli – teraz wiedzieli, że Ulf wyzdrowieje.

Trzeciego dnia po południu zobaczyli mury Ephesy, lśniące bielą w blasku zachodzącego słońca.



Rozdział 33



Z odległości kilometra Ephesa robiła wrażenie kwitnącego miasta.

Jednakże kiedy „Czapla” podpłynęła bliżej i zacumowała przy wysuniętym w morze kamiennym molo, okazało się, że budynki są w rozsypce. Mury i zdobione kolumny nadal stały, ale dachy, które pokrywano terakotowymi dachówkami na drewnianej konstrukcji, zapadły się dawno temu, co nadawało miastu smutną aurę opuszczenia.

Po zachodniej stronie, na stoku łagodnego wzgórza wznosiły się rzędami lśniąca bielą budynki z kamienia, łączonego zaprawą murarską, wykończone marmurem. Niektóre były bardzo okazałe, dekorowane kolumnami i posągami. Zapewne należały niegdyś do bogatych kupców czy wysokich urzędników.

Na wschodzie teren był bardziej płaski, stojące w równych rzędach budynki mniejsze, zwykle parterowe. Domy, sklepy, zakłady rzemieślnicze – taka mieszanka, typowa dla każdego większego miasta.

Im dalej od centrum, tym mniejsze i prostsze stawały się budynki. Nie stały już w równych rzędach, leżały rozrzucone, jakby wyrosły tam, gdzie akurat spodobalo się ich mieszkańcom. Między nimi wiły się wąskie uliczki. Była to mniej zamożna część miasta, zamieszкана przez robotników i niższe warstwy.

Pośród niewielkich budynków wznosiła się ogromna budowla z kamienia. Hal przyglądał się jej ze zdumieniem. W pierwszej chwili pomyślał, że to forteca, lecz w górnej części murów, poza tym gładkich i pozbawionych wszelkich otworów, znajdowały się wielkie łukowate okna, stanowczo zbyt duże jak na budynek obronny. Gilan pobiegł za jego wzrokiem.

– To hipodrom – powiedział, a kiedy Hal spojrział na niego pytająco, wyjaśnił: – Tor wyścigowy. Wyścigi konne. Wyścigi rydwanów. Toskanie je uwielbiali. Budowali taki tor w każdym większym mieście na obszarze całego imperium. Tor wyścigowy i teatr dla arystokracji.

– Teatr? – Hal był pod wrażeniem. Oto pośrodku pustyni, setki kilometrów od ojczyzny, Toskanie zadali sobie trud i stworzyli ośrodek kultury.

– Zapewne stoi na wzniesieniu – dodał Gilan, wskazując na zachodnią część miasta. – Zwykle wbudowywali teatry w stok wzgórza, w ten sposób nadając im kształt konieczny dla uzyskania dobrej akustyki.

Hal nigdy dotąd nie widział teatru, nie mówiąc już o tym, że nigdy w żadnym nie był. Hallasholm czasem odwiedzali wędrowni mimowie i zonglerzy, ale zwykle dawali oni przedstawienia w Wielkiej Hali. Pomysł, by stworzyć budowlę specjalnie w takim celu, wydawał się nieco egzotyczny.

– I co oni oglądali w tych teatrach? – zapytał Thorn.

Załoga otoczyła Gilana, który zdawał się sporo wiedzieć na temat tokańskich obyczajów. Byli ciekawi, co mogą znaleźć w tym skrawku starego imperium.

– Głównie sztuki teatralne – odparł Hal. – Czasami występy poety czy śpiewaka.

– A co to jest sztuka teatralna? – spytał Stefan. – Coś jak przedstawienie lalkowe? – W dzieciństwie widział

przedstawienie wędrowniej grupy lalkarzy.

Gilan z namysłem wydmął wargi.

– Sztuka teatralna to taka historia, rozpisana na role. Aktorzy wcielają się w poszczególne postacie i przedstawiają historię przed publicznością.

Stefan kiwnął głową.

– Aha, no to tak jak przedstawienie lalkowe – zawyrokował. Gilan przyznał z lekkim uśmiechem:

– Mniej więcej.

Przedstawienia teatralne były znane również w Araluenie. Wielu wykonawców wykazywało się tym samym stopniem ożywienia, jakiego można oczekiwać od lalki – a często, niestety, znacznie niższym poziomem inteligencji.

– Gdzie jest oaza? – spytał Hal, który nieustannie martwił się o zapasy świeżej wody. Gilan wskazał na południowy zachód.

– Za miastem – odparł. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. W oddali widniały falujące korony drzew.

– Można by przypuszczać, że zamkną ją za murami miasta – powiedział Hal z namysłem. Ale Gilan potrząsnął głową. Zanim opuścili Tabork, Selethen zrobił mu wyczerpujący wykład na temat historii i topografii Ephesy.

– Oaza jest zbyt duża – wyjaśnił. – Te mury otaczają jedynie budynki administracyjne i pałac namiestnika. Poza tym Toskanie uznali, że mogą narobić sobie wrogów wśród miejscowej ludności, jeśli zabiorą jedyne źródło wody w okolicy. Wykopali studnie i zbudowali podziemny rurociąg, doprowadzający wodę do miasta. Oazę zaś zostawili dostępną dla wszystkich. W ten sposób chcieli stworzyć pozory gościnności i otwartości.

– Udało się? – spytał Ingvar, wpatrzony w równe rzędy budynków. Przywykł do budowli z drewna i lśniące białe marmury niezwykle go fascynowały. Zresztą teraz, kiedy lepiej widział, fascynowało go właściwie wszystko.

Gilan potrząsnął głową.

– Miejscowi, Bedulini i Tualegowie, nigdy nie zaakceptowali Toskanów. Nieustannie wzniesli bunt. Nie godzili się na włączenie w granice wielkiego imperium. Od początku była to trudna do utrzymania placówka. W końcu, jakieś czterdzieści lat temu, toskański cesarz dał za wygraną i miasto opustoszało.

– Chciałbym zobaczyć tę oazę – powiedział Hal, ruszając na południowy zachód.

Wyobrażał sobie oazy jako niewielkie skupiska drzew palmowych, ściśniętych wokół jednego brudnawego jeziora pośrodku ogromnej pustyni. Ale, jak wspomniał Gilan, oaza była naprawdę duża. Wielkością niemal dorównywała miastu.

Oczywiście, rosły tu drzewa palmowe. Ale również inne drzewa, nieznanne Halowi. I znajdowało się tam ponad dziesięć zbiorników wodnych, nie tylko jeden, różnych kształtów i rozmiarów, największy wielkości pięćdziesiąt metrów na dwadzieścia. Mniejsze leżały rozrzucone dokoła niego. A woda była czysta i przejrzysta. Hal ukląkł przy jednym z większych jezior, nabrał wody w dłoń i spróbował. Smakowała świeżością i chłodem.

– Jutro napelnimy beczki – powiedział do Stiga, który kiwnął głową.

Dokoła gęsto rosły drzewa, dające osłonę przed żarem słonecznym. Między jeziorami biegły cieniste ścieżki, przy większych zbiornikach znajdowały się połacie otwartej przestrzeni, służące podróżnym za miejsca popasu.

Uwagę Hala przyciągnęła kępa bambusów. Najwyższe pędy, wysokie na ponad dziesięć metrów, delikatnie poruszały się na niezmiennie wiejącym wietrze.

– Te rośliny występują tu naturalnie? – spytał.

Gilan wzruszył ramionami.

– Może, nie wiem. Selethen wspominał, że Toskanie zawsze je tutaj uprawiali. Robili z nich ramy do wielkich płóciennych dachów, chroniących publiczność na hipodromie.

Hal zmarszczył czoło. Wzmianka o płótnie i bambusowych ramach poruszyła myśl, która od kilku dni kiełkowała w jego głowie.

– W tym skwarze to zrozumiałe – stwierdził.

Zawrócili do miasta i zwiedzili hipodrom. Miał on kształt wydłużonego owalu. Dokoła toru biegiły rzędy kamiennych siedzeń. Tor wysypano piachem. Hal stanął pośrodku, kopnął piach czubkiem buta, powiódł wzrokiem dokoła. Zamknął oczy. Słyszał w wyobraźni huk końskich kopyt, krzyki tłumu, grzechot uprząży i klekot rydwanów, biorących zakręty w szaleńczym tempie.

– Hal!

Głos Stiga wyrwał go z marzenia na jawie. Hal otworzył oczy i znowu znalazł się na opuszczonym zrujnowanym torze wyścigowym. Trybuny ziały pustką. Poszarpane resztki płóciennego daszku łopotały na wietrze. Hipodrom był wyludniony i cichy. I w pewnym sensie smutny. Niegdyś musiało to być ekscytujące pełne życia miejsce, wypełnione rozentuzjasmowanymi radosnymi ludźmi. Teraz zmieniało się w ruinę pośrodku pustyni.

– Hal! Podejdź tutaj! – znów zawołał Stig.

Pozostali członkowie załogi zebrali się wokół wysokiego przejścia, wiodącego pod trybuną. Hal podszedł do nich, buty zatrzeszczały na drobnym suchym piasku. Stig niecierpliwie wskazał mu przejście.

– O co chodzi? – Stig chwycił go za ramię i pchnął przed sobą.

– Spójrz, co znaleźliśmy!

Kiedy oczy Hala przywykły do półmroku, zobaczył, że znajduje się w obszernym pomieszczeniu, mierzącym jakieś dwadzieścia metrów na dziesięć. Pozostali weszli za nim do środka. Pod przeciwległą ścianą stały jakieś intrygujące przedmioty. Hal ruszył w tamtą stronę, mrużąc oczy.

– Czyżby to były rydwany? – powiedział. A potem powtórzył ostatnie słowo, odpowiadając samemu sobie na pytanie. – Rydwany.

Były to pięknie wykonane pojazdy. Hal, sam zajmujący się rzemiosłem, z podziwem oglądał wspaniałą stolarską robotę. Siedzenie woźnicy z trzech stron otoczono wygiętą poręczą, wyższą z przodu i stopniowo obniżającą się po bokach. Przestrzeń między poręczą a podłogą rydwanu wypełniono trzciniową plecionką, zapewne ze względu na jej niewielką wagę. W przypadku pojazdu wyścigowego miało to istotne znaczenie. Podłogę zrobiono z lekkich klepek sosnowych – dobór materiału zapewne został podyktowany tymi samymi względami. Hal dotknął jej palcem. Obecnie raczej nie należało ufać, że uniesie ciężar człowieka.

Z przodu sterczał dyszel z twardego hebanu, na jej końcu umieszczono krótszą poprzeczną belkę w kształcie litery T, do której przyczepiono dwa skórzane paski. Uprząż, podobnie jak wszystkie pozostałe elementy ze skóry, wyschła już dawno temu i wydawała się krucha i łamliwa. Hal pomyślał, że gdyby ktoś próbował jej teraz użyć, rozpadłaby się na kawałki.

Największe zaciekawienie wzbudziły w nim koła. Zrobiono je z twardego solidnego drewna, zapewne również hebanowego. Cztery starannie dopasowane szprychy ozdobiono kunsztownymi rzeźbieniami. Obręcze były grube i ciężkie. W tym przypadku moc i wytrzymałość musiała przeważać nad lekkością. Hal ukląkł i obejrzał miejsca, w których szprychy wpasowano w obręcz. Zrobiono to z godną podziwu precyzją. Złączenia prawie nie było widać, chociaż rydwan przez tyle lat stał zaniedbany. Hal postukał knykциями w drewno. Było zdrowe.

– Suche powietrze zakonserwowało drewno – powiedział cicho. Przesunął dłonią po jednej ze szprych aż do obręczy. Oba elementy doskonale się zachowały. Stwierdził z zaskoczeniem, że również żelazne okucie biegnące po zewnętrznej części obręczy przetrwało bez szwanku – dzięki suchemu klimatowi oraz zamkniętemu pomieszczeniu. Słone morskie powietrze nie miało tu wstępu. Metal miejscami pokrywała rdza, lecz kiedy Hal zdrapał ją nożem, pokazało się nieuszkodzone żelazo.

Wstał, przeszedł na drugą stronę rydwanu i sprawdził drugie koło. Było w równie dobrym stanie. Nagle jego serce szybciej забиło. Myśl, która od trzech dni błąkała się gdzieś po obrzeżach jego świadomości, zaczęła przybierać konkretny kształt. Nadal mglisty, ale coraz bardziej wyraźny. Długie doświadczenie podpowiadało, że za kilka godzin ujawni się w ostatecznej formie. Musiał tylko zachować cierpliwość. Wszystkie elementy, dryfujące w jego umyśle, wkrótce się połączą. Wstał, otrzepał dłonie z rdzy i jeszcze raz spojrzął na rydwan,

kiwając przy tym głową.

– Szkoda, że nie mamy koni – powiedział Stig. – Raz dwa bylibyśmy na miejscu.

Hal potrzaskał głową.

– Uprząż jest krucha i zmurszała – zauważył. – Podłogi też trzeba by wymienić.

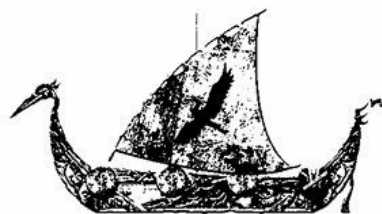
– Poza tym – dorzucił Gilan – nie można tak po prostu zaprząć konia i jechać. Każdy rydwan ciągnie dwójka koni, muszą się zgrać, a trening trwa kilka miesięcy. Podobnie jak w przypadku drużyny – zakończył z uśmiechem.

– O – powiedział Stig, spuszczać wzrok. A wydawało mu się, że wpadł na taki świetny pomysł.

– Wracajmy – rzucił Hal. Nie lubił zostawiać „Czapli” na dłużej w potencjalnie niebezpiecznym obcym miejscu, w dodatku zaczynało się ściemniać. Nie chciał cumować przez noc przy starym molo, tam wrogie siły mogłyby niepostrzeżenie podejść do nich przez ruiny miasta. Planował zarzucić kotwicę dalej od brzegu, gdzie nie groził im atak. A rano zbudować na plaży odpowiednio zabezpieczony obóz.

Powędrowali z powrotem przez zrujnowane budynki, tonące w gasnącym świetle. Kolumny i walące się mury rzuciły dziwaczne cienie. Hal tylko utwierdził się w przekonaniu, że powinni odpłynąć od brzegu. Zauważył, że wraz z zachodem słońca wiatr osłabł. Wiedział, że za kilka minut znowu zaczną wiać – z przeciwnej strony.

I wiedział też, w jaki sposób dotrą do Góry Skorpiona.



Rozdział 34



Zarzucili kotwicę z dala od brzegu, zabezpieczając się przed niespodziewanym atakiem. Morze było spokojne i Edvin rozpałił na pokładzie niewielkie ognisko. Umieścił drwa na metalowej płycie wysypanej piachem, chroniącej przed zaprószeniem ognia. Na rozżarzonych węglach upiekł kawałki soczystej jagnięciny i podał z resztkami sałatki tabouleh.

Noc była pogodna, nie musieli rozkładać brezentu, który zawsze ze sobą wozili. Zjedli, wypili kawę, a potem owinęli się w koce. Wiedzieli, że ciepło pustyni wkrótce zniknie i noc będzie chłodna. Hal ustalił warty – mieli na zmianę obserwować linię brzegową i morze dokoła. Po pięciu minutach wszyscy spali i zapadła cisza. No, prawie – bo przerywana stłumionym chrapaniem.

– Lydia, przestań – zawołał Thorn.

– Zamknij się, staruszkule – odparowała Lydia. Potem znowu ułożyła się wygodnie i już zasypiała, gdy nagle ku swemu przerażeniu stwierdziła, że to rzeczywiście ona chrapie. Prędko obróciła się na bok, by stłumić potworny dźwięk. Thorn zachichotał.

– Bez komentarza – powiedział, nie wiadomo do kogo.

Lydia pomyślała, że Thorn zawsze musi mieć ostatnie słowo. Sprzeczka dwa dni temu się nie liczyła, bo ją wcześniej zaplanowali. Jej umysł pracował intensywnie w poszukiwaniu celnych ripost. Ale w trakcie tych poszukiwań Lydia zasnęła.

Po śniadaniu Hal kazał im dopłynąć do miejsca za miastem, gdzie w brzegu widniało niewielkie wcięcie, osłonięte skupiskiem skał, które mogły dostarczyć im bezpiecznej ochrony.

– A dlaczego nie w oazie? – spytał Jesper. – Nie musiałbym dźwigać wody.

Hal potrząsnął głową.

– Za dużo miejsc, w których nieprzyjaciół mógłby się schować. Tu będziemy ze wszystkich stron otoczeni otwartą przestrzenią. Gdyby planowano jakiś podstęp, zobaczymy napastników z odpowiednim wyprzedzeniem. Prawda, Thornie?

Stary wilk morski pokiwał głową.

– Możemy naciąć tych ciernistych krzaków i z trzech stron zbudować barykadę wokół obozu – powiedział. – A z czwartej będzie pilnował plaży Zadymiarz. Rzucimy kotwicę dwadzieścia metrów od brzegu.

Hal powiódł wzrokiem dokoła. Plaża była płaska i monotonna. Gdyby ktoś chciał ich zaatakować, dostrzegliby go z odległości kilkuset metrów. A ten gruby ciężki piach na pewno znacznie opóźniłby marsz wrogich wojsk. Halowi podobał się pomysł Thorny. Opodal rosło mnóstwo krzaków, ale ich grube gałęzie pokrywały długie ostre kolce. Budowanie ogrodzenia z takiego materiału z pewnością nie należało do przyjemności.

– Mogę powierzyć ci budowanie obozu? – cicho powiedział Hal do Thorny. – Muszę coś załatwić.

– Oczywiście – odparł Thorn. W myślach już rozdzielał zadania. Ci, którzy ostatnio szczególnie zależli mu za skórę, będą musieli naciąć i przynieść tych kolczastych gałązek.

– Zabieram Edvina – dodał Hal, po czym zawołał: – Edvin! Idziesz ze mną.

– Natychmiast – odparł Edvin z zapalem, ucieszony, że uniknie ciężkiej pracy przy budowie obozu.

Ingvar rzucił Halowi zawiedzione spojrzenie. Zwykle to jego skirl brał do pomocy.

Hal wyjaśnił:

– Nie będzie dźwigania ciężarów. Potrzebuję kogoś, kto dobrze sobie radzi z igłą i nitką.

– To z pewnością nie ja – przyznał Ingvar.

– Będziemy na hipodromie – poinformował Hal Thorna. Zebrał torbę z narzędziami, topór oraz zwój brezentu, który służył im do ochrony przed niepogodą, i wraz z Edvinem ruszyli przez piach w kierunku potężnej budowli.

– Co on wyprawia? – spytał Stig Thorna. Poprzedniego wieczoru Hal robił wrażenie bardzo czymś zaabsorbowanego. Obaj wiedzieli, co to oznacza.

– Przypuszczam, że wciela w życie kolejny genialny pomysł – odparł Thorn z uśmiechem. – Widziałem, że te rydwany bardzo go zaintrygowały.

Stig odprowadził wzrokiem sylwetki przyjaciół, niknące pośród zabudowań.

– Jak myślisz, co on planuje?

Thorn jednak tylko potrząsnął głową.

– Znasz Hala. Nic przecież nie powie. Pokaże nam dopiero, kiedy uzna, że to coś nadaje się do pokazania.

Stig westchnął.

– Pewnie masz rację.

Bo Hal zawsze tak robił.



Ciężko pracowali przez cały ranek. Wykopali rów dokoła obozu, potem wypełnili go kolczastymi gałęziami. Dodatkowo po wewnętrznej stronie zbudowali ogrodzenie z krzaków, a w ziemię wetknęli skierowane na zewnątrz zastrzone patyki.

Thorn zwrócił się do Lydii:

– Pomyślałem, że zbudujemy dla ciebie nasyp pośrodku, kilka metrów od barykady. Z podwyższenia będziesz mogła widzieć wrogów i do nich strzelać.

Lydia rozejrzała się dokoła i kiwnęła głową. W kwestiach walki i obrony rzadko się kłócili. Zostawiali sobie tę przyjemność na mniej istotne okazje.

– Dobry pomysł – stwierdziła w końcu – ale moglibyście zbudować też jakąś konstrukcję z desek czy tarcz, za którą mogłabym się schować. Inaczej będę wystawiona na strzały.

– O tym nie pomyślałem – przyznał Thorn. – Zabieram się do roboty. Jeżeli zostaniemy zaatakowani, będziesz naszą główną bronią. Ty i Zadymiarz.

Stig podszedł do nich, ocierając czoło kawałkiem tkaniny. Był bez koszuli, jego ramiona już zdążyły przypiec się na słońcu.

– Lepiej się ubierz – poradził Thorn.

Stig kiwnął głową. Potem oparł się o stos drewna i rzucił od niechcenia:

– Nie patrzcie teraz. Obserwuję nas. Jeden jeździec stoi na zachodnim krańcu oazy. Drugi na wzniesieniu nad miastem.

Po chwili Thorn, jak gdyby nigdy nic, powiódł wzrokiem dokoła. Rzeczywiście, w wymienionych przez Stiga punktach zobaczył, wyraźnie odcinające się na tle nieba, sylwetki jeźdźców.

– Jak myślicie, kim oni są? – zapytała Lydia.

Stig uśmiechnął się, ale był to uśmiech pozbawiony radości.

– Założę się, że pracują dla tego całego Shurmela, o którym tyle słyszeliśmy. Jak tylko wyruszymy w kierunku Góry Skorpiona, pomkną co koń wyskoczy, by go o tym uprzedzić. – Włożył koszulę, zadowolony, że Thorn mu o tym przypomniał. Czuł, że już zdążył się przysmażyć. – A ponieważ my popruniemy na skrzydłach stóp, będą tam na długo przed nami – dodał.

Lydia zmarszczyła brwi.

– O co chodzi? To jakiś nowy wynalazek Hala? – spytała.

– Chciałem powiedzieć, że pójdziemy pieszo.

– To dlaczego tak nie powiedziałeś?

Stig wzruszył ramionami. Pomyślał, że Lydia czasami bywa nieco drobiazgowa. Zaraz poprawił się w myślach. Nie, Lydia bardzo często bywa bardzo drobiazgowa.

– W ten sposób jest bardziej poetycko – powiedział. Lydia prychnęła.

– Ty i poezja? Od kiedy?

Stig skrzywił się.

– Od zawsze. Mój talent poetycki przysporzył mi wielkiej popularności wśród mieszkanki Hallasholmu.

– Nie zauważyłam. Jedyna poezja twojego autorstwa, jaką było mi dane poznać, to jakiś koszmarne zły limeryk.

– Przypuszczam, że masz na myśli mój poemat o damie z mokradła?

– Ja chyba tego nie znam – wtrącił Thorn.

– O, to już klasyk w swoim gatunku – odparł Stig, po czym położył dłoń na sercu, wysunął prawą stopę, przybierając pozę, w jego mniemaniu godną prawdziwego poety i wyrecytował:

Raz pewna krzepka dama z mokradła

Idąc na spacer, do morza wpadła.

Spłoszyły się nieco dorsze

Choć widziały rzeczy gorsze

Niż część zadnia owego dziwadła.

Stig szeroko rozłożył ramiona, jakby czekał na oklaski, powiódł wzrokiem od Thornia do Lydii i z powrotem. Powoli chępliwy uśmiech znikł z jego twarzy.

– No wiecie co! – wykrzyknął urażony. – To przecież poezja najwyższych lotów!

Thorn z namysłem podrapał się po brodzie.

– I właśnie taką najwyższych lotów poezję recytujesz dziewczętom w Hallasholmie?

Stig przytaknął.

– Oczywiście. A to tylko jeden przykład. Mam jeszcze inne, niemal równie dobre.

– To by tłumaczyło, dlaczego przyszedłeś sam na zabawę z okazji święta sianokosów – stwierdził Thorn, a Lydia zdusiła śmiech. Stig, coraz bardziej oburzony, powiedział:

– Wy dwoje najwyraźniej nie macie pojęcia o prawdziwej poezji. Zielonego.

Thorn i Lydia spojrzeli na siebie. Stary wilk morski odparł:

– No to jest nas już troje.

Tym razem Lydia nie tłumila śmiechu. Stig wyprostował się dumnie i spojrzął na nich z góry.

– Barbarzyńcy.

– Możliwe – zgodził się Thorn. – A teraz barbarzyńcy muszą dokończyć kopanie rowu. Wracamy do roboty.

Zerknął na wzniesienie. Jeździec nadal tam był.

– A po południu proponuję wyprawę do teatru.

Lydia przekrzywiła głowę. Jakoś nie posądzała Thorna o tego rodzaju upodobnia.

– Interesuje cię teatr?

Potrząsnął głową.

– Nie. Chciałbym tylko przyjrzeć się bliżej temu jeźdźcowi na wzniesieniu.

Lydia skierowała wzrok na wschód. Na tle nieba nadal rysowała się ciemna sylwetka.

– Może dotrzymam ci towarzystwa. Nagle odkryłam w sobie wielkie zamiłowanie do sztuki dramatycznej.

Rozdział 35



Uporali się z budową obozu wczesnym popołudniem. Thorn baczny okiem obejrzał barykadę, wskazał kilka miejsc, wymagających umocnienia. Ogólnie był jednak zadowolony. Pomyślał, że załoga dobrze się spisuje. Tworzyli zgraną grupę i wykazywali się umiejętnościami, jakich raczej nikt od tak młodych osób nie oczekuje.

Ponieważ Edvin pracował z Halem nad jakimś tajemniczym projektem, tego dnia nie dostali gorącego obiadu. Przejrzeli zapasy, znaleźli soloną wieprzowinę i płaskie chleby, które przypieklili nad ogniem, zawinęli w nie mięso i dodali piklowanych warzyw. Posiłek był prosty, ale po wielogodzinnej wyczerpującej pracy smakował wyśmienicie.

Ingvar wskazał zwiniętym chlebem na wysokie mury hipodromu.

– Chciałbym wiedzieć, co oni knują – powiedział, a reszta zgodnie pokiwała głowami. Widzieli, jak Edvin i Hal udali się do oazy, a stamtąd do hipodromu, ciągnąc długie i cienkie bambusowe pnie.

– Moglibyśmy się zakraść i podejrzeć – zaproponował Jesper. Posiadał wielki talent złodziejski i uwielbiał „się zakradać”. Stig jednak potrząsnął głową.

– Na pewno zasłonił wszystko brezentem – powiedział. – Cokolwiek to jest. A jak cię przyłapie, przez cały następny tydzień będziesz wybierać wodę z zęzy, gwarantowane.

Nawet tak dobrze skonstruowana i wyposażona łódź jak „Czapla” nabierała wody podczas podróży. Pod wpływem kołysania złączenia między klepkami nieco się rozluźniały. Woda zbierała się w zęczach pod pokładem i szybko zaczynała ohydnie cuchnąć. Od czasu do czasu jakiś nieszczęśnik dostawał za zadanie podnieść deski i wybrać wodę wiadrem. Była to bardzo nieprzyjemna praca i Hal rezerwował ją dla tych, którzy w jakiś sposób mu się narazili. Jesper przez chwilę rozważał w myślach, czy warto ryzykować. Czyszczenie zęzy trafiało mu się dosyć często, a było to naprawdę niewdzięczne i śmierdzące zajęcie.

– Nawet gdybym zobaczył, to i tak bym nie wiedział, o co chodzi – stwierdził w końcu. Pozostali zgodnie pokiwali głowami.

– Dowiemy się, kiedy uzna, że nadszedł odpowiedni moment – powiedział Thorn. Nauczył się, że Hal nigdy nie zdradza swoich pomysłów, zanim nie będą gotowe – prawdopodobnie dlatego, że w przeszłości zdarzyło się kilka takich, które okazały się kompletną klapą.

– Wspomniałeś, że chcesz rzucić okiem na teatr? – spytał Gilan, czując, że Thorn wolałby przerwać rozważania na temat Hala i jego pomysłów.

Thorn kiwnął głową.

– I na osobnika, który obserwuje nas od samego rana.

Mimowolnie wszyscy spojrzeli w kierunku wzniesienia. Na tle bezchmurnego nieba wciąż rysowała się sylwetka samotnego jeźdźca. Tego drugiego, z oazy, już nie było widać. Ale być może schował się pośród drzew.

– Nikt więcej nie jest zainteresowany kulturalną wyprawą do teatru? – rzucił Gilan.

Jesper wzruszył ramionami. Nie miał wielkiej ochoty oglądać kupy kamieni.

– Mnie zabierz znad uwagi – powiedział.

Gilan uniósł jedną brew – zwyczaj, który przejął od swego długoletniego nauczyciela, zwiadowcy, imieniem Halt.

– Interesująco to ująłeś.

Jesper spojrział na niego ze zdziwieniem. On nie widział w tym wyrażeniu niczego niezwykłego.

Thorn zatoczył ramieniem i powiedział:

– Dobrze. Pilnuj obozu. Kluf z tobą zostanie. – Kluf zamachała ogonem na dźwięk swego imienia. Przez cały czas leżała na wygrzonym kamieniu, z łbem wspartym na łapach, bacznie ich obserwując. – W razie kłopotów zadmij w ten róg, natychmiast przybiegniemy.

Wskazał na wyszczerbiony barani róg, wiszący na słupku wewnątrz prowizorycznej stróżówki, którą postawili przy bramie zamykającej barykadę.

– Będę dmuchał tak, że zbudzę umarłego – zapewnił Jesper z uśmiechem.

Thorn zawsze czuł się nieswojo, kiedy Jesper mówił takie rzeczy. Eks-złodziej ubił wymykać się niepostrzeżenie i unikać dodatkowych obowiązków. Thorn obawiał się, że w chwili, kiedy opuszczą obóz, Jesper pójdzie spać i tyle. Na szczęście była jeszcze Kluf.

– Jeśli wrócę i zastanę cię śpiącego – powiedział groźnie – możliwe, że więcej się nie obudzisz.

Uśmiech Jespera stał się jeszcze szerszy.

– Zaufaj mi, Thornie – odparł.

Thorn wznosił oczy do nieba. Wiedział z doświadczenia, że takie słowa zwykle wypowiadają ludzie, którym absolutnie nie można ufać.

– Wolalbym, żebyś tego nie mówił – stwierdził, po czym zwrócił się do reszty: – Dobra, ruszamy.

I ruszyli. Chociaż nie padło ani jedno słowo na ten temat, wszyscy zabrali ze sobą broń.

Kiedy wędrowali wśród zabudowań Ephesy, jeździec nadal stał na wzniesieniu. Ale gdy zaczęli się na nie wspinać, powoli zawrócił konia i odjechał. Zdążyli jednak dostrzec pewne szczegóły.

– To nie Tualeg – zauważył Gilan. – Ma na sobie czerwono-czarny strój, Tualegowie zawsze noszą niebieskie.

– Może czarny i czerwony to kolory Sekty Skorpiona – rzuciła Lydia. – Chcesz, żebym wspięła się na szczyt i sprawdziła, dokąd pojechał?

Thorn potrząsnął głową.

– Myślę, że jest już daleko. Jedź konno, my nie. Odjedź na bezpieczną odległość i będzie nas obserwował.

Gilan chodził w tę i z powrotem po scenie, na której niegdyś odbywały się przedstawienia. Powiódł wzrokiem dokoła, z zainteresowaniem przyglądał się symetrii umieszczonych w półkolu siedzeń, wyciętych w skale. Zwiadowcę zawsze fascynowały tego rodzaju oryginalne pomysły. Podczas podróży niejedną raz widział tokańskie teatry, ten również zbudowano według powszechnie obowiązującego wzorca. Wiedział, że stromo wznoszące się rzędy krzesel zapewniają idealną akustykę. Każdy z widzów, niezależnie od tego, w którym miejscu siedział, wyraźnie słyszał każde słowo, wypowiedane przez aktorów grających na posypanej ubitym piaskiem scenie. Gilan wskazał na ostatni rząd, jakieś trzydzieści metrów ponad ich głowami i powiedział do Thornia:

– Wdrap się tam, a zobaczysz, jaka tu jest doskonała akustyka.

Thorn zmarszczył czoło.

– Jak niby ją zobaczę? – Bynajmniej nie podzielał pasji Gilana do nauki i wynalazków. Może Hal by się ucieszył, ale Hala tu nie było.

– Ja zostanę na dole i coś powiem. A ty to usłyszysz.

– To w końcu zobaczę, czy usłyszę? I po co mam drapać się taki kawał pod górę, kiedy stoję tuż obok ciebie? Co zamierzasz powiedzieć?

Stopnie wznosiły się bardzo stromo, a że służyły jednocześnie za siedzenia, każdy miał około metra wysokości. Wspinanie się po takich schodach z pewnością wymagało sporo wysiłku. Gilan rozłożył ręce w geście rozpaczony. Thorn za nic nie chciał zrozumieć, o co mu chodzi – w dodatku Gilan podejrzewał, że robi to specjalnie.

– Nie wiem. Nic ważnego.

– Skoro nic ważnego, to na pewno nie zamierzam wspiąć się na samą górę. Chcesz mi coś powiedzieć, to mów. Stoję tuż obok.

– Nie, ja chciałem tylko zademonstrować... – zaczął Gilan. Ale urwał na widok błysku rozbawienia w oczach Thorna.

– Ja pójdę – oznajmiła Lydia. Następnie z szelmowskim uśmieszkiem wycelowanym w Thorna dodała: – Te stopnie są chyba nieco zbyt strome dla takiego biednego zniedołężniałego staruszka jak ty.

Potem lekko wbiegła po schodach, przeskakując z jednego stopnia na drugi, szybko i z wdziękiem. Kiedy znalazła się na samej górze, Thorn rzucił w jej kierunku mordercze spojrzenie.

– No dalej. Powiedz coś! – zawołała. Doskonała akustyka sprawiła, że jej głos bez zakłóceń dotarł do grupy stojącej pośrodku sceny.

Gilan otworzył usta, lecz, jak to często bywa w takich przypadkach, miał kompletną pustkę w głowie. Nagle poczuł, że koniecznie musi powiedzieć coś ważnego i niebanalnego. Nieraz widział, jak aktorzy i asystenci w teatrze, sprawdzając akustykę, mówią „raz, dwa, raz dwa trzy”. Zawsze jednak uważał, że to ciut bezsensowne. Chciał za wszelką cenę tego uniknąć. Czekał na natchnienie.

Stefan, stojący nieco z boku, obserwował wszystko z zainteresowaniem. Ostatnimi czasy czuł się bardzo sfrustrowany. Potrafił doskonale naśladować cudze głosy i nieraz wywoływał spore zamieszanie, udając oberjarla bądź jego hilfmanną czy instruktorów podczas szkolenia drużyn. Od dawna jednak nie miał okazji, by wykorzystać swój nieprzeciętny talent i bardzo mu tego brakowało. Taki na przykład Jesper często przystugiwał się drużynie, otwierając przeróżne drzwi i kłódki. Stefan czuł się nieco pokrzywdzony. Teraz dostrzegł doskonałą szansę, by przynajmniej dobrze się zabawić. Odsunął się jeszcze kilka kroków od Thorna i Gilana, odwrócił się, tak by Lydia nie widziała jego twarzy i powiedział głosem Thorna:

– Wiesz, Lydia chyba powinna ograniczyć te miodowe ciasteczka. Robi się trochę szeroka w okolicach rufy.

Lydia natychmiast uniosła głowę. Dzięki wspaniałej akustyce teatru słowa dotarły do niej bardzo wyraźnie. Rzuciła wściekle spojrzenie Thornowi. Komentarz był trafiony, bo Lydia rzeczywiście przejawiała wielką słabość do tych niewielkich kwadratowych ciasteczek przekładanych orzechowym nadzieniem, których po raz pierwszy kosztowali w gospodzie w Al Shabah. Na jej prośbę Edvin zdobył przepis i właściwie każdy posiłek kończył się w przypadku Lydii dwoma-trzema pysznymi ciasteczkami. A nawet trzema-czterema.

– Zamknij się, stary dziadzie! Zaraz ty możesz dostać w rufę jedną z moich strzałek! – wrzasnęła.

Oczywiście Lydia wcale nie przybrała w obwodzie. Owszem, nie żałowała sobie słodkości, ale była aktywna i wysportowana i trzymała doskonałą formę.

Thorn ze zdziwieniem uniósł głowę. Słyszał gniew w głosie Lydii i widział go w jej postawie – ręce na biodrach, stopy szeroko rozstawione, morderczy wzrok. Zastanawiał się, co też mogło tak ją zdenerwować. A potem usłyszał stłumiony chichot. Stefan stał kilka metrów dalej, odwrócony do nich plecami, jego ramiona trzęsły się ze śmiechu. Thorn podszedł do niego ukradkiem na odległość solidnego kopniaka. I wymierzył.

– Auuuuuu! – zawył Stefan z bólu i zaskoczenia. Jakiś potężny taran brutalnie walnął w tylną część jego ciała, podniósł pół metra nad ziemią i rzucił o scenę. Stefan odwrócił się i posłał Thornowi zranione spojrzenie – zranione równie mocno jak ciało Stefana oraz jego duma.

Thorn wykonał przesadny ukłon w stronę Lydii.

– Wygląda na to, że nasza oswojona papużka marzy o karierze aktorskiej, księżniczko – powiedział.

Lydia wbiła wściekle spojrzenie w nieszczęsnego Stefana, który nadal rozcierał bolący zadek.

– Później to załatwimy – ostrzegła.

– Nie ma takiej potrzeby, Lydio. Ja już jestem załatwiony – odparł żalonym tonem. Kiedy Thorn znowu do niego podszedł, Stefan cofnął się instynktownie, ale stary wilk morski tym razem nie zamierzał częstować go z buta.

– Następnym razem, chłopcze, jak zechcesz mnie naśladować, najpierw sprawdź, czy aby nie znajdujesz się w zasięgu kopa.

Stefan pokornie pokiwał głową.

– Dobrze, Thornie. Na pewno zastosuję się do tej rady.



Rozdział 36



Powoli ruszyli z powrotem do obozu. Thorn obserwował Stefana, uśmiechając się pod nosem. Chłopak trzymał się na bezpieczną odległość od Lydii, która nadal od czasu do czasu rzucała mu mordercze spojrzenia. Jednocześnie uważał, by za bardzo nie zbliżać się do Thornu.

Stary wilk morski robił wszystko, by mu to utrudnić, stale zmieniał miejsce i tempo i raz po raz zachodził Stefana od tyłu.

Stefan, kiedy tylko to zauważył, czym prędzej uciekał, ale wtedy niebezpiecznie zbliżał się do Lydii i musiał znowu zmykać, czasem kryjąc się za Stigiem czy Ingvarem. A po chwili Thorn ponownie zachodził go od tyłu i cała sekwencja się powtarzała.

Gilan uśmiechnął się na widok tej pantomimy. Przypuszczał, że w drodze do obozu Stefan pokona trzy razy dłuższy dystans niż reszta drużyny.

Kiedy podeszli do bramy w barykadzie, Kluf powitała ich głośnym pojedynczym szczeknięciem. Niemal w tym samym momencie nad barykadą pojawiła się głowa. Nie Jespera, jak zauważył Thorn, ale Hala.

Skirl powitał ich radośnie. Otaczała go aura z trudem powstrzymanego podniecenia. Stig i Thorn widzieli to nieraz. Znak, że to, nad czym pracował, cokolwiek to było, zakończyło się sukcesem.

– Gdzie byliście? – spytał Hal.

Stig pokazał kciukiem do tyłu.

– W teatrze. Obcowaliśmy z kulturą.

Hal zmarszczył brwi. To na pewno nie było w ich stylu.

– Czemu utykasz? – zapytał Stefana.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo ubiegł go Thorn.

– Miał pewien problem – odparł ze złośliwym uśmiechem.

– Z nogą? – spytał Hal.

Thorn potrząsnął głową.

– Z językiem.

– O... – Hal urwał i przez chwilę przetrawiał tę informację. Wydawała się nie mieć większego sensu, ale Thorn często mówił zagadkami. Hal uznał drążenie tematu za bezcelowe. Miał znacznie ciekawsze sprawy do omówienia. – A więc... – podjął, zrobił efektowną pauzę i zakończył: – ...chcecie zobaczyć, nad czym pracowaliśmy?

Stig i Thorn prędko wymienili spojrzenia. Rozmawiali o tym po drodze. Zgodnie stwierdzili, że tajemnice Hala trochę ich męczą i że najwyższy czas dać mu prztyczka w nos.

Thorn przez chwilę udawał, że się zastanawia, w końcu potrząsnął głową.

– Eeeee. Chyba nie.

Stig, przejmując pałeczkę, ziewnął i się przeciągnął.

– Chyba zdrzemnę się przed kolacją. Strasznie się zmęczyłem tym kopaniem rowów.

Ale dłużej nie dali rady. Zbaraniała mina Hala to było stanowczo zbyt wiele. Jednocześnie wybuchnęli śmiechem, reszta dołączyła po chwili.

– Jasne, że chcemy zobaczyć! – wykrzyknął Thorn, otaczając ramieniem plecy Hala. – Przez cały dzień się zastanawiamy, co tam kombinujesz.

– Gdzie jest Edvin? – spytała Lydia, rozglądając się dokoła.

Hal wskazał kciukiem budynek hipodromu.

– Kończy szycie żagla.

Stig spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Żagla? Zbudowałeś łódź? Po co?

Hal uśmiechnął się, po czym odpowiedział na oba pytania jednocześnie:

– Nie. Zobaczycie.

Zagadkowa odpowiedź wywołała jeszcze większą dezorientację.

– Bardziej konkretna kwestia: gdzie jest Jesper? – zapytał Thorn, również rozglądając się dokoła. W jego głosie brzmiała złowieszcza nuta. Hal wzruszył ramionami.

– Kiedy wróciłem jakieś dziesięć minut temu, słodko spał. Kluf szczekała jak szalona, lecz nie zdołała go obudzić. Wyglądał na tak zmęczonego, że pozwoliłem mu spać dalej.

Krzaczaste brwi zbiegły się w jedną linię na czole Thorna.

– Jak się obudzi, to pozwolę mu spać wiecznie – powiedział groźnie.

Hal z zaciekawieniem przekrzywił głowę.

– To chyba niezbyt logiczne – stwierdził.

– Jesper zrozumie – odparł Thorn. Podszedł do słupka, na którym wisiał róg, zdjął go i ruszył w stronę niewielkiego namiotu, gdzie Jesper leżał zwinięty na pościeli z błogim uśmiechem na twarzy. – Chyba śni mu się coś pięknego – stwierdził Thorn. A potem przytknął róg do ust i wydobył z niego ogłuszający dźwięk.

Wszyscy, którzy obserwowali tę scenę, mogliby przysiąc, że Jesper uniósł się w powietrze i przez chwilę lewitował na wysokości mniej więcej pół metra, po czym, gwałtownie rozbudzony, opadł na pościel. Zerwał się i zaczął macać dokoła, szukając miecza.

– Alarm! – wrzeszczał głosem łamiącym się ze strachu i totalnego zaskoczenia. – Zaatakowano nas! Alarm! Al...

Nagle zamilkł i powiódł wzrokiem po twarzach stojących dokoła przyjaciół. Na widok rogu w ręku Thorna w jego oczach pokazał się błysk zrozumienia.

– O... – powiedział. – Już wróciliście? A ja tak jakoś przymknąłem powieki, dosłownie na sekundę...

– Wróciliśmy pięć minut temu – przerwał mu Thorn. – A Hal jeszcze wcześniej. No tak, ale ty na pewno o tym wiesz.

– Co? No... tak, oczywiście. Oczywiście. Zabawne, że Kluf nie szczekała. Niedobry pies! – Spojrzął na Kluf i groźnie pokiwał palcem. Kluf odstąpiła górne zęby w czymś, co bez wątplenia było uśmiechem. Hal popatrzył na nią ze zdumieniem. „Jeszcze nigdy nie widziałem uśmiechniętego psa”, pomyślał.

– Kazałem ci stać na warcie, Jesper – powiedział Thorn. – Pamiętasz? „Zaufaj mi. Będę dmuchał tak, że zbudzę umarłego”. Kluf zrobiła, co do niej należało. No, ale ona ma znacznie więcej rozumu niż ty. – Spojrzął z ukosa na Kluf, która zamachała ogonem. – A nigdy nie przypuszczałem, że użyję słów „Kluf” i „rozum” w jednym zdaniu. Jeśli jeszcze raz zaśniesz na warcie, będziesz czyścić zęby przez następne dwa lata. Zrozumiano?

Jesper z zawstydzeniem zwiesił głowę.

– Zrozumiano – mruknął.

Thorn przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Pomyślał, że jego słowa chyba wywołały pożądany skutek – przynajmniej do następnego razu. W końcu, nieco udobruchany, powiedział do Hala:

– Chodźmy. Pokażesz nam swój najnowszy wynalazek.

Wszyscy ruszyli za Halem. Jesper dołączył do nich po chwili wahania. Thorn jednak dźgnął go palcem w pierś i warknął:

– Ty zostajesz na straży. I na jawie! – Ostatnie słowa gniewnie wykrzyknął.

Jesper wzdrygnął się, po czym kiwnął głową.

– Tak, tak! Oczywiście! Jak sobie życzysz! Za...

Oczy Thorn'a gniewnie błysnęły. Uniósł palec wskazujący w geście nakazującym milczenie.

Jesper przypominał sobie jak przez mgłę, że już poprzednim razem powiedział: „Zaufaj mi” i pośpiesznie dokończył:

– Za nic na świecie nie zasnę!

– Nie radzę – odparł Thorn. A potem odwrócił się i ruszył za resztą grupy w stronę hipodromu.



Wynalazek stał pośrodku toru wyścigowego przed wejściem do pomieszczenia, w którym znaleźli rydwany.

Była to duża pajęczka konstrukcja – trójkątna rama szeroka na jakieś sześć metrów, długa na pięć, zrobiona z giętkich łodyg bambusa.

Pośrodku biegł najgrubszy pręt, po bokach dwa cieńsze, złączone z tym środkowym w przedniej części. W tylnej zaś pod kątem prostym umieszczono dwa pręty długości trzech metrów każdy, na ich krańcach zaś koła od rydwanu. Trzecie koło, skrętne, przyczepiono z przodu i przywiązano doń skórzane lejce. W tylnej części na poprzecznych prętach, łączących środkowy pręt z dwoma bocznymi i tworzących trójkątną platformę, znajdowały się proste siedzenia, jedno z tyłu i dwa pod bokach, mniej więcej w połowie odległości między kołem a środkowym prętem, wyposażone w uchwyty i podpórki na nogi.

Zaraz za przednim kołem wznosił się wysoki na pięć metrów maszt, na którym rozpięto trójkątny żagiel, w ten sposób, że maszt umieszczono w tunelu z zaszytego brzegu płótna. Z tyłu znajdowało się coś w rodzaju baksztagu, który nadawał masztowni lekko wygięty kształt. Dolny brzeg żagla w kilku miejscach przywiązano taśmami do lekkiego bomu. Przy bomie i na środkowym pręcie umieszczono bloczki, przez które przeciągnięto linę, tak by siedząca z tyłu osoba mogła kontrolować bom.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na niezwykley pojazd w pełnej nabożnego podziwu ciszy. Wreszcie Stig zadał pytanie, które każdy miał na końcu języka:

– Co to jest?

Hal uśmiechnął się z dumą, podszedł do pojazdu i pogładził bambusowy pręt.

– To jest żagłodowiec – odparł. – Pływa się nim po lądzie, nie po morzu. Jest napędzany siłą wiatru. Koła bez trudu poradzą sobie na piasku. Można nadawać mu odpowiedni kierunek, obracając przednim kołem, podobnie jak kieruje się łodzią za pomocą steru. Bambus jest giętki, więc zamortyzuje jazdę po twardym podłożu. Nie mogłem przyczepić tu drugiej rejki, takiej jak na „Czapli”, więc zrobiłem bom. Przez to żagiel jest mniejszy, ale łatwiej będzie nad nim zapanować.

Lydia obeszła dziwny pojazd, z podziwem i niedowierzaniem spoglądając na wygięty maszt.

– To będzie działać? – spytała.

Hal uśmiechnął się.

– Chyba chciałaś zapytać, czy działa. Odpowiedź brzmi: tak. Wypróbowaliśmy go na hipodromie. Wprawdzie jest tu niemal bezwietrznie, ale i tak udało nam się osiągnąć całkiem niezłą prędkość. A także robić zwroty w obie

strony. Przypuszczam, że przy bocznym wietrze żaglądowiec będzie jechał z szybkością galopującego konia.

– Tyle że nie trzeba go poić i karmić. Ani zatrzymywać się na odpoczynek – zauważył Thorn. Hal kiwnął głową.

– Właśnie. Można jechać nim przez cały dzień, praktycznie bez potrzeby robienia postojów. Z moich wyliczeń wynika, że powinien dowieść nas do Masywu Amrashin w ciągu półtora dnia, czyli dwa razy szybciej, niż zajęłoby nam podróż pieszo. Będziemy na miejscu, zanim Shurmel dowie się o naszym przybyciu.

Gilan potrząsnął głową. Był naprawdę pod wrażeniem wynalazku Hala. W miarę jak poznawał młodego skirla, coraz bardziej podziwiał jego niezwykłą pomysłowość.

– Mówisz w liczbie mnogiej – zauważył. – Kogo masz na myśli?

– Ciebie, rzecz jasna – odparł Hal bez namysłu. – To ty będziesz prowadził negocjacje z przywódcą Skorpionów. Ja będę sternikiem. Trzecie miejsce przypada Stigowi.

Stig wyszczerzył się od ucha do ucha. Pozostali za to zaczęli gorąco protestować, najgłośniej Thorn, Ingvar i Lydia. Wszyscy bardzo chcieli uczestniczyć w wyprawie do Góry Skorpiona. Hal jednak był nieugięty.

– Są tylko trzy miejsca – zauważył.

Thorn powiedział:

– Przyjmuję, że ty i Gilan musicie pojechać. Ale mógłbym zająć miejsce Stiga. Przy spotkaniu z tymi Skorpionami może przydać się mocna pięcha.

Hal popatrzył na niego ze spokojem.

– Stig też ma mocną pięchę. Obaj jesteście świetnymi wojownikami, ale ty lepiej sprawdzasz się jako dowódca, a chcę, byś objął dowodzenie pod moją nieobecność i w razie czego zorganizował obronę obozu. Co z tego, że zlikwidujemy tolfah przeciwko księżniczce Cassandrze, jeśli przy okazji stracimy „Czapłę”?

Thorn ustąpił, mrucząc pod nosem. Widział jednak, że Hal ma rację.

Ingvar miał inny pomysł.

– Zostaw ich obu – powiedział. – Ja z tobą pojedę. Wiesz, że teraz, kiedy naprawiłeś mi wzrok, potrafię bardzo szybko rozprawić się ze Skorpionami.

Hal jednak znowu miał argument nie do przebiccia.

– Bez ciebie Zadymiarz będzie bezużyteczny. A jeśli obóz zostanie zaatakowany, przyda się maszyna do wyrównywania szans.

Również Ingvar musiał przyznać, że Hal ma rację.

Lydia już miała zaprotestować, ale Hal ją uprzedził:

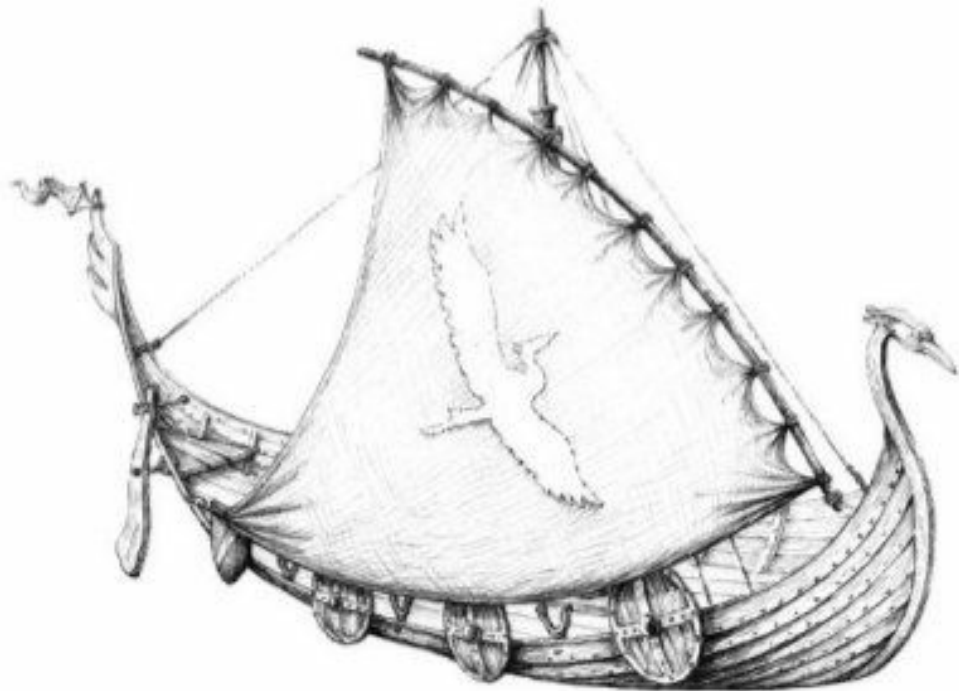
– To samo dotyczy ciebie, Lydio. Moglibyśmy cię zabrać, jesteś bardzo lekka. Jednakże, kiedy zabraknie łuku Gilana, twój atlatl będzie naszą jedyną bronią dalekiego zasięgu. Z jego pomocą potrafiś rozgromić każdy atak. Poza tym, prócz Ingvara, tylko ty z osób, które zostaną w obozie, potrafiś obsługiwać Zadymiarza.

– Jesteś pewien, że nas zaatakują? – zapytała.

Popatrzył na nią przez kilka sekund, po czym odparł:

– Całkowicie.

CZĘŚĆ CZWARTA



GÓRA SKORPIONA

Rozdział 37



Słońce stało na niebie od czterdziestu minut. W miarę jak temperatura rosła, wiatr z północy stale przybierał na sile. Żagłowiec czekał gotowy do podróży przed główną bramą hipodromu. Na trójkątnej platformie leżały bukłaki z wodą, koce, broń i zapasy jedzenia. Żagiel był postawiony, ale zwisał luźno i łopotał na wietrze. Kiedy się poruszał, cała konstrukcja chwiała się lekko, a bom latał na boki.

Hal włożył kheffiyeh, arydzkie nakrycie głowy używane na pustyni. Selethen podarował takie nakrycia wszystkim członkom drużyny. Hal zasłonił dolną część twarzy, ściągając końce, i założył jeden za drugi. Teraz jego twarz i głowa zyskały ochronę przed słońcem i wiatrem.

Wspiął się na środkowe siedzenie, do jednej ręki wziął szot, którym mógł kontrolować żagiel, drugą chwycił linki, sterujące przednim kołem. Spojrzał na Stiga i Gilana, czekających na swoją kolej. Pozostali członkowie załogi stali obok w półkołu, by ich pożegnać.

– Czas ucieka – powiedział. Gilan i Stig zajęli miejsca na dwóch zewnętrznych siedzeniach, stopy postawili na podpórkach i złapali za uchwyty. Znacznie mocniej niż to było konieczne, jak zauważył Hal, uśmiechając się pod kheffiyeh.

– Spokojnie – zawołał. – Po prostu poddajcie się ruchom pojazdu. Nie walczcie.

Pokiwali głowami. Nie widział ich twarzy, ukrytych pod chustami, ale sylwetki zdradzały napięcie. Hal pociągnął za szot, lina cicho zapiszczała w blokach, wyprostowała się, a po chwili płótno żagla napięło się na wietrze.

Rozległo się charakterystyczne „tump” – żagiel wypełnił się wiatrem, bom przesunął się w lewo. Hal jeszcze odrobinę wybrał szot.

Skrzypiąc i dudniąc, żagłowiec ruszył po twardej skalistej ziemi. Początkowo powoli, ale – gdy Hal pociągnął za linki sterujące i ustawił pojazd w takiej pozycji, by wiatr wiał prostopadle do prawej burty – stopniowo nabierał coraz większej prędkości.

Kiedy ruszył, członkowie załogi instynktownie zrobili krok w przód, potem jeszcze jeden i przez chwilę towarzyszyli podskakującemu pojazdowi, ale potem Hal nadał mu większą szybkość i żagłowiec wystrzelił do przodu.

A oni zostali. Patrzyli ze zdumieniem, jak wynalazek Hala mknie przed siebie, podskakując i turkocząc na twardej ziemi, coraz szybciej i szybciej. A potem wszyscy jednocześnie zaczęli wiwatować.

Stig odwrócił się, żeby im pomachać, i mało nie wypadł na wertepie. Mocno złapał uchwyty na ręce. Czaple nagrodziły go kolejnym wiwatem.

Gilan, również kurczowo uchwycony podpórek na ręce, spojrział na Hala, który siedział pochylony do przodu jak jeździec na rozpędzonym koniu. Gilan pomyślał, że to bardzo trafne porównanie. Starał się dostosować do ruchów

pojazdu i rozluźnić mięśnie, które próbowały stawiać opór. Od razu lepiej się poczuł.

Maszta jęczał, koła turkotały, od czasu do czasu podskakując na większych kamieniach. Cała konstrukcja trzeszczała alarmująco. Krótko mówiąc: żagłowiec robił mnóstwo hałasu.

– On tak zawsze?! – krzyknął Gilan. Hal odwrócił się w jego stronę. Chociaż było widać tylko jego oczy, Gilan mógłby się założyć, że pod tkaniną kheffiyeh widnieje szeroki uśmiech.

– Skąd mam wiedzieć? Nigdy wcześniej nim nie jeździłem!

Jeszcze trochę ściągnął szoty, żagiel się napiął. Pojazd lekko uniósł się po stronie Gilana, koło oderwało się od ziemi. Co kilka metrów dotykało jej i znowu się odrywało. Hal chwycił linki sterujące i szot w jedną rękę, a drugą pokazał Gilanowi, że ma przechylić się bardziej na zewnątrz.

Gilan ostrożnie przesunął się po płaskim drewnianym krzeselku. Po stronie zewnętrznej również znajdował się uchwyt na ręce, Gilan złapał go kurczowo. Pojazd powoli wrócił do normalnej pozycji, koło dotknęło ziemi. Gilan zauważył, że im szybciej jada, tym przyjemniejszy wydaje się ruch pojazdu. Jakby rosnąca prędkość wygładzała wszystkie koleiny, górki i inne nierówności terenu.

Stig zauważył to samo. Spojrzał na brązową ziemię, migającą w dole, i uśmiechnął się do siebie. Hal obliczył, że będą podróżować z prędkością konia w galopie. Ale siedząc tak blisko ziemi, zaledwie pół metra od twardo ubitego piachu i skał, Stig odnosił wrażenie, że pędzą znacznie szybciej. Podniósł głowę i spojrzał na Hala.

– Znowu ci się udało – powiedział z podziwem. Ale słowa zdusiła zasłaniająca mu twarz tkanina kheffiyeh i zagłuszył szum wiatru, zmieszany z niestannym klekotaniem pojazdu. Kątem oka Stig zauważył ruch po prawej stronie. Odwrócił się. Spomiędzy drzew oazy wystrzelił jeździec. Jechał na południe, równoległe do kursu żagłowiec.

Był to jeden z ludzi, którzy obserwowali ich od kilku dni. Stig usłyszał głos Hala, spojrzał na niego. Hal wskazywał na jeźdźcę. Stig energicznie pokiwał głową na znak, że też go zauważył.

– Pojechał ostrzec Shurmela – stwierdził, chociaż wiedział, że Hal nie może go usłyszeć.

Zaczynali przywykać do nieustannego ruchu żagłowiec. Gilan wykorzystał umiejętności jeździeckie, a Stig doświadczenie człowieka morza, który nieustannie musi dostosowywać swe ciało do kołysania statku na falach.

Pędzili dalej, coraz szybciej i szybciej. Hal zaczynał wyczuwać pojazd i odpowiednio naciągał żagiel, przerywając, kiedy koło zaczynało odrywać się od podłoża.

Nagle Stig i Gilan usłyszeli jego wołanie i obaj odwrócili się jednocześnie. W jednej dłoni trzymał lejce i szot, a drugą kręcił nad głową. Potem przerwał i wymierzył palcem wskazującym w prawo.

Przesłanie było oczywiste – zamierzał zrobić zwrot. Stig jeszcze mocniej zacisnął dłoń na bambusowym drążku. Gilan zrobił to samo. Potem Hal pociągnął za lejce i skrzył, jednocześnie poluzowując żagiel.

Kiedy pojazd zaczął zakręcać, prędkość spadła. Hal znowu ściągnął szot, żagiel wydał się i wypełnił wiatrem. Prędkość wzrosła i po pięciu minutach znowu pędzili przed siebie.

– Zupełnie jak okręt – mruknął Stig. Teraz poruszali się lewym halsem. Bambusowa rama telepała się, jęczała i wibrowała. Z przodu, nieco na prawo, szaleńczo cwałował rumak, jego kopyta wzbijały chmury pyłu. Jeździec odwrócił się w siodle, a potem popędził konia biczem i zaczął oddalać się w szybkim tempie.

– Kiedyś koń się zmęczy – powiedział Stig, powtarzając uwagę Thorny, który we wcześniejszej rozmowie porównał możliwości jeźdźcy i wynalazku Hala. Stig spojrzał w kierunku rufy – jakoś nie mógł przestać myśleć w terminach żeglarskich – i zobaczył, że zostawiają za sobą imponujący ogon brązowego pyłu. Zabudowania Ephesy nikły w oddali, jeszcze tylko najwyższe były widoczne.

– Naprawdę jedziemy – mruknął do siebie. I ponownie pokręcił głową, pełen podziwu dla pomysłów Hala.

Po pewnym czasie jeździec również znikł im z oczu. Nie jechali dokładnie tą samą drogą, żagłowiec musiał od czasu do czasu zmieniać kierunek, by nie stracić bocznego wiatru, który nadawał mu największą prędkość. Stig kołysał się w zgodzie z ruchem pojazdu. Monotonne trzaski, jęki i dudnienie działały na niego usypiająco. W pewnym momencie złapał się na tym, że zasypia. Prędko się otrząsnął.

– Miło sobie podrzemać – przeciągnął się porządnie – ale może nie teraz.

Ziemia wyglądała na twardą i bezlitosną. Gdyby wypadł, na pewno zaliczyłby niezłe sińce – jeśli nie gorzej. I opóźniłby podróż. Jeszcze raz się otrząsnął i wyprostował na siedzeniu. Nagle zauważył, że Hal poluźnił szot. Żagiel opadł, a pojazd zaczął zwalniać na skalistej ziemi, aż w końcu się zatrzymał. Cisza była niesamowita. Zmysły Stiga przywykły do ciągłych trzasków i stukotu kół i bambusowej konstrukcji. Teraz słyszał tylko szept wiatru z południa, od czasu do czasu przerywany trzepotem żagla.

Hal odsunął kheffiyeh z twarzy, pozwalając, by długie końce opadły na szyję. Zeskoczył na ziemię i przeciągnął się, mocno odchylając do tyłu i masując krzyż pięściami.

– Krótki odpoczynek – oznajmił. – Plecy mnie bolą.

Stig i Gilan nie mieli nic przeciwko temu. Gilan sztywno zszedł z siedzenia i otrzepał się, wznosząc wielkie chmury pyłu.

– Czuję się, jakbym potknął pół pustyni – stwierdził, po czym sięgnął po jeden z bukłaków, nabrał wody i wypuł. Przyglądał się z zainteresowaniem, jak mokra plama błyskawicznie znika z rozgrzanej ziemi. Powiódł wzrokiem dokoła. Wszędzie rozciągała się brązowa pustka.

– Jak myślisz, jak daleko ujechaliśmy?

Hal wzruszył ramionami.

– Ciężko powiedzieć. Ciągłe robimy zwroty, ale w linii prostej pokonaliśmy znacznie mniejszy dystans. Sądzę, że znajdujemy się jakieś dwadzieścia-trzydzieści kilometrów od wybrzeża. Stig, jak myślisz?

Stig wziął bukłak od Gilana, wypłukał usta, napił się i dopiero odpowiedział:

– Chyba masz rację.

Gilan miał jeszcze jedno pytanie, które dręczyło go już od dłuższego czasu.

– Mamy wiatr z tyłu – zauważył. – Dlaczego nie jedziemy po prostu z wiatrem, tylko ciągle robimy zygzaki?

Hal kiwnął głową.

– W takim przypadku nie byłbym w stanie kontrolować prędkości. Jechalibyśmy coraz szybciej i szybciej, aż w końcu całkiem stracilibyśmy panowanie nad pojazdem. Halsując, mogę zwolnić lub przyspieszyć, w zależności od potrzeby.

Stig spojrział na niebo. Słońce nadal wisiądo dość nisko.

– Jeszcze nie ma południa. Przez kilka kolejnych godzin wiatr będzie wiał z tego samego kierunku.

– A możemy przecież jechać też w nocy, kiedy ustali się nowy kierunek – dodał Gilan.

Hal jednak nie mógł się z nim zgodzić.

– Myślę, że podróżowanie w nocy po pustyni to nie najlepszy pomysł. Jeśli uderzymy w większy kamień, czy wpadniemy w jakąś wyrwę, może to się źle skończyć.

Już kilka razy musieli niespodziewanie skręcać, by uniknąć zderzenia z głazami, a raz o mało nie wpadli do suchego koryta rzeki – takie koryta zwano w Arydii „wadi”. Wąwóz o stromych ścianach liczył niemal trzy metry głębokości.

Stig wzdrygnął się na samą myśl, co zostałoby z delikatnej bambusowej konstrukcji, gdyby wpadli w taką pułapkę.

– O tym nie pomyślałem – przyznał Gilan.

Stig rozmasował pośladek. Czuł, że niezłe się poobijał podczas jazdy.

– A co z naszym przyjacielem z oazy? – zapytał.

Gilan odparł po namyśle:

– Jeśli jest rozsądny, również zatrzyma się na noc. Jazda cwałem w ciemnościach z pewnością nie jest bezpieczna. Koń może złamać nogę albo potknąć się i go zrzucić.

– A jeśli nie jest rozsądny? – zapytał Stig.

Gilan wzruszył ramionami.

– Dotrze na miejsce przed nami albo zabije się po drodze – odparł. – Zakładam, że raczej to drugie.

Hal podeszedł do pojazdu i zaczął wyjmować zapasy z pakunków, umieszczonych na trójkątnej platformie.

– Odpocznijmy i zjedzmy – powiedział. – Potem sprawdzimy, czy nic nie wymaga naprawy. I ruszamy dalej, będziemy jechać bez zatrzymywania się aż do zapadnięcia zmroku. Myślę, że zdołamy pokonać ponad połowę drogi do Masywu.

– I do Góry Skorpiona – dodał Gilan, odcinając kawałek zimnej koźliny.

Hal kiwnął głową.

– I do Góry Skorpiona – powtórzył.

Rozdział 38



Shurmel powiódł wzrokiem po brązowej rozpalonej ziemi, otaczającej Górę Skorpiona.

Komnata, w której przebywał, stanowiła część systemu setek grot i tuneli, przecinających wewnątrz góry, w których członkowie sekty Skorpiona, czciciele bogini Imriki, mieli swe mieszkania i świątynie. Znajdowała się w prywatnej części, przeznaczonej wyłącznie do użytku Shurmela, rozległej, złożonej z wielu pomieszczeń, co miało podkreślać status przywódcy sekty i Najwyższego Kapłana Imriki. Za okno służyła szeroka szczelina w skale. Dzięki niej Shurmel mógł obserwować wyjeżdżających i powracających podwładnych – a także wszystkich gości, przybywających do siedziby sekty.

Niecałe dziesięć minut wcześniej widział jeźdźca, który poganiał zmęczonego konia, kierując się do szerokiego wejścia u stop góry, prowadzącego do zespołu grot w jej wnętrzu. Shurmel spodziewał się tego człowieka w każdej chwili. Nie wiedział, jakie wieści ma mu on do przekazania, lecz widoczny pośpiech i zmęczony wierzchowiec kazały się domyślać, że jest to coś ważnego.

I rzeczywiście, po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Shurmel odwrócił się i zawołał:

– Wejść!

Jego głos był niski, brzmiał niemal tak, jakby dobywał się z grobu. I doskonale pasował do aparycji. Shurmel był ogromny: liczył ponad dwa metry wzrostu, ramiona miał szerokie, całą sylwetkę potężną, a skórę, w odróżnieniu od członków sekty, w większości śniadych, niemal białą. Głowę golił gładko i natłuszczał olejem, twarz zaś malował czarnym mazidłem o nazwie khol, często używanym przez tancerzy i artystów. Tyle że Shurmel nosił makijaż w stylu bynajmniej nie scenicznym. Za pomocą khola nadawał swej twarzy wygląd czaszki. Kręgi wokół oczu przypominały puste oczodoły, ciemne linie podkreślały kości i zapadnięte policzki.

Za strój służyła Shurmelowi długa luźna tunika, również czarna, ozdobiona wyszytym srebrną nicią skorpionem w pozie bojowej, z uniesionymi kleszczami i kolcem gotowym przebić przeciwnika.

W lewej dłoni Shurmel trzymał dwumetrową laskę z hebanu, zakończoną srebrnym okuciem i zwieńczoną czarną rzeźbą skorpiona, z oczami z rubinów.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł zdenerwowany postaniec. Był ubrany w białą tunikę, teraz brudną i zakurzoną, ciemnozieloną szatę wierzchnią oraz kheffiyeh w czarno-zieloną kratkę. Mężczyzna prędko zrzucił nakrycie głowy i podszedł do Shurmela, nerwowo mnąc je w rękach.

Shurmel, doskonale świadom jego napięcia, przedłużał ciszę nie do wytrzymania. Wbił w postać ciemnobrązowe spojrzenie. Rozpoznał w nim członka jednego z podległych mu plemion, zwanego Ishti, co dosłownie znaczyło „niewolnicy”, choć w rzeczywistości Ishti cieszyli się wolnością, a termin miał raczej służyć wyrażaniu pogardy niż oddawać prawdziwy stan rzeczy. Sekta Skorpiona już dawno temu podporządkowała sobie przywódców kilku lokalnych plemion i kazała im dostarczać żołnierzy i zwiadowców. Członkowie sekty,

wyszkoleni zabójcy, byli zbyt cenni, by marnować ich do tak niskich zajęć. Ishti mieli za zadanie obserwować okolice i ostrzegać sektę przed jakimkolwiek zagrożeniem, a w razie ataku stawić czoło napastnikom. Członkowie sekty mogli w tym czasie schronić się we wnętrzu góry, w jednej z wielu kryjówek podobnych do tej, w której obecnie przebywał Shurmel.

W końcu Shurmel uznał, że starczy wystawiania nerwów posłańca na szwank. Oczywiście, mężczyzna nie mógł przemówić pierwszy, musiał czekać, aż przywódca sekty przerwie milczenie.

– Masz dla mnie wieści – odezwał się niskim bezbarwnym głosem. To nie było pytanie, raczej stwierdzenie faktu. Skoro Ishti chciał się z nim widzieć, z pewnością miał mu coś do przekazania.

Posłaniec na chwilę przestał miąć w dłoniach kheffiyeh i wyjąkał:

– Panie, okręt...

Shurmel uniósł jedną brew i odwrócił się w stronę szczeliny.

– Tutaj? – spytał sarkastycznie. – Nadzwyczajne.

– Nie, nie – wyjaśnił pospiesznie Ishti. – Wybacz głupotę. Okręt znajduje się na wybrzeżu, koło starej siedziby najeźdźców.

„Ephesa”, pomyślał Shurmel. Lekko zmarszczył czoło, ale natychmiast zapanował nad mimiką. Nigdy nie pokazywał po sobie wątpliwości czy niepokoju. Niemniej bardzo go ciekawiło, co obcy okręt robi w Ephesie. Nie było tam nic interesującego. Wszystkie wartościowe przedmioty dawno temu padły łupem Tualegów czy innych nomadzkich plemion.

No, ale była tam oaza. Może chcieli uzupełnić zapasy wody? Całkiem prawdopodobne. Jednakże każde nietypowe wydarzenie, czy obecność obcych w okolicy Góry Skorpiona budziły czujność Shurmela.

– A co ten okręt robi? I skąd przyплыł?

Posłaniec wzruszył ramionami. Po jego twarzy przemknął cień strachu. Wyruszył w drogę niemal od razu, kiedy zobaczył obcy okręt. Nie zdążył zebrać żadnych informacji na jego temat.

– Załoga wysiadła na ląd, panie. Ale nie potrafię powiedzieć, skąd są. Okręt przypomina te, na których pływają bladzi ludzie z Północy. Zostawiłem tam dwóch towarzyszy, by mieli ich na oku, i natychmiast udałem się w drogę, chcąc czym prędzej poinformować cię o pojawieniu się obcego okrętu.

– Niestety, widzę, że nie masz do powiedzenia nic więcej – rzucił Shurmel cierpko. – Jakiej wielkości jest ten okręt?

Czasami skandyjskie okręty docierały tak daleko na wschód, niektóre nawet dalej. Jeżeli to był wilczy okręt, nie należało tego lekceważyć. Bładzi mieszkańcy Północy byli dzicy i waleczni – chociaż raczej nie zapuszczali się tak daleko w głąb lądu.

Posłaniec obliznął wargi. Nie wiedział, jak ocenić rozmiary okrętu. W końcu wybrnął z sytuacji, mówiąc:

– Załoga liczy około dwunastu osób.

Shurmel przez chwilę chodził w tę i z powrotem, zamyślony. Przeciętny wilczy okręt mieścił czterdziestu- pięćdziesięciu ludzi. Najwidoczniej ten nie należał do kategorii okrętów, używanych podczas wypraw łupieżczych. Ale Shurmel tak czy inaczej nie lubił obcych na swoim terytorium.

– A więc mniejszy – powiedział do siebie, a Ishti zapewnił:

– Tak, panie. To mały okręt.

Shurmel popatrzył na niego z pogardą.

– Nie musisz za mną powtarzać.

Ishti skłonił się i odparł:

– Wybacz, panie. Ja tylko... – Już miał wygłosić mowę z przeprosinami, ale miazdzące spojrzenie Shurmela uświadomiło mu, że nie toleruje on bezcelowej paplaniny. Zamilkł. W końcu Shurmel odwrócił wzrok. Znowu popadł w zamyślenie, w końcu po kilku minutach zawołał do stojącego za drzwiami strażnika:

– Fattah!

Drzwi się otworzyły.

– Tak, panie?

– Zawiadam dowódcę straży, że koło starego miasta pojawił się obcy okręt. Niech weźmie... – urwał, znowu się zamyślił. Posłaniec ocenił liczbę członków załogi na około dwunastu. – ...oddział pięćdziesięciu ludzi i zniszczy okręt.

– A co z załogą, panie?

– Załogę też. – Shurmel nie wiedział, jakie plany mają obcy. Jeżeli rzeczywiście przybili do brzegu tylko w celu uzupełnienia zapasów wody, to w chwili, kiedy jego ludzie dotrą na miejsce, już ich tam nie będzie. A jeśli jednak będą, znaczy to, że bez wątplenia mają złe zamiary i należy ich zlikwidować.

– Jak każesz, panie.

Strażnik zasalutował i wyszedł.

Shurmel przez chwilę milczał, wreszcie odwrócił się i spojrział na biednego posłańca, który nadal obracał w palcach kheffiyeh.

– A ty ciągle tu jesteś.

Mężczyzna kilka razy skinął głową.

– Tak, panie.

Shurmel znowu uniósł brwi z wyrazem zaskoczenia i wzgardy.

– Dlaczego?

Ishti z trudem przełknął ślinę i zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

– Wybacz, panie. Już idę. Niech Imrika ma cię w opiece.

Shurmel machnięciem ręki wygonił mężczyznę z pokoju.

– Na pewno ma – powiedział.

Potem znowu podszedł do okna i skierował wzrok na północ, jakby mógł zobaczyć tam obcy okręt. Drzwi cicho zamknęły się za jego plecami.



Zafir al Aban obudził się, kiedy słońce stało wysoko na niebie i pierwsze promienie padły na jego twarz. Odwrócił się, próbując uciec od żaru i ostrego blasku.

Leżał na plecach, na twardej ziemi. Wszystko go bolało, a czaszka dosłownie pękała. Szczególnie dokuczał mu jeden punkt z tyłu głowy. Próbował wstać, ale nie zdołał, wysiłek wywołał jeszcze większe cierpienia. Ostrożnie, powoli przekręcił się na bok, potem na brzuch, podciągnął kolana. Wstał, cały się trzęsąc, zatoczył się i powiódł dokoła zaczerwienionymi oczami, próbując odtworzyć w pamięci wydarzenia minionej nocy.

Kilka metrów dalej leżał jego koń, masa mięsa, niedająca żadnych oznak życia. Padlinożerne ptaki już skakały dokoła, a jeden, bardziej beczelny, siedział na ciele konia i właśnie odrywał pas mięsa. Zafir rzucił się w jego stronę, machając ręką. Poczł, że kolana ma bolesne i zeszywniałe, a mięsień w udzie zerwany.

Zatrzymał się, otarł pokrytą lepkiem potem twarz. Ciągle próbował sobie przypomnieć, co się stało.

Niedaleko starego miasta widział obcy okręt. Tyle wiedział na pewno. Wybrał się tam z dwoma towarzyszami. Zastanawiali się, co robić. W końcu zdecydowali, że jeden z nich pojedzie do siedziby Shurmela, dwaj zaś zostaną na miejscu i będą obserwować nowo przybyłych.

Wreszcie sobie przypomniał. Trzej obcy odjechali w jakimś dziwnym pojeździe – trójkołowej konstrukcji wyposażonej w żagiel, która poruszała się z szybkością cwałującego rumaka. Kierowali się na południowy wschód, w stronę Masywu Amrashin. Wszystko wskazywało na to, że szukają Góry Skorpiona. Zafir ruszył za nimi, w nadziei, że przegoni ich i zdąży ostrzec Shurmela. Kiedy zapadła noc, nieznacznie ich wyprzedzał. Postanowił

jechać dalej i tym samym wydał na siebie wyrok.

Nie zauważył wyrwy w ziemi – zapewne wejścia do nory jakiegoś zwierzęcia – koń zaczepił o nią kopytem i przewrócił się, wyrzucając go z siodła. Zafir pamiętał jeszcze trzask pękającej końskiej kości, a potem uderzył w twardą skalistą ziemię i zapadła ciemność.

Koń nie przeżył wypadku, Zafir owszem – tylko dzięki temu, że spadł szczęśliwie i nie dostał się pod końskie ciało. Spojrzał w rozpalone błękitne niebo. Krążyło po nim coraz więcej ptaków, pragnących zanurzyć dzioby w świeżym mięsie leżącym pośrodku pustyni.

Zafir dokuśtykał do konia. Na szczęście menażka z wodą wisiała po tej stronie, która nie dotykała ziemi. Podobnie jak sztylet. Odwiązał obie te rzeczy, menażkę zarzucił na ramię i zamyślił się.

Początkowo planował ostrzec Shurmela, że przybyli trzej obcy w dziwnym pojeździe. Ale bez konia nie zdążyłby dotrzeć na miejsce przed nimi. Jedynie potwierdziłby złe wieści – niezbyt rozsądne posunięcie, jeśli miało się do czynienia z kimś takim jak Shurmel.

W końcu podjął decyzję. Jakies dwadzieścia kilometrów dalej na zachód zatrzymało się niewielkie plemię nomadów. Postanowił, że tam poprosi o gościnę.

Wszystko, byle tylko uniknąć zemsty Najwyższego Kapłana Imriki.

Rozdział 39



Hal ustawił żagłowiec pod wiatr i poluźnił szot.

Siła wiatru osłabła, żagiel załopotał i pojazd zwolnił, a w końcu się zatrzymał. Przez kilka sekund trzej przyjaciele siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w ogromną górę o potrójnym szczycie.

Była częścią długiego łańcucha, rozciągającego się na horyzoncie, leżała jednak osobno, nieco oddalona od głównego masywu.

– To musi być tutaj – powiedział w końcu Gilan.

– Bez wątpienia wygląda jak skorpion. – Mrużąc oczy, Hal przyglądał się trzem szczytom.

Środkowy górował nad pozostałymi, mniej więcej równej wysokości. Wszystkie trzy kończyły się spiczastymi czubkami. Przy odrobinie dobrej woli dało się dojrzeć w kształcie góry zarys sylwetki skorpiona. Dwa boczne wierzchołki tworzyły uniesione kleszcze, a środkowy – odwłok z wysoko sterczącym kolcem. Wrażenie podkreślała głęboka czerń skały. Panowała tu złowieszcza atmosfera. Hal potrząsnął głową. „Zasugerowałem się nazwą”, pomyślał. „Gdyby nazwa brzmiała Góra Motylka, na pewno zupełnie inaczej bym ją odbierał”.

Jego rozum zgadzał się z tymi słowami. Ale serce i wyobraźnia twierdziły co innego.

Stig, najwyraźniej skłonny raczej przyznać rację tym ostatnim, powiedział:

– Nie podoba mi się to miejsce. Wydaje się złe i odstręczające. Załatwmy sprawę jak najszybciej i wynośmy się stąd.

Hal zerknął na niego z ukosa.

– Złe?

Stig energicznie pokiwał głową. Wargi zacisnął w wąską kreskę.

– Niektóre miejsca mają złą aurę i tyle.

– To tylko kupa kamieni – powiedział Hal, próbując przekonać również samego siebie. Ku jego zdumieniu Gilan poparł Stiga.

– Nie chodzi o miejsce samo w sobie – wtrącił. – Tylko to, co się tu odbywa. Takie organizacje jak Sekta Skorpiona tworzą złą atmosferę. A wygląd góry, rzecz jasna, bynajmniej nie łagodzi tego wrażenia.

Hal brzegiem kheffiyeh otarł twarz z pyłu. Potem znowu zasłonił ją zawojem i chwycił szot i lejce.

– Lepiej tak nie siedźmy, bo jeszcze się rozmyślimy – powiedział. – Jedźmy spotkać się z tym całym Shurmelem.

Stig stanął obok pojazdu, po tej stronie, gdzie zawsze siedział, i popchnął, jednocześnie skręcając nim w odpowiednią stronę, aż wiatr wydmął żagiel. Hal wybrał szot, a Stig, już oswojony z ruchami pojazdu, lekko wskoczył na siedzenie. Żagłowiec nabierał coraz większej szybkości. Z tyłu znowu uniósł się tak dobrze im znany pióropusz brązowego pyłu. Hal skierował pojazd na czarną górę, dżgającą niebo potrójnym szczytem.

W ścianie widniały liczne wejścia, było ich z pewnością ponad dziesięć. U podnóża, w środkowej części, rozciągał się plac, prawdopodobnie przeznaczony do ćwiczeń wojskowych, otoczony chatami i namiotami. Kiedy strażnicy dostrzegli obcych, z namiotów wybiegli ludzie. Po chwili kolejna grupa wynurzyła się z największego otworu w skalnej ścianie.

Hal poluzował szot, stopniowo zmniejszając prędkość. Na oko policzył, że na placu zebrało się około trzydziestu ludzi. Większość miała na sobie tradycyjne tuniki i zawoje typowe dla ludów pustyni, kilku jednak nosiło tuniki krwistoczerwone, a głowy miało odstonięte.

Kiedy podjechali bliżej, Hal puścił szot i pozwolił, by pojazd się zatrzymał.

Na parę chwil wszystko jakby zastygło w bezruchu. Nomadzi z otwartymi ustami wpatrywali się w przedziwny pojazd, który nagle nadszedł od zachodu – bo taki kierunek obrał żagłowiec na ostatnim etapie podróży.

Ci w czerwonych szatach spoglądali wrogo i podejrzliwie. Hal zauważył, że ich głowy są gładko wygolone, a na czerwonej tkaninie widnieje czarny znak – skorpion w jakże dobrze mu już znanej bojowej pozie.

Jeden z ludzi wystąpił do przodu i zatrzymał się w odległości jakichś dziesięciu metrów.

Powiedział coś w obcym języku, zwracając się do Hala. Głos miał chrapliwy i nieprzyjazny. Hal bezradnie rozłożył ręce.

Skorpion znowu się odezwał, tym razem we wspólnym języku, ale z wyraźnym akcentem.

– Kim jesteście? Po co przyjechaliście?

Hal wskazał na Gilana, dając znak, że to on będzie przemawiał w ich imieniu. Zwiadowca sztywno zszedł z siedzenia i uniósł rękę na powitanie.

– Salom – powiedział uprzejmie. Słowo to oznaczało „pokój” w języku arydzkim i tradycyjnie służyło za pozdrowienie.

Ale Skorpion gniewnie machnął ręką.

– Bez zbędnych ceregieli. Kim jesteście? Co tu robicie? Obcy nie są tutaj mile widziani!

Gilan pytająco uniósł brew.

– Nawet tacy, którzy chcą pomówić z Shurmelem na temat tolfah? – powiedział miękkiem głosem.

Skorpion zawahał się. Popatrzył na towarzyszy, niepewny, jak ma postąpić. Ten obcy znał imię ich przywódcy. I wiedział, co to jest tolfah. Strażnik zdawał sobie sprawę, że jeśli odeśle tych ludzi – bądź ich zabije – Shurmel może wcale nie być zachwycony. Takie zachowanie mógłby nawet uznać za bluźnierstwo względem bogini Imriki.

Twarze kilku innych Skorpionów także zdradzały niepewność. Ishti oczywiście nie mieli zdania w tej kwestii. I nadal gapili się na pojazd z otwartymi ustami.

Wahanie strażników miało jeszcze jedną przyczynę. W kulcie, wyznawanym przez Sektę Skorpiona liczba trzy grała bardzo znaczącą rolę, była niemal święta. Choćby symbol ich bogini wiązał się z tą liczbą – kleszcze i odwłok tworzyły trójkę. I ci obcy, w liczbie trzech, którzy zjawili się tak nagle i niespodziewanie, przybyli od strony pustyni na pojeździe zaopatrzonym w trzy koła.

Członkowie grupy jeszcze nie wiedzieli o obcym okręcie, cumującym opodal Ephesy. Tę informację znał tylko Shurmel. Oni wiedzieli tylko tyle, że ci trzej – bez wątpienia obcokrajowcy – zjawili się tu nagle, niemal jakby spadli z nieba, na przedziwnej maszynie, poruszającej się bez pomocy koni, wielbłądów czy innych zwierząt pociągowych.

Żaden z członków sekty nie zamierzał robić sobie wrogów z tych ludzi i narażać się na niebezpieczeństwo.

No i była jeszcze kwestia tolfah. Bogini Imrika kochała tolfah. Tolfah były wodą i pokarmem dla jej nienasyconej duszy. Tolfah oznaczały krew i śmierć. Imrika mogłaby się rozgniewać, gdyby ktoś zranił bądź odesłał z kwitkiem ludzi, gotowych zapłacić za świętą umowę. A nikt rozsądny nie chciał narażać się na jej gniew.

Nie mówiąc o tym, że system, oparty na tych umowach, w gruncie rzeczy tworzył podstawę istnienia Sekty

Skorpion. Członkowie sekty byli wyszkolonymi zabójcami, ich praca polegała na wykonywaniu wyroków. Tolfah wyznaczała sens i cel ich działania.

Oczywiście, z chwilą, kiedy umowa została zawarta, mogli bezkarnie pozbyć się obcych. Umowa dotyczyła Shurmela i bogini, ludzie, którzy ją zainicjowali, nie liczyli się w najmniejszym stopniu.

– Niech Shurmel rozsądzi – powiedział cicho jeden ze Skorpionów.

Ten, który wcześniej z nimi rozmawiał, podjął decyzję.

– Możecie wejść – oznajmił, wskazując wielką szczelinę w skale za swoimi plecami.

Hal i Stig zwinęli żagiel. Potem Hal zdjął z platformy bukłak z wodą i torbę z jedzeniem. Skorpion zmarszczył brwi. Hal wyjaśnił:

– Zabieramy własne zapasy. Nie chcielibyśmy nadużywać waszej gościnności.

Zastanawiał go fakt, że strażnicy nie próbują odebrać im broni. Ale w końcu mieli nad nimi znaczną przewagę liczebną.

– Chodźcie za mną – powiedział mężczyzna, kierując się do wejścia u stóp góry.

W środku panował chłód, ostro kontrastujący z pustynnym żarem na zewnątrz. Powietrze chłodził przyjemny powiew z wnętrza labiryntu korytarzy i komnat, które drążono w skale przez wiele stuleci.

Mężczyzna zaprowadził ich do komnaty znajdującej się na poziomie wejścia. Duże pomieszczenie rozświetlały lampy olejowe, umieszczone w uchwytach przymocowanych do surowej skalnej ściany. Po jednej stronie stał stół, dookoła niego leżało kilka brudnych wystrzępionych poduszek. Poza tym w pomieszczeniu nie było żadnych mebli. Nie było też okna ani żadnego innego otworu, nie licząc drzwi, przez które weszli.

– Dobrze, że zabraliśmy przekąski – powiedział wesoło Stig.

Skorpion rzucił mu groźne spojrzenie. Poczucie humoru chyba nie miało wstępu do tego miejsca.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział. – Zostaniecie wezwani, kiedy bracia się zbiorą.

– Dziękujemy – odparł Gilan.

Skorpion mruknął coś i wyszedł. Usłyszeli grzechot zasuwanego od zewnątrz rygla.

– No to jesteśmy na miejscu – rzucił Hal.

– I chyba tu zostaniemy, przynajmniej do czasu, aż „bracia się zbiorą” – zauważył Stig, całkiem niezłe imitując groźny beznamiętny ton strażnika. – Ciekawe, co to ma znaczyć.

Gilan przysunął stopą poduszkę do ściany i usiadł, opierając się plecami o skałę.

– Wygląda na to, że musimy przedstawić naszą prośbę całemu zgromadzeniu. Jedyne jasne strona tego wszystkiego jest taka, że na razie nie grozi mi utrata zębów na tej twojej maszynie – zwrócił się do Hala.

Hal odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Widzę, że mój wynalazek zrobił na tobie wrażenie.

– Szczególnie na moim zadku – odparł Gilan, sadowiąc się wygodniej.

– To co teraz? – spytał Stig.

Chodził dookoła, dokładnie oglądając pomieszczenie. Ale nie miał zbyt wiele do roboty. Wykuto je w skale, gdzieś tam dało się jeszcze dostrzec ślady dłut i kilofów. Nie licząc kilku olejowych lamp, nie było tam nic, na czym dałoby się zatrzymać wzrok.

– Czekamy – odparł Gilan. – Rozgość się. – Wskazał na jedną z poduszek. Stig, idąc jego śladem, przysunął poduszkę do ściany, a drugą podłożył sobie pod plecy. Wyciągnął nogi i nieco je rozsunął, przez chwilę przyglądał się swoim butom. Po kilku minutach zmienił pozycję.

– Czas uświadomić tym ludziom, że istnieje coś takiego jak krzesła – stwierdził.

Rozdział 40



Thorn przechadzał się wzdłuż półokrągłej barykady z krzaków. Dotarłszy do zachodniego krańca, gdzie kończyła się na linii wody, zmarszczył brwi. Wybrał miejsce na obóz bardzo starannie. Brzeg opadał tu stromo do morza. Mimo to czuł, że coś jest nie tak.

– Jesper! – krzyknął. Eks-złodziej, który leżał sobie na płaskiej skale, wygrzewając się w porannym słońcu, westchnął głęboko.

– Już idę! – zawołał i dodał pod nosem: – Dlaczego zawsze ja?

– Bo ty najbardziej mnie denerwujesz – odparł Thorn. Potem wskazał miejsce, które przed chwilą oglądał. – Chcę, żebyś wydłużył barykadę, tak by jej kraniec znalazł się pod wodą. Wróg może bez trudu ją okrążyć i zaatakować obóz od strony morza.

Jesper zmarszczył brwi.

– Odpuć – powiedział, zawsze gotów wynaleźć jakiś powód, by wymigać się od pracy.

Thorn popatrzył na niego cierpliwie.

– Właśnie dlatego obciążysz ją kamieniami.

Jesper zrobił zabolatą minę.

– Chcesz powiedzieć, że mam naciąć więcej krzaków, przywlec je tutaj, a potem jeszcze nanieść kamieni? – spytał skrzywdzonym głosem. – To zajmie z godzinę.

– Dwie – poprawił radośnie Thorn. – Bo musisz zrobić to samo także po drugiej stronie.

Jesper opuścił ramiona.

– Czemu zawsze ja muszę wykonywać takie prace?

– Masz rację. Stefan! – zawołał Thorn. Stefan przyglądał im się z bardzo zadowoloną miną. – Możesz mi pomóc.

Zadowolona mina znikła.

– Ja? Dlaczego ja?

– Hm – odparł Thorn z fałszywym uśmiechem – jesteś bardzo utalentowanym parodystą. Potrafisz naśladować Stiga, Hala, mnie, Gilana. Gdzie jest wiele rąk do pomocy, robota idzie jak z płatka. Zobaczymy, czy to samo dotyczy wielu głosów.

– Wątpię – odparł cierpko Stefan.

– Ja też – zgodził się Thorn. Potem wyciągnął rękę w stronę morza. – Zbudujcie barykadę aż do miejsca, gdzie woda sięgnie wam piersi.

– Naprawdę myślisz, że to powstrzyma atak? – zapytała Lydia. Lubiała przyglądać się przygotowaniom Thorna do walki. Nadarzyła się kolejna okazja, by nauczyć się czegoś o strategii obronnej.

Thorn potrząsnął głową.

– Powstrzyma początkowy atak.

Uśmiechnęła się.

– Zakładając, że w ogóle ktoś nas zaatakuje.

– Zawsze należy tak zakładać – odparł. Lydia kiwnęła głową. Rzeczywiście, na obcym terytorium najrozsądniej przygotować się na najgorsze. – Przypuszczam, że po próbie ataku od strony lądu wpadną na pomysł, żeby okrążyć barykadę i zająć nas od tyłu. Będą dla ciebie łatwym celem. Bez trudu przerzedzisz ich szeregi.

Spojrzała z namysłem na kraniec barykady, którą mieli wydłużyć Jesper i Stefan. W wyobraźni już widziała, jak grupa nomadów, brodzących w wodzie, w długich krępujących ruchy tunikach, zaplątuje się w kolczaste krzaki i gałęzie skryte pod powierzchnią.

– Rzeczywiście, łatwy cel – zgodziła się. Popatrzyła z podziwem na Thorną. Potrafił przewidzieć, co może wydarzyć się podczas bitwy. Domyślała się, że wynika to z długoletniego doświadczenia. Mieli szczęście, że był ich dowódcą. – Zawsze myślisz krok do przodu, prawda?

Thorn odpowiedział uśmiechem. Minę miał przyjazną, nie złośliwą, jak zawsze, kiedy się z nią drażnił.

– Próbuje. Sama powinnaś rozwijać tę umiejętność. Sądzę, że nadajesz się na dowódcę. Tylko pamiętaj – dodał z krzywym uśmiechem – wróg często zmienia taktykę w czasie bitwy, a to nieco komplikuje sprawę.

Lydia zamilkła, trochę zdumiona stwierdzeniem, że nadaje się na dowódcę. Thorn zawsze ją zaskakiwał. Przeważnie drażnił się z nią i robił sobie żarty, a czasem potrafił wyskoczyć z takim komplementem jak teraz. Przypomniała sobie, jak Hal mówił, że Thorn szanuje i podziwia jej umiejętności. A drażni się z każdym, kogo lubi – w gruncie rzeczy to dowód jego sympatii. Tyle że Lydia zawsze ostro reagowała na jego zaczepki, nie potrafiła utrzymać nerwów na wodzy.

Następnie Thorn zwrócił się do Edvina:

– Weź Wulfa i podpłyńcie „Czapłą” bliżej do brzegu. – Potem znowu spojrzał na Lydię, która nadal patrzyła na niego ze skonsternowaną miną. – Barykada zadziała tylko raz – wyjaśnił. – Możliwe, że będziemy musieli wycofać się na pokład łodzi.

Lydia powiodła wzrokiem dokoła. Jesper i Stefan już wycinali gałęzie w rosnącej opodal dużej kępie krzaków. Ingvar znosił na brzeg kamienie, które miały posłużyć do obciążenia podwodnej części barykady. Nikt go o to nie prosił. Typowe, pomyślała Lydia. Zawsze gotów pospieszyć innym z pomocą. Edvin spuszczał skif na wodę i szykował linę, by sprowadzić do brzegu „Czapłę” kotwiczącą jakieś trzydzieści metrów dalej. Wszyscy mieli jakieś zadanie do wykonania. Prócz niej.

– A ja co mam robić? – spytała Thorną.

Powiódł wzrokiem dokoła, zatrzymał spojrzenie na dalekiej oazie i zabudowaniach Ephesy.

– Stań na straży – powiedział. – Jesteśmy tu od kilku dni. Wystarczająco długo, by ktoś zdążył zorganizować atak.

Kiwnęła głową. Zarzuciła na ramię atlatl i kołczan ze strzałkami i ruszyła w stronę barykady.

Kluf, która drzemała zwinięta w słońcu, słysząc kroki, natychmiast się zerwała i dołączyła do Lydii.

Lydia przekroczyła bramę i usiadła na głazie, z którego miała dobry widok na okolicę. Popatrzyła na barykadę, którą wzmacniały zastrzone łodygi bambusa, mniej więcej co metr wetknięte pod kątem w ziemię. Potem zaczęła przesuwać wzrokiem z lewej strony na prawą i z powrotem, uważnie przypatrując się zabudowaniom Ephesy i gęstym kępom drzew w oazie.

W przypadku większości osób taka monotonna powtarzająca się czynność szybko spowodowałaby utratę czujności. Ale Lydia była doświadczoną łowczynią, nieraz nawet godzinami wypatrywała płochliwej zwierzyny. Za plecami słyszała stłumione głosy pracujących członków załogi. Kluf siedziała obok na kamieniu. Jej łeb znajdował się niemal na tej samej wysokości, co głowa Lydii.

Lydia położyła rękę na szyi Kluf i podrapała ją za uszami. Kluf z rozkoszą przekrzywiła łeb, a potem polizała rękę Lydii.

– Przestań – powiedziała Lydia łagodnie i wytarła rękę w kaftan. Kluf wyjechała łapami do przodu i rozpląszczyła się na kamieniu z pełnym zadowolenia „łuf”.

– Tylko nie zamykaj oczu – powiedziała Lydia. Kluf postawiła uszy. Lydia pomyślała, że to fascynujące. Zwykle Kluf korzystała z każdej okazji do drzemki, ale teraz bacznie obserwowała okolicę, jej łeb obracał się powoli, uniesiony nos węszył w powietrzu.

„Chyba bierze przykład ze mnie”, pomyślała Lydia. Kluf najwyraźniej wyczuła napięcie i skupienie Lydii i naśladowała jej zachowanie.

– Jeśli ktoś się pojawi, pewnie wywąchasz go szybciej, niż ja go zauważę – dodała. Kluf wciąż bacznie obserwowała okolicę, czujnie poruszając nosem.

Lydia odwróciła się, by sprawdzić, jak idzie praca w obozie. Wulf stał w wodzie po kolana, ciągnąc linę, którą Edvin wcześniej przyczepił do łodzi. Teraz Edvin rozwijał cumę rufową, przywiązaną drugim końcem do boi, oznaczającej punkt, w którym zarzucili kotwicę.

„Czapla” była już tylko kilka metrów od brzegu, tuż za miejscem, gdzie dno gwałtownie opadało.

– Starczy! – zawołał Thorn. Lydia zauważyła, że pomaga Ingvarowi nosić kamienie. Widocznie zlitował się nad Stefanem i Jesperem.

Stefan uważnie oglądał grubą barykadę z gałęzi, ciągnącą się jakieś cztery-pięć metrów pod wodą. Pomyślał, że z pewnością stanowi ona skuteczną przeszkodę. Nagle uderzyła go pewna myśl. Podniósł głowę i zwrócił się do Thorn, układającego kolejny kamień.

– A co będzie w czasie odpływu? – Pomyślał, że kiedy morze się cofnie, pas plaży znowu się poszerzy i cały ich wysiłek na nic. Stary wilk morski przerwał pracę.

– A wiesz, czemu nazywają to morze Spokojnym? – zapytał. Stefan nie wiedział. Thorn wskazał kciukiem Wulfa. – Ty mu powiedz.

Wulf wzruszył ramionami.

Thorn wzniosł oczy do nieba.

– Czego oni was uczyli na treningu drużyn? – zapytał z niesmakiem.

Stefan uznał, że najlepiej potraktować to pytanie jako retoryczne. Nie potrafił wymyślić odpowiedzi, która nie zachęcałaby do dalszych sarkastycznych uwag.

Thorn stwierdził, że jego fortel się nie powiódł, i zrobił rozczarowaną minę. Wziął głęboki wdech i powiedział, bardzo dobitnie akcentując każde słowo:

– Nazywa się Spokojne, ponieważ niemal się nie zmienia. Prawie wcale nie ma pływów.

Stefan ze zdumieniem uniosł brwi.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Stefan, z głową przekrzywioną na bok, trawił interesującą informację.

– A dlaczego? – zapytał.

Thorn zawahał się. Uwielbiał czynić chłopakom zjadliwe uwagi na temat ich niewiedzy, ale tym razem to on nie potrafił odpowiedzieć na pytanie jednego z nich.

– Uważasz, że muszę wam wszystko tłumaczyć? – spytał. Stefan zrobił przebiegłą minę.

– A, nie wiesz?

Thorn prychnął.

– Oczywiście, że wiem. Ale nie moim zadaniem jest uzupełnianie waszego wykształcenia. Bardzo skromnego zresztą. – Wskazał na drugi kraniec barykady. – Zabierajcie się do roboty. – Słyszycząc znaczący chichot Stefana, zapisał sobie w pamięci, by skrytykować jego pracę na wschodnim końcu barykady i zorganizować mu zajęcia

dodatkowe.

Stefan zawołał Jespera, niechętnie wyszedł na brzeg, ociekając wodą, i ruszył w stronę stosu krzaków, czekającego na odległym krańcu obozu. Ingvar już znosił kamienie na brzeg.

Pracowali przez kolejną godzinę. Thorn jednak nie spełnił przyobiecanej zemsty. Chłopcy przykładali się do pracy, nawet jeśli bez większego entuzjazmu. Mało tego, Thorn, odczekawszy stosowną chwilę, włączył się do pomocy.

Lydia uśmiechnęła się na ten widok.

– Tak naprawdę wcale nie jesteś taki groźny, za jakiego próbujesz uchodzić – powiedziała pod nosem. Kluf warknęła, wyrażając w ten sposób swe poparcie. A przynajmniej tak wydawało się Lydii. Pogłaskała gęstą sierść na jej karku. Ale z głębi potężnej piersi Kluf dobyło się kolejne warknięcie. Lydia pobiegła wzrokiem za wzrokiem Kluf, która wysunęła łeb do przodu w kierunku oazy. Lydia dostrzegła ruch między drzewami – w ich stronę zmierzał oddział jeźdźców.

– Thorn! – krzyknęła. – Chyba jadą goście, na których tak czekałeś.



Rozdział 41



Hal nie miał pojęcia, jak długo już siedzą we wnętrzu góry. Do pomieszczenia nie docierało światło dnia, więc nie miał jak obliczyć upływu czasu. Początkowo próbował się rozluźnić, idąc za przykładem Stiga i Gilana, lecz za bardzo się niecierpliwił. Zerwał się z miejsca i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Stig za to zdawał się zupełnie nie przejmować przedłużającym się czekaniem. Jak na prawdziwego żeglarza przystało, korzystał z każdej okazji do drzemki i potrafił zasnąć w każdym miejscu i o każdej porze.

Stig uznał, że Shurmel wcześniej czy później po nich przyśle, i nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Lepiej sobie chwilę pospać. Albo i dwie.

Gilan również przyjął przedłużające się czekanie z filozoficznym spokojem. Siedział oparty plecami o ścianę, z pochyloną głową. Oczy miał zamknięte, ale Hal przypuszczał, że wcale nie śpi. Jego domysły się potwierdziły, kiedy zagrzechotał rygiel. Zwiadowca momentalnie otworzył oczy i czujnie uniósł głowę.

Do środka wszedł mężczyzna, który wcześniej przyprowadził ich do tego pomieszczenia. Rozejrzał się, zatrzymał pogardliwe spojrzenie na ich trójce. Stig, którego zbudził grzechot rygla i skrzypienie zawiasów, ziewnął na powitanie.

Gilan podniósł się z wdziękiem, nie podpierając się przy tym rękami. Stig również wstał, zdecydowanie nie tak wdzięcznie. Przeczesał dłonią włosy i głośno westchnął. Hal, rzecz jasna, nie wstawał, bo już stał.

– A więc – zaczął Stig wesołym tonem – domyślamy się, że Wielka Szycha chce się z nami widzieć?

Mężczyzna spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc. Stig postanowił mu wytłumaczyć.

– Super Skorpion. Szczwany Szalbierz. Szachraj.

Mężczyzna rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Bracia czekają – powiedział. – Shurmel wysłucha teraz waszej prośby.

– No właśnie to miałem na myśli – odparł Stig z szerokim uśmiechem.

Skorpion zignorował go i zwrócił się do Gilana:

– Rozmowy na temat tolfah zawsze odbywają się w obecności całego zgromadzenia.

Gilan wzruszył ramionami.

– Brzmi rozsądnie – stwierdził i dał mężczyźnie znak, by prowadził.

Ruszyli niskim korytarzem, którym szli już wcześniej. Kiedy znaleźli się koło wejścia, Hal wyjrzał na zewnątrz. Sądząc po długości cieni, było wczesne popołudnie. A więc czekali co najmniej trzy godziny. Zastanawiał się, czy naprawdę aż tyle czasu potrzebowali bracia, żeby się zebrać, czy też jest to strategia, stosowana wobec wszystkich obcych, którzy chcą spotkać się z Shurmelem. Był niemal pewien, że to drugie.

Skęcili w kolejny korytarz. Rozmieszczone co dziesięć metrów latarnie rzucały migotliwe światło na kamienne ściany. Hal raz po raz potykał się na nierównym szorstkim podłożu. Zresztą nie tylko on.

– Przydałoby się trochę więcej światła – burknął Stig. Ale nikt mu nie odpowiedział.

Nagle przewodnik skręcił w prawo i znaleźli się na krętej rampie, prowadzącej w dół, prosto do serca góry. Minęli dwa poziomy, na trzecim przewodnik zagłębił się w jeden z korytarzy.

Ale teraz prócz stłumionego dźwięku własnych kroków słyszeli inny dźwięk – dochodzący z oddali pomruk ludzkich głosów. Dźwięk odbijał się echem od ścian wąskiego krętego przejścia, coraz bardziej przybierając na sile.

W końcu pokonali ostatni zakręt i znaleźli się w wielkiej wysokiej grocie, rozświetlonej umieszczonymi na ścianach pochodniami. Kiedy weszli, gwar głosów podniósł się, a następnie ucichł. Kilkadziesiąt par oczu zwróciło się w ich stronę. Bracia siedzieli na dywanikach rozłożonych na kamiennej podłodze. Było ich około pięćdziesięciu. Wszyscy nosili takie same szkarłatne tuniki, wszyscy mieli wygolone czaszki i oczy podkreślone kohlem, który nadawał im złowieszczy wygląd.

– Widzę, że nałożyli makijaż specjalnie na naszą cześć – mruknął Stig.

Hal rzucił mu wściekłe spojrzenie. To nie był odpowiedni moment do żartów. Ich życie wisiało na włosku.

– Zamknij się – powiedział cicho.

Stig wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz. Próbuje tylko rozluźnić atmosferę.

– Przyznaję, nieco luzu by nie zaszkodziło – wtrącił Gilan. – Ale może, jak proponuje Hal, lepiej zachowajmy ostrożność, póki nie dowiemy się, co dla nas szykują.

Stig kiwnął głową. Dotknął tkwiącego za pasem topora. Nadal nikt nie próbował odebrać im broni. Może takie zachowanie obowiązywało wobec ludzi, pragnących zawrzeć umowę z Imriką. W końcu mogliby uznać odebranie broni za prowokację. Poza tym było mało prawdopodobne, żeby petenci chcieli zaatakować członków sekty. Przyjeżdżali tu przecież w określonym celu.

Kiedy weszli, pomruk głosów ucichł, ale po chwili, gdy ruszyli za przewodnikiem w głąb groty, znowu rozbrzmiał.

Na drewnianym podium stało gigantyczne dębowe krzesło. Z tyłu wisiały czarne kotary, oddzielające część pomieszczenia. Krzesło miało prosty kształt, ale wieńczyła je wszechobecna figura skorpionia wyrzeźbiona w hebanie, z oczami z czerwonych kamieni. Wznosiła się ponad oparciem krzesła na wysokość niemal metra. W migotliwym blasku pochodni zdawała się ruszać, złowieszcza i groźna.

– Stańcie tutaj – powiedział przewodnik, wskazując miejsce naprzeciw krzesła. Posłusznie podeszli bliżej. Stig i Hal rozglądali się dokoła, ciekawi, co teraz będzie. Gilan robił wrażenie całkowicie nieporuszonego.

– Kormella! – zaintonował przewodnik. Rozległ się szelest tunik i szuranie stóp. Hal obejrzał się przez ramię. Członkowie sekty klęczeli na swoich dywanikach, zwrócenie w stronę krzesła ze skorpionem.

– Imella – powiedział przewodnik i wszyscy jak jeden mąż dotknęli czołami podłogi. Przewodnik rzucił obcym przybyszom zniecierpliwione spojrzenie.

– Uklęknijcie – wysyczał. A kiedy spełnili polecenie, dodał: – Pokłon.

Skandianie zawahali się. Bicie pokłonów – komukolwiek – zdecydowanie nie leżało w ich naturze. Ale Gilan mruknął: – Zróbcie to.

Posłusznie skłonili głowy, lekko pochylając górną część ciała. Jakby się zmówili. Żaden nie zamierzał padać plackiem na ziemię. Przewodnik spojrzał na nich groźnie, ale chyba uznał, że na więcej nie ma co liczyć.

Poza tym pamiętał, że nie może użyć siły wobec osób, które przybyły z prośbą do Imriki. Nigdy nie wiadomo, jakby na to zareagowała, szczególnie, jeśli w grę wchodziła duża suma pieniędzy.

Stig, Hal i Gilan na razie nie podnosili głów. Bracia zaczęli nucić zawodzącą pieśń. Chyba nie miała żadnego konkretnego tekstu, składała się z nieustannie powtarzanego dźwięku „aaaaaaahhhhh”.

Hal zwrócił też uwagę na słodką, nieco mdlącą woń. Lekko przekręcił głowę, a przewodnik natychmiast ostrzegawczo syknął. Hal zdążył zauważyć, że niektórzy członkowie sekty trzymają dłonie przy ustach, a ich szczęki się poruszają. Najwyraźniej coś żuli.

Gilan również zwrócił na to uwagę.

– To jakiś narkotyk – szepnął. – Pewnie ma na celu wywołanie halucynacji bądź odprężenia przed przybyciem przywódcy.

– Jest aż tak brzydki? – spytał Stig. Po twarzy Gilana przebiegł cień uśmiechu. Bardzo podobala mu się bezpretensjonalna postawa Stiga.

– Pewnie tak – odparł Gilan. Przewodnik znowu syknął, więc zamilkli. Monotonny śpiew coraz bardziej przybierał na sile. W pewnym momencie przewodnik wystąpił do przodu i wyrzucił ramię przed siebie, wskazując zasłonę po lewej stronie krzesła.

– Imshavaaah! – zawołał, a całe zgromadzenie powtórzyło za nim, aż echo poszło.

Nagle zasłona odsunęła się na bok, dosłownie na sekundę, i zaraz zamknęła z powrotem za plecami ogromnej postaci. Bracia znów zaczęli monotonnie zawodzić, z tym że teraz śpiew przybrał na sile, brzmiał niemal ogłuszająco, odbijał się echem od kamiennych ścian.

Shurmel naprawdę robił wrażenie. Liczył ponad dwa metry wzrostu, miał na sobie czarną szatę, ozdobioną na lewej piersi srebrną figurą skorpiona. Gładko wygolona czaszka lśniła w blasku pochodni.

W prawej dłoni Shurmel trzymał dwumetrową laskę z hebanu, na dole zakończoną srebrnym okuciem, a na górze wyrzeźbionym z błyszczącego czarnego kamienia skorpionem z rubinowymi oczami.

– Już rozumiem, dlaczego musieli coś wziąć – mruknął Stig. – On jest naprawdę paskudny.

Na szczęście Shurmel nie mógł go usłyszeć. Gilan z trudem próbował zachować powagę.

Shurmel podszedł na brzeg podestu i spojrzął z góry na trzech obcych. Jego oczy błyskały złośliwie pośrodku ciemnych oczodołów. Zwrócił się do stojącego w środku Gilana:

– Ty jesteś dowódcą? – Mówił dość cicho, lecz jego głos docierał do najdalszych zakamarków. Był to głos niski i głęboki, złowroźny.

Gilan podniósł się i zrobił krok w przód.

– Zgadza się – odparł.

– Zapewne przybyliście do świątyni Imriki Niszczycielki w sprawie tolfah?

Gilan przytaknął.

– Rozejrzyjcie się dokoła, popatrzcie na wszystkich wyznawców Imriki. Zabójców z Sekty Skorpiona. Ci ludzie wypełnią waszą tolfah, będą próbować aż do skutku, aż do śmierci wyznaczonej osoby. Spójrzcie! – powtórzył, zataczając ramieniem dokoła. Gilan i Skandianie odwrócili się i popatrzyli na klęczących skrytobójców, którzy kołysali się rytmicznie przy wtórze monotonnego śpiewu. Shurmel podjął: – To moja elita. Każdy z tych ludzi jest wykwalifikowanym zabójcą, każdy szkolił się aż do osiągnięcia doskonałości w sztuce władania sztyletem, kuszą, oszczepem i garotą. Każdy posiada wiedzę na temat śmiercionośnych substancji, na przykład jadu żmii nosorogiej, którym można nasączyć grot strzały czy bełtu, trucizn, które można dodać do jedzenia ofiary, wedle uznania powodując zgon długi i bolesny albo natychmiastowy. To są doskonali zabójcy. Każdy z nich przez dziesięć lat trenował umiejętności, których wymaga Imrika od swoich uczniów. Dopiero po tym czasie Skorpion może liczyć na to, że bogini powierzy mu misję spełnienia tolfah w jej imieniu. Od chwili zawarcia umowy będzie ścigał ofiarę aż do śmierci, śmierci tejże ofiary bądź swojej własnej. I tylko śmierć może go powstrzymać. A jeśli tak się stanie, kolejny Skorpion przejmie jego świętą misję, aż tolfah zostanie wypełniona. – Tu zrobił efektowną pauzę i wyrzucił ramiona wysoko w górę.

„Interesujące”, pomyślał Hal. Shurmel nie wspomniał o umiejętnościach władania bronią używaną w starciu bezpośrednim – mieczem, toporem czy włócznią. Ci ludzie zabijali skrycie, podstępem.

Uchwycił wzrok Gilana i lekko wzruszył ramionami. Zwiadowca chyba uważał, że Shurmel oczekuje jakiejś reakcji.

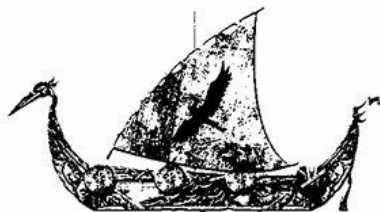
– Fascynujące – powiedział obojętnym tonem.

Shurmel rzucił mu mordercze spojrzenie, potem podjął:

– A więc słucham. Kto jest celem waszej tolfah? Czyjej śmierci pragniecie?

Znowu poczuli jakieś poruszenie za plecami. Hal prędko zerknął za siebie. Członkowie sekty klęczeli pochyleni do przodu, ich oczy lśniły w niecierpliwym oczekiwaniu. Gilan odpowiedział, przybierając przepraszający ton:

– Obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Ja nie chcę zawierać tolfah. Chcę ją odwołać.



Rozdział 42



Dowódca strażników z plemienia Ishti, stosując się do słów Shurmela, który nakazał mu pilnowanie obcych, wybrał piętnastu najlepszych jeźdźców i posłał ich przodem.

– Obserwujcie tych ludzi – nakazał. – Ale jeśli będą próbowali odpuścić, zróbcie wszystko, by ich zatrzymać. Jeźdźcy pocwałowali przed siebie, a reszta oddziału ruszyła za nimi kłusem.

Być może ekscytacja wywołana szybką jazdą, a może rozbudzony instynkt myśliwego sprawiły, że po dotarciu do oazy dowódca straży przedniej zapomniał – bądź zignorował – rozkazy.

Kazał swoim ludziom czekać w oazie, a sam rozejrzał się szybko dokoła i ruszył dalej samotnie.

Widział już obcy okręt, cumujący przy brzegu. Obóz otaczała półkolista barykada z czegoś, co wyglądało jak krzaki. Dowódca zaśmiał się wzgardliwie. Kilka lichych gałązek na pewno ich nie powstrzyma. Chciał koniecznie zasłużyć się u Shurmela. Był pewien, że życzyłyby on sobie śmierci intruzów. Pomyślał, że nie ma sensu czekać na resztę oddziału. Policzył ludzi w obozie. Było ich tylko sześciu, on zaś miał ponad dwa razy więcej żołnierzy. A tandetna barykada z pewnością nie mogła powstrzymać ich ataku.

W pośpiechu nie zauważył bambusowych tyczek, umieszczonych pod kątem co parę metrów wzdłuż barykady i celujących zaostrzonym końcem na zewnątrz umocnień, na wysokości głowy. Nic dziwnego. Wetknięto je dosyć nisko, były właściwie niewidoczne na tle ciemnej masy gałęzi. Nie zauważył też, że barykadę umieszczono w rowie, mierzącym ponad metr głębokości.

Prawdę mówiąc, nie należał on do najzdolniejszych dowódców. Zobaczył przed sobą łatwy cel i tyle. Wstał, wyszedł zza drzewa, za którym się krył, i wskoczył na siodło. Odwrócił się i wyciągając z pochwy zagięty miecz, dał rozkaz do ataku.

Spiął boki konia ostrogami i popędził przed siebie, podniecony wizją bliskiej walki. Usłyszał okrzyki za swoimi plecami, potem tętent kopyt na twardym piachu.

Obcy pobiegli po broń i zajęli pozycje obronne. Zaśmiał się głośno. Było ich stanowczo za mało. Jego koń zaraz przeskoczy przez ten mizerny płótek, a on załatwi intruzów kilkoma machnięciami miecza.

Ale nagle wierzchowiec, ujrawszy barykadę najeżoną ostrymi palikami, gwałtownie skręcił w prawo, i zaczął na przemian to stawać dęba, to dawać szczupaka, walcząc z wodzami. Dowódca z trudem trzymał się w siodle, przeklinając wystraszone zwierzę.

W końcu stwierdził, że nigdy nie zmusi go do pokonania barykady. Odwrócił się w siodle na tańczącym pod nim wierzchowcu.

– Zsiąść z koni! – krzyknął. – Atakujemy pieszo!

W chwili, kiedy zsuwał się z siodła, dosięgła go pierwsza strzałka Lydii. Trafiła w ramię, nieco powyżej niewielkiej okrągłej tarczy i zagłębiła się w ciele. Krzyknął z bólu i zatoczył się z jedną nogą w strzemieniu, a

drugą na ziemi. Koń, jeszcze bardziej przerażony, poniósł, pociągając dowódcę za sobą. Ten, nie mogąc uwolnić nogi, włókł się za nim bezwładnie, boleśnie objijając się o twardą ziemię.

Nikt nie pospieszył mu na ratunek. Prawdę mówiąc, żołnierze nie darzyli go nadmierną sympatią, był dowódcą próżnym i głupim, więc jego niespodziewane zniknięcie właściwie tylko ich ucieszyło. Teraz jednak musieli stanąć do walki. Ruszyli w stronę barykady.

Thorn, który z kryjówki za krzakami obserwował, jak koń dowódcy niknie w oddali, powiedział do siebie:

– Dobry strzał, Lydio! – Pomyślał, że ta dziewczyna jest naprawdę bezcennym skarbem. Atlatl stanowił broń dalekiego rażenia i zawsze potrafił narobić zamieszania wśród zaskoczonych napastników. W przeciwieństwie do łuku, trudno było go zauważyć. Wrogowie przeważnie dowiadywali się o jego istnieniu dopiero w chwili, kiedy z nieba ze świstem spadała śmiertcionośna strzałka.

Ale teraz Ishti znajdowali się bardzo blisko barykady i Lydia nie śmiała strzelać, bała się, że mogłaby niechcący trafić kogoś z drużyny. Stała na specjalnie zbudowanym dla niej podwyższeniu, ukryta za dwumetrową tarczą z desek, która miała chronić ją przed strzałami przeciwników. Ale chyba żaden z nich nie miał ze sobą łuku. Byli uzbrojeni głównie w lance i miecze.

Ishti skupili się w jednym miejscu, ale Lydia nadal bacznie wodziła wzrokiem dokoła, w razie gdyby któryś próbował obejść barykadę i zaatakować od strony morza. Na razie nie było chętnych. Pewni przewagi liczebnej i zwiedzeni kruchym wyglądem barykady, zamierzali przypuścić atak od strony plaży – i szybko rozprawić się z niewielką grupą obcych.

O tym, że popełnili błąd, pierwszy z nich zorientował się stanowczo zbyt późno. Próbując przedrzeć się przez barykadę z krzaków, nagle poczuł, że ziemia osuwa mu się spod nóg. Wpadł do głębokiego na metr rowu. Próbował się podnieść, ale kolczaste gałęzie nie chciały puścić.

I wtedy jeden z obcych, siwy jednoręki wojownik, pochylił się i przywalił mu w czaszkę wielką nabijaną żelaznymi ćwiekami maczugą. Wojenny okrzyk urwał się w połowie i napastnik padł twarzą w dół między kolczaste gałęzie.

Jego towarzysz również nie miał szczęścia. Widząc, co się dzieje, w ostatniej chwili cofnął się i nie wpadł do rowu, ale gałęzie wczepiły się w jego spodnie, unieruchamiając go na dobre. Próbował się uwolnić, ale w rezultacie tylko coraz bardziej się zaplątywał. Nie zauważył długiej bambusowej tyczki pchniętej dłonią Wulfa. Tyczka przebiła mu pierś i rzuciła nim do tyłu. Upadł na plecy, wciąż nie mogąc wyswobodzić nóg z płataniny gałęzi.

Pozostali Ishti, uświadomiwszy sobie zagrożenie, cofnęli się o kilka kroków. Wykrzykiwali groźby i obraźliwe uwagi. Członkowie drużyny nie zamierzali odpowiadać. Nic by nie zyskali, marnując siły na czcze pogroźki. Znali swoje możliwości i wierzyli, że zdołają się obronić. Nie musieli sztucznie podbudowywać poczucia własnej wartości.

Ta cisza i pewność siebie jedynie rozwścieczyły atakujących. Jeden z nich uważnie przyjrzał się barykadzie. Nagle wyskoczył do przodu, mieczem wyrabując drogę i krzycząc do kompanów, by poszli w jego ślady.

Ale długo nie pokrzyczał, bo w tym momencie halabarda Ingvara wyskoczyła do przodu niczym atakujący wąż. Ishti próbował zablokować cios tarczą, lecz na nic się to nie zdało. Tkwiący na końcu grot pchnięty potężną siłą przebił warstwę mosiądzu i strzaskał drewnianą ramę. Jakby uderzył w nią cwałujący koń. Wojownik runął na ziemię i przetoczył się do tyłu.

– A niech to! – warknął Ingvar. – Nie zdążyłem go przebić.

– Następnym razem nie wal tak mocno – doradził Thorn. Prawdę mówiąc, był nieco oszołomiony nowym wcieleniem Ingvara. Potężny chłopak zawsze służył drużynie siłą, ale teraz zmienił się we wściekłą szaloną machinę wojenną. Jego cios miał taką moc, że nim Ingvar zdążył wymierzyć w napastnika kolcem, ten już frunął w powietrzu.

– Stworzyłem potwora – mruknął Thorn. A potem dodał z uśmiechem: – Na szczęście to nasz potwór.

Ingvar potrząsnął halabardą w stronę napastników, stojących tuż za zasięgiem ciosu. Wahali się, żaden nie

miał ochoty mierzyć się z taką bronią. Wszyscy widzieli, jak ich nieszczęsny towarzysz poleciał do tyłu niczym pchnięty widłami snopek siana.

Cofnęli się o kilka kroków, by na pewno znaleźć się poza zasięgiem ciosów ogromnej zakończonyj toporem dzidy, którą groźnie wymachiwał wielkolud za barykadą. Żaden z nich nie miał ochoty objąć dowództwa. Żaden też nie miał pomysłu, jak pokonać barykadę. Każdy czekał, aż ktoś inny podejmie decyzję, coś wymyśli. Czaple przyglądały im się z uśmiechem.

Nagle rozległ się głos Lydii:

– Zachodzą nas od tyłu!

Ze swojej pozycji na podwyższeniu widziała chwilę wcześniej, jak dwóch Ishti odłącza się od grupy. Nisko pochyleni, kryjąc się za barykadą, biegli w stronę zachodniego jej krańca, tam, gdzie stykała się z morzem.

Thorn już miał zawołać Wulfa i ruszyć atakującym na spotkanie, ale przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. A niech mają niemłą niespodziankę. To powinno ich powstrzymać.

– Zaczekaj, aż zaplącą się w krzaki – zawołał do Lydii, pilnując się przy tym, by nie patrzeć w jej stronę i nie zdradzić jej pozycji. – Potem się nimi zajmij.

Kiwnęła głową i oblizała zaschnięte z emocji wargi. Nie cierpiała patrzeć beczynnje, jak jej towarzysze wykonują całą robotę. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie włączy się do walki, lecz atakujący znajdowali się zbyt blisko. Gdyby zaczęła strzelać, naraziłaby członków drużyny na niebezpieczeństwo. Przyglądała się, mrużąc oczy, jak dwaj Ishti docierają do – w ich mniemaniu – krańca barykady i wchodzi do wody. Już po kilku metrach sięgała im pasa. Zawahali się. I nagle poczuli, że są uwięzieni – kolczaste krzaki, skryte pod powierzchnią schwyły ich w swe macki i nie chciały puścić. Szamotali się, walcząc z wodą i barykadą, a kolce darty im ubrania i wpijały się jeszcze mocniej, aż w końcu unieruchomiły ich na dobre.

Jeden z nich rozpaczliwie krzyknął do drugiego:

– Tnij! Wyrąb drogę w tych przekłę...

Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie Lydia wypuściła pierwszą strzałkę, która przebiła kolczugę. Siła uderzenia rzuciła go na plecy. Woda zabarwiła się na czerwono. Jego towarzysz próbował w panice uwolnić się z kolczastej pułapki.

Rzucił się w bok, rozrywając przy tym tunikę. Oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki, kiedy powierzchnię wody przecięła kolejna strzałka – dokładnie w miejscu, gdzie stał dosłownie sekundę wcześniej. Przerazenie dodało mu sił. Sięgnął pod wodę i wyrwał ubranie z kolczastej pułapki, kalecząc dłonie – ale nawet nie poczuł bólu.

Zrobił kilka kroków w tył, na płytszą wodę. Kolejna strzałka świsnęła tuż obok.

W końcu znalazł się na brzegu. Rzucił się biegiem, co sił w nogach, byle dalej od koszmarnej barykady i przerażających strzałek.

Jego krzyki dotarły do towarzyszy. Nie wiedzieli oni o nieudanej próbie ataku od morza. Zorientowali się dopiero, kiedy zobaczyli go pędzącego po plaży. A potem ujrzeni ciało drugiego, kilka metrów od brzegu, do połowy zanurzone w wodzie zabarwionej na czerwono.

Miarka się przebrała. Ishti rzucili się biegiem w kierunku oazy, zostawiając na plaży konie i towarzyszy.

Dopiero teraz drużyna dała upust emocjom. Ingvar pożegnał uciekających szyderyczym rechotem, a pozostali chętnie do niego dołączyli.

– Więcej się do nas nie zbliżaj! – wykrzyknął Stefan.

Thorn potrząsnął głową.

– Sądząc po stylu, w jakim walczyli, czy raczej w jakim nie walczyli – powiedział – to była gwardia drugiej kategorii, pewnie wysłana na zwiad. Ale w drodze na pewno są kolejne oddziały. I więcej tego samego błędu nie popełnią.

Stefan zrobił strapioną minę.

– Zaatakują ponownie?

Thorn przytaknął.

– Bez wątpienia. Tym razem ich zaskoczyliśmy, ale wojownicy z pustyni tak łatwo nie ustępują. Na pewno wrócą.

– To co robimy? – spytała Lydia.

– Wiedzą już o podwodnej barierze – odparł Thorn. – Czas wracać na pokład.

Jesper wyglądał na zdruzgotanego.

– Na pokład? Chcesz powiedzieć, że mamy zostawić nasz obóz? Tę wspaniałą barykadę?

– Zgadza się. Ale możesz zostać, jeśli chcesz.

– Pół dnia kopałem rów, ciąłem gałęzie i znosiłem je na plażę! To niesprawiedliwe! – oburzył się Jesper.

– Jak przyjdą, możesz im to wszystko powtórzyć – odparował Thorn. – Z pewnością zrozumieją.

Rozdział 43



Brwi Shurmela ściągnęły się, a oczy zalśniły gniewem. Zrobił krok w kierunku Gilana, ten jednak spokojnie stał w miejscu. Dzielił ich zaledwie metr i potężny Skorpion musiał mocno się schylić, by jego oczy znalazły się na tym samym poziomie co oczy drobnego zwiadowcy. Hal i Stig podnieśli się i stanęli za plecami Gilana.

– Świątokradztwo! – wrzasnął Shurmel. Gilan nie poruszył się nawet o milimetr, chociaż krople śliny z ust Shurmela opryskały mu twarz. – Tolfah nie można odwołać! Kiedy zostanie zawarta, trzeba doprowadzić ją do końca!

– Daj spokój. Dostałeś pieniądze, by ją przeprowadzić. Na pewno można zapłacić również za jej odwołanie. Proponuję podwójną cenę. To chyba rozsądna propozycja. – Spokojny głos Gilana mocno kontrastował ze wściekłymi rykami Shurmela.

Skorpion wyprostował się, zrobił krok w tył i wyrzucił ramiona do góry.

– Nie można kupić pozwolenia Imriki! – wrzasnął. Członkowie sekty zgodnie zamruczeli. – Pozwolenie Imriki nie jest na sprzedaż!

– Hm, ale z pewnością było, kiedy Iqbal zapłacił za zawarcie umowy – odparł Gilan. Oczy Shurmela zwięzły się.

– Iqbal? – powtórzył. – A więc mowa o tolfah przeciwko zachodniej księżniczce? Księżniczce, imieniem Cassandra?

Gilan przytaknął. Mina Shurmela zdradzała, że wszystko zrozumiał. Elementy układanki wskoczyły na miejsce. Powiedziano mu, że ci ludzie przybyli z zachodu, nie z północy. Zakładał więc, że muszą pochodzić z Arydii. Aż do tej chwili nie wiązał ich przybycia z pojawieniem się na północnym wybrzeżu obcego okrętu.

– A więc przyплыnęliście na okręcie, cumującym niedaleko starego miasta? – Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie. Gilan znowu skinął głową.

– Zgadza się.

Złowieszczy uśmiech wykrzywił groteskowo umalowaną twarz.

– W takim wypadku z żalem muszę oznajmić, że wasi towarzysze nie żyją. Wczoraj wysłałem pięćdziesięciu najlepszych wojowników z rozkazem spalenia okrętu.

Hal poczuł ukłucie strachu – zrozumiała reakcja u każdego kapitana, który musiał zostawić swój okręt na pastwę losu. Z trudem opanował narastającą panikę. Nie chciał, by Shurmel zauważył jego reakcję.

– Tylko pięćdziesięciu? – rzucił nonszalancko. – Może nie starczyć. – Wypowiedziawszy te słowa, uświadomił sobie, że właściwie mogą być prawdziwe. Thorn dowodził drużyną i miał doskonałych pomocników w postaci Lydii i Ingvara. Nie był głupi, nie dopuściłby do ataku z zaskoczenia. Hal wierzył, że w obliczu niebezpieczeństwa podniesie kotwicę i odpłynie.

Shurmel rzucił Halowi mordercze spojrzenie. Arogancja i pewność siebie tego młodzieńca dodatkowo podsyciły jego gniew.

– Czy twoi towarzysze żyją czy nie, tolfah została zawarta i nie podlega dalszym dyskusjom. Kilka tygodni temu powierzyłem misję jednemu z najlepszych zabójców. Wasza księżniczka z pewnością jest martwa.

– Nie mogę się z tym zgodzić – odparł Gilan. – Ten człowiek niezbyt dobrze wypełnił zadanie. Próbował zabić księżniczkę z jednej z tych małych kusz, które, zdaje się, tak bardzo lubicie. – Urwał, poczekał, aż Shurmel przetrawi te słowa, po czym dodał: – Ale nie trafił.

– To spróbuje ponownie – odparował Shurmel. – Aż do skutku.

– No nieeee... – Gilan specjalnie przeciągnął słowo. Usiłował wzbudzić w Shurmelu wściekłość i wyzwąć go na pojedynek. Potężnie zbudowany Shurmel z pewnością był przekonany, że go pokona. – To niemożliwe, ponieważ przebywa on w lochu na Zamku Araluen. – Na Zamku Araluen oczywiście nie było żadnego lochu, ale Shurmel raczej nie mógł o tym wiedzieć. – Kiedy ostatnio go widziałem, płakał za mamusią.

Wargi Shurmela wygięły się w niedowierzaniu.

– Mój pies bardzo go wystraszył – dorzucił Hal. – To naprawdę duży pies.

Cień wątpliwości zasnuł twarz i oczy Shurmela. Wyznawcy Imriki uznawali psy za stworzenia nieczyste, których należy za wszelką cenę unikać. Wizja bliskiego spotkania z takim zwierzęciem budziła strach w każdym z członków Sekty Skorpiona. Może ci obcy mówili prawdę?

– Warto nadmienić – dodał Gilan – że to właśnie twój człowiek opowiedział nam o was i o tym miejscu. – Powiódł ramieniem dokoła. Nie uznał za konieczne wspomnieć, że większość informacji dostarczył Iqbal.

– W takim razie powinien być wam powiedzieć, że wasza propozycja jest świętokradztwem. To obraza Imriki i trzeba ukarać ją śmiercią. Twoją śmiercią! – Shurmela wpił wzrok w oczy Gilana. Zwiadowca wydawał się tą groźbą całkowicie nieporuszony.

– O, przestań robić z siebie nie wiadomo kogo – powiedział znużonym głosem. – Wasza bogini przyjmuje pieniądze za zabijanie ludzi. Dlaczego miałyby nie przyjąć pieniędzy za odwołanie umowy? To przecież czysty zysk. Według mnie jest to całkowicie logiczne. W dodatku odwołanie umowy wiąże się ze znacznie mniejszym wysiłkiem niż jej wykonanie.

– Jesteś niewierny i nic nie rozumiesz. Imrika nie przyjmuje pieniędzy, jak to wulgarnie ująłeś. Pieniądze to dar wotywny. One jedynie towarzyszą zawarciu umowy.

– Tak powiadasz. Ale coś mi się wydaje, że gdyby w grę nie wchodziły pieniądze, nikt nie zwracałaby sobie głowy spełnieniem tolfah. – Tu Gilan potarł palce prawej ręki w uniwersalnym geście symbolizującym przekupstwo.

Shurmel prychnął z odrazą.

– Nie rozumiesz, na czym polega tolfah. To uświęcony kontrakt między mną a boginią. Pieniądze nie są przeznaczone na wypełnienie umowy. Idą na pokrycie kosztów organizacji. Raz zawartą umowę może znieść tylko śmierć. Śmierć obiektu, którego dotyczy tolfah.

– Słyszałem, że istnieją dwie inne możliwości – powiedział cicho Gilan. – Śmierć bogini. Albo twoja.

W grocie zapadła cisza. Stłumiony pomruk głosów, przez cały czas towarzyszący ich dyskusji, nagle zamilkł. Nawet Shurmel osłupiał.

– Wyzywasz boginię? – powiedział po chwili.

Gilan wzruszył ramionami, powiódł wzrokiem dokoła.

– To mogłoby być nieco trudne – stwierdził. – Jakoś nigdzie jej nie widzę.

Shurmel zrobił krok do przodu, stanął tuż nad Gilanem. Zapewne sądził, że onieśmieli go potężną sylwetką i złowrobną aurą.

– A więc wyzywasz mnie? – Jego głos przybrał niski groźny ton. Przemknęło mu przez głowę, że powinien był odebrać broń tym ludziom. Obiecał sobie, że więcej takiego błędu nie popełni. Ale chciało mu się śmiać na myśl, że

ten żaloszny człowieczek w cętkowanej pelerynie śmiał rzucić mu wyzwanie. Owszem, był szczupły i umięśniony, ale w żaden sposób nie mógł mierzyć się z masywnym Shurmelem.

Gilan udawał, że się waha.

– Cóż, tylko jeśli to naprawdę konieczne – odparł. – Wolałbym poprzestać na negocjacjach.

Wzgardliwy śmiech Shurmela odbił się od skalnych ścian.

– Patrzcie go, jaki śmiałek! – zakrzyknął Shurmel. Potem popatrzył na członków sekty. – Patrzcie go, jaki śmiałek!

Wśród odzianych na czerwono postaci przebiegł pełen uznania śmieszek. Shurmel zamyslił się. Miał na koncie sporo wygranych pojedynków. Bez trudu pokonywał przeciwników dzięki sile i potężnej masie ciała. Nieznajomy nie przedstawiał najmniejszego zagrożenia. Wyznawcy Imriki już dawno nie widzieli swego przywódcy w akcji, może warto by im przypomnieć, że jest niezwyciężony? Niedawno doszły go słuchy, że niejaki Taluf, brat o poznaczonej bliznami twarzy, należący do sekty od ponad piętnastu lat, próbuje zebrać wokół siebie grupę popleczników. Shurmel podejrzewał, że zamierza zająć jego pozycję. Taluf był dobry w swoim fachu, podobnie jak wszyscy wyznawcy Imriki. Nie był wprawdzie wojownikiem – jak słusznie zauważył Hal, członkowie sekty nie ćwiczili się w sztukach walki – jednakże, gdyby udało mu się zdobyć wystarczająco duże poparcie, mógłby zastosować bardziej podstępne metody.

Czas pokazać tym ludziom, że z Shurmelem nie ma żartów. Dorównywał każdemu z nich subtelną wiedzą na temat trucizn, umiejętnością zadawania podstępnych ciosów sztyletem, czy strzelania z niewielkiej kuszy bełtami nasączonymi trującą substancją. Prócz tego posiadał jednak umiejętności, których im brakowało: był wojownikiem.

A przynajmniej za takiego się uważał. Mały pokaz umiejętności mógłby sprowadzić jego wyznawców na właściwą drogę i odwieść od wspierania Talufa.

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę Shurmela w ciągu kilku sekund. Uśmiechnął się do szczupłego zwiadowcy. Może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? Dzięki temu intruzowi nadarzyła się doskonała okazja, by zdusić zalążek buntu w umyśle Talufa i jego stronników.

– Żadnych negocjacji! – powiedział głębokim groźnym głosem. – Stań do walki, jeśli śmiesz, i zgiń za swoją bezczelność!

Cofnął się na chwilę i oparł laskę o drewniany tron. Za oparciem czekał długi obosieczny miecz. Shurmel wysunął go z pochwy. Metal z chrzęstem otarł się o skórę. Gwałtowny ruch strącił laskę na podłogę – czego Shurmel nie zauważył.

Gilan zdjął kołczan z ramienia i wraz z łukiem podał Halowi.

– Potrzymaj – powiedział. Potem odrzucił pelerynę do tyłu, by zapewnić sobie swobodne ruchy, i położył dłoń na rękojeści miecza, przypasanego do lewego biodra. Był to miecz mniejszy i krótszy od potężnej broni Shurmela, lecz wykonali go zbrojmistrze z Korpusu Zwiadowców, ludzie, którzy wyrabiali niezwykle twarde i niezwykle ostre noże saksońskie, służące wszystkim zwiadowcom.

Nic w wyglądzie miecza nie zdradzało jego niezwykłych cech. Było to proste pozbawione ozdób ostrze, o rękojeści owiniętej skórą, noszącą ślady plam od potu. Jelec wykonano z lekko wygiętego kawałka mosiądzu, głowicę tworzyła ciężka gałka z tego samego metalu. Był niemal dwa razy krótszy od miecza Shurmela, lecz podczas gdy ostrze tego ostatniego zrobiono z prostego kawałka stali, klinga miecza zwiadowcy jako jedyny element zdradzała niezwykle kunszt wykonania. Błękitną powierzchnię na całej długości znaczyły delikatne kręte linie.

Miecz ten dorównywał katanom, którymi posługiwali się wojownicy Nihon-Ja, czy mieczom wyrabianym przez sławetnych mieczników z Dimaskarenu.

Shurmel jednak nigdy nie słyszał ani o jednych, ani o drugich. Widział krótkie, proste i na oko słabe ostrze, tkwiące w dłoniach mężczyzny, który, w porównaniu z potężnym Shurmelem, wyglądał na drobnego, niskiego i delikatnego. Shurmel zaśmiał się donośnie.

By to śmiech okrutny. Śmiech, który w pełni wyrażał jego brutalną sadystyczną osobowość. Który nie pozostawiał cienia wątpliwości co do wyniku tej walki. Shurmel wiedział, że zwycięży. Pokona tego bezczelnego obcokrajowca i położy kres bluźnierczym pomysłom. A przy okazji na wiele lat wzmocni swą pozycję. Przy odpowiednim wsparciu członków sekty może nawet pozbędzie się buntowniczego Talufa i jego zwolenników.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej umacniał się w przekonaniu, że ten człowiek dosłownie spadł mu z nieba. Zapewne był więc darem od bogini Imriki. Shurmel wzniosł oczy do góry i podziękował w milczeniu.

Zapomniał jednak, że Imrika jest przecież boginią zniszczenia, największy zaś dar, jaki można od niej dostać, to – aż nazbyt często – śmierć.

Zszedł z podwyższenia i stanął naprzeciw zwiadowcy.

– Na śmierć i życie! – krzyknął.

Gilan wzruszył ramionami – co oczywiście jeszcze bardziej rozwścieczyło Shurmela.

– Skoro nalegasz – zgodził się.

Rozdział 44



Shurmel bez ostrzeżenia rzucił się na Gilana, ściskając oburącz miecz, wznosił go wysoko nad głową i z całych sił zadał cios, który niewątpliwie rozplatałby drobnego obcokrajowca na pół.

Gdyby drobny obcokrajowiec nadal stał w tym samym miejscu co sekundę wcześniej.

Gilan domyślał się, że Shurmel zaatakuje go z zaskoczenia. Zmrużył oczy na widok wznoszącego się ostrza. Shurmel wykonał ten ruch tak ciężko i niezgrabnie, że Gilanowi nawet przemknęło przez głowę, czy to aby nie atak pozorowany, celowo niezręczny, by przeciwnik niestusznie nabrał przekonania o własnej przewadze. Ale wystarczył jeden rzut oka na postawę i język ciała Shurmela. Bez wątpienia był to atak prawdziwy, tyle że niezbyt umiejętny.

Kiedy potężna klinga opadła ze świstem, Gilan po prostu zrobił pół kroku w bok. Ruch ledwo dało się zauważyć, ale odniósł on zamierzony skutek. Miecz przeciął powietrze pół metra od Gilana i walnął w kamienną podłogę, aż posypały się iskry i echo poszło.

Shurmel w ogóle tego ruchu nie zauważył. Ale jakimś cudem potężny cios, w który włożył całą siłę, chybił. Shurmel ryknął z wściekłości, zamierzył się i wykonał poziome uderzenie na wysokości pasa.

Miecz Gilana, zdawałoby się w ostatniej sekundzie, pchnięty lekkim ruchem nadgarstka, wykonał tuk w powietrzu i walnął w miecz Shurmela, osłabiając jego cios i zmieniając kierunek. Klinga znów zazgrzytała o podłogę z ogłuszającym dźwiękiem, posypały się iskry.

Stig i Hal, którzy uważnie przyglądali się walce, odnieśli wrażenie, że Gilan uniknął obu ciosów przy zastosowaniu minimalnych ruchów i przy minimalnym wysiłku.

– Jest naprawdę dobry – powiedział cicho Stig. Hal bez słowa kiwnął głową, nie odrywając wzroku od walczących.

Shurmel postanowił wykorzystać potężny zasięg swej broni i zamachnął się niezgrabnie na zwiadowcę, unosząc przy tym prawą stopę, a następnie wbijając ją w ziemię, by w ten sposób nadać ciosowi większą siłę.

Z gardel Skorpionów wyrwał się okrzyk triumfu.

I zaraz umilkł. Miecz Gilana, znowu poruszony jedynie siłą stalowych mięśni nadgarstka, wykonał tuk, zablokował ostrze Shurmela i odsunął na bezpieczną odległość od ciała zwiadowcy.

Shurmel stracił równowagę, zatoczył się do przodu i nagle poczuł na gardle czubek ostrza. Po jego szyi ściekła strużka krwi.

– W każdej chwili możemy przerwać – powiedział spokojnie Gilan. Zdążył wyrobić sobie zdanie o Shurmelu. Był on silny, niewiarygodnie silny. I szybki. Ale przy tym niezdarny, a jego umiejętności pozostawiały wiele do życzenia. Polegał głównie na sile i rozmiarach potężnego ciała, sądził, że dzięki nim pokona każdego przeciwnika.

Spokój Gilana i zręczność, z jaką uniknął ciosów, podziały na niego jak płachta na byka. Wrzasnął z

rozpaczy i wściekłości. Lewą ręką odbił miecz Gilana, po czym zadał cios po przekątnej.

Tym razem zwiadowca nie zrobił uniku ani nie odbił ciosu. Zablockował go ostrzem miecza, klingi zderzyły się z głośnym brzękiem niczym młot uderzający w kowadło, dźwięk odbił się echem od kamiennych ścian grotty. Jedyne Stig wyćwiczonym okiem wojownika dostrzegł nieznaczny ruch ostrza zwiadowcy. Gilan w ostatniej milisekundzie, nim ostrza się zderzyły, wyrzucił nadgarstek do przodu – na odległość zaledwie pięciu centymetrów, ale to wystarczyło, by nadać ciosowi odpowiednią siłę i odparować cios Shurmela. W ostatniej sekundzie zwiadowca wzmocnił chwyt, tworząc barierę nie do przebiccia.

W chwili, kiedy Shurmel zadał cios, z ust Skorpionów dobyło się przeciągłe: „Aaaaa!” – które jednak zaraz przeszło w okrzyk przerażenia.

Stig gwizdnął z podziwem. To była doskonała lekcja szermierki. Jeden prosty ruch, który trzeba ćwiczyć miesiącami, może nawet latami, zanim stanie się instynktowny.

– Myślałem, że ci ludzie potrafią tylko strzelać z łuku – powiedział Stig.

Hal potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że nie. Ciągłe czymś zaskakują, prawda?

Gilan po raz pierwszy zaatakował. Skierował ostrze do góry, celując w punkt między szyją a ramieniem. Potężny mężczyzna zatoczył się niezgrabnie do tyłu, w ostatniej chwili unikając ciosu. Ale nim zdołał się otrząsnąć, miecz Gilana znów wysunął się do przodu niczym wąż, mierząc prosto w brzuch Shurmela, który znowu dosłownie w ostatniej sekundzie uskoczył do tyłu. Wielgachny miecz dawał mu przewagę na większe odległości, ale w bliskim starciu jego rozmiar i ciężar tylko przeszkadzały, sprawiały, że każdy ruch stawał się powolny i niezgrabny.

Gilan zobaczył w oczach przeciwnika pierwsze oznaki strachu i zwątpienia. Przywódca Skorpionów spodziewał się szybkiego zwycięstwa. Zamierzał rozprawić się z Gilanem za pomocą kilku prostych mocnych ciosów. Ale Gilan z niemal lekceważącą łatwością odparował wszystkie ciosy. Shurmel nigdy dotąd nie walczył z człowiekiem tak doskonale wyćwiczonym w sztuce władania mieczem. Uświadomił sobie, że ma do czynienia z prawdziwym mistrzem.

Gilan, wciąż nie odrywając wzroku od oczu przeciwnika, ujrzał w nich przebiegły błysk.

Shurmel coś planował. Gilan czekał w skupieniu. Wiedział, że może to nastąpić lada chwila. Oczy Shurmela zdradzały determinację.

I ta chwila w końcu nadeszła. Shurmel wykonał kilka błyskawicznych ruchów mieczem, po czym niespodzianie przerzucił go do lewej dłoni i zadał poziome uderzenie.

Gilan nie wiedział, jaką strategię zamierza obrać Shurmel, widział jednak, że planuje jakiś podstępny manewr i był przygotowany. Jego miecz natychmiast zablockował cios, rysując głęboki karb w długiej klindze przeciwnika.

Znowu rozległ się chóralny okrzyk przerażenia. Członkowie sekty bacznie obserwowali ruchy Shurmela, widzieli, jak przerzucił miecz do lewej ręki i oczekiwali śmiertelnego ciosu. Ale obcokrajowiec i ten cios zablockował.

A teraz sam wymierzał pchnięcia, Shurmel zaś parował je rozpaczliwie, cofając się przez atakiem. Ciosy spadały ze wszystkich stron, z oszałamiającą prędkością, jeden przechodził płynnie w kolejny. Gilan, słusznie zakładając, że Shurmel lewą ręką radzi sobie jeszcze gorzej niż prawą, spychał go coraz dalej w głąb grotty. Miecze ścierały się raz po raz, dźwięk, odbity echem od ścian, zdawał się nie ustawać ani na sekundę, uderzenia i echo zlewały się w jeden długi mrozący krew w żyłach szczęk stali.

Nagle zwiadowca przerwał walkę, jakby się zmęczył, a Shurmel wykorzystał okazję i przerzucił miecz do prawej ręki. Zbyt późno zauważył, że w tym samym momencie Gilan lewą ręką sięgnął do pochwy u pasa i wyciągnął długi ciężki nóż.

A potem zrobił krok w przód i wbił nóż w bok Shurmela, zatapiając ostrze aż po rękojeść.

W oczach Shurmela pojawił się szok, potem niedowierzanie i ból. A w końcu kompletna pustka. Kolana ugięły

się pod nim i osunął się na kamienną posadzkę.

I tak został.

Z gardeł członków sekty znowu dobył się okrzyk strachu i zaskoczenia. Gilan prędko odsunął się od rozciągniętego na ziemi ciała, szybkim zręcznym ruchem schował broń i odebrał od Hala kołczan i łuk.

– Do broni, chłopcy – powiedział cicho. Hal dobył miecza, a Stig wysunął topór z pętli u pasa.

Członkowie sekty otrząsnęli się ze stuporu, znowu rozległ się gniewny pomruk. Gilan włożył strzałę w cięciwę, ale na razie nie naciągał łuku.

– Zabić ich! – krzyknął któryś ze Skorpionów. – Zabić!

Gilan odnalazł go wzrokiem. Był to mężczyzna o twarzy poznaczonej bliznami, stał w drugim rzędzie. Gilan już wcześniej zastanawiał się, kto zechce zająć pozycję Shurmela. W tego rodzaju grupach zawsze znajdzie się ktoś taki. Gilan przypuszczał, że będzie to ten człowiek, który pierwszy zabierze głos. I oto miał go przed sobą.

Kilku braci ruszyło w ich stronę, ale niepewnie, z wahaniem popatrując na topór, miecz i łuk w dłoniach obcokrajowców. Nie mieli przy sobie broni, nie licząc sztyletów.

– Nie ruszać się! – rozkazał Gilan.

Mężczyźni zatrzymali się. Człowiek, który przed chwilą pokonał potężnego Shurmela, budził ich respekt. Gilan uniósł łuk i naciągnął, mierząc w mężczyznę z bliznami na twarzy.

– Spróbujcie nas pojmać – powiedział – a zginie co najmniej dziesięciu z was. Tak na początek. Czy taka śmierć przyniesie wam chwałę? Nie umrzecie dla tolfah. Wasz Shurmel wybrał taką śmierć, ale to była jego decyzja. – Spojrzał prosto w oczy Talufowi. – I obiecuję, że pierwszy zginiesz ty.

Zobaczył w oczach mężczyzny strach, który zaraz ustąpił przebiegłemu błyskowi. Gilan wiedział, że jego przypuszczenia były słuszne. Miał przed sobą człowieka, który zamierzał zająć pozycję dowódcy.

– A z drugiej strony, to twoja szansa. Możesz przejąć władzę. Zostać nowym Shurmelem. Musisz tylko nakazać pozostałym, by pozwolili nam odejść w spokoju.

Oczy mężczyzny znów zmieniły wyraz. Górę wzięły ambicja i kalkulacja.

– Twój wybór – dodał Gilan. – Puszczasz nas wolno, a my zostawiamy cię przy życiu. Zajmujesz miejsce Shurmela. Każesz ludziom nas zatrzymać, ale ryzykujesz, że cię zabijemy.

Ambicja i kalkulacja walczyły z nienawiścią i niezdecydowaniem. Taluf przyglądał się spokojnej twarzy Gilana i nie dostrzegł na niej oznak wahania. Wiedział, że jeśli Skorpiony zrobią choćby jeden krok w ich stronę, on zginie. Z tak krótkiej odległości strzała z pewnością trafi do celu.

Poza tym ten obcy dostarczył mu doskonałej okazji, by przejąć władzę po Shurmelu. Pokonał przywódcę w uczciwej walce, chciał zakończyć tolfah.

Sprawa była dyskusyjna. Jednakże na pewno do wszystkich trafi argument, że śmierć Shurmela nastąpiła z woli bogini Imriki. Taluf podjął decyzję. Uniósł rękę. Członkowie sekty patrzyli na niego wyczekująco.

– Pozwólcie im odejść – powiedział. – Imrika pokazała nam swoją wolę. Tak nakazuje nowy Shurmel.

Rozdział 45



Skandianie szybko zwinęli obóz i znieśli rzeczy na pokład. „Czapla” cumowała tuż przy brzegu, połączona długą liną rufową z kotwicą zarzuconą pośrodku zatoki.

Kiedy wszystkie koce, broń i zapasy jedzenia znalazły się na łodzi, Thorn kazał Jesperowi odwiązać cumę. Ingvar i Wulf pociągnęli za linę przyczepioną do rufy i „Czapla” wpłynęła na głębsze wody. Kiedy Thorn uznał, że znaleźli się w odpowiedniej odległości od brzegu, dał im znak, żeby odwiązali linę. Wiatr od morza pomógł utrzymać pozycję, łódź pozostała zwrócona dziobem w stronę brzegu. Thorn mruknął z zadowoleniem.

– O zachodzie słońca, kiedy wiatr się zmieni, będziemy musieli przywiązać cumę do dziobu – powiedział. – Chcę, byśmy przez cały czas stali w tej pozycji.

– Dlaczego? – spytał Jesper. – Jesteśmy tu bezpieczni, niezależnie od tego, w którą stronę zwrócimy się dziobem. Thorn cierpliwie wyjaśnił:

– Kiedy łódź jest skierowana dziobem do brzegu, również Zadymiarz celuje w tym kierunku.

– A, no tak – odparł Jepsper. – Powinienem był na to wpasć.

– Może gdybyś czasem się zastanowił, zdołałbyś pojąć oczywiste rzeczy, zanim niepotrzebnie zadasz pytanie – rzucił Thorn.

Lydia bacznie obserwowała oazę. Ale napastnicy trzymali się w ukryciu. Możliwe, że woleli nie wystawiać się na dalsze ataki. Zdążyli się przekonać, co potrafi zdziałać atlatl, a nie wiedzieli przecież, na jaką odległość da się z niego strzelać. Od czasu do czasu Lydia dostrzegała, że ktoś przemyka między drzewami. Ishti bez wątpienia ich obserwowali, czekając na odpowiednią okazję, by wykonać następny ruch.

Lydia już od godziny przyglądała się oazie, wygodnie oparta o maszt w plamie cienia. Jej wysiłki w końcu zostały nagrodzone.

Nagle usłyszała stłumiony głuchy łoskot końskich kopyt na piasku. Nad koronami drzew unosiła się chmura pyłu. Skojarzyła te dwa fakty i zawołała do Thorny:

– Jadą posiłki! Kolejna grupa jeźdźców dotarła do oazy.

Thorn drzemał w cieniu między ławkami wioslarskimi. Niestety, z braku innego materiału na żagiel Hal zabrał brezent, który służył im do osłony przed słońcem. Thorn podniósł się, zapiął pas i podszedł do Lydii.

Lydia kolejny raz nie mogła się nadziwić, jak to możliwe, że tak potężnie zbudowany mężczyzna potrafi poruszać się tak cicho – jeśli tylko chce. Thorn ukląkł na jednym kolanie i pobiegł wzrokiem za jej wyciągniętą ręką. Chmura pyłu zaczęła rozpyływać się w powietrzu, ale nadal był widoczna.

– Właśnie przyjechali – powiedziała Lydia. – Jeszcze unosi się kurz, przed chwilą słyszałam tętent kopyt.

– Hmm – odparł Thorn z namysłem, szarpiąc brodę. – Potrafisz określić, ilu ich może być?

Zawahala się.

– Chyba sporo. Na pewno więcej niż dziesięciu, mniej niż stu. Ale tylko zgaduję.

Thorn z namysłem wyjął wargi. Darzył wielkim szacunkiem umiejętności Lydii.

– Zwykle zgadujesz trafnie – odparł. Popatrzyła na niego z zaskoczeniem. Zawsze zbijal ją z pantafyku swoimi komplementami. – Ciekawe, co oni kombinują.

Lydia wiedziała, że to pytanie wcale nie wymaga odpowiedzi, niemniej odrzekła:

– Chcesz, żebym sprawdziła? – Wskazując na skalny cypel, wystający w morze jakieś pięćdziesiąt metrów na południe od obozowiska, dodała: – Mogłabym dopłynąć do tych skał i kryjąc się za nimi, dotrzeć do oazy. A w oazie, między drzewami, też pozostaną niewidoczna.

Thorn wahał się. Intuicja podpowiadała, że to dobry pomysł. W sytuacji zagrożenia dowódca powinien zebrać jak największą ilość informacji, szczególnie kiedy wróg ma znaczną przewagę liczebną. Ale gdyby przystał na propozycję Lydii, naraziłby ją na niebezpieczeństwo. A tego nie chciał. Naprawdę ją lubił.

Oczywiście, Lydia zinterpretowała jego wahanie na swój sposób.

– Hej, potrafię tego dokonać! – zapewniła. – Chociaż jestem dziewczyną.

Thorn z roztargnieniem poklepał jej dłoń lewą ręką, zapatrzonej na oazę, jakby próbował przebić wzrokiem gęstą zasłonę drzew, za którą krył się wróg.

– Wiem, że potrafisz. I to lepiej niż którykolwiek z chłopaków, może za wyjątkiem Jespera.

– Jesper dzięki dawnej karierze złodzieja umiał poruszać się niepostrzeżenie. Thorn słyszał raz, jak ktoś powiedział, że Jesper umiałby przemknąć między dwiema kroplami deszczu i jeszcze zrobić z nich sobie kryjówkę.

– No to jak? – spytała Lydia, nieco udobruchana jego słowami – chociaż wcale nie wierzyła, by Jesper potrafił wykonać tę robotę lepiej niż ona.

– To... niebezpieczne – odparł w końcu Thorn. – Nie wiemy, gdzie oni dokładnie są. Nie wiemy, ilu ich jest. I nie wiemy, co zamierzają.

Lydia wywróciła oczami.

– Same argumenty przemawiające za moim pomysłem. A jeśli chodzi o zagrożenie, czy brałbyś ten aspekt pod uwagę, gdyby to Jesper zgłosił się na ochotnika?

– To nie Jesper się zgłosił – zauważył Thorn.

Lydia prychnęła.

– Szybciej osiwiejesz, niż się doczekasz.

Thorn uśmiechnął się do siebie. Postanowił nie zwracać uwagi Lydii na fakt, że już jest siwy.

– To prawda. Tyle że w przypadku Jespera ten aspekt mógłby jedynie zachęcić mnie do pozytywnego rozpatrzenia jego propozycji.

Lydia uśmiechnęła się, ale zaraz znów spoważniała. Uniósła rękę. Od strony oazy dobiegł kolejny dźwięk – coś jak metal uderzający o drewno.

– Z nudów wbijają gwoździe czy co? – spytał Thorn.

Lydia nie od razu odpowiedziała. Po chwili wskazała na jeden z wysokich bambusów, widoczny ponad wierzchołkami drzew. Nagle potężna łodyga opadła na bok i znikła im z oczu.

– Ścinają drzewa – powiedziała Lydia.

Thorn powoli pokiwał głową. Tak, rzeczywiście, ścinali drzewa. Kolejne pytanie: w jakim celu?

– Dobra – powiedział w końcu. – Idź się rozejrzeć. Ale zachowaj ostrożność. Nie zamierzam tłumaczyć się przed Halem, że przeze mnie dostałaś się do niewoli.

Zaśmiała się drwiąco.

– Na pewno nie przez ciebie. I na pewno nie zamierzam dać się złapać.

Rozpięła pas i zdjęła ciężki kaftan, zrzuciła buty z foczej skóry i została w samych spodniach i cienkiej lnianej bluzce.

– Przejdź na rufę – powiedział Thorn – jak najdalej od plaży. Płyn pod wodą, tak długo, jak tylko zdołasz.

Nawet jeśli obserwują łódź, może cię nie zauważą.

Lydia kiwnęła głową i włożyła z powrotem pas z przypiętym doń atlatlem.

Pozostali członkowie załogi zauważyli te przygotowania.

– Co robisz? – spytał Ingvar, podchodząc bliżej.

Lydia odparła z uśmiechem:

– Idę sprawdzić, co robią nasi wrogowie.

Ingvar zaczął ściągać kubrak.

– Idę z tobą – oznajmił bez wahania.

Lydia roześmiała się i położyła mu rękę na ramieniu.

– Ingvarze, naprawdę cię uwielbiam – powiedziała. – Ale z twoją posturą nie nadajesz się do takich akcji.

Bardzo rzucasz się w oczy.

Ingvar zrobił zmartwioną minę.

– Ale jeśli coś ci się stanie? Jeśli cię złapią...

– Nie dam się złapać – ucięła. – A jeśli jednak tak się zdarzy, wolę wiedzieć, że jesteś tutaj i że przyjdiesz mnie odbić.

Ingvar popatrzył na nią w milczeniu.

– Tego możesz być pewna.

Jeszcze raz klepnęła go w ramię, po czym ruszyła w kierunku rufy.

– A teraz podaj mi rękę – zażądała.



Ranulf bin Shellah, dowódca oddziału złożonego z pięćdziesięciu ludzi, obserwował zza drzew obcą łódź, spokojnie unoszącą się na wodach zatoki jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu. Pomyślał z goryczą, że równie dobrze mogłoby to być pięćdziesiąt mil morskich.

Posłał przodem piętnastu ludzi z rozkazem, by obserwowali obcych i nie pozwolili im odpłynąć. A teraz okazało się, że dowódca tego oddziału znikł – koń pociągnął go za sobą gdzieś w głąb pustyni – i zapewne nie żyje. Nie żyło też dwóch innych ludzi, trzech odniosło poważne rany.

Opowiedziano mu o nieudanym ataku na obóz i barykadzie z kolczastych krzaków. A teraz łódź pływała sobie w bezpiecznej odległości od brzegu, jakby się z nich naśmiewała. Od czasu do czasu ludzie poruszali się na pokładzie, ale przez większość czasu nic się nie działo. Ranulf przeklinał niecierpliwego dowódcę, który zamiast zaatakować z zaskoczenia, zdradził obcym swoją obecność. Ale, dodał w myślach na pocieszenie, obcy przynajmniej nie wiedzieli o posiłkach. A to mogło podziałać na korzyść atakujących.

Gdyby tylko znalazł sposób, jak dotrzeć do tej bezczelnej łódki.

Przekręcił się na plecy i zapatrzył na drzewa, czekając na natchnienie. Długo czekać nie musiał. Wycofał się w głąb oazy, przywołał pierwszego oficera i wskazując na zagajnik bambusowy, rozkazał:

– Natnijcie bambusów. Dużo.

Podwładny dotknął ust, czoła i ponownie ust w pełnym wdzięku geście, którego używano przy powitaniu bądź na znak posłuszeństwa.

– Tak jest – odparł. – A co mamy z nimi zrobić?

– Użyjemy ich do ataku na łódź tych obcych – odparł Ranulf.



Rozdział 46



Powoli, trzymając łuk naciągnięty do połowy i wymierzony w odzianych na czerwono mężczyzn, Gilan zaczął przesuwać się bokiem w stronę wyjścia.

– Miejcie broń w gotowości – powiedział cicho. Hal i Stig posłusznie unieśli, odpowiednio, miecz i topór i ruszyli za Gilanem. Hal potknął się o coś. Spojrzał w dół. To była laska Shurmela. Niewiele myśląc, schylił się, podniósł ją i schował za plecami, bardzo szybko, by nikt nie zauważył. Ale wszyscy wpatrywali się w Gilana.

Kiedy ich trójka dotarła do wyjścia, członkowie sekty zrobili krok w przód. Gilan naciągnął strzałę o kolejne pięć centymetrów i poszukał wzrokiem następcy Shurmela. Ostrzegawczo uniósł brew.

– Jeśli się poruszą – powiedział spokojnie – ty zginiesz pierwszy.

Taluf odwrócił się do swych towarzyszy i machnął ręką poziomo w powietrzu.

– Puśćcie ich – rozkazał. – Nie są nam do niczego potrzebni.

Gilan podziękował w myślach za zjawisko wybujałej ambicji. Nadal zwrócony twarzą w stronę mężczyzn, wycofał się na korytarz. Po chwili dołączyli do niego Hal i Stig i całą trójką ruszyli w kierunku przejścia, prowadzącego na niższe piętra. Szli coraz szybciej i szybciej, aż w końcu niemal biegli. Ale Gilan podniósł rękę na znak, że mają zwolnić. Zrobił krok w tył, odwrócił się i popatrzył w stronę grotty, z której przed chwilą wyszli. Na razie wyglądało na to, że nikt ich nie śledzi. Z oddali dobiegał stłumiony głos Talufa.

– Nie biegnijcie – powiedział. – Jeśli pomyślą, że uciekamy, ruszą za nami w pogoń.

– Na razie idzie nam jak z płatką – rzucił wesoło Stig. Gilan rzucił mu groźne spojrzenie.

– Jeszcze stąd nie wyszliśmy – powiedział. Ale kiedy dotarli do rampy, nadal nikt ich nie ścigał. Ani kiedy zeszli po niej na najniższy poziom.

– Chyba daliśmy im radę – stwierdził Hal.

Gilan rozciągnął usta w uśmiechu.

– „My”?

Hal skłonił głowę.

– Zwracam honor.

Gilan dopiero teraz zauważył laskę Shurmela w dłoni Hala.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

Hal wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że to ładna pamiątka.

Gilan potrząsnął głową.

– Najohydniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem – zawyrokował. Hal uśmiechnął się wyrozumiale.

– Bo nie widziałeś zbiorów oberjarla. Niektóre przedmioty, jego zdaniem godne miana dzieł sztuki, każdego

bardziej zorientowanego człowieka przyprawiłyby o wymioty.

Nadal nikt ich nie ścigał. Gilan przypuszczał, że nowy przywódca jest zbyt zaabsorbowany demonstrowaniem władzy, by zawracać sobie głowę takimi drobiazgami. To Shurmel zajmował się sprawą trzech obcokrajowców. Jego następcą tylko się cieszył, że pozbył się problemu.

Przed wejściem do groty stało beczynn timer kilku Ishti. Spojrzeli na trzech obcych, z zaciekawieniem, ale bez cienia wrogości.

– Chyba możemy opuścić broń – stwierdził Gilan. Stig i Hal byli tego samego zdania. – Tylko schowaj tego skorpiona na patyku, dobrze? Nie wiem, czy byliby zachwyceni, widząc go w twoich rękach.

Hal uśmiechnął się szeroko, a potem zdjął kheffiyeh i owinął skorpiona. Wyjrzał na zewnątrz. Żagłowiec stał z boku, z żaglem opuszczonym i ułożonym w luźnych fałdach wzdłuż bomu. Hal ruszył w jego kierunku, ale Gilan pstryknął palcami i wskazał na jednego z Ishti.

– Ty – powiedział. – Przyrowadź nasz pojazd. To rozkaz Shurmela.

Żołnierz popatrzył na niego ze zdziwieniem. Wiedział, że obcy udali się na spotkanie z Shurmelem i resztą braci. I najwidoczniej puszczono ich wolno. Nie jemu było kwestionować rozkazy Shurmela. Przywołał dwóch innych Ishti i ruszył przez plac w kierunku żagłowca. Ostrożnie, by nie uszkodzić delikatnej konstrukcji, strażnicy zaczęli popychać go w stronę wejścia do groty. Wiatr targał luźno zwiniętym żaglem, co Hal odnotował z zadowoleniem.

– Nadal całkiem mocno wieje – stwierdził. – Będzie nam się dobrze jechało.

Stig spojrział na zwiadowcę.

– Jaki to ma sens? – spytał, po czym wyjaśnił, o co dokładnie mu chodzi. – Po co kazałeś im przyprowadzić żagłowiec?

Po twarzy Gilana przemknął lekki uśmiech.

– Zawsze trzeba pokazać, kto tu rządzi. W ten sposób zdobywasz posłuch u takich ludzi jak oni. Gdybyśmy tak po prostu przeszli przez plac i zaczęli podnosić żagiel, mogliby dojść do wniosku, że należy nas zapytać, co robimy. A potem któryś poszedłby sprawdzić, czy na pewno mamy prawo stąd odjechać. A tak, od razu wiemy, że mamy.

Stig z namysłem pokiwał głową.

– Przebiegły z ciebie typ, co?

Gilan przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu przytaknął.

– Staram się.

Ishti przyprowadzili pojazd, a Hal szybko sprawdził ramę, linki i wszystkie łączenia, na wypadek gdyby ktoś grzebał przy nich podczas ich nieobecności. Wszystko wyglądało jak należy, więc chwycił fał i zaczął podnosić żagiel. Stig pospieszył mu na pomoc i po chwili wielki płócienny trójkąt rozłożył się z łoskotem. Ustawił się do wiatru przy wtórze łopotu płótna i skrzywienia takielunku. Hal uznał, że ustawił się idealnie i nawet nie trzeba będzie go popychać. Położył laskę na środkowym pręcie, po czym dał znak, by Stig i Gilan zajęli miejsca.

– Trzymajcie się – powiedział. Następnie wybrał szot, aż żagiel napiął się i wydał ze znajomym „łump!”. Koła powoli zaczęły się obracać, osie zaskrzypiały płacząco.

Początkowo pojazd trząsał się na nierównym podłożu, ale z czasem nabierał prędkości i jego ruch stał się gładki. Hal pociągnął za linki, sterując przednim kołem, kierując pojazd w głąb pustyni.

Obejrzał się przez ramię. Czerwono odzianych postaci nigdzie nie było widać. Ishti pełniący wartę na placu z zainteresowaniem przyglądali się osobliwej maszynie. Dziwny to był widok: pajęczna konstrukcja na kołach pędząca przez pustynię bez pomocy zwierząt pociągowych.

Żagłowiec jechał coraz szybciej, aż osiągnął prędkość równą koniowi w galopie. Dudnienie kół przeszło w ciche poskrzypywanie, a z tyłu wzniósł się jakże znajomy pióropus pyłu.

– Chyba wyjechaliśmy na prostą – stwierdził Hal, jeszcze raz oglądając się za siebie. Nikt nie podnosił alarmu.

Ishti wrócili do swoich zajęć. Hal spojrzął na słońce, by ustalić kierunek i ustawił żagłowiec na odpowiednim kursie. Poddał się rytmowi pojazdu, podskakującemu na twardym podłożu. Od czasu do czasu krzyczał do Stiga i Gilana, żeby się mocno trzymali i skręcał, by wyminąć skały, rozsypane po całej powierzchni pustyni, czy większe zagłębienie w terenie.

Mieli wiatr z boku i Hal regularnie zmieniał hals, wciąż utrzymując kurs na oazę. Teraz, kiedy już wydostali się z siedziby Skorpionów, odezwał się w nim strach o „Czapłę”. Shurmel powiedział, że posłał tam pięćdziesięciu ludzi z poleceniem zniszczenia lub zatopienia okrętu. A przeciwko nim garstka obrońców. Spojrzął na żagiel, odrobinę skrócił szot i poczuł, że koło się podnosi.

– Stig! – krzyknął.

Stig przesunął się w stronę koła, aż opadło pod jego ciężarem na twardą ziemię.

– Thorn nie dopuści do tego, by z „Czapłą” coś się stało! – zawołał do Hala, domyślając się, dlaczego tak przyspieszył. Hal kiwnął głową. Stig nie mógł odczytać wyrazu jego twarzy, bo była skryta pod kheffiyeh. Po przejechaniu kilku kilometrów zatrzymał pojazd i poprawił chustę, owijając ją ciasno wokół nosa i ust, by ochronić je przed pyłem i strzelającymi spod kół kamykami. Rozum podpowiadał mu, że „Czapla” znajduje się w dobrych rękach i jest bezpieczna. Thorn nie dałby się zaskoczyć bandzie pustynnych wojowników. Był na to zbyt przebiegły.

Ale rozum to jedno, a emocje – drugie. Hal podejrzewał, że pozbędzie się tego ucisku w żołądku dopiero wówczas, gdy znowu stanie na pokładzie „Czapli” i obejmie dowodzenie.

Zostawiali za sobą kolejne kilometry. Co godzina Hal zatrzymywał żagłowiec, by mogli rozprostować kości. Utrzymując równowagę, ciągle napinali mięśnie i byli cali obolali. Po drugim przystanku Hal doznał olśnienia i zaproponował, żeby Stig i Gilan po każdej przerwie zamieniali się miejscami. Dzięki temu będą używać innych partii mięśni i tak szybko się nie zmęczą. Gilan i Stig przyjęli pomysł z wdzięcznością. Dla Hala, rzecz jasna, nie było litości.

Turkot kół i chrzęst osiek, skrzywienie bambusowej ramy, wyginającej się pod wpływem ruchu, wszystkie te dźwięki po pewnym czasie zdawały się integralną częścią ich życia. Zostawiali za sobą kolejne kilometry, a słońce powoli schodziło coraz niżej nad zachodnim horyzontem.

Cienie się wydłużyły, świat dokoła zaczynał się zamazywać. Trudniej było dojrzeć skały, czy suche koryta strumieni, kilka razy Hal w ostatniej chwili wydawał ostrzegawczy okrzyk, ostro wymijając jaką przeszkodę. Nie dawała mu spokoju myśl, że zaraz rozwali koło o głaz czy wyrwę. Gdyby do tego doszło, mieliby poważny kłopot. Wyrzucił sobie, że nie zabrał zapasowego koła. Zostało jeszcze kilka przy rydwanach, które rozebrał do budowy żagłowca.

– Uwaga! Skręć w lewo! – głos Stiga wyrwał go z zamyślenia. Pociągnął lejce, jednocześnie poluzowując żagiel i pojazd gwałtownie skręcił, niemal cudem mijając brzeg wyschniętego koryta rzeki, które niespodzianie przecięło im drogę.

Serce Hala waliło jak młotem. Poluzował szoty i poczekał, aż pojazd zwolni. Jednostajny łomot kół zmienił się w nierówny głuchy turkot. W końcu żagłowiec całkiem wytracił prędkość i zatrzymał się. Żagiel i bom bezwładnie załopotwały na wietrze.

– Mało brakowało – powiedział Gilan. W jego głosie nie było pretensji. Wiedział, że kierowanie żagłowcem w takim terenie i przy gasnącym świetle musi być naprawdę trudne. I tak uważał, że Hal wspaniale sobie radzi.

A Hal opadł na oparcie siedzenia, szot i lejce leżały luźno na jego kolanach. Odsunął kheffiyeh, zacisnął palce na nosie, potarł zaczerwienione oczy.

– Przepraszam – powiedział. – Nie zauważyłem. Dobra robota, Stig.

Stig potrząsnął głową.

– To ty wykonujesz całą robotę. Robi się ciemno, coraz gorzej widać. Na pewno jesteś wykończony.

Hal zdobył się na uśmiech.

– Muszę przyznać, że prysznic z piachu i kamieni trochę różni się od bryzgów wody morskiej. Nie jest nawet w połowie tak orzeźwiający. – Dopiero teraz uświadomił sobie, jaki jest zmęczony. Spojrzał na Stiga. – Chcesz na chwilę przejść prowadzenie? – zapytał, ale Stig natychmiast potrząsnął głową.

– O nie! – odparł stanowczo. – Tylko ty potrafisz podejść tę swoją machinerię. Ja bym nie umiał tak jej wyczuć.

Hal musiał przyznać mu rację. Może powinien był wcześniej pomyśleć i zamieniać się ze Stigiem, by i on nauczył się kierować żaglądowcem. Zaraz jednak pomyślał, że przez całą drogę bardzo im się spieszyło, to nie były warunki sprzyjające nauce.

– Przejedziemy jeszcze kilka kilometrów, w wolnym tempie – powiedział. – A potem zatrzymamy się na nocleg. Po ciemku łatwo o wypadek. – Odetchnął głęboko i poruszał ramionami, by rozluźnić napięte mięśnie. Chciał odwrócić żaglądowiec, który miał teraz wiatr z przodu.

– Skręć w lewo i ruszamy – powiedział.

– Tylko powoli – upomniał go Gilan, zeskakując na ziemię. Hal posłał mu zmęczony uśmiech.

– Bardzo powoli – zgodził się.

Rozdział 47



Odgłosy rąbania było słychać przez kilka godzin, potem zastąpił je inny dźwięk – podobny, ale jednak nie ten sam. Czaple przysłuchiwały się niepewnie.

– Zbijają drewno – zawyrokował Jesper po chwili. – Ścięli drzewa, teraz coś budują.

Dźwięk nie ustał po zapadnięciu zmroku. Niebo rozświetlał blask ognisk palonych w oazie. Niepewność zaczynała wszystkim dawać się we znaki. Thorn niepokoił się o Lydię. Do tej pory powinna była zrobić rekonesans i wrócić.

– Myślisz, że ją złapali? – spytał Ingvar, wyczuwając, o czym myśli Thorn. On jednak potrząsnął głową.

– Nie sądzę. Jest naprawdę dobra.

– Ale już powinna być z powrotem – powiedział Ingvar. Spojrzał na halabardę opartą o maszt i dodał: – Mam ochotę jej poszukać.

Thorn odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

– Nie – powiedział ostro, ucinając wszelkie dyskusje. Widząc minę Ingvara, dorzucił bardziej pojednawczym tonem: – Jesteś duży i silny, a odkąd dostałeś od Hala te, jak je nazywacie, patrzalki, zmieniłeś się w prawdziwą bestię. Ale na pewno nie można powiedzieć o tobie, że potrafiś się zakradać.

Ingvar już miał zaprotestować, ale musiał przyznać Thornowi rację. Wojownik podjął:

– Powiedzmy, że do tej pory nie zauważyli Lydii, co jest najbardziej prawdopodobne, a ty nagle zjawisz się na brzegu. Zaraz ci usłyszą, czy zobaczą i złapią. Lydia poczuje się w obowiązku, by ci pomóc. A wtedy i ją złapią. Tego właśnie chcesz?

– Nie. Ale...

– Nie ma żadnych „ale”. Musimy zawierzyć umiejętnościom Lydii, która doskonale potrafi poruszać się w taki sposób, by nikt jej nie zauważył. Jeśli pójdziesz jej pomagać, możesz tylko zaszkodzić.

Niespodziewanie Thorn poparł Jesper. Położył rękę na ramieniu Ingvara.

– Thorn ma rację. Uwierz mi, nieraz robiłem takie rzeczy i łatwiej jest ukryć się w pojedynkę. Szczególnie – dodał z uśmiechem – jeśli ta druga osoba jest wielkim mięśniakiem, obdarzonym wdziękiem buszującego po plaży morsa.

Ingvar mimo woli musiał się uśmiechnąć. Opis Jespera był niezwykle plastyczny.

– Skoro tak to przedstawiasz... – zaczął, a Jesper skinął głową. Tak właśnie to przedstawiał. – ...to chyba lepiej zostanie. Ale to nie znaczy, że jestem zachwycony.

Thorn również pokiwał głową.

– Nikt z nas nie jest. Ale Lydia da sobie radę.

W tym samym momencie usłyszeli słaby plusk koło rufy i na nadburciu pojawiła się ręka.

– Lydia da sobie radę – odezwał się dziewczęcy głos – jak ktoś raczy podać jej rękę i wciągnąć ją na pokład.

Pobiegli na rufę. Ingvar przechylił się przez burtę, chwycił Lydię za ramię i jednym ruchem wciągnął ją i postawił na pokładzie, ociekającą wodą.

– Gdzieś ty się podziewała? – spytał Thorn, maskując troskę o Lydię udawaniem surowym tonem. – Czemu tak długo?

Przyjęła koc, który podał jej Edvin. Po zachodzie słońca szybko robiło się chłodno. Owinęła się, rogiem wytarła twarz i włosy. Uśmiechnęła się w podziękcie do Edvina i dopiero wtedy odpowiedziała:

– Uznałam, że najlepiej będzie poczekać z powrotem do zmroku. – Thorn kiwnął głową, niechętnie przyznając, że była to rozsądna decyzja. Lydia nie mogła darować sobie drobnej szpili: – No i chyba się udało. Żaden z was mnie nie zauważył, mam rację?

Thorn odkaslnął i próbował zignorować pytanie, zadając własne:

– No i co, dowiedziałaś się, co planują?

– Tak. Budują tratwy. Wygląda na to, że zamierzają dokonać rano abordażu.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, ale Thorn uniósł ręce, nakazując ciszę.

– Tratwy, powiadasz? A ile? I ilu żołnierzy przebywa teraz w oazie?

– Dokładnie nie wiem, ale jakichś czterdziestu-pięćdziesięciu. – Członkowie załogi powitali tę wiadomość okrzykami zaskoczenia. – Zdaje się, że budują pięć tratw.

– A dlaczego sądzisz, że zamierzają poczekać z atakiem do rana?

Wzruszyła ramionami.

– Zostało im jeszcze sporo pracy. A potem pewnie będą potrzebowali odpoczynku. Poza tym to konna, nie żeglarze. Przypuszczam, że wolą porywać się na wycieczkę tratwą w świetle dnia.

Thorn przez chwilę przetrawiał jej słowa, pocierając brodę.

– Brzmi sensownie – zawyrokował. – A więc mamy czas do świtu.

Lydia wzruszyła ramionami.

– Cóż, mogę się mylić. Musimy trzymać wartę. – Nie mogła sobie darować: – I to skutecznie, a nie tak jak przed chwilą, kiedy udało mi się niezauważenie podплыnąć pod samą „Czapłę”.

– Tak. Tak. Już wszyscy zrozumieli – powiedział Thorn z lekką irytacją.

Stefan zmarszczył brwi.

– A dlaczego po prostu nie podniesiemy kotwicy i nie odplyniemy? To chyba najprostsze rozwiązanie.

Wulfi i Jesper zgodnie mruknęli.

– Zapomniałeś, że Hal, Stig i zwiadowca nadal są na lądzie? – odparł Thorn. – Co będzie, jeśli odplyniemy, oni wrócą, a tu przywita ich oddział pięćdziesięciu wojowników?

Stefan zrobił strapioną minę i przestąpił z nogi na nogę.

– O... no tak. Zapomniałem.

– Tak czy inaczej – dodał Thorn – musimy się przygotować, być może będziemy musieli szybko wypłynąć w morze. Edvinie, przywiąż koniec cumy do boi, w razie konieczności po prostu wyrzucimy ją za burtę i później po nią wrócimy.

– Tak jest – odparł Edvin i zaczął rozglądać się za odpowiednim przedmiotem, który mógłby posłużyć za boję. Thorn popatrzył na pozostałych członków drużyny.

– Postawimy podwójną wartę. Wulfi i Jesper jako pierwsi. Trzy godziny, potem obudźcie Stefana i mnie. Reszta niech lepiej się wyśpi. Czeka nas pracowity ranek.



Hal poluzował szot. Żagiel opadł i pojazd powoli wytracił prędkość, koła coraz wolniej turkotały na nierównej powierzchni pustyni. Nie po raz pierwszy Hal podziękował w myślach budowniczym rydwanów, którzy przy konstrukcji kół wzięli pod uwagę trudne lokalne warunki.

Z cichym jękiem rozprostował plecy, rozciągając zeszywniałe mięśnie. Przez ostatnią godzinę mocno je napinał, wpatrując się w gęstniejący zmrok i szukając bezpiecznej drogi.

Ale wreszcie stwierdził, że dłużej tak jechać się nie da.

– Starczy, bo zaraz spadniemy w przepaść.

Gilan zsunął się ze swojego siedziska. Przez długą chwilę przypatrywał się pustyni za ich plecami, wypatrując pościgu. Niczego podejrzanego nie zauważył, ale gasnące światło i cienie rzucane przez wielkie skały, mogły dostarczyć jeźdźcom doskonałej kryjówki.

– Nikogo nie widać – powiedział.

– Tak czy inaczej, dalej nigdzie nie jedziemy – zawyrokował Hal. – A jeśli nawet ktoś nas ściga, w tych ciemnościach naraża się na takie samo niebezpieczeństwo jak my.

– Oczywiście – wtrącił Stig – być może wcale nikt nas nie ściga. Ten z bliznami chyba był zadowolony, że może się nas pozbyć.

– To prawda – zgodził się Gilan. – Ale i tak lepiej trzymajmy wartę. Hal, na pewno jesteś wykończony. Pracowałeś przez cały dzień. Idź spać. Ja stanę na straży, potem Stig mnie wymieni. Masz sześć godzin nieprzerwanego snu.

– Przyda się – stwierdził Hal. Zdjął koc z platformy, opuścił żagiel i zaczął go zwijać. Stig wyjął fał z jego ręki.

– Ja to zrobię – powiedział. – Odpocznij.

Hal nie zamierzał dyskutować. Rozłożył koc na ziemi i dosłownie osunął się na postanie. Przykrył się kocem i po kilku sekundach już spał. Gilan popatrzył na niego, potem na pajęczą ramę żagłodowca i z podziwem potrząsnął głową.

– To niezwykle młody człowiek – powiedział cicho.

Stig kiwnął głową.

– Wszyscy bardzo go podziwiamy – odparł. – Zabawne, bo zawsze był kimś w rodzaju wyrzutka. Z powodu pochodzenia, jest pół-Aralueńczykiem, mieszkańcy Hallasholmu traktowali go nieufnie.

– Ale ty nie – zauważył Gilan. Thorn opowiadał mu trochę o członkach załogi „Czapli”. Wszyscy byli niegdyś wyrzutkami, ale zwyciężyli w dorocznych zawodach drużyn. Stig spojrzał na Gilana, z namysłem wysuwając wargę.

– Uratował mi życie – powiedział po chwili. – Nie łączyła nas wtedy przyjaźń, ale zaryzykował dla mnie własne życie. Zrobiłbym dla niego wszystko.

Zwiadowca kiwnął głową.

– Całkiem dobry początek przyjaźni. – Potem rozpakował resztki skromnych zapasów i powiedział: – Zjedzmy i kładź się spać. Obudzę cię na zmianę warty.

Stig zawiął w niezbyt już świeży chleb kawałek solonej wieprzowiny i bezcennych pikli produkcji Edvina. Ze znużeniem kiwnął głową.

– Niesamowite, jak smakuje jedzenie, kiedy jest się naprawdę głodnym.

Sześć godzin później Stig delikatnie położył dłoń na ramieniu Hala. Ten otworzył oczy, przez chwilę nie wiedział, gdzie jest i co tu robi. A potem powróciło wspomnienie dzikiej jazdy przez pustynię. Usiadł na postaniu, przecierając oczy. Stig podał mu bukłak.

– Niestety, kawy nie ma – powiedział. – Gilan stwierdził, że palenie ognia byłoby zbyt ryzykowne.

– Pewnie miał rację – odparł Hal, ziewając. Wypił wodę, odrzucił koc, wstał, narzucił kubrak i zapiął pas. Ciężar miecza z jednej strony i ciężkiego noża z drugiej od razu dodał mu animuszu.

Przeciągnął się i podszedł do niewielkiego skupiska skał, na którym Stig i Gilan trzymali wartę i z którego było

dobrze widać okolicę. Powiódł wzrokiem dokoła, lecz nie dostrzegł niczego podejrzanego. Znowu ziewnął i usiadł. Stig już leżał na pościeli.

– Przynajmniej nie zasnę – stwierdził Hal, czując twardą skałę pod pośladkami.

Ale się pomylił. Mimo niewygody po godzinie zaczął przysypiać. Otrząsnął się, wstał i zaczął spacerować. Po chwili uznał, że dostatecznie się rozbudził i znowu usiadł. A po kilku minutach już spał.

Zbudził się gwałtownie, rozejrzał dokoła, pełen poczucia winy. Stig i Gilan nadal spali spokojnie. Na wschodzie ukazały się pierwsze smugi czerwieni. Nagle rozległ się alarmujący dźwięk – ciche parsknięcie konia. Hal odwrócił się. I zamarł.

Skupisko skał, na którym siedział, zapewniało dobry widok na rozciągającą się dokoła pustynię. I na jeźdźców, którzy zjawili się nagle, jakby wyrosli spod ziemi, i właśnie otaczali półkolem ich obozowisko.



Rozdział 48



Stefan i Jesper razem pełnili ostatnią wachtę. Kie dy świt rozlał się po niebie, Stefan potrząsnął ramieniem Thorn, który leżał oparty o maszt, opatulony w barani kaftan aż po czubki uszu.

– Nie śpię – powiedział. – Coś się dzieje?

– Pół godziny temu słyszeliśmy jakieś szelesty – odparł Stefan – i chyba głosy. Jakby próbowali mówić jak najciszej.

Thorn uśmiechnął się posępnie.

– Co zwykle gwarantuje, że cię usłyszą – stwierdził.

Wstał, przeciągnął się i przeszedł na dziób. Zdjął bukłak z wodą wiszący na Zadymiarzu, wyplukał usta i wypluł wodę. Potem, mrużąc oczy, powiódł wzrokiem wzdłuż plaży.

– Coś tam jest – powiedział, wyciągając rękę przed siebie. – Widzicie te ciemne kształty przy linii wody?

Stefan pobiegł wzrokiem we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, na brzegu majaczyły jakieś ciemne plamy, ale w szarym świetle świtu nie widział ich wyraźnie.

– Jak myślicie, co to?

– Przypuszczam, że tratwy, które widziała Lydia. Zamierzają spuścić je na wodę. Obudźcie resztę.

Nad wschodnim horyzontem pokazało się słońce – jakby wystrzeliło prosto w niebo. Zrobiło się jaśniej, plamy na plaży nabrały konturów. Było ich pięć. Każda wielkości mniej więcej cztery metry na trzy. Zrobiono je z wielkich łodyg bambusa. Usłyszał za sobą kroki pozostałych członków załogi.

– Przygotujcie broń – polecił cicho.

Wrócił na swoje miejsce pod masztem i przymocował maczugę do prawego ramienia. U pasa wisały miecz i nóż saksoński. Zastanawiał się nad tarczą, ale w końcu z niej zrezygnował. Chciał mieć obie ręce wolne.

Pozostali zebrali się dokoła Thorn, wpatrzeni w ciemne kształty na brzegu.

– Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z naszymi przewidywaniami – powiedział Thorn – być może będziemy musieli szybko się stąd zabierać. Edwinie, bądź gotów prędko zrzucić cumę i stanąć przy sterze. Stefan i Jesper, przygotujcie się do podniesienia żagla i wybrania szotów.

– A ja? – zapytał Wulf zaczepnym tonem. Te czynności zwykle należały do jego obowiązków.

– Ty razem ze mną i Ingvarem będziesz pilnował, by nie podpłynęli za blisko – odparł Thorn. Zaraz po nich Wulf był najlepszym wojownikiem w załodze.

– Mam strzelać z Zadymiarza? – spytała Lydia.

Thorn potrząsnął głową.

– Nie na wiele by się zdał w przypadku tratw z bambusa. Pewnie pociski rozbityby jedną czy dwie łodygi, ale nie całą tratwę. Poza tym Ingvar nie będzie mógł go ładować. Chcę, by zajął się tymi, którzy będą próbowali dokonać

abordażu. Strzelaj z atlatlu.

Lydia zmarszczyła brwi.

– Mam tylko sześć strzałek – powiedziała. Sporo straciła w poprzedniej bitwie.

– W takim razie używaj ich rozważnie – odparł Thorn. Rozejrzał się dokoła i jego wzrok padł na Kluf, leżącą z łbem wspartym na łapach, bacznie w niego wpatrzoną. Jak zwykle pod nieobecność Hala przywiązali ją do metalowego pierścienia zamocowanego w pokładzie. – A, odwiążcie Kluf. Nawet jeśli ktoś zdoła przedostać się na „Czapłę”, Kluf będzie naszą drugą linią obrony.

– To dopiero linia – stwierdził Wulf z szerokim uśmiechem.

Thorn popatrzył na niego. Od kilku dni Wulf był w zdecydowanie lepszym humorze. Jak twierdził, czuł, że brat odzyskuje zdrowie i siły. Thorn mógł się tylko cieszyć. Nie chciał, by troska o Ulfa rozpraszała go podczas nadchodzącej walki.

– Thorn? – To był Edvin. Patrzył na jakiś punkt na brzegu. Thorn odwrócił się, by sprawdzić, co przyciągnęło jego uwagę. Pozostali również podeszli do burty.

– Oto oni – powiedział Jesper.

Spomiędzy drzew wychynęła gromada mężczyzn, którzy po chwili podzielili się na grupy po sześciu i ruszyli w stronę plaży.

– Zachowajcie spokój – zarządził Thorn. – Niech myślą, że nas zaskoczyli.

Wojownicy Ishti dobiegli do tratw i zepchnęli je na wodę, po czym wsiedli po sześciu na każdą. Ujęli wiosła i zaczęli płynąć. Niezgrabne tratwy posuwały się powoli po marszczącej drobnią falą powierzchni wody. W pewnym momencie się rozdzieliły.

– Dwie kierują się na lewą burtę. Dwie na prawą. Jedna na dziób – stwierdził Thorn. Jedna z tratw, płynących na prawą burtę, oddaliła się od pozostałych. Widocznie siedzący na niej Ishti byli obdarzeni większym talentem wiosłarskim od swoich towarzyszy. Błąd, pomyślał Thorn. Wszystkie tratwy powinny dopłynąć dokładnie w tym samym momencie i wspólnie rozbić siły obrony.

– Wulf, Jesper, na dziób. Ingvar i Edvin, lewa burta. Ja zajmę się tymi z prawej.

Mężczyźni zauważyli ruchy na pokładzie i uznali, że dłużej nie muszą zachowywać ciszy. Zaczęli wrzeszczeć – może były to okrzyki wojenne, a może próbowali wzajemnie dodać sobie animuszu. Thorn uśmiechnął się ponuro.

– Bardzo mądrze, dalej marnujcie siły. Nam w to graj – powiedział. Przeniósł wzrok na brzeg. Stało tam trzech mężczyzn, którzy dopingowali wiosłarzy.

– Do ataku! – krzyknął ten w środku, zapewne dowódca. – Zabić intruzów! Co do jednego!

Jego głos wyraźnie niósł się po wodzie. Wiosłarze odpowiedzieli chórem dziarskich okrzyków i zaczęli machać wiosłami ze zdwojoną siłą. I, jak to często w takich przypadkach bywa, stracili rytm i zapomnieli o technice.

– Szybciej! Szybciej! – wrzeszczał dowódca. – Żadnych jeńców! Wybić wszystkich!

Mówił we wspólnym języku, co wydało się Thornowi nieco dziwne. Ale łatwo dawało się wytłumaczyć. Wojownicy Ishti pochodzili z kilku różnych plemion, a każde z nich posługiwało się własnym dialektem. Podczas bitew wydawano rozkazy we wspólnym języku – by uniknąć zamieszania.

Co akurat tego dnia niewiele pomogło.

Pierwsza tratwa otarła się o prawą burtę „Czapli”. Jeden z Ishti chwycił się nadburcia i przyciągnął tratwę bliżej. Już miał wdrapać się na pokład, gdy ku jego przerażeniu nad burtą pokazał się jednoręki wojownik. Wystarczył jeden ruch potężnej maczugi i mężczyzna padł bezwładnie na tratwę. Zakołysała się gwałtownie, któryś z napastników wpadł do wody. Panicznie łapiąc powietrze, chwycił się brzegu tratwy i próbował się podciągnąć, przez co tylko jeszcze mocniej ją rozbujał. Kolejny wiosłarz stracił równowagę, zatoczył się, machając ramionami w powietrzu. Miecz Thorna trafił go w sam środek piersi. Mężczyzna wpadł do morza, nawet nie zdążył pisnąć.

Tratwa, niebezpiecznie przechylona na bok, powoli zaczęła oddalać się od burty. Czterej pozostali Ishti

gorączkowo chwycili za wiosła.

W tym samym momencie o prawą burtę uderzyła kolejna tratwa, i jeszcze jedna o dziób. Wulf, Jesper i Stefan powitali jej pasażerów ciosami mieczy i toporów.

– Zaczekajcie, aż zaczną wchodzić na pokład! – zawołał Wulf. – A wtedy walcie, czym tylko się da!

I wkrótce nastąpił ten odpowiedni moment – dosłownie ułamek sekundy, kiedy napastnicy zaczęli wspinać się po burcie i byli szczególnie słabi. Członkowie załogi skwapliwie go wykorzystali. Czterech wojowników spadło do wody. Dwóch próbowało dostać się na tratwę. Ciała dwóch pozostałych uniosły się na powierzchni, twarzą w dół, ciągnąc za sobą złowieszcze smugi czerwieni.

Podpłynęła kolejna tratwa – tym razem do lewej burty. Ingvar wydał z siebie straszliwy okrzyk wojenny i zamachnął się halabardą. Ostrze świsnęło w powietrzu niczym atakująca kobra i trzej Ishti odpadli od burty. Ale tymczasem do „Czapli”, zdecydowanie bliżej rufy, dobiła jeszcze jedna tratwa i dwaj wojownicy bez przeszkód wdrapali się na pokład.

Jeden z nich dalej nie dotarł, bo w tym momencie w powietrzu świsnęła ciężka strzałka i trafiła go w pierś. Osunął się bezwładnie i padł między ławki wiosłarskie. Drugi mężczyzna, widząc to, zamierzył się z okrzykiem na Ingvara, który stał tyłem do niego, zataczając halabardą wielkie koło, niczym toporem.

Ingvar nie usłyszał tego krzyku i nie zauważył zagrożenia, Lydia zaś dopiero ładowała kolejną strzałkę. Ale nagle przez pokład przecwałowała czarno-biało-brązowa plama i z całej siły walnęła w wojownika, który runął na pokład, wrzeszcząc z przerażenia.

– Dobry piesek! – zawołała Lydia, opuszczając atlatl.

Ishti jakimś cudem zdołał umknąć szczerzącej kły Kluf, nie tracąc czasu na kontratak, przelazł przez burtę i skoczył, z nadzieją, że pod spodem czeka tratwa.

Ale nie czekała. Wojownik, odziany w ciężką kolczugę, przeciął powierzchnię wody z głośnym pluskiem i więcej się nie wynurzył. Został po nim tylko wir wzburzonej wody. Kluf, mocno zirytowana jego nagłym zniknięciem, oparła łapy o nadburcie i szczekała jak szalona.

Druga tratwa przy lewej burcie na razie nie poniosła większych szkód. Dowódca grupy wskazał na rufę, gdzie nie czekał żaden obrońca, i wydał rozkaz. Ishti przyciągnęli tratwę bliżej burty i zaczęli się wdrapywać. Jeden, trafiony strzałką, natychmiast odpadł. Ale pozostali czterej zdołali wdrapać się na pokład i ruszyli w stronę Lydii, która czekała na nich z wyzywającą miną – mając jedynie sztylet do obrony.

Nagle rozległ się głos dowódcy, głośny i wyraźny:

– Odwrót! Odwrót! To pułapka! Wracamy na brzeg!

Mężczyźni zawahali się. Dziewczyna stała tak blisko i wyglądała tak krucho i niegroźnie. I być może uznali, że coś musi się za tym kryć – bo w tym momencie dowódca powtórzył:

– To pułapka! Uciekajcie!

Jak jeden mąż odwrócili się, zeskoczyli na tratwę, chwycili wiosła i zaczęli płynąć w kierunku brzegu. Mężczyźni na pozostałych tratwach również usłyszeli ostrzeżenie i zaczęli wycofywać się w panice.

Thorn rozejrzał się dokoła, zdumiony.

– Co się dzieje?

Stojący na brzegu dowódca na widok rejterujących wojowników o mało nie dostał apopleksji.

– Co wy wyprawiacie? Do ataku! Przecież mówiłem!

Nagle ten sam głos znowu zawołał:

– Odwrót! Odwrót! To pułapka!

Thorn powiódł wzrokiem dokoła. Stefan stał na dziobie, dłonie zwinął w trąbkę wokół ust. I jeszcze raz zawołał, idealnie naśladowując głos dowódcy:

– Wracać na ląd! To pułapka! Uwaga! Rekiny!

To ostatnie słowo przesądziło o dalszym przebiegu zdarzeń. Ishti zaczęli jeszcze szybciej machać wiosłami i

dopłynęli do brzegu w rekordowym czasie.

A tam już czekał na nich wściekły dowódca. Waląc żołnierzy po twarzach i wymachując włócznią, wrzeszczał:

– Tchórze! Idioci! Co wy najlepszego wyprawicie!

Stefan przez chwilę przyglądał się z zainteresowaniem tej scenie, po czym znowu krzyknął głosem dowódcy:

– Nie słuchajcie! To uzurpator! Zabić go!

A potem wybuchnął śmiechem. Wulf i Jesper z uznaniem pokleпали go po plecach. Thorn podszedł do nich i powiedział:

– Dobra robota. Wiedziałem, że kiedyś się na coś przydasz.

Ingvar i Lydia dołączyli do reszty drużyny.

– Chyba mają dosyć – stwierdziła Lydia.

Thorn kiwnął głową, ale zmarszczył czoło.

– Drugi raz to nie podziała. Mało brakowało. Przy kolejnym ataku lepiej bądźmy gotowi, by w razie czego natychmiast odpłynąć.



Rozdział 49



Przez krótką chwilę Hal rozważał ucieczkę. Ale nim zdążyliby postawić zwinięty na noc żagiel, jeźdźcy już byliby na miejscu.

Hal wyrzucił sobie, że zasnął i naraził towarzyszy na niebezpieczeństwo.

– Gilan, Stig! – krzyknął zrozpaczonym głosem. – Obudźcie się. Mamy gości.

Stig i zwiadowca momentalnie otrząsnęli się ze snu. Byli doświadczonymi wojownikami, potrafili w razie zagrożenia stanąć do walki bez względu na okoliczności. Odrzucili koce i zerwali się na równe nogi. Milczący krąg jeźdźców zamykał się dokoła obozowiska. Gilan chwycił łuk, wyciągnął strzałę z kołczanu i umieścił ją w cięciwie. Na szczęście wcześniej ją naciągnął – zwiadowcy zawsze tego pilnowali na obcym terytorium. Jak mawiał jego nauczyciel: „Nienaciągnięty łuk to tylko kawałek drewna”.

Stig chwycił topór leżący obok postania i stanął w postawie obronnej, lewą dłoń ujmując stylisko tuż pod lśniącą głowicą.

– Chyba pomyliliśmy się co do pana Blizny – powiedział cicho. Dziki uśmiech przemknął po jego twarzy. – Cóż, jeśli nas zaatakują, zrobi się ich trochę mniej.

Hal uważnie przyglądał się jeźdźcom. Znajdowali się w odległości zaledwie kilkunastu metrów, a nadal nie odezwali się ani jednym słowem. Na oko było ich sześćdziesięciu-siedemdziesięciu. Zdał sobie sprawę, że ich trójka nie ma szans.

Jeźdźcy zatrzymali się. Ciszę przerywało tylko pobrzękiwanie uprzęży i skrzypienie skóry. Stojący pośrodku dowódca odwinął poły kheffiyeh, zarzucił je na plecy i zapytał:

– Kim jesteście? I co tu robicie?

Głos wydał się Gilanowi dziwnie znajomy. Zwiadowca opuścił łuk i zrobił kilka kroków do przodu, bacznie wpatrując się w dowódcę. Czy człowiek Shurmela, wysłany za nimi w pościg, zadawałby takie pytania?

W coraz jaśniejszym świetle poranka dostrzegł, że wszyscy jeźdźcy mają na sobie kheffiyeh w biało-żółtą kratkę. Ten szczegół naprowadził go na właściwy trop.

– Umar? – zapytał. – Umar ibn Talud, aseikh bedulińskiego plemienia Khoresh. Zgadza się?

Jeździec pochylił się w siodle, popędził konia, by przyjrzeć się zwiadowcy. Pozostali jeźdźcy również ruszyli do przodu, ale powstrzymał ich machnięciem ręki. Podjechał na odległość trzech kroków od zwiadowcy i zatrzymał się.

Hal wyraźnie widział jego twarz. Pokażny haczykowaty nos był kiedyś złamany. Ciemne, niemal czarne oczy patrzyły świdrująco. Wyraz zdumienia nagle ustąpił szerokiemu uśmiechowi. Pośród ciemnej brody błysnęły białe zęby.

– Gilan, przyjacielu! – wykrzyknął. – Co ty tutaj robisz?

Zeskoczył z konia i porwał Gilana w objęcia. Jako że był dość potężnym mężczyzną, drobny Gilan dosłownie znikł w jego niedźwiedzim uścisku. Zagrział tubalnym śmiechem, odsunął Gilana od siebie, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Tak! To ty! Chwała Najwyższemu!

Ledwo Gilan zdążył odzyskać oddech, beduliński przywódca znowu zmiął go w ramionach. Jeźdźcy wymienili zdezorientowane spojrzenia. Na niektórych twarzach pojawiły się uśmiechy – kilku z nich również rozpoznało zwiadowcę.

W końcu Gilan zdołał uwolnić się z uścisku. Odsunął się na bezpieczną odległość. Umar, rozradowany nieoczekiwanym spotkaniem ze starym przyjacielem, jeszcze kilka razy próbował okazać mu swe uwielbienie, ale Gilan robił skuteczne uniki. Pospiesznie wskazał na swoich towarzyszy, którzy przyglądali się owej scenie z dość zdziwionymi uśmiechami na twarzy.

– Aseikhu – powiedział Gilan, używając bedulińskiego tytułu – oto moi przyjaciele, Hal i Stig ze Skandii. Chłopcy, oto Umar, przywódca Bedulinów.

– Skandianie! – radośnie wrzasnął Umar, potrząsając dłońmi młodzieńców. – Znam dobrze waszego oberjarla. Oberjarl Erak! Wspaniały człowiek! Wiecie, że wyrwałem go ze szponów Tualegów? Całkiem sam?

– Naprawdę? – powiedział Hal z uśmiechem. Słyszał co nieco na temat historii porwania i uwolnienia Eraka.

Umar teatralnym gestem położył dłoń na piersi.

– Naprawdę! Całkowicie sam! – oznajmił.

Gilan lekko odkaslnął.

– Chyba jednak z niewielką pomocą, Umarze? – zasugerował.

Potężny Bedulin pokręcił głową.

– Tak, oczywiście, zwiadowca Gilan też tam był. I zwiadowcy Will i Halt. A, no i wielki aralueński wojownik Horace i piękna księżniczka Evanlyn. A także wasz krajan Svengal. Ale nie licząc ich pomocy, poradziłem sobie całkiem sam.

– I nie licząc pomocy stu dwudziestu wojowników – dodał Gilan, wskazując krąg jeźdźców. Niektórzy z nich otwarcie śmiali się z przechwałek Umara.

– No, oczywiście. Stu dwudziestu wojowników! Nie zapominajmy o nich – zgodził się Umar. – Ale to była gwardia ceremonialna. Żaden aseikh nie wybiera się w drogę bez swojej świty. Podkreślam, pomijając te skromne liczby, dokonałem owego wyczynu całkiem sam!

– W moim kraju nadal sławią twoje imię – powiedział Stig, uśmiechając się od ucha do ucha. Umar skłonił się z fałszywą skromnością.

– Nie mam nic przeciwko, przyjacielu. Powiedz mi, jak tam oberjarl Erak?

– Nieco gruby i bardzo głośny – odparł Stig.

Umar z namysłem szarpnął brodę.

– A więc nic się nie zmienił? – Wymienili uśmiechy. Potem klasnął w ręce i zapytał rzeczowym tonem: – Ale powiedzcie, przyjaciele, co was sprowadza na pustynię? I co to za niezwykły pojazd?

– Pojechaliśmy pod Górę Skorpiona, spotkaliśmy się z Shurmelem, przywódcą sekty morderców – odparł Gilan. – Zawarto umowę tolfah przeciwko księżniczce Evanlyn. – Celowo użył imienia, którym posługiwała się księżniczka podczas misji ratowania Eraka. – Król przysłał mnie tutaj, bym rozwiązał umowę.

Brwi Umara mocno się ściągnęły.

– Paskudna sprawa. Któż może pragnąć śmierci tak pięknej i szlachetnej damy?

– Iqbal, brat zdradzieckiego Yusala – odparł Gilan. – Chciał zemsty i zawarł umowę z Sektą Skorpiona.

– Ale rozumiem, że udało ci się zlikwidować umowę? Jak to możliwe? Sądziłem, że kiedy raz zostanie zawarta, nie można tego zmienić.

– Zabiłem przywódcę Skorpionów – odparł spokojnie Gilan. Umar popatrzył na niego, pokiwał głową.

– I bardzo dobrze, przyjacielu. Ta sekta jest prawdziwym przekleństwem. Już dawno temu ktoś powinien był przytrzeć im nosa. – Znowu zmarszczył brwi. – Ale słyszałem, że Shurmel był potężnym wojownikiem?

Gilan wzruszył ramionami.

– Na pewno dużym. Jednakże nieszczególnie sprawnym – rzucił lekko. – Ale powiedz, Umarze, co tu robisz? Przekroczyłeś granicę Arydii.

Umar prychnął.

– Granice to tylko linie na mapie. Prawdziwi nomadzi nic sobie z nich nie robią. Doszły nas słuchy o niezwyklej machinie, mknącej po pustyni bez pomocy zwierząt pociągowych. – Ruchem głowy wskazał żagłowiec stojący kilka metrów dalej. – Domyślam się, że to właśnie ona?

Gilan uśmiechnął się.

– Istotnie. Zbudował ją ten oto młodzieniec. – Wskazał na Hala. Umar przyjrzał się młodemu Skandianinowi z szacunkiem i zainteresowaniem.

– Doprawdy? Chciałbym zobaczyć ją później w ruchu. – Nagle jego twarz zasnuł cień. – Ale jestem tutaj z jeszcze jednej przyczyny. Moi szpiedzy donieśli, że spory oddział wojowników opuścił Górę Skorpiona i zmierza przez pustynię w stronę morza.

Jego mina i ton głosu nie pozostawiały wątpliwości co do uczuć, jakimi darzył wojowników Ishti.

– Zdaje się, że nie przepadasz za żołnierzami Shurmela? – zauważył Hal.

Umar posępnie kiwnął głową.

– To źli ludzie na usługach złego pana. Sekta Skorpiona od wielu lat jest nam solą w oku. Ale za każdym razem, kiedy próbujemy się z nimi rozprawić, znikają w środku góry, w labiryncie grot i korytarzy. Teraz pomyśleliśmy, że to dobra okazja, by przynajmniej z częścią spotkać się na otwartej przestrzeni i dać im nauczkę.

Gilan i Skandianie wymienili spojrzenia. Gilan powiedział:

– Cóż, tak się składa, że wiemy, gdzie możesz ich znaleźć. To tylko kilka godzin drogi stąd. Pojechali do Ephesy, chcą zniszczyć naszą łódź.

Na śniadej twarzy Umara pojawił się uśmiech.

– A więc odcięliśmy im drogę do ich siedziby? – powiedział. – Interesujące. Myślę, że moglibyśmy złożyć im wizytę i uświadomić, że niepotrzebnie wytykali nosy ze swojej górskiej kryjówki.

– Z przyjemnością będziemy wam towarzyszyć – powiedział Gilan.

Umar zrobił smutną minę.

– Obawiam się, że nie możemy dać wam koni, przyjacielu. Musimy się spieszyć, a mamy tylko te, na których siedzimy i po jednym na zmianę.

Gilan z uśmiechem wskazał na żagłowiec.

– Mamy własnego wierzchowca. Nigdy się nie męczy, nie trzeba go zmieniać ani zatrzymywać się na popas.

– Naprawdę? – Umar uniósł brew, uśmiechnął się. – Dawno temu nauczyłem się, że słowom zwiadowcy zawsze można wierzyć. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tę wspaniałą maszynę w ruchu.

– Tylko zachowajcie odpowiednią odległość – poradził Gilan. – Strasznie kurzy.



Rozdział 50



*K*iedy słońce wspięło się wyżej i ziemia zaczęła się nagrzewać, wiatr zmienił kierunek. Edvin i Jesper przesunęli linę kotwiczną na rufę, tak by łódź nadal stała skierowana dziobem w stronę lądu. Thorn, z nogą wspartą o nadburcie, obserwował, co się dzieje na brzegu. Niektóre tratwy zostały poważnie uszkodzone podczas pierwszego ataku. Poluźniły się liny, pogubiły wiosła. Wojownicy Ishti pod bacznym okiem dowódcy wiązali bambusowe łodygi i ciosali wiosła z mniejszych kawałków drewna.

Robili wrażenie raczej przybitych. Obca łódź zdawała się z nich szydzić, kotysała się na falach zaledwie pięćdziesiąt metrów od brzegu, ani odrobinę nieporuszona próbą ataku. A oni stracili kilku towarzyszy.

Dowódcy łatwo było ich obwiniać i wyzywać od tchórzy i patalachów. Ale on nie musiał mierzyć się ze straszliwym żeglarzem, który zamiast jednego ramienia miał śmiercionośną maczugę. Albo z tym olbrzymem o ciemnych oczodołach, machającym dziwnym włócznio-toporem. Po czasie zrozumieli, że podstępem zwabiono ich z powrotem na brzeg. Prawdę mówiąc, żaden z nich wcale tego nie żałował. I żaden nie palił się do kolejnego ataku. Owszem, obcych była zaledwie garstka, lecz byli to bardzo sprawni i bezlitośni wojownicy. No i mieli do pomocy tego potwornego psa i dziewczynę, której strzałki zawsze trafiały do celu.

Dlatego Ishti guzdrali się jak tylko mogli, a gdzieś tam nawet specjalnie poluzowali wiązania zamiast je zaciągnąć. Dowódca chodził między nimi, podejrzliwie sprawdzał wyniki pracy i wyzywał za tchórzostwo i spartaczoną robotę.

Bez końca jednak nie mogli odwlekać nieuniknionej chwili. W końcu dowódca uznał, że tratwy są gotowe. Machnął ręką w kierunku wody i wydał rozkaz. Wojownicy niechętnie chwycili tratwy i ponieśli je na brzeg.

– O, ruszyli się! – zawołał Thorn. – Edvin, przygotuj się do zrzucenia liny, potem idziesz na ster. Jesper i Stefan, podnosicie żagiel... – Urwał, spojrzał na wskaźnik wiatru. – Lewy. Wulf, stań przy szotach. Kiedy znajdą się na wodzie, ruszamy i robimy zwrot w lewo. I zwracamy. Lydia, Ingvar, tym razem strzelacie z Zadymiarza. Rozbijcie tratwy, mierzcie w ludzi. A czego nie zdołacie rozwalić, staranujemy.

Wszyscy w milczeniu pokiwali głowami. Omówili ten plan wcześniej, czekając, aż Ishti złączą akcję. Kiedy pierwsza tratwa znalazła się na wodzie, Lydia zajęła miejsce przy Zadymiarzu. Ingvar pochylał się, chwycił lewary i naciągnął cięciwę. Na pierwszy strzał wybrali jeden z pocisków, zakończonych glinianą główką, która rozlatywała się przy zderzeniu z obiektem. Ingvar wsunął belt w rowek, po czym chwycił dźwignię i poruszył nią w tę i z powrotem, by upewnić się, że kusza swobodnie obraca się na platformie.

Thorn przeszedł do przodu, stanął tuż za masztem i spojrzał w prawo. Tratwy zaczynały odpływać od brzegu. Ale poruszały się bardzo powoli, widać było, że Ishti nie palą się do kolejnej walki.

– Gotowi... – zaczął, lecz nagle urwał. Zmarszczył brwi. Zauważył, że Kluf, która przez cały czas leżała obok masztu, teraz usiadła. Nastawiła uszu i przekrzywiła łeb na bok, uważnie nasłuchując.

Po chwili on też to usłyszał: tętent końskich kopyt na twardo ubitym piachu. Spomiędzy drzew wynurzył się oddział jeźdźców i skierował się w stronę plaży. Thorn policzył szybko i stwierdził z przerażeniem, że jest ich co najmniej siedemdziesięciu.

– Posiłki – wyszeptał.

Wulf spojrzął na niego.

– Nie damy rady takiej liczbie.

Wszyscy uświadamiali sobie aż za dobrze, że Stig, Hal i Gilan nadal przebywają gdzieś w głębi lądu – i nigdy nie zdołają przebić się przez tę masę jeźdźców.

Nagle Lydia wyciągnęła rękę nieco w lewo od oazy.

– Patrzcie! To oni! Hal i Stig!

Ich oczom przy wtórze terkotu kół ukazał się żagłowiec, pędzący z maksymalną szybkością, trochę przechylony, bo lewe koło oderwało się od ziemi. W pewnej chwili koło znów uderzyło w podłoże – Hal wykonał zwrot, a żagiel z łopotem wypełnił się wiatrem. Żagłowiec pomknął przez plażę prosto na spanikowanych Ishti.

I w tym momencie Thorn uświadomił sobie, że oddział jeźdźców to nie są posiłki przysłane przez Shurmela. Jeźdźcy rzucili się do ataku na Ishti. Wpadli między nich w pełnym cwale, wymachując lancami i wygiętymi mieczami. Wojownicy Shurmela próbowali stawiać opór, ale wzięto ich z zaskoczenia – a połowa już siedziała na tratwach.

Thorn usłyszał paskudny dźwięk wystrzelonego pocisku z Zadymiarza. Śledził wzrokiem lecący belt, który trafił w pierwszą z tratw, wprowadzając pod kątem, ale sama siła ciosu wystarczyła, by strzaskać glinianą główkę i posłać twarde odłamki pomiędzy Ishti. Drzewce obróciło się w powietrzu nad pokładem i trafiło sternika w udo, tuż nad kolanem. Mężczyzna krzyknął, woda wokół tratwy zabarwiła się krwią. Ingvar już ładował kolejny pocisk. Thorn z westchnieniem oparł się na rękojeści miecza.

– Chyba nie ma dla mnie nic do roboty – mruknął. – W takim razie sobie popatrzę.



Hal przesunął wzrokiem wzdłuż plaży.

Wojownicy Ishti rozbiegli się na wszystkie strony, uciekali i padali pod ciosami Umara i jego Bedulinów, wyrąbujących krwawą ścieżkę w ich szeregach. Atak był całkowitym zaskoczeniem. Trzej stojący z boku mężczyźni wykrzykiwali rozkazy w kierunku żołnierzy na plaży i tych na tratwach, które powoli odpływały od brzegu.

– Trzymajcie się! – krzyknął Hal do Stiga i Gilana. Ze zdeterminowaną miną zrobił gwałtowny zwrot, ściągnął szot i poprowadził żagłowiec wprost na tych trzech. Koła kręciły się na ubitym piasku, pojazd nabierał coraz większej prędkości.

Dowódca Ishti niczego nie zauważył, zbyt pochłonięty wyzywaniem swoich ludzi od najgorszych. Próbował zmusić ich do obrony, ale ci, którzy jeszcze nie poplegli pod ciosami bedulińskich lanc i mieczy, rzucali broń na ziemię i podnosili ręce w geście poddania. Nagle jeden z jego towarzyszy pociągnął go za rękaw.

– Kapitanie! Spójrz!

Dowódca odwrócił się i na widok dziwnego pojazdu, pędzącego prosto na niego, zamarł z przerażenia.

Sekundę później żagłowiec uderzył w ich grupę. Mężczyźni runęli na ziemię jak kręgle. Delikatna konstrukcja nie przeżyła siły uderzenia. Główna oś złamała się zaraz za przednim kołem. Maszt pod wpływem gwałtownego hamowania wygiął się do przodu i pękł. Górna część opadła do tyłu, ciągnąc za sobą masę płótna i lin. Gilan i Stig spadli na ziemię, przetoczyli się, by zamortyzować upadek. Halem rzuciło do przodu i wylądował obok złamanej osi, dosłownie o parę centymetrów unikając uderzenia głową o żelazne okucie koła. Pęknięty koniec

bambusowego pręta wyrzył głęboką szramę w jego czole.

Hal podniósł się, cały zakrwawiony, i popatrzył na szczątki żagładowca. Gilan i Stig również wstali i podeszli do niego.

– Nic ci się nie stało? – spytał Stig. Hal ze zdumieniem odwzajemnił jego zatroskane spojrzenie.

– A dlaczego?

– Bo masz pełno krwi na twarzy.

Hal kiwnął głową, lekko chwiejąc się na nogach, i otarł twarz skrajem kheffiyeh.

– O... rzeczywiście. Nie zauważyłem. Chyba rozwalilem żagłowiec.

– Z pewnością rozwalileś grupę dowodzącą – stwierdził Gilan, wskazując rozrzucone na ziemi ciała.

– Sami się prosili. – Hal wzruszył ramionami.

Walka na plaży dobiegła końca. Jedna trzecia wojowników Ishti poległa bądź doznała ran. Pozostali poddali się bez wahania. Tratwy powoli wróciły na brzeg, wojownicy odrzucili broń i brodząc w wodzie, wyszli na plażę. Hal zobaczył, że u burt „Czapli” wysunęły się cztery wiosła. Zaczęły podnosić się i opadać. Kiedy łódź dotknęła piasku dziobem, Stefan zeskoczył na brzeg z kotwicą. Pozostali członkowie załogi szybko wyskoczyli za nim i pobiegli w stronę towarzyszy. Kluf, o której w zamieszaniu wszyscy zapomnieli, szczekała jak szalona, w końcu skoczyła do wody i dopłynęła do brzegu. Wytrząsnąwszy z futra kilka galonów morskiej wody, popędziła w stronę Hala, dopadła go przed pozostałymi i zwała na ziemie pełnym czułości powitaniem.

Hal podniósł się i zobaczył przed sobą Umara. Na jego twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Wspaniale! – wykrzyknął Bedulin. – Nareszcie daliśmy im nauczkę. Prędko tej lekcji nie zapomną. – Nagle jego wzrok padł na Kluf. – Co to jest? – zapytał niepewnie. – Jakiś kuc rasy skandyjskiej?

– To mój pies, Kluf – odparł Hal. Kluf, wyczuwając w Umarze sprzymierzeńca, podeszła do niego, machając ogonem i polizła jego dłoń.

– Lubi cię – stwierdził Stig.

Umar zrobił minę pełną powątpiewania.

– Odnoszę wrażenie, że raczej mnie próbuje. Co ten... kucopies jada?

Stig, Hal i Thorn, który właśnie do nich podszedł, wymienili szerokie uśmiechy i odparli chórem:

– Wszystko, na co tylko przyjdzie jej ochota!

Hal objął Thorna na powitanie, a potem przedstawił Umarowi pozostałych członków drużyny. Z zaciekawieniem przyglądali się dowódcy Bedulinów. Wszyscy, za wyjątkiem Lydii, słyszeli opowieść o odbiciu Eraka z rąk Tualegów. Bedulini odegrali znaczącą rolę w bitwie, która się wówczas rozegrała.

Lydia stanęła w połowie drogi między Halem a Stigiem, zawahała się, wykonała bezradny gest. Nie mogąc się zdecydować, którego najpierw uściskać, postanowiła nie ścisnąć żadnego, tylko powiedziała głosem napiętym od tłumionych emocji:

– Wróciliście. Cali i zdrowi. – Nagle zauważyła krew ciekącą po twarzy Hala spod zastępczego opatrunku, który zrobił z kheffiyeh i nieco pobladła. – Co ci się stało?

Hal już miał odpowiedzieć coś w stylu: „To nic. Drobne zadrapanie”, jak na rannego bohatera przystało, ale w porę ugryzł się w język. Wydał z siebie żaloszny jęk i przycisnął ręce do głowy.

– Boli! Bardzo boli!

W pierwszej chwili Lydia dała się nabrać. Zrobiła krok w stronę Hala, lecz na widok uśmiechu, który wbrew jego woli wykrzywił umazaną krwią twarz, cofnęła się i warknęła gniewnie:

– Idź wyplakać się do mamusi! – I poszła sobie przy wtórze rechotu całej załogi.

Umar przyjrzał mu się jeszcze raz, przekrzywiając na bok głowę.

– Wy, Skandianie, macie dziwne pojęcie o pięknie – powiedział w końcu.

Gilan nadzorował wojowników Ishti, którzy ustawili się w zwartą grupkę pod czujnym okiem ludzi Umara, którzy następnie związali im ręce i spętali nogi, by nikt nie próbował ucieczki. Gilan ujął Umara pod ramię i wziął

go na bok.

– Umar, wspominałeś, że kiedyś próbowaliście zaatakować siedzibę sekty – zaczął.

Aseikh przytaknął ze skwaszoną miną.

– Owszem. Od dawna chciałem dać tej bandzie porządną nauczkę. Ale zawsze, nim dotrzemy na miejsce, zdążą zniknąć w tych swoich grotach i korytarzach. Wiele bym dał, żeby wreszcie ich zaskoczyć. Świat byłby znacznie piękniejszy bez Sekty Skorpiona.

– Zgadzasz się z tobą. I chyba właśnie nadarzyła się odpowiednia okazja.

Umar popatrzył na niego z zainteresowaniem i pochylił się do przodu.

– Co masz na myśli, przyjacielu?

Gilan wskazał jeńców, siedzących na ziemi, i odparł:

– Otóż wydaje mi się, że Shurmel spodziewa się rychłego powrotu tych panów. A wy macie ich płaszcze i kheffiyeh... – Zawiesił głos. Mina Umara wskazywała na to, że zrozumiał.

– Jeśli włożymy ich ubrania, Skorpiony wezmą nas za swoich. Zaskoczymy ich i wyłapiemy wszystkich co do jednego! – powiedział triumfalnie.

– Nie wiem, czy wszystkich. Część na pewno zdoła schronić się w tej plątanie grot i tuneli.

– Ale bez wątpienia uniemożliwimy im działalność na wiele lat, jeśli nawet nie na zawsze. – Umar chwycił dłoń Gilana i potrząsnął nią z zapalem. – Gilan, przyjacielu, jesteś równie przebiegły jak twój przyjaciel Hal. I bardziej nawet niż Will Treaty!

– Potraktuj to jako komplement – powiedział Gilan, uśmiechając się trochę niepewnie.

– Dołączysz do nas podczas tej wyprawy? – spytał Umar. – Mamy teraz mnóstwo zapasowych koni. – Wskazał wierzchowce wojowników Ishti. Ale Gilan potrząsnął głową.

– Wypełniliśmy zadanie – odpowiedział. – Księżniczce już nie grozi tolfah. Poza tym moi dzicy przyjaciele z Północy chyba nie mają ochoty spędzać więcej czasu na pustyni. Mimo jej niewątpliwej urody.

– W takim razie życzę szerokiej drogi. Ruszamy w drogę, natychmiast. Nigdy nie wiadomo, kto nas obserwuje, musimy uderzyć jak najszybciej.

Umar jeszcze raz ścisnął dłoń Gilana, po czym odwrócił się i wydał rozkaz swoim ludziom.

Gilan uśmiechnął się. W przypadku Umara czyn zawsze szedł tuż za myślą. Spojrzał na Czaple.

– Kto chce do domu?

Rozdział 51



Na molo w porcie Taborck czekał Ulf.

– Wygląda całkowicie zdrowo – zauważył Hal. Ulf dosłownie tańczył w miejscu, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Odsunął jednego z pracowników portowych, chwycił cumę, którą rzucił mu Stefan i przyciągnął łódź do molo. Skrzywił się i złapał za bok, kiedy lina się napięła. Pracownicy pospieszyli mu na pomoc.

„Czapla” otarła się o kamienną ścianę, zaskrzypiały odbijacze. Wulf pierwszy znalazł się na brzegu – zeskoczył z nadburcia i zamknął brata w mocnym uścisku, podnosząc go kilka centymetrów nad ziemią.

– Ostrożnie! – powiedział Ulf, szczerząc się od ucha do ucha. – Nadal jestem trochę obolały.

Wulf natychmiast go puścił i zapytał z zatroskaną miną:

– Jeszcze nie wyzdrowiałeś?

Ulf wyjaśnił pospiesznie:

– Nic mi nie jest. Ale nie wszystkie mięśnie zdążyły się zregenerować. Dobrze cię widzieć!

Wulf otoczył ramieniem plecy brata.

– Wiedziałem, w którym momencie odzyskałeś przytomność. Czulem to!

Ulf z zapałem pokiwał głową.

– Wiem! Ja też czulem twoje myśli!

– Niesamowite! – powiedział Wulf. A potem znowu chwycił brata w ramiona, tym razem nieco ostrożniej.

Ulf obejrzał się przez ramię i zobaczył członków drużyny, którzy stali przy burcie, przyglądając im się z szerokimi uśmiechami na twarzach. Taki pokaz uczuć między bliźniakami zdarzał się niezwykle rzadko, mówiąc eufemistycznie. Ulf odkaslnął i szepnął bratu do ucha:

– Patrzą na nas.

Wulf prędko spojrzął za siebie, wysuwając się z jego uścisku. Potem odwrócił się i powiedział głośnym oskarżycielskim tonem:

– Ty nie potrafisz się schylać? Nikt cię tego nie nauczył?

– Schylać? – powtórzył Ulf z oburzeniem. – Byłem zbyt zajęty, musiałem powstrzymać tego wojownika, który próbował rozwalić ci czaszkę.

– I zapomniałeś się schylić! – dokończył za niego Wulf. – Przez ciebie musiałbym opowiadać mamie, że jej drugi z kolei ulubiony syn został przerobiony na filety.

– Drugi z kolei? Co przez to rozumiesz?

– No ten najmniej ulubiony. Próbowaliśmy być chociaż trochę uprzejmy.

– Muszę ci coś uświadomić: mama powiedziała mi, że to ja jestem jej ulubieńcem.

Wulf pokręcił głową.

– Ależ oczywiście. Powiedziała tak właśnie dlatego, że jesteś drugi z kolei. Wiedziała, że inaczej czułbyś się gorszy, upośledzony. Ja nie potrzebuję takich fałszywych zapewnień. Wiem, że jestem jej ulubieńcem, więc nie musi mnie okłamywać.

– A więc przyznajesz, że gdyby ci tak powiedziała, toby skłamała? – odparował Ulf.

– Ale chodzi właśnie o to, że mi nie powiedziała. To zaś oznacza, że jesteś drugim z kolei ulubionym synem. Lub, ponieważ to nieco zbyt pochlebne określenie, najmniej ulubionym.

Prowadząc kłótnię, jednocześnie przez cały czas coraz bardziej oddalali się od łodzi. W końcu Wulf, nie odwracając się, zapytał stłumionym głosem:

– Słyszają nas jeszcze?

– Nie. Sztajają osprzęt. – Ulf potrząsnął głową.

Wulf pokiwał głową, po czym jeszcze raz otoczył ramieniem plecy brata. Jednocześnie poczuł ramię Ulfa wokół swojej talii.

– Dobrze cię widzieć. Już myślałem, że umrzesz – powiedział Wulf lekko łamiącym się głosem. Ulf nie odpowiedział, tylko mocniej zacisnął ramię, którym obejmował brata.



Selethen nadal przebywał w Taborcu, doglądał nowej administracji i tworzył oddziały do miejskiego garnizonu. Zamierzał zostawić w Taborcu kilku bardziej doświadczonych oficerów, by zadbali o obronę miasta. To była dobra okazja do nagrodzenia tych, którzy wykazali się podczas odbicia miasta z rąk Tualegów.

Kiedy Czaple uporały się z pracą, Edvin zajął się uzupełnianiem zapasów i uszkodzonego bądź brakującego sprzętu. Pierwsze miejsce na liście zajmowała propozycja zgłoszona przez Thorną – duży kawał brezentu do ochrony przed słońcem i niepogodą. Hal, Thorn i Gilan tymczasem wyruszyli na spotkanie z Selethenem.

Zastali go dosłownie zagrzebanego po łokcie w papierach. Na stole piętrzyły się pergaminy, formularze i podania. Pomocnicy wakira co chwila wpadali do środka z kolejną porcją pytań i żądań. Selethen powitał trzech przybyszy pełnym wdzięczności spojrzeniem. Zerknął z odrazą na stos papierów, zepchnął je na ziemię i zwrócił się do jednego z sekretarzy: – Zajmij się tym! I przynieś kawy dla czterech osób.

Wskazał im miejsca na poduszkach, rozłożonych wokół niskiego stolika obok wyjścia na taras, z którego roztaczał się widok na port. Potem zmierzył ich baczny spojrzeniem.

– Przypuszczam, że załatwiliście sprawę tolfah? – spytał.

– Raz na zawsze – odparł Gilan.

Selethen uniósł brew, wyraźnie czekając na szczegóły. Hal pospieszył z odpowiedzią:

– Gilan wyzwał Shurmela na pojedynek i go zabił.

Selethen pokiwał głową.

– Dobry bilans. Bez nich świat będzie lepszym miejscem.

Gilan przytaknął, ale dodał gwoli ścisłości:

– Sekta wybrała nowego przywódcę. Możliwe jednak, że niedługo przyjdzie mu nacieszyć się pozycją. – Opowiedział o bitwie pod Ephesą, o spotkaniu z Umarem i jego plemieniem dzikich nomadów. Na wspomnienie aseikha wargi Selethena wygięły się w uśmiechu.

– Dobrze mieć takiego sprzymierzeńca jak Umar. A jego ludzie to świetni wojownicy.

– Kiedy odpływaliśmy z Ephesy – dodał Gilan – planował atak na Górę Skorpiona.

Selethen ze smutkiem potrząsnął głową.

– Dobry pomysł, ale obawiam się, że skazany na niepowodzenie. Ich strażnicy z daleka wypatrują zagrożenia. Kiedy zobaczą obce wojska, natychmiast pochowają się w labiryncie grot we wnętrzu góry.

– Chyba że nie zobaczą obcych wojsk – wtrącił Hal. – Zobaczą wojska, które wezmą za własnych ludzi, powracających z Ephesy. Umar i Bedulini będą w przebraniu. Członkowie sekty wezmą ich za swoich.

Na twarzy Selethena znowu rozlał się uśmiech.

– Sprytne. – Zmarszczył brwi z udawanym namysłem. – Chociaż „sprytny” to nie jest słowo, które kojarzyłbym z Umarem. To on na to wpadł?

Gilan spojrział w sufit.

Thorn wybuchł śmiechem.

– To był pomysł Gilana. Ten zwiadowca jest przebiegły jak wąż morski!

Selethen znowu się uśmiechnął.

– Powinienem być się domyślić. Rzeczywiście, spryt to cecha przynależna zwiadowcom.

Thorn klepnął Gilana w plecy, mało nie przewracając go przy tym na stolik.

– Ten gość ma w sobie więcej sprytu, niż ktokolwiek przypuszcza!

Gilan jakoś doszedł do siebie i rzucił Thornowi piorunujące spojrzenie.

– Wolalabym, żebyś nie okazywał swych uczuć w tak wylewny sposób, Thornie.

Thorn wzruszył ramionami z beztroską miną.

– Nie mam pojęcia, co to słowo oznacza.

Selethen, kryjąc uśmiech, zapytał:

– Mam nadzieję, że zjecie dzisiaj ze mną kolację? Zapraszam całą drużynę – zwrócił się do Hala, który podziękował kiwnięciem głową.

– Jutro zamierzamy wyruszyć do Araluenu – powiedział. – Ale czujemy się zaszczyceni i z pewnością skorzystamy z zaproszenia.

– I postaramy się zachowywać mniej wylewnie – dorzucił Thorn.

Gilan rzucił mu wymowne spojrzenie.

– To będzie wydarzenie bez precedensu – mruknął.



Podróż przez Morze Spokojne przebiegła bez zakłóceń i przypominała raczej przyjemną wycieczkę. Pogoda sprzyjała, wiały pomyślne wiatry.

Pogoda nie zmieniła się, nawet kiedy przeprawili się przez cieśninę i znaleźli na Oceanie Nieskończonym. „Czapla” codziennie zostawiała za sobą kolejne kilometry, płynąc spokojnym nieprzerwanym rytmem. Wreszcie na horyzoncie ukazały się zielone brzegi Araluenu. Wpłynęli na wody Morza Wąskiego. Minęli obszar pełen raf i płycizn, gdzie o mało nie wpadli w pułapkę zastawioną przez Tursguda. Tym razem Hal trzymał się w odpowiedniej odległości od zdradzieckich wód.

Lydia, Hal i Stig stali wokół steru, z przyjemnością poddając się rytmicznemu kołysaniu łodzi na falach, któremu towarzyszyło nieustające poskrzypywanie drewna i olinowania. Poza tym panowała cisza. W końcu Lydia, zwracając twarz do wiatru, powiedziała:

– Już rozumiem, czemu tak to kochacie. Takie chwile wynagradzają sztormy, niepogodę i przymusowe kąpiele w morskiej wodzie, chlapiącej na pokład. Coś niesamowitego!

– Robi się z ciebie prawdziwa morska wilczyca – stwierdził Stig z szerokim uśmiechem. Lydia skwapliwie kiwnęła głową.

Hal, stojący przy sterze, zapytał spontanicznie:

– Może chciałabyś mnie zastąpić?

Lydia szeroko rozwarła oczy.

– A mogę?

– A dlaczego nie? Myślę, że na to zasłużyłaś.

Ostrożnie ujęła rumpel w dłoń. Poczowała wibrowanie wody. Niechcący zwolniła nacisk, który Hal przez cały czas wywierał na ster. Rumpel skręcił i łódź zaczęła płynąć z wiatrem. Lydia spanikowała.

– Wychył rumpel – powiedział Hal. Lydia zmarszczyła brwi. Nie miała pojęcia, co to znaczy.

– Odepchnij rumpel od siebie! – wyjaśnił Stig. Ale tym razem Lydia pchnęła za mocno. Ulfi Wulf odwrócili się i spojrzeli w ich kierunku.

– Wróć! – polecił Hal. Lydia posłusznie przyciągnęła rumpel do siebie i łódź znowu skręciła w lewo.

– A teraz wyprostuj – dodał Stig. – Tak! Tak trzymaj!

– Jeszcze trochę – pospiesznie wtrącił Hal.

– Tylko nie za bardzo. Starczy!

– Pamiętaj, jeśli chcesz skręcić w lewo, przesuwasz rumpel w prawo – wyjaśnił Hal.

Lydia zerknęła na niego przelotnie, całą uwagę skupiając na sterze.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Tak to działa. Trochę w lewo.

– Ale powoli.

Lydia zaśmiała się. Pomyślała, że przypominają dwie kwoki, trzęsące się nad łodzią-kurczaczkiem.

– To nie takie proste, jak się wydaje – stwierdziła. Stig i Hal spojrzeli na siebie z uśmiechem. Lydia czuła wielką radość. Czuła prawdziwą więź z łodzią i załogą. A szczególnie z tymi dwoma chłopcami. Poczowała zamęt w głowie. Jakaś część podpowiadała jej, że pewnego dnia będzie musiała wybrać, ale inna część mówiła, że wcale tego nie chce. Jeszcze raz przesunęła rumpel i zaśmiała się, kiedy łódź odpowiedziała na jej rozkazy.

– A ja myślałam, że rumpel przez cały czas trzyma się w jednej pozycji.

– Nie – odparł Hal. – Morze cały czas się porusza i rumpel trzeba stale ustawiać w odpowiedniej pozycji, by łódź gładko sunęła po falach. Nie można przyjmować tego za pewnik.

– To zupełnie jak z przyjaźnią – stwierdziła Lydia z uśmiechem. Hall i Stig popatrzyli na siebie w milczeniu i pokiwali głowami.



Lydia coraz lepiej wyczuwała łódź. Stała przy sterze, aż w oddali ukazała się Zatoka Cresthaven. Wtedy Hal przejął dowodzenie i doprowadził łódź do brzegu.

Z zaskoczeniem dostrzegli, że przy molo cumuje wilczy okręt starego typu, z prostokątnym żaglem.

– To „Wilczy Kieł”, okręt Rugena – powiedział Thorn.

Członkowie załogi powitali ich hałaśliwie, po czym chwycili cumy i przyciągnęli „Czapkę” do molo. Kiedy oba kadłuby otarły się o siebie, skirl wilczego okrętu podszedł do burty.

– Mogę wejść na pokład, Thornie? – zawołał.

Thorn zmarszczył brwi. Rugen zawsze wykazywał się kompletnym brakiem taktu.

– Spytaj skirla! – burknął.

Rugen zrobił przeproszający gest. Czasami zapominał, że tak młody człowiek jak Hal może zajmować takie stanowisko.

– Przepraszam! – powiedział. – Możemy wejść na pokład, Halu Mikkelsonie?

Hal pokręcił głową. Pomyślał, że czasami Thorn przywiązuje zbyt wielką wagę do drobiazgów. Hal zrobił zapraszający gest i Rugen lekko przeskoczył z jednej burty na drugą. Przeszedł na rufę, uściskał dłoń Hala, potem

Thorna.

– Witajcie – powiedział. – Udana wyprawa?

Hal uśmiechnął się ze znużeniem. Przez kilka ostatnich tygodni naprawdę dużo się wydarzyło. Jakby minął cały wiek.

– Tak – odparł w końcu. – Owszem. Ale powiedz, Rugenie, co tu robicie?

Rugen był wysokim i niesamowicie chudym człowiekiem o kościstej twarzy, która teraz zmarszczyła się w uśmiechu.

– Przy płynęliśmy was zmienić. Czas waszej służby się skończył. Wracacie do domu.

Epilog



„Czapla” minęła falochrony i znalazła się w Zatoce Hallasholm.

Nosiła wyraźne ślady długiej podróży. Kadłub znaczyły plamy soli, miejscami woda morska zmyła farbę na klepkach poszycia i na maszcie. Żagle, niegdyś białe jak śnieg, teraz były szare i poplamione, na lewym widniała spora prostokątna łata – pamiątka po sztormie, który spotkał ich, kiedy okrążali Przylądek Schronienia. Takielunek poszarpał się i wytarł, w wielu miejscach było widać ślady naprawy.

Ale nawet jeśli „Czapla” robiła wrażenie zmęczonej podróży, jej załoga trzymała fason. Kiedy Hal ustawił łódź do wiatru i pozwolił jej dryfować w stronę molo, cała załoga stanęła przy burcie. Pomocne dłonie rzuciły liny cumownicze, przyciągnęły łódź do kamiennej ściany i prędko zawiązały je dokoła pachołków.

„Czapłę” zauważono już jakiś czas temu, wieść szybko obiegła miasto i członkowie rodzin zebrali się na nabrzeżu, by powitać powracających synów. Po chwili molo stało się scenerią dla wzruszających scen powitania. Wszyscy mówili naraz, matki, ojcowie i rodzeństwo zasypywali młodych podróżników setkami pytań – rzadko czekając, aż ci odpowiedzą na poprzednie.

Najczęściej powtarzały się słowa: „Nic ci się nie stało? Nie jesteś ranny, prawda?”

Matka bliźniaków pobladła jak ściana, kiedy synowie mało taktownie opisali przygodę Ulfa, nie szczędząc drastycznych szczegółów.

– Już myślałem, że go straciliśmy – oznajmił Wulf z entuzjazmem. – Jeden z tych dzikusów dźgnął go wielkim nożem i rozciął odtąd-dotąd. – Tu pokazał odkąd-dokąd, nieźle przy tym przesadzając. – Krew była wszędzie. Masakra!

Biedna kobieta chwyciła Ulfa w ramiona.

– Ale nic ci już nie jest? – zapytała z niepokojem.

Ulf zbył jej troskę z typową młodzieńczą niecierpliwością.

– Oczywiście, że nie. To była tylko rana od noża!

Matka odwróciła się, potrząsając głową i zastanawiając się, ile siwych włosów przybyło jej przez ostatnie trzydzieści sekund.

Karina znalazła się na molo jako jedna z pierwszych. Czekwała niecierpliwie, aż jej syn opuści łódź – oczywiście, jak na kapitana przystało, jako ostatni. Objęła go i ścisnęła bardzo, bardzo długo, zbyt wzruszona, by cokolwiek powiedzieć. W końcu puściła go i zrobiła krok w tył. Jej oczy były wilgotne.

– Na brodę Lokiego! – wykrzyknęła. – Urosłeś chyba z pięć centymetrów, przysięgam!

Hal zaśmiał się. Stig, który bardzo lubił Karinę, zapytał:

– A ja?

Drobna kobieta uniosła głowę.

– Ty urosłeś co najmniej dziesięć, dragalu! – odparła z uczuciem.

Stig również się roześmiał, uściskał ją, po czym zaczął przepychać się przez tłum, by przywitać się z własną mamą, która jak zwykle stała z boku. Karina popatrzyła za nim ze smutkiem.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia ta kobieta zapomni o haniebnym czynie swego męża i będzie cieszyć się sławą, którą zdobył jej syn – powiedziała. Hal kiwnął głową. Karina spojrzała na Thorną, czekającego obok na swoją kolej. Przesunęła wzrokiem po czystej – choć nieco pogniecionej – lnianej koszuli oraz – niezbyt starannie – przyczesanych włosach i brodzie.

– Jak się miewasz? – spytała chłodno. Zatrzymała spojrzenie na drewnianym haku. – Tym razem też coś straciłeś?

Thorn wyszczerzył się szeroko i przyłożywszy hak do piersi, oznajmił z emfazą:

– Tylko serce! Skradła je pewna piękna dziewczyna z Araluenu!

Twarz Kariny pociemniała z gniewu. Cofnęła się, podparła pod boki. Cała jej postać emanowała wściekłością.

– Jaka znowu dziewczyna z Araluenu?! – wrzasnęła. Głos miała donośny i całe towarzystwo zebrane na molo natychmiast zamilkło. – Co to za jedna? I gdzie ona jest?

Hal zrobił krok w stronę matki i uspokajającym gestem położył dłoń na jej ramieniu. Wyraźnie czuł napięcie i gniew, buzujący w jej wnętrzu.

– Mamo, on chyba ma ciebie na myśli.

Karina spojrzała na Hala, a potem na Thorną, który uśmiechał się niewinnie i cała złość uszła z niej jak powietrze z przekłutego balonika.

– E? O... w takim razie, czemu tego nie powiedział?

Podeszła do Thorny i nadstawiła policzek. Thorn próbował pocałować ją w usta, lecz mu nie pozwoliła.

– To może poczekać do ślubu – powiedziała.

Thorn rozejrzył się ze zdumieniem.

– O? Ktoś bierze ślub? – A potem skulił się z bólu, kiedy łokieć Kariny trafił go pod żebra.

– Ktoś niech lepiej o tym nie zapomina – odparła groźnie.

Pospiesznie skinął głową.

– Oczywiście, oczywiście. – Spojrzał na Hala i bezradnie wzruszył ramionami.

Hal wywrócił oczami.

– Czarować darem wymowy to ty raczej nie umiesz, co?

Thorn otworzył usta, lecz zorientował się, że nie wie, co powiedzieć, i natychmiast je zamknął. Uratował go głos Svengala, który w tym momencie rozbrzmiał nad tłumem.

– Przejście dla oberjarla! Przejście dla oberjarla!

Tłum rozstąpił się przed Erakiem niczym ławica płotek, zwiewających przed rekinem. W gruncie rzeczy wcale nie potrzebował pomocy Svengala i podejrzewał, że pierwszy oficer zrobił to tylko po to, by go zirytować.

Oberjarl zatrzymał się naprzeciw Hala.

– Witajcie w domu. Przypuszczam, że wyprawa się udała?

Hal przytaknął. Spojrzał na pozostałości pięknej laski Eraka, którą zniszczyła Kluf. Erak próbował ją naprawić – umieścił srebrną gałkę i okucie na krzywej gałęzi, znalezionej w lesie. Cóż, nigdy nie należał do zręcznych rzemieślników.

Oberjarl powiódł wzrokiem po zebranych, którzy pozdrawiali go wesoło.

– Widzę, że nadal masz tego psa – powiedział. Kluf leżała na molo z nosem na łapach, młóćąc ogonem powietrze.

– Em... tak. Widzę, że naprawiłeś laskę – odparł Hal.

Erak rzucił mu lodowate spojrzenie.

– I topór. Biedny chłopak całe dni nurkował w zatoce i w końcu go znalazł. Pomyślałem, że się przyda, w razie

gdybyś przywiózł to monstrum z powrotem.

– A, przy okazji, mam dla ciebie upominek z Arydii – powiedział Hal.

Erak przestał udawać, że się gniewa. W gruncie rzeczy darzył wielką sympatią drużynę Czapli, tę zbieraninę zwariowanych wyrzutków. No i uwielbiał dostawać prezenty.

– Z Arydii? A co robiliście w Arydii?

Hal jednak zbyt pytanie.

– Wszystko znajdzie się w raporcie. – Zwrócił się do Jespera: – Podaj łaskę, proszę.

Jesper podszedł do nich i podał Halowi ozdobioną rzeźbą skorpiona łaskę Shurmela. Hal z kolei uroczyście wręczył ją Erakowi. Oberjarlowi zaświeciły się oczy. Rzucił na ziemię starą łaskę, pieszczotliwie przesunął dłońmi po gładkim hebanowym drzewcu, z wielką czcią dotknął figury skorpiona.

– Niezwykła! – powiedział cicho. – Toż to prawdziwe dzieło sztuki! – Należy przypomnieć, że Erak uważał się za wielkiego znawcę sztuk wszelakich. – Przepiękna.

Hal pokręcił głową.

– Niezwykła, z pewnością – odparł. – Ale czy piękna, tego nie jestem pewien.

Lydia, stojąc z boku, przyglądała się temu wszystkiemu ze smutnym uśmiechem na twarzy. W takich chwilach najbardziej brakowało jej dziadka. Skandianie byli takimi głośnymi, uczuciowymi i rodzinnymi ludźmi. Nie licząc członków załogi i matki Hala, Lydia nie miała w Hallasholmie żadnych bliskich osób. Nie chciała przeszkadzać. Po cichu zebrała swoje rzeczy i niepostrzeżenie ruszyła w kierunku domu, w którym mieszkała z pewną wdową.

Kilka godzin później gospodyni znalazła ją siedzącą na progu i zapatrzoną na zachód słońca nad oceanem. Wdowa imieniem Agathe była czułą i opiekuńczą kobietą. Jej córka jakiś czas temu przeprowadziła się do innego miasta i wyszła za mąż. Agathe cieszyła się z towarzystwa tej cichej zamkniętej w sobie dziewczyny.

– Co się dzieje? Nie stroisz się na zabawę?

Lydia podniosła wzrok.

– Jaką zabawę?

– Po powrocie okrętu ze służby zawsze odbywa się huczna zabawa powitalna – wyjaśniła Agathe. – Należysz do drużyny, jesteś gościem honorowym. A teraz wykąp się i ubierz, a ja ułożę ci włosy. Będziesz piękna.

Lydia posłała jej blady uśmiech.

– To chyba niemożliwe – odparła. Agathe przyglądała jej się przez chwilę z przekrzywioną głową.

– Ty naprawdę tak uważasz, prawda? Nie masz pojęcia, jakie wrażenie robią te ciemne oczy, oliwkowa skóra i piękne lśniąco włosy.

Lydia zarumieniła się lekko.

– Nie mam co na siebie włożyć – spróbowała argumentu nie do odparcia.

Agathe uśmiechnęła się, przygotowana na takie słowa.

– A właśnie, że masz. W zeszłym miesiącu kupiłam ci na targu śliczną żółtą suknię. Będziesz gwiazdą wieczoru, uwierz mi!

I rzeczywiście. Kiedy godzinę później Lydia wkroczyła na plac, zastawiony stołami, beczkami z piwem i rożnami, wszyscy skierowali spojrzenia w jej stronę.

– Lydia! Miło cię widzieć! – powiedział znajomy głos. Odwróciła się, szykując się do odparcia kolejnego ataku, ale ku swemu zaskoczeniu zobaczyła u boku Rollonda atrakcyjną brunetkę, trzymającą go pod ramię z miną właścicielki. – Poznałaś Friedę, moją narzeczoną? – zapytał.

Lydia posłała dziewczynie najśłodszy z uśmiechów. Sama nie wiedziała dlaczego, ale niespodziewanie poczuła ukłucie zazdrości. Owszem, zaciekle odrzucała zaloty Rollonda, jednakże jakoś nie mogła pogodzić się z faktem, że znalazł sobie nowy obiekt westchnień. Rollond i Frieda zamienili z nią kilka słów, po czym ruszyli do stołu.

Przez chwilę stała bezradnie w miejscu, wypełniona nieokreślonym poczuciem straty i szukając znajomych

twarzy, gdy nagle otoczyła ją grupa kilku dziewczyn w jej wieku.

– Lydia! – wykrzykiwały z entuzjazmem. – Chodź do nas! Wyglądasz niesamowicie! Jak się robi taką fryzurę?

Dziewczyny pociągnęły ją do swojego stołu, zasypując gradem pytań i komplementów. Prawdę mówiąc, Lydia stała się kimś w rodzaju lokalnej sławy w oczach młodych mieszkanki Hallasholmu. Sama o sobie decydowała i uczestniczyła w niebezpiecznym awanturniczym życiu u boku przyjaciół przeciwnej płci. Była wspaniałą tropicielką i łowczynią. Brała udział w bitwach. Członkowie drużyny traktowali ją jak równą sobie – nawet określali ją oficjalnie mianem „jedynej siostry pośród braci”.

W rodzinnym mieście Limmat z kolei patrzono na nią jak na cudaka. Tamtejsze dziewczęta całe dni spędzały, strojąc się, czesząc i malując i nie biegały po lesie w poszukiwaniu zwierzyny. Skandyjskie dziewczęta za to miały w sobie ducha przygody, lubiły spędzać czas na powietrzu. Lydia stanowiła dla nich doskonały przykład kobiety, która potrafi osiągnąć wszystko, co sobie zamierzy. I kiedy tak jej nadskakiwały, znosząc smakołyki i wypytując, czy nauczy ich używać atlatlu, czy pokaże, jak się oprawia jelenia, w pewnym momencie Lydia zdała sobie sprawę, że oto zyskała grupę przyjaciółek. Patrząc na ich otwarte szczere twarze, wreszcie poczuła, że to jest również jej miejsce. Ogarnęło ją uczucie szczęścia.

W miarę jak mijał czas i w kolejnych beczkach pokazywało się dno, biesiadnicy zaczęli popatrywać w kierunku Stefana i Jespera. W końcu popchnęli ich w stronę stołu, ustawionego pośrodku placu, domagając się głośno:

– Saga! Chcemy usłyszeć o waszej wyprawie!

– Ale my nic nie przygotowaliśmy... – tłumaczył się Jesper z niewinną miną.

– Jasne – mruknął Hal, wywracając oczami. Przez cały zeszły tydzień siedzieli pochyleni nad kartkami papieru, notując coś zawzięcie i marszcząc czoła w poszukiwaniu rymu czy barwnego wyrażenia. Hal pomyślał, że ta fałszywa kokieteria to stanowczo zbyt wiele. Tłum zabuczał, stanowczo odmawiając wszelkich wykrętów. W końcu, nadal mocno się opierając, Jesper i Stefan dali się postawić na stole.

Erak, dzierzący w dłoni nową laskę, utorował sobie drogę. W drugiej dłoni trzymał kufel z piwem. Najbliżej stojące osoby, wiedząc, co im grozi, prędko oczyściły przestrzeń wokół niego.

– No dalej! – ryknął. – Dawać sagę!

Erak uwielbiał dobre opowieści. Uwielbiał nawet kiepskie, co w sumie nie miało większego znaczenia.

Jesper i Stefan uśmiechnęli się do siebie i zaintonowali:

Hej, Czaple! Hej, Czaple!

Hej, dzielne mężne Czaple!

Hej, ludzie, czy wy wiecie?

Najlepsza banda na świecie.

Hal wzniosł oczy do nieba.

– Miałem nadzieję, że poprawią ten fragment.

Już po pierwszych dwóch słowach wszyscy zebrani z zapalem przyłączyli się do śpiewu. Potem chłopcy zaprezentowali pierwszą zwrotkę:

Wypłynęły Czaple z portu w bardzo wielkim pośpiechu.

Kluf zżarła laskę Eraka, nie było im do śmiechu.

– O, jakże taktownie – stwierdził Hal, a Erak posłał mu piorunujące spojrzenie. Nadal nie do końca wybaczył Kluf.

Na morzu Białych Sztormów złapał je nomen omen sztorm,

Lecz Czaple włożyły czapki, niestraszny więc był im on.

Przy ostatnich słowach Jesper i Stefan wyjęli z kieszeni wełniane czapki i włożyli je. Tłum zaczął wiwatować. Matki kiwały głowami, pełne aprobaty dla tak rozsądnego zachowania. Nadszedł czas na refren, do którego tym razem włączył się Erak – chwilowo zapominając o tym, że gniewa się na Kluf. Śpiewał co sił w płucach i wymachiwał do rytmu laską i kuflem. Stojący opodal nieszczęśnicy całkiem przemokli, a jeden dostał laską w wielki paluch u nogi. Biedak wrzasnął i zemdłał.

Jesper i Stefan zgodzili się, że ani słowem nie wspomną o Tursgudzie. Jego rodzina wciąż mieszkała w Hallasholmie, nie chcieli wprawiać ich w zakłopotanie.

Handlarze żywym towarem porwali mieszkańców wsi,
Więc Czaple ruszyły w pościg, by dorwać tych obwiesi.

– O, to jest naprawdę dobre! – wykrzyknął Erak. – Świetna poezja. „Wsi-obwie-si”. Genialne, po prostu genialne.

– Ciekawa definicja geniuszu – powiedział pod nosem Hal. Niestety, dalej było tylko gorzej.

Aż do Socorro gonili bandę zbirów okrutną.
„Dziś już nic z tego”, Hal rzecze, „zajmiemy się tym jutro”.
Na targu dla niepoznaki ogień podłożyły i
Wszystkich Aralueńczyków z więzienia wypuściły.
Hej, Czaple! Hej, Czaple!
Hej, dzielne mężne Czaple!
Hej, ludzie, czy wy wiecie?
Najlepsza banda na świecie.
Ten cały handlarz Mahmel to straszny był kawał chama,
Stig przycisnął go kamykiem, została mokra plama.

Tłum znowu zaczął wiwatować, a Stig pomachał wesoło. Nastąpił refren – z nieodłącznym waleniem laską i wymachiwaniem kuflem piwa – a po nim kolejna zwrotka.

Wnet z powrotem do Cresthaven ocalonych odwieźli.
Król Duncan Czaple pochwalił: „Jesteście naprawdę niezli.
Mam dla was nowe zadanie: razem z tym tu Gilanem
Pogońcie sektę morderców, spuście im tegie lanie”.

– Chyba zasłonę milczenia! – skomentował Hal. Erak gniewnie go uciszył.

– Ty nie potrafisz docenić sztuki – stwierdził. – Ja za to jestem jej prawdziwym mecenasem.

Hal spojrział na groteskową figurę skorpiona, wieńczącą laskę, którą oberjarl wymachiwał z dumą, i tylko pokręcił głową.

Piraci Czaple napadli, jednakże strach wnet ich zdjął,
Bo Ingvar prowadził atak, i rąbał, i kłuł, i ciął.

Nastąpiły kolejne wiwaty, tym razem pod adresem Ingvara, który przyjął aplauz z zażenowaną miną.
Pokonali Tualegów oraz Sektę Skorpiona,
Zwiadowca walczył z Shurmelem, który w następstwie skonał.
Hal, korzystając z zamętu, zabrał laskę Shurmela,

Zawiózł ją Erakowi i Erak cieszy się teraz.

Oberjarl wydał z tej okazji radosny okrzyk i potrząsnął nad głową swoją przerażającą laską. Tłum oszalał i odśpiewał refren dwa razy. Nikt nie miał wątpliwości, że Czaple to „najlepsza banda na świecie”.

Hal zamknął oczy i wzdrygnął się. Kiedy wreszcie śpiew dobiegł końca, ogarnęło go poczucie niewypowiedzianej wdzięczności. Erak pochwycił skirla w ramiona, zamknął w niedźwiedzim uścisku i poprowadził przez plac, pokazując wszystkim zgromadzonemu.

Pół godziny później oberjarl nadal wychwalał mądrość, odwagę i pomysłowość Hala. Naraz urwał, rozejrzał się dokoła i zapytał:

– Gdzie moja nowa laska?

Hal z przerażeniem uświadomił sobie, że nigdzie jej nie widać. Podobnie jak Kluf.

– A gdzie twój pies? – zapytał Erak, którego myśli widocznie biegły tym samym torem.

– Jest... ee... na pokładzie, pilnuje łodzi – odparł nerwowo Hal.

Erak ściągnął brwi.

– A gdzie mój topór? – spytał groźnie, wodząc dokoła wzrokiem. Nagle ku wielkiej uldze Hala, z drugiego końca placu dobiegł rozradowany głos:

– Tu jest twój pajęczek na patyku, wodzu! – Svengal potrząsnął laską, którą znalazł pod stołem. Erak przyjął ją z wdzięcznością i posłał Halowi przepraszający uśmiech.

– Wybacz, że w ogóle coś takiego przyszło mi do głowy – powiedział. – Kluf to dobry pies.

– Zgadza się – zgodził się Hal. A potem wycofał się na bok, po drodze pozdrawiając ludzi, którzy podchodzili i gratulowali mu udanej wyprawy. Po chwili powieki same zaczęły mu opadać. Z trudem tłumił ziewanie. Nagle zdał sobie sprawę, jaki jest zmęczony. To był wyczerpujący i emocjonujący dzień, który kończył wyczerpujący i emocjonujący rok. Hal marzył tylko o tym, by wreszcie pobyc przez chwilę w samotności. Wymknął się niezauważony i skrył pośród cieni otaczających plac, zostawiając za sobą odgłosy hulanki.

Mijając gęstą kępę krzaków, usłyszał za to inny dźwięk, odgłosy chrupania, przeplatane pełnym zadowolenia powarkiwaniami. To z pewnością była Kluf i z pewnością pożerała jakiś twardy przedmiot. Hal rozchylił krzaki i zamarł z przerażenia.

– Ty włochata kretynko! – powiedział. Kluf warczała zawzięcie, machając ogonem i zawzięcie żując przedmiot, który ścisnęła w przednich łapach.



Zabawa skończyła się długo po północy. Stopniowo ludzie zaczęli rozchodzić się do domów, światła w domach powoli gasły.

Za wyjątkiem jednego – światła z warsztacie Hala.

Palilo się jeszcze o świecie – kiedy Hal kończył rzeźbić nowe stylisko do topora Eraka – jak zapewne pamiętamy, bezcennego topora odziedziczonego po dziadku.